

**nr 2/3 (15/16)
wiosna/lato 1997**

**Rok V
ISSN 1231-5451**

SCRIPTORES SCHOLARUM

**Kwartalnik
uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół**

Lublin

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół

Redagowanie i wydawanie kwartalnika „Scriptores Scholarum” jest jedną z form programu edukacyjnego „Pamięć-Miejsce-Obecność” realizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka-Teatr NN”.

Koordynator programu edukacyjnego: Grzegorz Żuk.

Wydawca: Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Stowarzyszenie „Brama Grodzka”.

Dyrektor Ośrodka: Tomasz Pietrasiewicz.

Adres wydawcy i redakcji: Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Stowarzyszenie „Brama Grodzka”, ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin, tel./fax (0-81) 532-58-67.

Radakcja: Sławomir J. Żurek – redaktor naczelny; zastępcy redaktora naczelnego: Andrian Lesiakowski, Jacek Wojtysiak; sekretarze redakcji: Katarzyna Grzybowska, Wojciech Stanek.

Zespół: dział literacki: Katarzyna Grzybowska – kierownik, Sławomir J. Żurek – opiekun; dział filozoficzny: Jan Gałkowski – kierownik, Jacek Wojtysiak – opiekun, Michał Kopaczewski; dział kulturalny: Marzena Tarasińska – kierownik, Danuta Kurczab – opiekun, Michał Hucal; dział teatralny: Anna Barć – kierownik, Karolina Rozwód, dział informatyczny: Aleksander Janas – kierownik, Szymon Pietrasiewicz; dział historyczny: Agnieszka Walcko – kierownik, Wojciech Stanek – opiekun; Adrian Lesiakowski – kierownik działu artystycznego.

Redaktorzy prowadzący: Adrian Lesiakowski, Jacek Wojtysiak, Sławomir J. Żurek.

Projekt okładki i ilustracje: Adrian Lesiakowski.

Korekta: Witold Waszczuk.

Pismo wyróżnione w roku 1996 Nagrodą Specjalną Ministra Edukacji Narodowej za „wysoki poziom merytoryczny, walory edukacyjne pisma oraz jego oryginalność”.

Kwartalnik „Scriptores Scholarum” może być wykorzystywany jako materiał pomocniczy w nauczaniu szkolnym.

Kuratorium Oświaty w Lublinie.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów, adiustacji, redagowania i zmiany tytułów nadsyłanych tekstów.

© Copyright by Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

ISSN 1231-5451

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” na terenie całego kraju oraz wydawca.

Pismo ukazało się dzięki pomocy następujących instytucji i firm: • Urząd Miejski w Lublinie • Wydawnictwo „Norbertinum” • **Dziękujemy!**

Numer zamknięto w sierpniu 1997. Oddano do druku we wrześniu 1997.

Skład komputerowy: Wydawnictwo „Sic et Non” Sp. z o.o., Lublin.

Druk: Drukarnia NORBERTINUM.

Pismo powstało w środowisku Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. Kazimierza Gostyńskiego.

Spis treści

Słowo wstępne	5
<u>rozmowy akademickie o wolności</u>	
• <i>etyka</i> Wolność a konieczność – rozmowa z ks. prof. Andrzejem Szostklem MIC (KUL)	8
• <i>psychologia</i> Wybierać świadomie można tylko stojąc na barkach olbrzymów – rozmowa z prof. Jerzym Stojnowskim (KUL) ..13	
• <i>literatura</i> Od estetyki do etyki – rozmowa z prof. Wiesławem Pawłem Szymańskim (UJ)	20
<u>samorząd terytorialny – wybory w regionie</u>	
• <i>rozmowy samorządowe</i> „Skoro pięć minut jest dane...” – zapis spotkania z Pawłem Brytowskim (prezydentem Lublina)	27
Marketing to obserwacja i kształtowanie rynku – rozmowa z Ewą Szemborską (SGH)	36
• <i>edukacja obywatelska</i> Lucyna Kujawa Wiedza czy umiejętność? Rzecz o kształceniu obywatelskim w szkole	41
Janusz Maleska, Zbigniew Smutek Projekt autorskiego programu nauczania przedmiotu „Wiedza o społeczeństwie”	45
• <i>wybory parlamentarne</i> Wybory i decyzje'97- debata parlamentarna z politykami regionu lubelskiego (K. Dudziński, R. Faszynski, T. Gnyś, I. Sierakowska, M. Szubartowski, W. Tkaczyk, W. Wardawy)	52
<u>samorząd uczniowski – wybory w szkole</u>	
• <i>demokracja w szkole</i> Michał Hucal Demokracja, odpowiedzialność, szkoła	67
Lucyna Kujawa Prawa uczniów i sposoby ich obrony (konspekt lekcji)	72
• <i>debata szkolna</i> Maja Spustek Debaty szkolne	76
Zbigniew Smutek Klub Debat w „Stasiu”	78
<u>o wolności człowieka i miłości Boga</u>	
Marta Greła Bóg stworzył człowieka... ..	81
• <i>rozmowa o powołaniu</i> Inicjatywa jest zawsze po stronie Boga – rozmowa z Ojcem Wacławem Oszajcą (SJ)	82
• <i>wolność</i> Ewa Kwiatek Wybory i decyzje	94
Katarzyna Grzybowska Człowiek jest wolny całkowicie i na zawsze, lub nie jest wolny wcale	98
Sławomir Pokraka Jakie są granice obywatelskiego posłuszeństwa?	102
• <i>decyzje</i> Ireneusz Ziemiński Murzyn Opowiadanie z Mrożka na marginesie sporów o aborcję	107
Adam Dobrzyński Podróż do Kraju Kwitnącej Wiśni	109

• świadectwa		
Aleksander Dobrojer		
Żydzi mesjańscy	112	
Sergiusz Antłpów-Wasielewicz		
Mój Chrystus prawosławny, ewangelicki i katolicki	118	
Kim jest dla mnie Bóg? Świadectwa członków Ruchu „Światło-Życie”	120	
Hinduizm, czyli migawka z Indii – rozmowa z s. Zofią Pawlik	123	
Ks. Mariusz Górnlak		
Podatni na wpływy	126	
<u>zawód czy powołanie – wybory życiowe</u>		
• autorytet nauczyciela – dyskusja panelowa		
Sławomir J. Żurek		
Wstęp	132	
Irena Sławińska		
Autorytet nauczyciela?	133	
Dyskusja o autorytecie nauczyciela – A. Lesiakowski, J. Fert, J. Gałkowski, D. Chabrajska, A. Kawalec, J. Cieszkowski, D. Kurczab, W. Chudy, S. J. Żurek, H. Czarnławski	136	
• teatr jako wybór		
Elżbieta Stoch		
Dlaczego dramat Bałuckiego?	153	
Wybrali Sztukę – rozmowa z W. Malajkatem, J. Trzecieńską oraz Z. Zamachowskim	157	
Szyfł ma nadzieję – rozmowa z twórcami przedstawienia <i>Koniec wieku</i> (J. Brzeziński, J. Opryński, J. Tomlca, M. Zglet)	159	
Zaskakiwać – rozmowa z S. Pałą i K. Niedźwiedz, aktorami Teatru Gimnazjalnego	164	
<u>decyzje filozoficzne</u>		
Jacek Wojtysiak		
Lewica - prawica (spojrzenie filozofa)	168	
• lektury		
Mariusz Bober		
O co chodzi w filozofii?	172	
• dwugłos o książce „Co to wszystko znaczy?”		
Adam Dobrzyński		
Właściwe wprowadzenie do filozofii	177	
Ksawery Skowron		
Bardzo krótka zniechęta do filozofii	179	
• szkice filozoficzne		
Grzegorz Rasłński		
Arystotelesa krytyka systemu platońskiego, czyli krytyka teorii Idei	185	
Tomasz Fronczek		
Pojęcie ascezy według Karola Wojtyły I Jeremiasza Benthama	191	
Dominika Wojtysiak		
Przeżycie i wartość w sztuce współczesnej	195	
<u>wiersze – wybory poetyckie</u>		
Katrzyzna Grzybowska (róża, Oddałabym, Szeptem o Bogu), Sebastian Malczarski (*** Czasem w sen...), Natalia Mirosława Brovko (*** zabierz mnie...), Marta Jedliczko (Zmęczeniu, Noc stworzona do miłości), Darłusz Pachocki (W nleznane, Zbyt wiele nie wystarczy), Katarzyzna Jarosłńska (Bezbronność), Krzysztof Zawłsza (Cena)		200

Bo wolność nam jest nie tylko przez Boga dana, ale także zadana! Ona jest naszym powołaniem!

Jan Paweł II

Wolność polega na tym, że można czynić wszystko, co drugiemu nie przynosi szkody. W wykonaniu naturalnych praw każdego człowieka nie ma innych granic, jak tylko te, które innym członkom społeczeństwa zapewniają używanie tych samych praw.

Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela

Słowo wstępne

Nowy, podwójny Zeszyt „Scriptores Scholarum” 2/3 (15/16) – wiosna/lato 1997 „Zeszyt samorządowy. Wybory i decyzje '97” koncentruje się na sprawie wolności. Wolność jest podstawowym prawem i zadaniem człowieka, stanowi o jego bycie oraz konstytuuje jego istotę. Wolność to chyba jedyna rzecz, od której nie możemy się uwolnić...

Głównym przejawem wolności ludzkiej jest możliwość dokonywania wyborów i podejmowania decyzji, ze wszystkimi ich konsekwencjami. Dlatego przeprowadzamy w tym numerze naszego kwartalnika namysł nie tylko nad istotą trudnego daru wolności, ale i nad konkretnymi decyzjami i wyborami, które stoją przed nami i są podejmowane głównie przez ludzi młodych, którzy dopiero zaczynają swoją „wędrówkę”. Próbujemy na łamach „Scriptores” odpowiedzieć na podstawowe dla egzystencji ludzkiej pytania – „Czym jest wolność?”; „Jak mądrze podejmować trudne decyzje?”; „W jaki sposób korzystać z samodzielności?”. Szukając odpowiedzi na powyższe pytania zwróciliśmy się zarówno do autorytetów uniwersyteckich, osób publicznych, a także sami poddajemy te kwestie krytyce i refleksji.

Naszym zdaniem wolność jest osadzona przede wszystkim w perspektywie Transcendencji. Wierzymy, że pochodzi ona od Boga i dokonuje się wobec Boga – stąd w naszym numerze tak wiele świadectwa z życia duchowego młodych ludzi, ich religijnych wyborów, zmagani i poszukiwań – od tradycyjnych Kościołów, Wspólnot religijnych aż po sekty. Staramy się trzeźwo spojrzeć na problem sekt, widząc w nich zagrożenie, ale i „znak czasu” nie spełnionych potrzeb duchowych młodych ludzi. By ten problem rozwiązać konieczna jest mądra i szeroka edukacja religijna (prowadzona w duchu ekumenicznym), a także odpowiednie ukierunkowanie duchowe. O. Waław Oszejca, poeta i duszpasterz, mówiąc o powołaniu językiem różnym od oficjalnych kazań, przekazuje także ukierunkowanie tym, którzy szukają swego miejsca w Kościele... Cieszymy się, że w naszym piśmie wypowiadają się też ci, którzy takie miejsce znaleźli.

Jak zawsze staramy się mocno osadzić prezentowaną rzeczywistość w kontekście Małych Ojczyzn, dlatego też tak wiele miejsca poświęciliśmy wyborom na płaszczyźnie regionu. Wszak pierwszym wyrazem wolności osobistej jest wolność na szczeblu samorządności lokalnej – ona jest drogą do wolności politycznej na szczeblu ogólnokrajowym. Interesowały nas decyzje podejmowane w naszym mieście, w poszczególnych gminach oraz szkołach. Stąd rozmowa z prezydentem naszego miasta Lublina, debata z regionalnymi politykami,

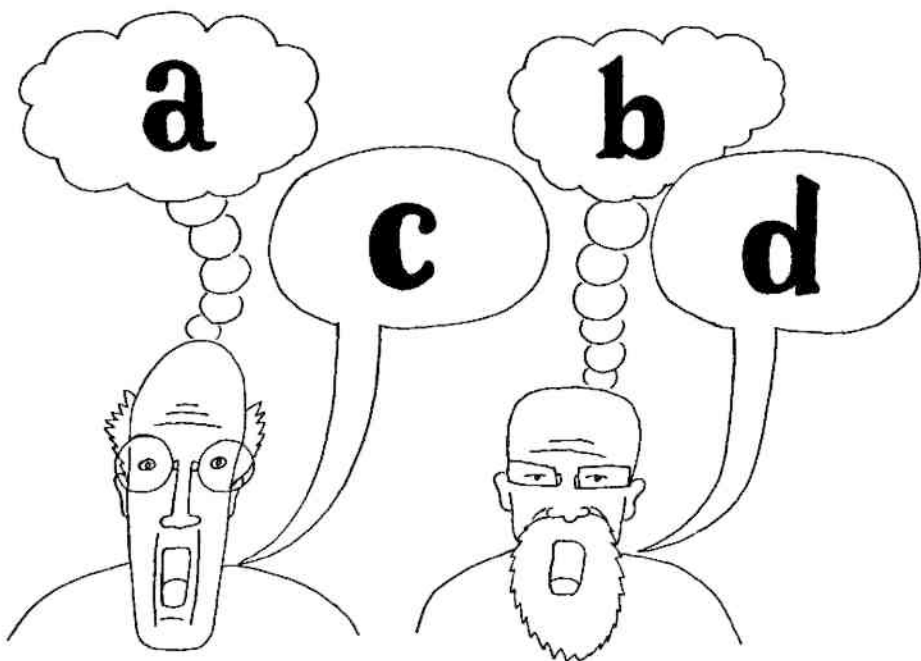
w której akcentujemy problemy naszej lokalnej samorządności, teksty poświęcone samorządności szkolnej (uczniowskiej). Promocja naszego Zeszytu ma być promocją samorządności.

Jesteśmy przekonani, że aktywność samorządowa to naczelną a zaniedbaną u nas rodzaj aktywności obywatelskiej oraz, że podstawowe nasze wybory i decyzje to decyzje samorządowe. Dlatego też Zeszyt o wolności „Wybory i decyzje” jest Zeszytem Samorządowym. Niestety, nie zdążyliśmy opracować rozmów z dwoma seniorami polskiej polityki, wywodzącymi się z obozu „Solidarności”, a reprezentującymi dziś prawicę (prof. Wiesław Chrzanowski) i lewicę (Aleksander Małachowski). Mamy nadzieję, że gdy w następnym powyborczym numerze „Scriptores Scholarum” ukażą się wywiady z nimi, nasi Rozmówcy będą już lubelskimi parlamentarzystami.

Do właściwego korzystania z wolności nie wystarczy teoria wolności oraz osadzenie jej w kontekście religijnym i społecznym. Do podejmowania trafnych decyzji potrzebne jest prawdziwe rozpoznanie rzeczywistości. Dlatego ciągle w naszym piśmie przywiązujemy dużą wagę do edukacji filozoficznej. Potrzebne też są autorytety. Do Prawdy wszak najpewniej można dojść pytając o radę autorytety, które uczą nas poznawania rzeczywistości, kształtują naszą wolność, wspierają mądre wybory i decyzje. Stąd jak zawsze numer rozpoczynamy od rozmów akademickich pytając o problem wolności etyka – prorektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego – ks. prof. Andrzeja Szostka (MIC), psychologa i psychiatrę – prof. Jerzego Strojnowskiego (KUL), a także literaturoznawcę – prof. Wiesława Pawła Szymańskiego (UJ). Autorytetami wspierającymi i kształtującymi wolność są jednak przede wszystkim nauczyciele. Stąd w tym numerze „Scriptores” zapis dyskusji przeprowadzonej w naszej redakcji – nad autorytetem nauczyciela. Ważnymi autorytetami kształtującymi podstawy wolności są też twórcy kultury, a zwłaszcza ludzie teatru i poezji – miejsc szczególnego namysłu nad ludzką dolą. Sporą część Zeszytu zajmuje więc ich twórczość i refleksje nad tą twórczością.

Przed nami, zwłaszcza przed młodymi, mnóstwo wyborów: egzystencjalnych, zawodowych, moralnych etc., a także wybory parlamentarne. Ważne by dokonywać ich wszystkich nie przypadkowo, nie mechanicznie, ale świadomie – po głębokim namyśle i w szerokim kontekście. I temu celowi ma służyć ten Zeszyt...

Redaktorzy prowadzący z Zespołem



**rozmowy akademickie
o wolności**

Wolność a konieczność

– rozmowa z ks. prof. Andrzejem Szostkiem MIC
Prorektorem KUL

Andrzej Szostek (MIC) – ur. 1945; ksiądz katolicki, marianin; prof. dr hab.; pracownik Katedry Etyki Ogólnej Sekcji Filozofii Teoretycznej Wydziału Filozoficznego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Prorektor KUL. Członek Towarzystwa Naukowego KUL oraz zarządu Instytutu Jana Pawła II KUL; sekretarz redakcji „Roczników Filozoficznych”, członek redakcji „Zeszytów Naukowych KUL” oraz kwartalnika „Ethos”. Wykładowca na wielu zagranicznych uniwersytetach. Kierunki badań naukowych: argumentacja w etyce, etyka a antropologia, struktura sumienia, etyka szczegółowa, filozoficzne nurty we współczesnej teologii moralnej, myśl filozoficzna Karola Wojtyły. Najważniejsze publikacje: *Der Streit um den Menschen* – wraz z K. Wojtyłą i T. Stycznem (Kevelaer 1979), *Normy i wyjątki* (Lublin 1980), *Natura – rozum – wolność* (Lublin 1989) oraz 25 artykułów naukowych. Współredaktor: *Obecność Karola Wojtyły w KUL* (Lublin 1989) oraz serii wydawniczej – *Człowiek i moralność*.

Jacek Wojtysiak: *Jakie ważne wybory moralne stoją współcześnie przed młodymi ludźmi?*

Ks. prof. Andrzej Szostek: Przyjrzyjmy się najpierw samemu określeniu: „ważne wybory moralne”. Są to wybory wyróżnione, jakoś głębsze; przeciwstawiamy im zwykle akty wyboru bardziej błahe, nie tak poważne i brzemiennie w skutkach, niejako „momentalne”. Te ostatnie wpływają z decyzji bardziej fundamentalnych i trwale człowieka kształtujących; powiadamy: „habitualnych”. Konkretny wybór ma zawsze charakter aktualny, ale zawsze też sięga głębiej, niesie ze sobą swoją historię.

Najważniejszy wybór, jaki podjąć musi każdy człowiek – ale dotyczy to zwłaszcza ludzi młodych, stojących u progu swego dorosłego życia – wyraża się pytaniem: „jakim będę człowiekiem?” Rzecz znamienna: wyboru tego nie dokonuje się zwykle w sposób metodyczny, zaplanowany. Raczej człowiek bywa zmuszony do jego dokonania poprzez niespodziewany, a często tak-

że niemiły, przypadek lub zbieg okoliczności, który zmusza go do opowiedzenia się za czymś lub przeciw czemuś. Nie zawsze pojmujemy od razu znaczenie takich zdarzeń i decyzji. Bywa, że dopiero po latach uświadamiamy sobie, że ów zasadniczy wybór naprawdę się dokonał. Momenty, w których takie trudne wybory najbardziej „gęstnieją” mają zwykle miejsce w wieku 16-20 lat. Wtedy człowiek musi decydować: tym i takim człowiekiem chcę być, takie a takie dobro realizować, w związku z tym np. takie a takie studia podjąć. Ale w istocie człowiek nie wybiera jakiegos dobra tylko, lecz wybiera siebie samego. Każdy bowiem wybór kształtuje tego, kto go dokonuje. Ja staję się zawsze i nieuchronnie inny wskutek dokonanej decyzji. Tym bardziej się zmieniam im ważniejsza ta decyzja była.

Łukasz Garbal: *A co z wyborem braku wyboru? Jeśli ktoś chce pozbawić się prawa wyboru? Na przykład, jak to robili jezuici?*

Ks. prof. Andrzej Szostek: Przykład jezuitów nie jest chyba najszcześniejszy. Domyślam się, że chodzi o tak zwane „ślepe posłuszeństwo”, którego domagają się od człowieka w zakonie, a które niektórzy wiążą szczególnie z Towarzystwem Jezusowym. Otóż pamiętać trzeba, że wybierając zakon człowiek *wybiera* posłuszeństwo (ja też jestem zakonnikiem i też tego wyboru dokonałem). Ale nie jest to posłuszeństwo „ślepe” w tym sensie, by kazało mi ono – lub nawet pozwalało – zamknąć oczy na jego moralny charakter. Posłuszeństwo zakonne zawiera w sobie zawsze klauzulę zabraniającą wykonania polecenia, jeśli skłania ono do dokonania grzechu. Nie widzę istotnej różnicy pomiędzy ślubem posłuszeństwa – i wynikającymi stąd ograniczeniami – a ślubem małżeńskim. W obu przypadkach rezygnuję z dowolności swych czynów i godzę się liczyć z tym, kogo kocham (Bogiem, małżonkiem). W małżeństwie bodaj zawsze wyraźniej widać, jak bardzo moje życie wyznaczone jest życiem drugiej osoby.

Co do „wyboru braku wyboru” zaś: taki wybór też jest wyborem. Jak powiedziałem, każdy akt wyboru determinuje jego podmiot. Ale nie można z jego dokonaniem czekać dowolnie długo; czas płynie nieubłagalnie, starzejemy się. Owszem, miło mieć poczucie szerokiej gamy stojących przede mną możliwości i wyobrażać sobie siebie jako np. sportowca, albo lekarza, albo księdza, albo kominiarza. To „albo” jest tu jednak ważne: wiadomo, że nie można być jednocześnie każdym z nich. Każdy wybór oznacza zarazem rezygnację ze wszystkiego, co z nim koliduje.

Sławomir J. Żurek: *Jak daleko może być posunięta wolność w wyborach? Czym ona jest kierowana?*

Ks. prof. Andrzej Szostek: Dobrze, że to pytanie teraz padło, właśnie zamierzałem o tym mówić. Otóż starożytni mędracy powiadali: „Nie mogę wybrać tego, czego nie poznałem”; czego nie poznałem jako dobro: godne wyboru, a jednocześnie pociągające mnie.

Wróćmy do wyboru kierunku studiów: przypuśćmy, że miałbym szansę zdać egzamin wstępny

i studiować zarówno historię, jak i matematykę. Ale porównując obie te możliwości staram się rozemnić, który z nich jest dla mnie bardziej atrakcyjny. Nie jest to abstrakcyjne porównywanie między historią i matematyką „w ogóle”. Chodzi o mnie: o to, co mnie i mojemu rozwojowi lepiej odpowiada – a co, jak wspomniałem, oznaczać musi zarazem rezygnację z innych dróg życia i rozwoju, skądinąd także ciekawych. Żadne bowiem z dóbr tej ziemi nie wypełnia mnie bez reszty – dlatego właśnie jestem wolny.

Paradoks wolności polega jednak na tym, że czyn jest tym bardziej wolny, im pełniej człowieka angażuje, im bardziej „wypełnia” przestrzeń jego wolności. Najbardziej wolnym będzie więc dopiero (na tej ziemi niemożliwy do dokonania) akt wyboru dobra absolutnego: wybór Tego, który – jak mówi Ewangelia – „jeden jest Dobry: Bóg”. Będzie to akt wyboru najbardziej *wolny*: bo wypełniający całe człowiecze pragnienie dobra, a zarazem *konieczny*: bo nie mający konkurencji w żadnym innym dobru. Oto różnica pomiędzy koniecznością a przymusem. W obu wypadkach człowiek jest w swym działaniu determinowany, ale o ile konieczność wypływa ze struktury właściwej człowiekowi rozumnej wolności, o tyle przymus oznacza poddanie jakiejś sile zewnętrznej względem tej wolności: popędom, których człowiek nie potrafi opanować, cudzej woli, której nie potrafi się oprzeć.

J. W.: *Czyżby „wolność” to świadomość konieczności? – przypomina się słynna maksyma...*

Ks. prof. Andrzej Szostek: Kto to powiedział, miał może rację, choć – jak podejrzewam – rozumiał on tę maksymę nieco inaczej: jako swego rodzaju fatum; zgodę na to, co i tak nadejdzie, bo musi nadejść, czy człowiek tego chce, czy nie. Mnie natomiast chodzi o to, że rozumny akt wyboru wyznaczony jest naszą zdolnością do poznania dobra jako wartego wyboru oraz poznania siebie jako tego, kto poprzez taki wybór sam staje się dobry.

J. W.: *Można więc powiedzieć, że im człowiek jest bardziej wolny, tym mniej jest zdeterminowany przez czynniki zewnętrzne, a tym bardziej przez własną naturę.*

Ks. prof. Andrzej Szostek: Tak. Tym bardziej przez własną naturę, o ile sam siebie determinuje w imię tego, kim – jako człowiek – jest. Wolność, gdy jej się bliżej przyjrzyć, nie jest wyrazem ani indeterminizmu (który sugeruje, że wybór jest wolny, kiedy niczym nie jest motywowany), ani tym bardziej determinizmu (który neguje samą wolność), lecz *autodeterminizmu*, przez który rozumem pogląd, wedle którego człowiek zdolny jest określać (determinować) siebie samego w oparciu o swą naturę. Jest to samookreślenie wolne – bo człowiek jest istotą wolną – a jednocześnie odniesione do celów człowieka poznanych i wybranych – bo człowiek jest istotą rozumną.

Poprzez takie akty autodeterminacji kształtuje się charakter moralny człowieka: staje się on „kims”, w pewnym sensie coraz bardziej „sobą”. Kształtowanie siebie dokonuje się poprzez kształtowanie cnót: sprawności udoskonających człowieka w jakimś aspekcie. Ważne jest przy tym, by – znów w nawiązaniu do natury ludzkiej – odróżnić aspekty samodoskonalenia ważniejsze od mniej ważnych. Ważniejsza jest sprawność intelektualna od fizycznej, jeszcze ważniejsze są sprawności moralne, to jest takie, poprzez które w najgłębszym wymiarze człowiek spełnia się jako człowiek.

Twierdzę, że tym, co człowieka udoskonala jako człowieka, jest *miłość*. Zauważmy: mogę powiedzieć, że ktoś jest silny – ale moralnie zły; inteligentny – ale moralnie zły; zna się na komputerach – ale moralnie zły. Nie mogę jednak powiedzieć, że ktoś naprawdę kocha, ale jest moralnie zły (jeśli, oczywiście, nie pojmujemy miłości zbyt powierzchownie, sentymentalnie, lecz odnosimy ją do najgłębszego aktu naszej woli). Miłość: jej istota, struktura, odmiany – zasługiwałyby na osobną rozmowę. Tu chcę tylko podkreślić, że ma ona charakter wzywającego do odpowiedzi *daru*, a więc i niespodzianki. Nie mogę jej sobie zaplanować, jak planuję wiele czynności. Pomyślmy, jak śmiesznie to brzmi: „dzisiaj się uczę, jutro jadę na wycieczkę, a pojutrze się zakocham”. Miłość jest darem. Ale przyjęcie tego daru wymaga głębokiego zaangażowa-

nia woli – aż do uczynienia z siebie samego daru dla ukochanej osoby. Dotyczy to nie tylko małżeństwa; także zakonu, ostatecznie zaś każdej formy miłości, choć w każdej inaczej się realizuje ten wymiar daru – i odpowiedzi darem na dar. Wyzwanie miłości-daru, jak każde zaangażowanie naszej wolności, apeluje do roztropności, która każe szukać „złotego środka” pomiędzy decyzjami pochopnymi a niezdecydowaniem. Trzeba liczyć się z naszą omylnością, z błędami także w rozważaniu tego, co w nas tkwi i czego naprawdę chcemy – i dlatego życiowo doniosłe decyzje muszą być starannie przemyślane, dobrze przygotowane. Z drugiej strony notoryczne wyczekiwanie, chwiejność woli prowadzić może do zmarnowania życia; jedyne życie, jakie nam дано. Jak bowiem wspominałem, czas płynie nieuchronnie.

J. W.: *Jak ocenić, który wybór jest dobry? Ludzie podejmują różne decyzje w różnych sprawach. Jedni i drudzy są roztropni. Jakie kryteria stosować, by poznać, kto ma rację?*

Ks. prof. Andrzej Szostek: Nie wiem, czy uda mi się dać odpowiedź satysfakcjonującą samego siebie, a co dopiero Was, bo znów problem jest złożony. Podam trzy, chyba szczególnie ważne, kryteria.

Pierwsze – nazwijmy je kryterium *etycznym* – wynika stąd, że człowiek, w miarę dojrzewania (jak się to kiedyś mówiło: „zdolności używania rozumu”), potrafi coraz lepiej poznać dobro i odróżnić je od zła. Poznaje rzeczywistość go otaczającą – i dostrzega jej dobro. Poznaje w szczególności, że osoba jest takim bytem, którego – z racji tego, kim jest – nie można sprowadzić do poziomu rzeczy, instrumentu służącego własnemu celowi podmiotu działania. Takie poznanie rzeczywistości i świata osób (w tym też siebie jako osoby) pociąga za sobą szereg zasad moralnych, obowiązujących go przykazania, których respektowanie jest warunkiem dobrego wyboru moralnego.

To kryterium ma w pewnym sensie charakter negatywny: określa minimum, poniżej którego nie wolno zejść. Ale dobro – zwłaszcza dobro osoby – pociąga, jak wspominałem, do pełne-

go i bardziej „pozytywnego” zaangażowania człowieka i jego wolności. Zaangażowanie to jednak wymaga uwzględnienia tego, co w każdym z nas jest jedyne i niepowtarzalne. Drugie kryterium dobrego, roztropnego wyboru nazwać można by *subiektywnym*, o ile rozumie się przezeń uwzględnienie tego, co określa podmiot (subiectum). Nie da się go „przełożyć” bez reszty na kryteria obiektywne. Gdy ktoś mi mówi: „masz zdolności polonistyczne, po co więc idziesz na medycynę?”, a ja odpowiadam: „bo lubię medycynę” – to mam rację (o ile, oczywiście, moje upodobanie do medycyny wiąże się z niezbędnymi zdolnościami). I nikt za mnie nie może dać odpowiedzi, kim mam być, co mam w życiu robić. Nie określam tego wspomnianie uprzednio, obiektywne kryteria moralne, bo są zbyt ogólne i elementarne; nie zdecydują o tym inni, bo mnie od wewnątrz nie znają tak, jak ja sam tylko siebie poznać mogę. Na szczęście każdy z nas jest inny: jednemu odpowiada historia, drugiemu polonistyka, trzeci chce być kominiarzem, czwarty tokarzem. Celowo wymieniam także przykłady pracy fizycznej, bo nie jest ona gorsza, niż tzw. praca umysłowa; jest inna, ale nie mniej potrzebna i nie mniej dająca szansę osobowego rozwoju człowieka.

To kryterium podlega swoistemu dojrzewaniu. Ojciec Kolbe został ogłoszony świętym przede wszystkim za to, że oddał życie za innego człowieka. Być może już wcześniej uczestniczył w dziesiątkowaniu więźniów, może też słyszał krzyki rozpaczliwych, na których padł straszny los – ale życia swego jeszcze za nich nie ofiarował. Zgrzeszył? Skądże! Ale w tym momencie swego rozwoju doszedł do miejsca, w którym powiedział: „Nie mogę tak dalej”. Matka Teresa, zanim założyła zgromadzenie zakonne dla niesienia pomocy najędźniejszym, już była zakonnicą; bodaj uczyła geografii w Kalkucie. I znów: w pewnym momencie powiedziała: „Nie mogę tak dalej. Muszę zostać z tymi ludźmi, którzy na moich oczach, codziennie umierają na ulicy”. Popatrzmy, jak wolność wyraża się najbardziej dojrzałe w tym, co zdaje się jej przeczyć: w tym „nie mogę” i „muszę”.

Nie jest łatwo trafnie to subiektywne kryterium stosować. Jesteśmy stale bombardowani opiniami zewnętrznymi, naciskami przeróżnymi. Bywa, że dopiero po długim czasie potrafi człowiek odróżnić swe własne wybory od tego, co mu – często w najlepszej wierze – wmawiano. Dlatego niezmiernie ważne jest, by zachować pewien „buffer” pomiędzy swym wnętrzem a tymi zewnętrznymi opiniami i naciskami, krytyczny dystans do tych opinii, a także do własnych upodobań. Potrzebna jest cisza, milczenie, bez którego człowiek staje się marionetką w ręku innych.

Trzecie kryterium nazwałbym *teologicznym*. Karl Rahner określił kiedyś człowieka jako „Słuchacza słowa”. Tak jest człowiek skonstruowany wewnętrznie, że reaguje, odowiada na otaczający go świat. Ostatecznie zaś całe jego życie jest odpowiedzią – oby coraz dojrzałą – na Słowo przychodzące z wysoka, od Tego, który Jest – jeden jest Dobry.

Aleksander Janas: *Cały człowiek jest od pierwszych dni swego świadomego życia pod presją sugestii społecznych. Wyobraźmy sobie, że przez całe życie byłby marionetkowym obrazowaniem cudzych ideałów. Czy decyzje podejmowane przez niego są wówczas aktami jego wyboru? Czy w ogóle można tu mówić o wyborze?*

Ks. prof. Andrzej Szostek: Nie jest łatwo wskazać ostrą granicę pomiędzy wyborami moimi a tymi, które są mi narzucone z zewnątrz. Problemem tym zajmują się psychologowie, ale i filozofowie, każdy po swojemu. „Bycie sobą” ma różną głębię, trzeba odróżnić akty wyboru ważniejsze od bardziej błahych. Jak już mówiłem, cząstkowe akty wyboru są „końcówką” głębszej decyzji. Ale wtórne, peryferyjne akty wyboru nie tylko wypływają z decyzji głębszej, lecz również na nią wpływają. Gdy już człowiek podejmie jakieś ważne postanowienie co do siebie samego: swej przyszłości, swego charakteru – to musi się starać, by znalazła ona konsekwentny wyraz we wtórnych aktach wyboru. Inaczej jego życie naznaczone będzie fałszem, sam siebie będzie okłamywał: przedmiot jego faktycznego wyboru nie będzie się pokrywał z tym, co „oficjalnie” deklaruje on jako to, do czego dąży.

Paweł Zięba: *Czy Bóg jest wolny?*

Ks. prof. Andrzej Szostek: Przestrzegalbym przed zbyt dużym usamodzielnianiem (hipostazowaniem) wolności Boga. Znamy to pytanie-pułapkę: „Czy Bóg może stworzyć kamień, którego nie będzie mógł podnieść?” – a więc czy jest na tyle wszechmocny, by ograniczyć własną wszechmoc. Gdy się nad tym zastanowić, to okaże się, że w istocie jest to pytanie, czy Bóg może nie być Bogiem? Otóż nie może – ale nie jest uszczupleniem Jego wolności to, że podlega on zasadzie niesprzeczności. Sprzeczność to niebyt, Bóg zaś jest właśnie „Tym, który Jest” absolutnym (nieograniczonym) Bytem.

P. Z.: *Wracając jeszcze do poprzednich rozważań: czy prawo państwowe powinno bardziej bronić subiektywnych kryteriów wyboru („wolności sumienia”), czy etycznych (obiektywnej hierarchii dóbr)? Co wtedy, gdy zaistnieje między nimi konflikt?*

Ks. prof. Andrzej Szostek: Znów nowy to temat, godzien osobnej rozmowy. Powiem tylko, że prawo państwowe ma umożliwić każdemu obywatelowi jego osobisty – a ostatecznie: osobowy – rozwój. Jeśli czyjaś wizja tego rozwoju

stwarza zagrożenie dla innych, to państwo musi bronić tych „innych”. Nie może jednak narzucać komukolwiek dróg jego rozwoju.

Owszem, pewne dobra ludzkiej osoby mają charakter fundamentalny, dlatego prawo państwowe winno chronić życie i zdrowie człowieka, winno wspomagać jego rozwój intelektualny i moralny, zapewnić mu pracę i godziwą za nią zapłatę, respektować jego wolność religijną i prawo do zrzeszania się itd. Prawo winno to czynić tak dobrze i skutecznie, jak potrafi (bo państwo i jego prawo bywa także słabe lub silne). W ten właśnie sposób „ubiera” ono w szatę konkretnych formuł prawnych to, co tradycyjnie określało się mianem „prawa naturalnego”, a co ma podstawę w naturze człowieka. Tak więc: ponieważ człowiek jest istotą wolną – prawo państwowe (stanowione) winno tę wolność respektować. Ponieważ zaś wolny człowiek rozwija się przez realizację jakichś wartości, prawo winno mu te możliwości rozwoju zapewnić – w stopniu, na który państwo stać, pilnując jednocześnie, by samorealizacja jednych nie była przeszkodą w samorealizacji innych.

„Wy zatem bracia, powołani zostaliście do wolności. Tylko nie bierzcie tej wolności jako zachęty do hołdowania ciału, wręcz przeciwnie, miłością ożywieni służcie sobie wzajemnie.”

Gal 5,13

„Prawdziwa wolność zawsze kosztuje! Każdy z nas musi ciągle od nowa ten trud podejmować. I tu rodzi się następne pytanie. Czy człowiek może ów ład wolności zbudować sam, bez Chrystusa czy nawet wbrew Chrystusowi?”

Jan Paweł II

Wybierać świadomie można tylko stojąc na barkach olbrzymów – rozmowa z prof. Jerzym Strojnowskim

Jerzy Strojnowski – ur. 1922; prof. dr hab.; dr medycyny hab., specjalista drugiego stopnia, psychoterapeuta; w latach 1979-92 kierownik Katedry Dynamiki Grupowej i Psychoterapii Sekcji Psychologii Wydziału Nauk Społecznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Psychiatra i filozof. Członek Rady Naukowej Instytutu Historii Nauki, Techniki i Oświaty PAN. Żołnierz Armii Krajowej. Po wojnie prześladowany i więziony. W KUL od 1951 roku. W latach osiemdziesiątych związany ze środowiskiem opozycyjnym. Pierwszy przewodniczący regionu lubelskiego Unii Demokratycznej. Kierunki badań naukowych: struktura i interakcje rodzin z członkiem chorym lub wykończonym, historia psychiatrii w Polsce, pogranicze przyrodznawstwa, filozofii i teologii. Najważniejsze publikacje: *Psychofizjologia Jędrzeja Śniadeckiego* (Wrocław 1968), *Eros i człowiek* (Kraków 1976), *Psychologia fizjologiczna* (Lublin 1981 i 89), *Psychoterapia* (Lublin 1985), *Wybór tekstów źródłowych do dziejów medycyny polskiej* – współautor (Warszawa 1983), *Biologiczne mechanizmy zachowania* (Lublin 1992) oraz wiele artykułów naukowych.

Karolina Rozwód: *Co to jest wolność?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Słowo „wolność” może funkcjonować w rozmaitych obszarach i może być w rozmaitych aspektach rozpatrywane. Toteż skoro mam tutaj odpowiedzieć, najpierw bym zaproponował zastanowienie się, jakie sytuacje wywołują pytanie o wolność?

K. R.: *Więc w takim razie, kiedy człowiek może być naprawdę wolny?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Będąc psychiatrą, widzę pewne problemy ludzkie w powiększeniu, jakby pod mikroskopem, takie problemy, które w niedostrzegalnym wymiarze występują u każdego z nas. Choroba psychiczna polega na tym, że skłonności, które są nam przyrodzone, normalne, zdrowe, stają się wzajemnie niezharmonizowane, niezborne. Harmonia wewnętrzna, „zgoda z samym sobą” oraz adekwatne przystosowanie do środowiska wyraża się w poczuciu bycia subiektywnie

wolnym. Np. człowiek ma poczucie wolności wewnętrznej, gdy nie przeżywa przymusu picia alkoholu, kompulsywnego uprawiania seksu lub gier hazardowych. Wolność wewnętrzna człowieka polega na dysponowaniu sobą. Człowiek wolny, to ten, kto mimo skłonności, gdy ocenia jakieś postępowanie jako niekorzystne lub niewłaściwe, może się od niego powstrzymać. Jeżeli widzę, że w konkretnej sytuacji, w moim życiu jest coś, co warto osiągnąć, a przy tym dysponuję odpowiednimi środkami realizacji, to czuję się wolny. Natomiast wolność zewnętrzna polega na tym, że gdy angażuję się w coś wartościowego, pożytecznego, dobrego, nie napotykam na nieprzezwyciężalne przeszkody w osiągnięciu tego dobra.

Sławomir J. Żurek: *A co głównie przeszkadza człowiekowi, aby był wolny?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Brak równowagi psychicznej jest zasadniczą trudnością bycia wol-

nym. Oznaką takiego braku równowagi może być np. nałóg; stanowi on klasyczny przykład braku wolności wewnętrznej. Natomiast ograniczenia zewnętrzne są powszechnie znane. Jednak i z nimi człowiek się zмага. Mimo ograniczeń poczuje się on wolny – może to zabrzmieć trochę po Heglowsku – gdy jest w stanie je poznać. Posłużę się tu własnym przykładem: Zawsze chciałem pracować naukowo, tymczasem w okresie stalinowskim zostałem usunięty ze stanowiska asystenta pewnej państwowej uczelni. Było to zewnętrzne ograniczenie mojej wolności. Ale wiedziałem, że na szczęście jest w Polsce jedna jedyna uczelnia – Katolicki Uniwersytet Lubelski – gdzie takie „wyrzutki społeczne” jak ja mogą się odnaleźć. To jest właśnie przykład, jak zdając sobie sprawę z istniejących ograniczeń, dokonałem określonego wyboru, wywalczyłem sobie wolność, dzięki czemu w pewnym stopniu mogłem swoje plany zrealizować.

S. J. Ż.: *Jaki wpływ na podejmowanie samodzielnych decyzji przez młodych ludzi mają rodzice?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Wpływ rodziców ma jakby dwa oblicza. Przede wszystkim rodzice przekazują dziecku tradycyjną kulturę swego środowiska, umożliwiając mu zakorzenienie się w niej. Właśnie rodzice wraz z szerszą społecznością są przekazicielami tradycji. Raz lepiej, raz gorzej, rodzice starają się przekazać dziecku to, co sami uważają za wartościowe. Natomiast jest tragedią, gdy ktoś wyrasta bez tego podłoża, jak np. dzieci, które muszą walczyć o przetrwanie na ulicy. Człowiek wyzuty z tradycji traci swoją kulturę i poniekąd swoje człowieczeństwo. W przekazie kultury zawsze jest przesłanie, co wolno, a co jest zabronione, co jest dobre, a co złe, co jest wartościowe, a co tandetne. Sytuację społeczną, w której brak przekazu tradycji z jej prawami i regułami nazywamy anomią. Bez takiego przekazu człowiek jest całkowicie zagubiony. Popatrzmy teraz na ten problem od drugiej strony: Istnieją i zawsze istniały odrębne społeczności i różne kultury. Niektóre z nich są restrykcyjne i utrudniają lub uniemożliwiają ruchliwość społeczną i przyjmowanie innych systemów war-

tości. Toteż np. w średniowieczu syn szewca mógł z tym zawodem zerwać pod groźbą znalezienia się poza społecznością. W miarę rozwoju społecznego możliwość wyboru sposobu życia, a więc i wolność, stała się większa. Współcześnie w naszym kręgu kulturowym ludzie z nizin dochodzą do wysokich stanowisk, a bywa i odwrotnie. Tu widzimy, jak konkretna kultura, której przedstawicielami są rodzice, w pewnym stopniu ogranicza wolność młodego człowieka.

Jest dobrze, kiedy młody człowiek nabiera przekonania, że biorąc pod uwagę istniejące ograniczenia, sam podejmuje ważne decyzje życiowe, wybiera dla siebie to, co sam uważa, że jest dla niego dobre, cenne. Tu nieraz dochodzi do spięć wewnątrz rodziny. Młody człowiek mówi: „Ja będę piłkarzem”, a jego matka na to: „Nie synu, ty powinienesz być lekarzem”. Kogo należałoby poprzeć w tym sporze? Trudno odpowiedzieć. Młodzi ludzie mają zazwyczaj trudności z określeniem siebie, bywają niestali, znajdują się pod wpływem rówieśników, lektur itp. Ideały, które cenią zbyt łatwo zmieniają.

Myślę, że jest dobrze, kiedy młody człowiek możliwie jasno widzi swoją drogę życiową, jest świadomy, jakie stawia sobie cele i jak zamierza kształtować samego siebie. Jeżeli rzeczywiście chce zostać piłkarzem, to musi się zdecydować na określony tryb życia, który wymaga od niego wielu wyrzeczeń. Cele, jakie młody człowiek sobie stawia, mogą być realne, ale mogą też być takie, które go prowadzą na manowce, uniemożliwiając realizowanie samego siebie. Rodzice mają tu określoną rolę do odegrania. Mają oni większe doświadczenie życiowe i mogą przestrzec swoje dziecko, że droga, którą wybiera, jest niewłaściwa.

Nie jest jednak dobrze, kiedy rodzice są przekonani, że wiedzą lepiej, co dla ich dziecka jest dobre. Czasem stawiają oni dziecku cele, które mają zaspokoić ich własne ambicje, a nie potrzeby dziecka. Toteż nie łatwo odpowiedzieć na pytanie, jak powinni zachowywać się rodzice, a jak dzieci, gdy wazą się ich losy, a zwłaszcza gdy powstaje między nimi różnica zdań co do wyboru drogi życiowej.

Jeżeli dany człowiek jest wkorzeniony w daną kulturę, to żywi szacunek dla wartości przez tę kulturę reprezentowanych oraz dla osób ją przekazujących. Ma zatem szacunek dla rodziców i liczy się z ich opinią. To nie znaczy, że musi się on wyrzec własnego zdania, zwłaszcza w sprawach, które są dla niego najważniejsze. Tutaj trzeba sformułować pewien wymóg wobec rodziców. Jeżeli ci odnoszą się do dziecka w sposób partnerski (nie jest to najlepsze określenie, bo między rodzicami a dzieckiem nigdy nie będzie całkowitej równości), to szanują swoje dziecko, a przy tym dokonany przez niego wybór. Tacy rodzice unikają poniżania dziecka, np. posługując się epitetami w rodzaju: „Ty jesteś pętał, jesteś głupi, nic nie rozumiesz. Ja wiem najlepiej, co dla ciebie jest dobre!” Lekceważenie dziecka jest niebezpieczne dla jego przyszłego rozwoju, gdyż pozbawia je poczucia odpowiedzialności za swoje życie.

Jeżeli rodzic naprawdę szanuje swoje dziecko, to w takiej sytuacji raczej mu powie: „Ty sam jesteś za swoje życie odpowiedzialny. Moje zdanie znasz. Ja widzę, że masz problemy i chcę z tobą o nich rozmawiać. Zwracam ci uwagę, że twój wybór może grozić takimi a takimi konsekwencjami, ale decyzja należy do ciebie. Jeżeli ci się powiedzie, będziesz z siebie dumny, a jeżeli nie, to nie obwiniaj nikogo”. Młody człowiek może się mylić, ale dzięki temu uczy się ponoszenia konsekwencji. Towarzyszenie dziecku, wspieranie go w jego zmaganiach z dokonywaniem właściwego wyboru, a zarazem uszanowanie decyzji, które mogą wydawać się rodzicom niedobre, stwarza szansę rozwoju dziecka w kierunku poczucia wewnętrznej wolności i odpowiedzialności.

S. J. Ż.: *To jest sytuacja, gdy mamy do czynienia z mądrymi rodzicami. A co się dzieje z psychiką młodego człowieka, gdy rodzice nie akceptują jego decyzji?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Kiedy Pan mnie o to zapytał, przypomniał mi się mój kolega, również psychiatra. Gdy student przychodził do niego skarżąc się, że ma trudności, że nie daje sobie rady ze studiami, odpowiadał zawsze to samo:

„Trudno, trzeba zacisnąć zęby, trzeba ciągle pracować, pracować”. To była jedyna rada, jaką on potrafił dać młodym ludziom. Otóż ten mój kolega był z zamiłowania ogrodnikiem i nawet miał mały sad; nieraz częstował nas jabłkami przez siebie wyhodowanymi. To była jego pasja, ale jego rodzice wymogli na nim, żeby został lekarzem. Potem przez całe życie żałował, że podporządkowując się rodzicom, zrezygnował ze swojej pasji. Zmarł on stosunkowo młodo na zawał serca. Rodzice, chcąc jak najlepiej dla siebie i dla niego, złamali go, wyrządzili mu krzywdę.

S. J. Ż.: *Czyli konsekwencje tego nacisku na wolną wolę trzeba dźwigać do końca życia?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Zawsze można podjąć decyzję wyzwolenia się. Zawsze, nawet na parę dni przed śmiercią.

Michał Hucak: *Pan Profesor powiedział, że człowiek, który nie otrzymał wartości moralnych od rodziny jest jakby jałowym gruntem. Lecz nasze poglądy i moralność nie kształtuje tylko rodzina, a z wiekiem odgrywa ona coraz mniejszą rolę. Kształtuje nas również środowisko szkolne, książki.*

Prof. Jerzy Strojnowski: media, koledzy...

M. H.: *Jednocześnie mamy własny rozum. Nie musimy jedynie czerpać; możemy tworzyć własne poglądy, spojrzenia, odkrywać je na nowo, przystosowywać do nowych warunków. Nie tylko rodzina działa kulturotwórczo, proetycznie. Co więcej, może wpajać tezy potępiane przez całe społeczeństwo, a zapis nowej konstytucji o prawie dzieci do wolności i przekonani budzi kontrowersje.*

Prof. Jerzy Strojnowski: Oczywiście ma Pan rację optując za prawem dziecka do własnego zdania, własnych poglądów. Poprzednio starałem się ukazać znaczenie zarówno zastanej kultury i zdania rodziców, jak i osobistych wyborów dokonywanych przez dziecko.

Tu chciałbym się odnieść do roli tradycji europejskiej w naszym życiu. Otóż cała filozofia pozytywistyczna, nawiązując do Oświecenia, bazowała na przekonaniu, że możemy zaczynać od początku. Według pozytywistów tradycja byłaby czymś zbędnym. Należy tworzyć nowe, własne narzędzia badawcze, dzięki nim wszystko

zbadać i na tej drodze zbudować nową wiedzę, nowy ład społeczny i nową moralność. Okazało się jednak, że ten kierunek myślenia nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Dziś już nikt nie mówi, że wiedza powstaje w ten sposób, że coś się zbada i wyniki tego badania ujmie się w odpowiednie prawa.

Jeżeli dysponujemy jakąś wiedzą, to ona właśnie wyrosła z tradycji. Nauka, którą uprawiamy, zrodziła się tylko tutaj, w Basenie Śródziemnomorskim. Powstała ona na styku kultury europejskiej i azjatyckiej, gdzie zaczęto dyskutować nad możliwością przekształcenia tradycyjnych sposobów wyjaśniania zjawisk społecznych i przyrodniczych. Nauka zrodziła się z krytycznego podejścia do tradycji. A teraz proszę porównać: wysokie kultury, takie jak egipska, chińska, hinduska, kultura Majów nie wytworzyły nauki. Czy uczestnicy tych kultur nie mieli zmysłów ani rozumu, czy byli głupszy od nas? Nie, ale z przyczyn nie w pełni nam znanych konserwowali tradycję i dlatego nie byli w stanie stworzyć nauki. Brak im było zdolności krytycznego spojrzenia na własną tradycję. Natomiast pozytywiści, którzy sądzili, że dla wolności, zwłaszcza naukowej, wystarczą same zmysły i rozum, nie mieli racji, mylili się. Nie widzieli, że sami siedzą na barkach olbrzymów i tylko dzięki temu mogą widzieć więcej i posuwać się naprzód.

M. H.: *Pan Profesor mówił o tym, jak cenna jest kultura, ale nie zapominajmy, że kultur jest wiele i że są one równe. Nie istnieje nawet jeden nurt kultury, w której się wychowujemy. Czy zatem to, że wyrastamy w tej tradycji, nie znaczy, że nie można wybrać innej?*

Prof. Jerzy Strojnowski: To nie jest takie proste. Z tego, co wynieśliśmy ze środowiska rodzinnego, nigdy nie będziemy w stanie wymazać ani złego, ani dobrego. Nigdy się nie odetniemy od naszych korzeni. Ulega złudzeniu ten, kto mówi: „Ja będę Hindusem, ja będę wyznawał Krisznę”.

M. H.: *W takim razie, jeżeli nasza tradycja jest tak cenna, nie należy właściwie robić nic, niczego poznawać, nie tworzyć żadnych nowych idei.*

Prof. Jerzy Strojnowski: W kulturze zachodniej istnieje pewna postawa, której zrozumienie określa moją poprzednią wypowiedź. Dotyczy ona sztuki interpretacji. Rozwój – to inaczej interpretacja. Myśliciele europejscy, zapewne inaczej aniżeli myśliciele innych kultur, zwracają się z takim apelem do swoich następców: „Ja wyjaśniam to zjawisko w taki oto sposób. Ty z kolei zinterpretuj to inaczej, spróbuj dać lepsze, lub choćby inne wyjaśnienie.” Ten apel należy właśnie do naszej tradycji. Jest w niej odejście od dosłowności przekazu, ale zarazem korzystanie z tego, co poprzednicy dokonali.

S. J. Ż.: *Czyli jest to sprzężenie tradycji z chęcią postępu?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Tak właśnie jest. To jest zapisane w naszej europejskiej tradycji.

S. J. Ż.: *Dzisiejsza młodzież stoi przed wieloma zagrożeniami: alkoholizm, narkomania, prostytucja. Gdzie tkwią korzenie tych wszystkich dewiacji, które z taką siłą oddziałują dziś na młodych?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Problemy były zawsze, ale narastają one, kiedy pojawiają się duże przemiany o charakterze społecznym, a więc następuje rozchwianie systemu społecznego, gdy pojawiają się nowe idee, nowe wartości, nowy sposób życia, nowe grupy społeczne i takie środki społecznego przekazu. Młodym często jest trudno w tym wszystkim się odnaleźć. Trudno im dokonywać wyborów.

Jedną z takich zasadniczych przemian jest przejście ogromnej masy ludzi z kultury wiejskiej do miast. Kiedy ja chodziłem do szkoły średniej, miałem wielu kolegów pochodzenia wiejskiego, może nawet więcej niż połowę. Kilkoro z nich było pochodzenia ziemiańskiego, reszta zaś – to synowie chłopów. Dzieci chłopskie po przybyciu do miasta napotykały pewien wzorzec kulturowy klas wyższych – inteligencji. Wtedy myśmy wszyscy starali się być inteligentami, takimi jak nasi nauczyciele. Po wojnie to się wszystko zmieniło. Młodzież wiejska wprawdzie również porzuca kulturę wiejską: obyczaj, sposób życia, wartości, które wcześniej wyznawała – lepsze lub gorsze, ale dające pewną orientację życiową.

Jednak współcześnie, porzucając kulturę wiejską, ci młodzi ludzie znajdują się często w pustce. Brak dzisiaj wyrazistych wzorców kulturowych innych niż wiejski, a i ten się zaciera.

Jednym z przejawów tego zagubienia jest dzisiejsze budownictwo. Mamy często stłoczone tysiące mieszkań, lecz ich lokatorzy często nie znają się nawet na tej samej klatce schodowej, nie kontaktują się ze sobą. Społeczność wiejska niegdyś regulowała zachowanie jednostki; podobnie było w środowiskach inteligencji. Dzisiaj ludzie nie mają takiego społecznego wsparcia. Czują się osamotnieni, pozbawieni społecznej kontroli.

S. J. Ż.: *Jest jednak współczesny wzorec kulturowy narzucany przez media.*

Prof. Jerzy Strojnowski: Wpływ mediów jest niewątpliwy, ale spójnego wzorca kulturowego on nie daje. W serialach widz percypuje jedynie elementy zachowania, a poza tym trudno naśladować gwiazdy filmowe. W gruncie rzeczy życie tych bohaterów, to najczęściej wewnętrzna pustynia.

S. J. Ż.: *Co Pan Profesor mógłby w tej sytuacji młodym ludziom doradzić? Co mają robić?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Kultury uczymy się przez współuczestnictwo i wzorce.

S. J. Ż.: *Ale gdzie tych wzorców szukać?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Oczywiście w tradycji, z którą należy wejść w partnerski dialog. Dla społecznego zakorzenienia ważne są związki, stowarzyszenia i organizacje. Ja osobiście dużo skorzystałem z tego, że na terenie mojej szkoły było harcerstwo, Sodalicia Mariańska, zrzeszenia sportowe, również organizacje polityczne. Moje pokolenie identyfikowało się z tymi organizacjami. One stawiały nam przed oczyma pewien wzorec, pewne wymagania, np. „Harcerz nie pali, nie pije”. Choć brzmi to trochę fasadowo, to jednak myśmy takie nakazy traktowali bardzo poważnie. Myślę, że potrzeba, żeby takie organizacje istniały. Etos prezentowany w nich, określony wzorec zachowania, tworzenie się więzi koleżeńskich mogą odegrać znaczącą rolę w odnajdywaniu się, również dzisiejszej młodzieży. Oczywiście mogą też pojawić się związki lansujące wzorce patologiczne, szczególnie prze-

moc, ksenofobię, toteż pokolenie dorosłych musi czuwać nad młodzieżą.

Michał Kopaczewski: *Panie Profesorze, ten proces jest bardzo trudny dlatego, że młodzież nie łączy do takich organizacji, jak harcerstwo, zrzeszenia teatralne, poetyckie, jakiegokolwiek, tylko stara się iść po najmniejszej linii oporu. Młodzież jest właśnie zachęcana przede wszystkim jednak do naśladowania wzorca lansowanego przez telewizję. I młodzi ludzie są zachwyceni wzorcami pokazywanymi w niej.*

Prof. Jerzy Strojnowski: Młodzież ucieka od tych miejsc, gdzie jest drętwo, gdzie nic ciekawego się nie dzieje, gdzie nie wychodzi się naprzeciw ich potrzebom. Natomiast muszę tu wystąpić w obronie mediów, ponieważ programy telewizyjne są różne. Niektóre z nich są bardzo wartościowe. Oczywiście jeżeli ktoś słucha tylko mocnej muzyki i patrzy na ciągle zmieniające się obrazki, to niewiele skorzysta. Ale takie programy oglądają ludzie, którzy się pogubili, którzy nie bardzo wiedzą, czego chcą, którym nikt nie zaproponował czegoś bardziej atrakcyjnego.

M. K.: *Czy nie jest to związane z presją społeczną na jednostkę, która stara się tak zachować jak większość społeczeństwa?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Dzisiaj trzeba ludzi zaangażowanych, którzy naprawdę kochają młodzież i próbują coś z nią zrobić. Zresztą zawsze tak było, na przykład w przedwojennym harcerstwie: były drużyny, które pracowały dobrze, a były i takie, które niewiele dawały. Od czego to zależało? Przede wszystkim od ludzi, którzy umieli tę młodzież wokół siebie skupiać i mieli jej coś do przekazania.

S. J. Ż.: *W czasach przedwojennych, o których Pan Profesor mówił, organizacje te były najczęściej związane z Kościołem katolickim. Dziś dostrzegają się wśród młodzieży zjawisko odejścia od Kościoła, od tego, co Kościół proponuje, w kierunku sekt wschodnich. Co jest tego przyczyną?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Młodzież dąży nie tylko do tego, co jest łatwe, lekkie i przyjemne, ale często szuka głębszych treści. Jeżeli nie znajduje tej treści we współczesnym polskim Kościele katolickim, to przystępuje do sekt.

Sławomir J. Żurek: *Czy jest to zjawisko jednoznacznie negatywne?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Dlaczego negatywne? Jeżeli człowiek poszukuje, nawet gdy błądzi, to już czyni coś pozytywnego.

M. H.: *Czy w takim razie rodzina nie powinna kształtować człowieka w pluralizmie światopoglądowym, ukazując jakie dobro oraz jakie zagrożenia niosą poszczególne kultury bez zbędnej klasyfikacji w stylu Feliksa Konecznego na kultury lepsze i gorsze? Czy wychowanie tradycyjne, konserwatywne, nie zachęca młodych, na zasadzie zakazanego owocu – do buntu i wspomnianego już wstępowania do sekt?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Pamiętam taką dyskusję z okresu, kiedy byłem studentem. Padło wówczas zdanie: „Czy nie lepiej, a te kiedy dorosną, same sobie religię wybiorą?” Ja wtedy odpowiedziałem: „Czy nie byłoby lepiej, nie uczyć dziecko mycia zębów szczoteczką, a gdy dorosnie to samo zdecydować, czy myć zęby?” (ogólna wesołość). Rodzice przede wszystkim przez swój sposób życia wychowują i wprowadzają swoje dzieci w określoną kulturę. Bardziej oddziałujemy przez to, jak żyjemy, aniżeli tym, co głosimy. Tak na przykład rodzice mówią: „Wierność małżeńska jest wielką wartością”. Jeżeli dziecko wychowuje się w rodzinie, w której małżonkowie są wzajemnie sobie wierni, to ma szansę by przyswoić sobie tę wartość. Jeżeli jednak jego rodzice się rozwiedli, to takie zdanie traktuje ono jako czysty frazes, dyktowany hipokryzją. Ci młodzi ludzie, którzy wzrastali w rodzinie, w której rodzice wytrwali ze sobą, planując małżeństwo, sami będą je traktowali jako trwałe. Chcemy czy nie chcemy, przekazujemy dzieciom określone wartości i tak naprawdę mniej ważne jest to, co rodzic deklaruje słownie, od tego, jak się zachowuje, jaką zajmuje postawę.

S. J. Ż.: *Czy są takie wybory, na które człowiek nie może sobie pozwolić?*

Prof. Jerzy Strojnowski: O ograniczeniach wolności a więc i o możliwościach wyboru mówiliśmy poprzednio. Być może pyta Pan o prawa, do których człowiek winien się stosować? Ist-

nieją oczywiście prawa państwowe i zwyczajowe. Pojawia się natomiast problem, czy poza tym, że prawa regulują stosunki międzyludzkie, jest zasadne jakieś prawodawstwo, które może narzucać człowiekowi to, co on sam ze sobą robi, jaki tryb życia prowadzi, czy decyduje się na dłuższe życie czy śmierć, powiedzmy godzi się na ryzykowną operację, która może skończyć się śmiercią, albo woli bez tej operacji umrzeć? Zapytuję, czy istnieje takie prawo, które regulowałoby te kwestie, czy istnieje taka instytucja, która może sobie uzurpować prawo do narzucania człowiekowi, co on sam ze swoim życiem ma zrobić? Proszę o to zapytać moralistów, ja tego nie wiem. Natomiast jestem przekonany, że prawo, które reguluje stosunki międzyludzkie, jest potrzebne.

S. J. Ż.: *Tu się pojawia problem tzw. prawa naturalnego i stanowionego; jak Pan Profesor widzi te kwestie? Skoro mówiliśmy o tradycji, o kulturze i w konsekwencji o religii, która w pewnym sensie normuje to wszystko, w takim razie nie ma tu miejsca na prawo do zabicia siebie (np. eutanazję) czy kogoś innego (np. aborcję). Prawo do życia i śmierci naturalnej jest podstawowym prawem człowieka, w tym też sensie to prawo góruje zawsze, ze swej natury nad stanowionym.*

Prof. Jerzy Strojnowski: Prawo naturalne jest gdzieś skodyfikowane, wyeksplikowane, czy jest jednoznaczne?

S. J. Ż.: *Przyjmując założenie, że żyjemy w kręgu kultury śródziemnomorskiej, judeochrześcijańskiej...*

Prof. Jerzy Strojnowski: W obszarze kultury istnieje przede wszystkim obyczaj, istnieją pewne normy, zasady, zwyczaje. Czy my musimy – tu się kłaniam Panu (M. H.) – te same normy, zasady, zwyczaje przyjmować, jakie przyjmowali nasi poprzednicy? Nad tym trzeba się zastanowić.

M. K.: *A Dekalog?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Dekalog zasługuje na najwyższy szacunek, ale jego stosowalność w konkretnych sytuacjach danej kultury jest trudna do określenia. Poza tym, jak twierdzą rabini, Dekalog – to tylko fragment 613 przepisów żydowskich, pośród których znajdujemy i takie:

„Twój Bóg Jahwe... usunie liczne narody przed tobą... ty je wyętpisz, obłożysz je kłębą, nie zawrzesz z nimi przymierza i nie okażesz im łaski (Pp 7, 1–2)” oraz „Wszystkich mężów wytniesz mieczem” (Pp 20, 13).

S. J. Ż.: *Czyli prawo jest kwestią tylko i jedynie interpretacji?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Trzeba się zastanowić, co te przykazania w swej głębszej, a nie dosłownej treści dla nas znaczą dziś. Powstały one jako doświadczenie konkretnej koczowniczo-pasterskiej społeczności. Wtedy wiadomo było: Nie wolno ci zabrać niewolnika i niewolnicy, nie wolno zabrać żony, bo to cudza własność, a nie dlatego, że to grzech nieczystości [ogólna wesołość]. Zastanówmy się, na ile tego rodzaju prawodawstwo ma znaczenie ogólnoludzkie, a potem, jak by się to odniosło do mnie. Nie jest to łatwe, bo interpretacja może być różna.

M. K.: *Pan Profesor mówił, że istnieje wolność wewnętrzna i zewnętrzna, a w takim razie muszą również istnieć granice wolności.*

Prof. Jerzy Strojnowski: Ja myślę, że każdemu człowiekowi granice jego wolności wewnętrznej wyznacza poczucie odpowiedzialności. Z drugiej strony, odpowiedzialność zaczyna się wtedy, gdy człowiek ma poczucie wolności, tj. swobody decyzji. Jeżeli ktoś odczuwa w sposób przemożny potrzebę picia, nie będąc w stanie powstrzymać się, a ręczę, że jest tak w przypadku choroby alkoholowej, to tam nie ma swobody decyzji i nie ma wolności.

M. K.: *Czyli ta wolność może zrobić z człowieka niewolnika?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Tak, w tym sensie, że wolność zewnętrzna, a więc w tym przykładzie swobodny dostęp do alkoholu sprawia, że człowiek staje się niewolnikiem swojego nałogu.

M. H.: *Czy ta wolność robi z człowieka niewolnika, czy on sam z siebie?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Zbyt łatwo oskarżamy: „To jest twoja wina, że jesteś alkohikiem!” Ja, kiedy patrzę na mojego pacjenta, widzę w nim przede wszystkim człowieka chorego i nieszczęs-

liwego. Niezależnie od tego, że on może być łobuzem, może bić żonę, może roztrwonić majątek. Ale przede wszystkim jest on człowiekiem nieszczęśliwym i mówienie mu: „To jest twoja wina, ty sam to spowodowałeś” – jest nieludzkie. To naprawdę nikomu nie pomoże.

M. H.: *Nie chodzi mi o to, żeby go oskarżać, bo nie mam do tego prawa, a raczej o to, iż to nie wolność doprowadziła go do tego. Może go społeczeństwo, stosunki w nim panujące sprawiły, że stał się alkohikiem lub narkomanem. Możliwość decydowania o sobie nie jest winna nieszczęściu lub złu.*

Prof. Jerzy Strojnowski: Oczywiście, sugestia społeczna jest również ograniczeniem wolności.

K. R.: *Jaki był najważniejszy wybór, którego dokonał Pan w życiu?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Był to wybór mojej drogi życiowej. Już w liceum wiedziałem, że chcę być naukowcem. Chciałem poznawać, fascynowała mnie wiedza.

K. R.: *I nie żałuje Pan tej decyzji?*

Prof. Jerzy Strojnowski: Nie, chociaż nie dostałem Nobla (ogólna wesołość).

M. K.: *Przeczytałem w Pana biografii, że jest Pan rzadkim typem wszechstronnego uczonego, który biegle porusza się w kilku dyscyplinach naukowych.*

Prof. Jerzy Strojnowski: To może mieć znaczenie zarówno dodatnie, jak i ujemne. Ja skończyłem dwa fakultety: medycynę w Krakowie i filozofię w Lublinie. Oczywiście, że to poszerza horyzonty. Jednocześnie jest w tym pewna słabość, bo gdybym się bardziej zacieśnił, to bym miał większe dokonania. Ja tymczasem chciałem poznać to, i tamto i nie umiałem w niczego zrezygnować. Zawsze też interesowałem się polityką, w tym znaczeniu, jak politykę rozumiał Arystoteles, jako oddziaływanie społeczne. W takiej perspektywie cała moja praca badawcza, publicystyczna i pedagogiczna jest polityką.

Od estetyki do etyki

– rozmowa z prof. Wiesławem Pawłem Szymańskim (UJ)

Wiesław Paweł Szymański – ur. w 1932 roku w Częstochowie; historyk literatury; prof. dr hab. zatrudniony w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. W roku 1955 ukończył studia polonistyczne w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Debiutował jako krytyk literacki w „Tygodniku Powszechnym” w roku 1953. Najważniejsze publikacje naukowe oraz tomy szkiców krytycznych: *Ballady przed burzą* (1961), *Z dziejów czasopiśm literackich* (1970), *Świadomość estetyczna polskiej awangardy* (1971), *K. I. Gałczyński* (1972), *Neosymbolizm* (1973), *Outsiderzy i słowiarze* (1973), *J. Przyboś* (1978), „*Odrodzenie i Twórczość*” (1981), *Z mroku korzeni. O poezji Karola Wojtyły* (1989), *Ostatni romans* (1991), *Uroki dworu* (1994), *Cena prawdy* (1996). Wydał również następujące powieści: *Niedźwiedź w katedrze* (1981), *Chwila bez godziny* (1982), *Listy nad wodami* (1987), *Wysokie schody* (1989). W latach 1962–1983 członek Związku Literatów Polskich oraz od roku 1978 PEN-Clubu; członek redakcji dwumiesięcznika „Arcana”.

Sławomir J. Żurek: *Jakie są najważniejsze punkty w historii osobistej Pana Profesora, które kształtowały go jako badacza literatury oraz pisarza?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: To śmieszne, ale musiałbym się bardzo daleko cofnąć, niemal do czasów, kiedy kończyłem szkołę podstawową i zaczynałem naukę w gimnazjum. Uczyłem się początkowo na tak zwanych kompletach, a było to za okupacji... Pamiętam dokładnie, jak na jednej z takich tajnych lekcji języka polskiego dostalem „bardzo dobrze” z wypracowania na dowolny temat. (Były to wariacje wokół *Pieśni o Rolandzie*.) Od tamtego czasu zacząłem przywiązywać większą uwagę do lekcji polskiego, z powodów czysto ambicjonalnych, choć wtedy nie zdawałem sobie sprawy jak to wszystko się dalej potoczy... W gimnazjum moim polonistą był prof. Soldrowski, wychowany wyraźnie na modernizmie i romantyzmie. Jego lekcje były pełne takiego modernistycznego wigoru...

S. J. Ż. : *Kolejny raz więc widać jak dużo zależy od polonisty szkolnego, który potrafi porwać...*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Czy mnie porzywał? Chyba nie... Po prostu zależało mi na tym, żeby otrzymywać z wypracowań domowych zawsze „bardzo dobrze”... Pamiętam jak profesor przynosił te nieszczęsne wypracowania i mówił: „O Szymański poprawił się, poprawił!” Wtedy sobie myślałem: „Jeżeli się poprawiłem, a dostałem „cztery plus” to teraz wreszcie dostanę upragnioną piątkę!”. Otóż nigdy u niego „bardzo dobrze” nie dostałem... Zawsze tylko była ta sama gadka: „Poprawił się, poprawił!”. Ale tak naprawdę, to najwięcej zawdzięczam środowisku przyjaciół: Janowi Prokopowi, który był moim sąsiadem i dzielił nasze ogrody tylko płot..., oraz Andrzejowi Paluchowskiemu... Razem tworzyliśmy paczkę przyjaciół – świadomych polonistów, razem chodziliśmy do antykwariatu. Wtedy to poszukiwałem *Legendy Młodej Polski* Stanisława Brzozowskiego, monografii Juliusza Kleinera poświęconej Mickiewiczowi... To właśnie Prokopowi zawdzięczam, że stałem się polonistą, to on mnie namówił na

studia polonistyczne. Przyniósł mi, jak dziś pamiętam, tom poezji Przybosia i myślał, że nic z tego nie zrozumie. Jakże się zdziwił, kiedy zacząłem mu mówić, co ja widzę w tych Przybosiowych metaforach. To Prokop zafascynował mnie Bolesławem Micińskim, o którym później napisałem swój pierwszy poważniejszy szkic w „Twórczości” w 1957 roku. I tak w 1950 roku rozpocząłem studia w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

S. J. Ż.: *Trudny wybór. Lata pięćdziesiąte, okres „nocy stalinowskiej” i Pan Profesor wybiera Katolicki Uniwersytet Lubelski jako miejsce studiów. Dzisiaj patrząc na tę decyzję z czysto pragmatycznego punktu widzenia wydaje się ona dla młodego człowieka decyzją niezwykle odważną i właściwie w konsekwencji, zamykającą mu w tamtych czasach wszelkie perspektywy kariery. Dlaczego wybrał Pan właśnie tę uczelnię?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Wybrałem KUL z bardzo prostej przyczyny. Po pierwsze KUL nie miał wtedy egzaminów wstępnych. Po drugie bałem się startować drugi raz na państwową uczelnię, po przykrych doświadczeniach, kiedy to nie dostałem się we Wrocławiu na prawo, bo w rubryce „pochodzenie” miałem napisane: „inteligencja pracująca”. Wtedy oznaczało to, że niezależnie, czy jestem dobrze przygotowany do egzaminu, czy źle mam jednakowo małe szanse, aby go zdać przed komisją składającą się z młodych zetempowców. Początkowo wybór KUL-u nie był wyborem światopoglądowym, to było tylko ominięcie komuny. Natomiast w momencie, gdy znalazłem się na KUL-u dość szybko uświadomiłem sobie jakie mogą być konsekwencje owego wyboru. Tam spotkałem się z naprawdę wolną myślą naukową... To była jedyna wyspa w Polsce, gdzie można było spotkać się z tym, co dzisiaj nie zawaham się nazwać po prostu Prawdą! Wtedy to, od razu na pierwszym roku dostałem się pod opiekę profesorów: Czesława Zgorzelskiego i Ireny Sławińskiej, która w wakacje, już po pierwszym roku, zorganizowała niezapomniane spotkanie poświęcone poezji Krzysztofa Baczyńskiego. Byli to ludzie, którzy nie tylko byli historykami lite-

ratury, ale reprezentowali również sobą jakąś taką wewnętrzną głęboką postawę etyczną. Na trzecim roku pisałem u prof. Sławińskiej pracę seminaryjną z opowiadań Norwida i pamiętam jak spotkałem ją na korytarzu. Stała przy mnie, zmrużyła oczy i zapytała: „Panie Wiesiu, jak tam pana praca seminaryjna?”, a ja odpowiadam: „Jeszcze nie zacząłem, bo teraz siedzę nad Tuwimem”. Na to prof. Sławińska: „Panie Wiesiu, najpierw obowiązek, a potem przyjemność”.

S. J. Ż.: *Co uważa Pan Profesor za najważniejsze doświadczenie w czasie studiów w Lublinie?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Na początku lat pięćdziesiątych, po śmierci Wacława Borowego zakupiono dla KUL-u całą jego bibliotekę i przeniesiono ją do oddzielnego pomieszczenia na polonistycę. Wtedy to rozpoczął się mój prawdziwy uniwersytet, czyli studiowanie księgozbioru „Borovianum”. Codziennie przychodziłem rano, „instalowałem się” w czytelni i wychodziłem wieczorem... Zrozumiałem wtedy, że aby dotrzeć do prawdziwej poezji trzeba troszeczkę przesunąć czas, wejść w inną epokę. Chociaż fizycznie żyć w niej nie mogłem, ale w tej epoce chciałem po prostu przebywać. Drugim moim zauroczeniem był Czesław Miłosz, którego czytałem jeszcze w czasach przeduniwersyteckich, a którego poznałem na serio z lektury w czasie studiów. Właśnie w „Borovianum” studiowałem wytrwale *Trzy zimy, Poezma o czasie zastygłym*. (Wszystkie tomy były, o ile pamiętam z dedykacjami.) Czytałem również serie z Biblioteki Mortkowicza. Jeszcze ważniejsze niż książki były dla mnie czasopisma przedwojenne, przede wszystkim „Wiadomości Literackie”, „Prosto z Mostu”... Wtedy to zacząłem rozumieć, czym naprawdę różni się wolna polonistyka KUL-owska od innych marksistowskich katedr w całej Polsce. i chociaż kupowałem i „Kuźnicę”, i „Nową Kulturę”, to tylko po to, by sobie z tych czasopism kpić. Miałem świadomość, że to wszystko kłamstwa. Należałem więc do pokolenia wychowanego na przedwojennych czasopismach i... „Tygodniku Powszechnym”... Dzięki nim zacząłem mieć rozeznanie, gdzie jest prawda, a gdzie jest fałsz. Ważna była dla mnie rów-

niez praca magisterska, którą pisałem o dramatach Jarosława Iwaszkiewicza. W trakcie pracy nad tekstem poznałem autora osobiście, był to mój pierwszy kontakt z pisarzem. Ważne było również moje spotkanie z żoną Władysława Sebyli, panią Sabiną. Od niej dostałem cały komplet „Kwadrygi”. Zobaczyłem ich mieszkanie, na Pradze, przy ulicy Brzeskiej, które zachowało się tak, jak wtedy, gdy Sebyla wyszedł na wojnę. Byłem zafascynowany klimatem tego mieszkania i w ogóle niezapomnianą atmosferą przedwojenną.

S. J. Ż.: *Czy mimo to nie chciał Pan Profesor uciekać z tego hermetycznego świata filologów z katolickiego uniwersytetu?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Nie, na pewno nie. Choć miałem świadomość, że każde pokolenie polonistów musi zadać sobie pytanie: „Co dalej?”. Środowisko kulowskie było izolowane i myśmy wiedzieli, że nie otrzymamy pracy w żadnych państwowych instytucjach, w żadnych państwowych redakcjach. Dlatego w ogóle nie myśleliśmy o państwowych posadach, czy karierze uniwersyteckiej, to było po prostu niemożliwe. Duża część z nas po studiach znalazła się w Pax-ie. Swoją pierwszą posadę zawdzięczał Bronkowi Mamoniowi, dzisiejszemu redaktorowi działu kulturalnego „Tygodnika Powszechnego”. W 1953 roku „Tygodnik Powszechny” został zawieszony za odmowę umieszczenia nekrologu w związku ze śmiercią Stalina i odebrany prawowitemu właścicielowi, wydawnicwu ZNAK. Rok później, już w nowym składzie i z nowym wydawcą (PAX) zostało czasopismo wznowione. W marcu 1955 roku do tego nowego „Tygodnika Powszechnego” ściągnął mnie właśnie Mamorń. Pracowałem tam w dziale literackim.

S. J. Ż.: *Panie Profesorze okres istnienia „Tygodnika Powszechnego” pod patronatem PAX-u nie należał do najbardziej chwalebnych kart istnienia tego czasopisma i jest on dzisiaj mocno krytykowany...*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Nigdy się tego okresu w swoim życiu nie wypierałem. Mnie interesowała wtedy poezja, a nie polityka. Zresztą

Piotr Kuncewicz miał rację pisząc, że „Tygodnik” za czasów paxowskich był mimo wszystko najbardziej liberalnym pismem w ówczesnej Polsce.

S. J. Ż.: *Jak Pan Profesor ocenia dzisiaj, z perspektywy czterdziestu lat decyzję przystąpienia do redakcji paxowskiego „Tygodnika Powszechnego”?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: To była decyzja w gruncie rzeczy jedyna, bo co mogłem więcej zrobić? Było to jakieś ustępstwo, wiedziałem, czym jest PAX, i że nie jest to to samo, co „Tygodnik Powszechny” ZNAK, ale w przeciwnym razie musiałbym wrócić do Częstochowy i w najlepszym wypadku zostać profesorem w gimnazjum. Natomiast ja marzyłem, by zajmować się poezją, zostać krytykiem literackim. Wrócić do Częstochowy oznaczało dla mnie powrócić do środowiska, w którym się nic nie działo. W tamtych czasach ja z moimi kolegami bardzo chcieliśmy mieć własne pismo, ale wtedy było to po prostu niemożliwe. Po Październiku 1956 roku „Tygodnik Powszechny” wrócił do swego poprzedniego właściciela, a ja przeszedłem do „Kierunków”, które składały się z redakcji paxowskiego „Tygodnika”. Później pracowałem trochę w „Za i Przeciw”. Od 1958 roku na nowo związałem się z „Tygodnikiem Powszechnym”, w którym nie byłem zatrudniony na etacie, ale żyłem z „Tygodnika”, będąc na ryczałcie. Prowadziłem na przykład w latach sześćdziesiątych cykl rozmów z pisarzami, później wydałem z tego książkę w ZNAK-u.

S. J. Ż.: *W połowie lat sześćdziesiątych rozpoczął Pan Profesor pracę naukową. To był kolejny życiowy wybór.*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Tak. Pomógł mi w tym Profesor Kazimierz Wyka, który wystarał się o stypendium doktoranckie w IBL-u. Po doktoracie, od roku 1969 rozpocząłem pracę na Uniwersytecie Jagiellońskim.

S. J. Ż.: *Jak Pan Profesor dzisiaj ocenia siebie, czy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych był Pan Profesor człowiekiem skłonny do consensusu, czy stawiał Pan sprawy raczej „na ostrzu noża”?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Nigdy nie szukałem łatwego *consensusu*. W mojej drugiej książce *Od metafory do heroizmu* (1967) „przyczepiłem się” na przykład do Iwaszkiewicza, do jego, nie do przyjęcia dla mnie, ugodowości. Z drugiej jednak strony trzeba powiedzieć, że nie wiadomo, co bym robił i jak postępował, gdybym miał tyle okazji, co Iwaszkiewicz. Nie szukałem związków z oficjalnym życiem literackim, zajmowałem się dwudziestoleciami międzywojennym. Jacek Łukasiewicz napisał kiedyś o mojej biografii, recenzując powieść *Niedźwiedź w katedrze*, że była to taka „przesunięta klisza”, że swoją biografię świadomie przesunąłem do innej epoki. Chciałem więc zajmować się tą tematyką, i tymi czasami, kiedy ludzie mogli być naprawdę wolni. I chociaż przez wiele lat byłem antyklearykałem, miałem także poczucie metafizyczności, bez którego nie można zrozumieć literatury.

S. J. Ż.: *Dzisiaj, szczególnie po opublikowaniu „Uroków dworu”, przez wielu krytyków literackich, a także w kolach naukowych, jest Pan Profesor postrzegany jako radykalny konserwatysta, który stawia sprawy, nie uznając kompromisu. Dla jednych jest to zjawisko bardzo pozytywnie, uważają oni Pana za badacza, który nie boi się mówić prawdy. Dla drugich jest Pan człowiekiem, który wyrwa określone problemy moralne z kontekstu historycznego, poddając je krytyce. A jak sam Pan Profesor dzisiaj ocenia samego siebie?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Na tak postawione pytanie jest szalenie trudno odpowiadać, bo trzeba wystawiać sobie samemu świadectwa moralności. Wychowałem się na Miłoszu i *Ocalenie* traktowałem jako księgę swojego życia. Jego książki były dla mnie *antidotum* na całą komuń, to była moja Biblia. Dzięki Miłoszowi zrozumiałem, czym jest poezja, czym jest prawdziwa literatura i jakie jest posłannictwo tego, kto ją bada. Dlatego później starałem się zawsze być autentycznym i unikać pisania o nieprawdziwej literaturze i to mi się na ogół udawało. Myślę tutaj o swoich szkicach, nie o jakichś drobnych recenzjach pisanych często na zamówienie w „Życiu Literackim”. Krytyk literacki musi

być sam, nie może być w jakiejś grupie (Choć historycy literatury zaliczają mnie do grupy „Współczesności”, ja nigdy do niej nie należałem), bo wtedy człowiek się uzależnia.

Jak większość moich kolegów literatów z lat sześćdziesiątych, nie byłem zwolennikiem systemu, ale też nie wpadło mi do głowy, że można być przeciwnikiem systemu. Zniwolenie było tak dalekie, że we mnie nie pojawiła się nawet myśl, że może kiedyś komunizmu nie być. Moja świadomość wolności pojawiła się wtedy, gdy wyjechałem do Francji na lektorat (1972–75). Bardzo przeżyłem wtedy deportację Solżenicyna. Przeczytałem prawie wszystkie roczniki „Kultury” oraz „Wiadomości” londyńskich. Wtedy jeszcze nie rozumiałem dlaczego ci redaktorzy z Londynu są tacy staroświeccy, widzę to jasno dopiero dzisiaj...

Po powrocie do kraju nie należałem do ludzi odważnych, słyszałem o istnieniu czasopisma „Zapis”. Pracowałem na uniwersytecie, na pewno się trochę bałem... Natomiast próbowałem z kolegami z oddziału krakowskiego Związku Literatów Polskich robić to samo co opozycja, tylko inaczej. To znaczy „wysadzać z siódła” starych partyjniaków. I wprowadzać albo młodych partyjnych, albo liberałów. Później przyszedł rok 1981 i myślę, że gdyby nie stan wojenny mój debiut prozatorski (*Niedźwiedź w katedrze*) wyglądałby zupełnie inaczej. Książka wpadła w ciemną noc. Od tamtego czasu rozpoczął się w moim życiu etap, który właściwie trwa do dzisiaj, a jest to reewizja lat minionych. Mnie się udało, nie związać się z systemem i nie dlatego, że byłem jakoś szczególnie czysty etycznie. Mnie tego po prostu los zaoszczędził. Oczywiście jakieś tam drobne głupstwa robiłem, ale nie aż tak żebym dzisiaj miał czegoś żałować. Mam wielu przyjaciół, którzy jednak mieli okazję, a nie unurzali się, bo jest „to kwestia smaku”, jak mawiał Zbigniew Herbert.

Uroki dworu zostały faszywie zrozumiane, bo chciano je tak zrozumieć. W zasadzie wszyscy, którzy pisali o tamtej książce byli związani z systemem komunistycznym osobiście, lub rodzinie. W książce chodziło o pokazanie mechani-

zmów bezwiednego zniewolenia twórców a świadomego działania ze strony komunistów, prowadzenia polityki kulturalnej: prowadzenia za rękę, podrzucania tematów, akcentowaniu innych, aby te najważniejsze pozostawić na boku. Mnie interesował system zniewalania, nikomu nie miałem zamiaru dokuczać... Pod koniec lat osiemdziesiątych pojawił się na horyzoncie Herbert, Miłosz, który był przez tyle lat moim wychowawcą, musiał odejść, jak każdy nauczyciel w pewnym momencie.

S. J. Z.: *Czy stało się tak dlatego, że Herbert był tym poetą, który się „nie unurzał”?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Miłosza też nigdy za „unurzanego” nie uważałem. Zobaczyłem to „ukąszenie heglowskie” później. Wtedy potrzebny był mi Miłosz antytotalista. Dopiero pisząc szkic o „Wiadomościach” zobaczyłem, że Miłosz był jednocześnie człowiekiem usprawiedliwiającym totalitaryzm. Miłosz stał się człowiekiem, który moim zdaniem zbyt ulega sądom środowiska, z którym jest związany, mam na myśli tu środowisko „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”. Miłosz nie wyrabia sobie sam zdania na temat narodu, nacjonalizmu źle rozumianego. Pod wpływem tego środowiska wystrząsnął problem antysemityzmu. Nie wszystko jest tak jak mówi Miłosz i ludzie, którzy mu suflują. Ten Miłosz nie był mi już potrzebny. W tym momencie zacząłem sobie bardziej cenić stanowisko Herberta. Są momenty, w których nie można ustąpić. Wiele zawdzięczam też felietonom Kisiela – trzeba być bowiem zawsze z mniejszością przeciwko większości, a najlepiej pojedynczo. Najlepiej wysiąść na nieznaną stację, po to, żeby sobie iść w nieznaną. Kisiel uczył mnie samodzielności, i tego żeby myśleć na własny rachunek.

S. J. Z.: *Pan Profesor bardzo mocno wiąże kontekst literacki z kontekstem politycznym. Czy nie widzi Pan Profesor niebezpieczeństwa fascynacji ludzi pióra polityką?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: W gruncie rzeczy większa część mojego życia koncentrowała się wokół kodeksu estetycznego. Bardzo późno zacząłem interesować się polityką. I w gruncie

rzeczy i dzisiaj interesuję się nią również tylko z konieczności. Konsekwencją źle realizowanej polityki w życiu społecznym jest konieczność wzięcia jej na siebie przez literaturę. Polityką zacząłem interesować się nie w tym sensie, że „chcę być politykiem”. Polityką zacząłem interesować się podczas pracy nad *Niedźwiedziem w katedrze* i cyklem powieści historycznych, wtedy to zafascynował mnie dobrze rozumiany konserwatyzm. Zacząłem czytać pamiętniki dziewiętnastowiecznych polityków, myślę tu przede wszystkim o Metternichu. Sytuacja Polski wtedy, myślę o wieku dziewiętnastym i teraz, współcześnie jest analogiczna. Polska próbowała stać się partnerem dla Europy, kimś, kim warto się zainteresować. Przecież od powstania listopadowego, aż po styczniowe Polska cały czas słyszała ze strony Zachodu jedynie obiecywanki: „Pomożemy wam, jeżeli... na przykład dojdziecie do Wołgi”, wtedy „będziecie dla nas partnerem”. Ani Londynu, ani Paryża nigdy nie interesowała sprawa Polska bezinteresownie. Nie mówię tu oczywiście o pojedynczych parlamentarzystach, bo byli tacy. Mówię tu o parlamencie, jako grupie reprezentatywnej dla całego narodu. Konsekwencje Kongresu Wiedeńskiego ciągle wiszą nad Europą, utwierdzone Jaftą. Dlatego tak bardzo podobala mi się idea „Wiadomości”, i publicystyka Mieroszewskiego, oni nie chcieli czekać biernie na dogodną chwilę, ale pragnęli się do tej dogodnej chwili dobrze przygotować. Podobną opcję przyjmował zresztą wcześniej ks. Adam Czartoryski. To jest moje pisarskie zakorzenienie w historię i początek moich zainteresowań politycznych. Tu rozpoczął się również mój pesymistyczny kurs myślenia.

S. J. Z.: *Jak Pan Profesor ocenia znaczenie roku 1989 dla literatury polskiej?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Po 1989 roku w literaturze powinna dokonać się bardzo głęboka reewizja tego, co działo się w literaturze po wojnie, w ciągu czterdziestu lat. Nie po to, żeby odsuwać od życia literackiego pewnych ludzi, którzy byli związani z systemem politycznym PRL, ale żeby pewne wartości odeszły już w cień, do przeszłości. Młode pokolenie musi

bowiem poznać te prawdziwe wartości, prawdziwe arcydzieła, prawdziwych krytyków literackich, takich jak Tomasz Burek, Jan Prokop, i jeszcze kilku innych. Musi być w końcu naświetlona rola takich osób jak chociażby Kazimierz Brandys (jego *Wariacje pocztowe*, to przecież plagiat z Gombrowicza), w ogóle cały Brandys powinien zejść do „piwnicy”, a takich Brandysów mamy wielu w naszej literaturze. Wtedy znajdzie się miejsce dla prawdziwej literatury. Z tym, że trzeba to zrobić spokojnie, pokazując miłałość, pozorność pewnych problemów, fałszywość tamtych rozwiązań, tamtych wyobraźni.

Reewizji wymaga dzisiejsza obsada uniwersytetów. Przecież tam są ludzie, którzy swoją karierę realizowali przede wszystkim w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, wtedy zdobywali stopnie naukowe, wtedy dostawali tytuły, wtedy wychodziły ich książki. Wielu z nich broni tamtych ludzi systemu, bo w sumie bronią siebie. Ukazałem to ostatnio na przykładzie Wisławy Szymborskiej. Dlaczego nie mówi się dzisiaj, że poetka ta dostała swoją pierwszą w życiu nagrodę Miasta Krakowa za dwa komunistyczne tomiki poezji? Dostała nagrodę za coś, co było całkowitą aprobatą systemu komunistycznego i w konsekwencji tego właśnie faktu stała się znaną poetką. I kiedy w 1957 roku Szymborska wydała *Wołanie do Yeti* mało kto już pamiętał jej partyjne wierszyki, bo była „nowa sytuacja”. Szymborska wystartowała więc z „odbicia bolszewickiego”. Był to awans fałszywy i przyspieszony, który zawdzięcza PZPR.

S. J. Ż.: *Jaki wybór uważa Pan w swoim życiu za najważniejszy, a czy jest jakaś decyzja, której się Pan wstydzi?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Cieszę się z tego, że zainteresowałem się historią dziewiętnastego wieku, ona mi bardzo dużo dała. Natomiast, gdybym na początku mojej drogi miał pełną świadomość, tego co naprawdę działo się we współczesności, nie wiem czy wybrałbym jako obiekt swych badań literaturę dwudziestowieczną. Myślę, że gdybym wybierał jeszcze raz, wybrałbym romantyzm, a może nawet literaturę staropolską. Po to, by dopiero z tamtej perspektywy włączyć się we współczesność. Ale mam świadomość, że są to już wybory niemożliwe... Moje życie było i jest trudne, część ludzi mnie dzisiaj nie dostrzega...

S. J. Ż.: *Czy Pan Profesor czuje się dzisiaj izolowany w swoim środowisku?*

Prof. Wiesław Paweł Szymański: Izolacja, to może za dużo powiedziane, ale czuję się jakoś osamotniony. Dzisiaj właściwie z historyków literatury prawie nikt się ze mną nie zgadza, nie popiera, bo chyba nie ma odwagi. Mam jednak te lata, które mam i nigdy się już z tej drogi nie wycofam. Może niektóre szkice bym trochę łagodniej napisał, ale w sensie pisarskim nie widzę czegoś, jeśli chodzi o punkt widzenia, czego miałbym żałować. Czasami tylko trochę żałuję, że nie zostałem po prostu ogrodnikiem, albo leśnikiem, bo bardzo lubię drzewa...

Opracował: **S. J. Żurek**



**samorząd terytorialny
– wybory w regionie**

„Skoro pięć minut jest dane...”

– zapis spotkania redakcji „Scriptores Scholarum”

z **Pawłem Bryłowskim** (prezydentem Lublina)

w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” w dniu 24X1996 r.

O sobie, czyli ja się nie chwale, ale...

Urodziłem się w Lublinie przed czterdziestoma siedmioma laty. Moi rodzice zamieszkali tutaj przed wojną. Rodzina wywodzi się z Zamościa i Szczebrzeszyna. Skąd to wiem? Oczywiście stąd, że dom jednych moich dziadków stał w Zamościu, a drugich w Szczebrzeszynie. Ale także stąd, że kiedyś pomagając komuś w szukaniu materiałów do pracy magisterskiej, znalazłem w archiwum akt dawnych, przy Katedrze, XVIII i XIX-wieczne zapiski o dzielnych swoich przodkach, co się murarstwem, kowalstwem i czymś tam jeszcze zajmowali. Potem im się trochę lepiej powiodło, potem znów trochę gorzej..., jakoś dotrwaliśmy do dzisiaj.

Nie mówię tego wszystkiego, żeby się chwalić lub opowiadać dawne dzieje, ale po to, żeby powiedzieć państwu, że Lublin jest dla mnie czymś więcej, niż tylko takim miejscem mieszkania, a Lubelszczyzna – szeroko pojęta – jest również czymś więcej, niż tylko geograficznym określeniem. I że w gruncie rzeczy czuję się częścią – czasem niedoskonałą, przeciętną – ale częścią tego wszystkiego, tej naszej ziemi. Mam nadzieję, że to nie zabrzmiało patetycznie ani głupio.

Z wykształcenia jestem prawnikiem, skończyłem studia na UMCS-ie. Liceum im. Staszica, jeszcze wcześniej – Szkoła Podstawowa nr 12, która najpierw mieściła się na Starym Mieście, w dzisiejszym budynku Teatru Lalki i Aktora. (Potem ta szkoła została przeniesiona do nowego budynku na Placu Wolności, a teraz mieści się na Podwalu).

„Nie raz dostałem tu w zęby”, czyli nieco o lubelskiej Starówce

Przez lata (najpierw właśnie chodząc do szkoły nr 12) nauczyłem się inaczej patrzeć na ludzi, którymi często nawet się pogardza. Rozpoznając ich tutaj, na Starym Mieście, w bramach, czy zajmujących się różnymi dziwnymi rzeczami; znałem ich przecież od małego. Warto pamiętać jednak, że w tamtym czasie Śródmieście Lublina i Stare Miasto nie było domem ludzi biednych. Było różnie, mieszkali tu różni ludzie, to była mieszanka – czasem wybuchowa, np.: w szkole, w klasie.

Teraz gdy bywam, na początku lub na końcu roku w swojej dawnej szkole na Podwalu, gdy patrzę na chodzące tam dzieci, to widzę, w jak straszliwy sposób zostały przez te kilkadziesiąt lat zanizone, czy wręcz zniszczone szanse rozwoju dla niektórych środowisk. I jak nastąpiła segregacja negatywna na terenie historycznego starego Lublina, czego się często nie dostrzega. A trzeba wokół siebie dostrzegać wiele. I wiele jest jeszcze do zrobienia. Tylko, że trzeba się nauczyć jednej rzeczy: nic się nie zdarza w jednej chwili. Wszystko wymaga czasu, współdziałania z ludźmi.

Parę rzeczy na Starym Mieście już się zmieniło: przede wszystkim zmieniło się założenie główne, że Starówka zostanie zupełnie wyludniona z mieszkańców i zamieniona w sieć punktów usługowych, sklepów, barów, bibliotek i jakichś tam instytucji, a po godzinie 15-tej to wszystko zamrze.

Trzeba także pamiętać, że na Starówce nie było generalnych remontów od 200 lat. To nie jest tak, że raptem można obciążyć władze PRL-u za to, że nic nie zrobiły, czy jakieś inne władze, np. te, które teraz są. Tu od 200 lat nie było prawdziwych remontów. Główne remonty rozpoczęto przed samą wojną. To jest być może taki dziwaczny zwiastun zaczęto remontować i przyszła wojna. Czy aby teraz nie będzie tego samego? [radość na sali]. Ale największe remonty były na skutek bombardowań – wyburzone całe kwartały Starego Miasta są wybudowane od podstaw, m.in. i ten budynek, w którym w tej chwili jesteśmy.

To nie jest tylko kilka cegieł. Proszę spojrzeć co jest pod spodem, pod ulicą. Każdy budynek na Starówce musi zachować swój stan przy odbudowie, ponieważ jest to jeden z najbardziej oryginalnych staromiejskich zespołów obiektów w Europie, jeśli nie na świecie, zachowany dokładnie w takiej formie wewnątrz i na zewnątrz, w jakiej był w XVI, XVII wieku. Tu nic nie można zmieniać. W takim budynku trzeba wpakować średnio dziesięć miliardów starych złotych, w podziemia, czego przecież nie widać. Kilka kondygnacji podziemi, umocnienie tego wszystkiego, przebudowanie wewnątrz. A już o uzbrojeniu, które jest w ulicach, to nie powiem. Zmiany są. Jak to wszystko wyglądało 2 lata temu? Chociażby oświetlenie na Grodzkiej. A sama ulica Grodzka. A Plac Zamkowy, schody... Ale to się nie zmieni w jednej chwili. Muszę państwu powiedzieć, że mieszkalem na Królewskiej przez dłuższy czas, chodziłem na Zamek na różne zajęcia dodatkowe i to, że mi nie urwali ręki albo nogi, to tylko dlatego, że mnie znali ze szkoły, wiedzieli kto ja jestem. A i tak nie raz dostałem w zęby. Nauczycielki wyznaczały tych najstarszych i znanych miejscowym na ostatnie godziny zajęć i tylko dzięki temu można było przejść spokojnie. Stare Miasto się zmienia. Stare Miasto ma swój plan przebudowy architektonicznej, łącznie z przebudową podwórek. To potrwa około 15–17 lat.

Naszym nieszczęściem jest brak kapitału. Właściciele prywatni (60% Starego Miasta jest w rękach prywatnych) nie mają pieniędzy na remonty. Miasto w miarę możliwości remontuje poszczególne obiekty. Całymi kwartałami Starego Miasta jest zainteresowany obcy kapitał, oni widzą tu interes. I nie chodzi tu akurat o kapitał żydowski, ale włoski. Żydzi nie przyjdą i nas nie wykupią, jeśli przyjdą, to trzeba z nimi robić interesy.

Policyjne mrzonki, czyli porozmawiajmy o bezpieczeństwie

We wszystkich dzielnicach ludzie wołają: „Tu trzeba zrobić komisariat policji, albo straży miejskiej i będzie wreszcie porządek”. To są, proszę Państwa, marzenia i mrzonki. A w ogóle problem chyba jest zupełnie gdzie indziej. Zacznę od tego, że trzeba zmienić

w głowach ludzi stosunek do policji, do straży, do munduru, w ogóle do czegokolwiek z tym związanego. Jeżeli w głowach bez przerwy jeszcze tkwi ten stereotyp więziennej subkultury, gdzie policjant jest przedmiotem najwyższej pogardy, a człowiek w ogóle jest również przedmiotem najwyższej pogardy. Gdzie najlepiej ogląda się bitych ludzi i ten, kto dobrze bije jest „fest człowiekiem”, a reszta to są „śmiecie” (bo w gruncie rzeczy nawet obrazki, filmy, książki o tym mówiące sławią tego rodzaju podkulturę). Dopóki policjant nie będzie kolegą, póki nie będzie sąsiadem. Póki nie będzie najzwyczajniejszym w świecie pracownikiem, któremu należy się szczególny szacunek, a czasem i zdecydowana pomoc, to nie będzie dobrze. I możecie sobie państwo fundować komisariatów ile chcecie, a z tego i tak nic nie wyjdzie, najwyżej obłożone twierdze.

Jeśli zaś chodzi o tworzenie komisariatu... Znajdźmy najpierw jakikolwiek budynek. Tam trzeba zrobić przede wszystkim generalny remont, ale pod kątem przydatności tego budynku dla celów policyjnych, czyli parking, podjazd, areszt, odpowiednie zabezpieczenia, całą infrastrukturę techniczną. Potem trzeba zabrać lokatorów, którzy tam mieszkają. Trzeba wreszcie zatrudnić ludzi, opłacić ich. I im więcej zrobimy komisariatów, tym więcej trzeba zatrudniać ludzi (którzy są najdrożsi) do pilnowania tych obiektów. Policjant jest dobry na ulicy, a nie w komisariacie. Przede wszystkim muszą Państwu powiedzieć, że udział miasta w podatkach (bo to jest główne źródło dochodu, nie sprzedaż mienia, nie to co kapnie z nieba, nie różnego rodzaju dotacje), więc udział miasta w podatkach od osób fizycznych to jest 15% (od tego roku będzie 17%), a reszta idzie do puli ogólnej, państwowej. Od osób prawnych, czyli od przedsiębiorstw, z podatku dostajemy 5%. To są nasze główne źródła dochodu. Zadań natomiast jest bardzo dużo. Utrzymanie policji nie należy do naszych zadań, ale zdaje się, że nie mogłaby w ogóle funkcjonować bez naszej pomocy. Na terenie miasta Lublina co najmniej dwa obiekty nazwane komisariatami pochodzą z naszych zasobów. Tak jest na Czubach i, w dużej części, na Czechowie.

Komisariat miał powstać także na Kalinowszczyźnie. Jednak to już jest działanie „na złość”. Nawiążę tutaj do kwestii tego, co jest ważniejsze. Zrobiliśmy dom dla dzieci na Kalinowszczyźnie w budynku po zlikwidowanym żłobku. Dla dzieci i dla starszych, dla tych z trudnych rodzin, z kłopotliwych sytuacji. Były tam takie sytuacje, że niektóre dzieci po raz pierwszy siedziały przy stole i trzymały widelec w ręku. Po raz pierwszy miały dla siebie kąt do odrabiania lekcji, po raz pierwszy ktoś się do nich odezwał ludzkim głosem. (Na marginesie – takich obiektów w mieście będziemy robić więcej). No i wtedy zjawili się tacy, którzy powiedzieli, że trzeba wyrzucić tych ludzi. Trzeba zlikwidować to wszystko i w tym miejscu zrobić komisariat. Kto i dlaczego ma to zrobić?

A więc miasto ma oddać budynek, a co zrobi ze swoimi zadaniami pomocy społecznej, to już nikogo nie obchodziło. W ten budynek trzeba było włożyć ok. 10-15 mld (starych) złotych, aby go dostosować do wymogów policyjnych. To też ma dać miasto. Sprzęt, wszystko inne – też ma dać miasto. Z czego? Ten pomysł upadł, bo był bez sensu. Wkrótce potem jak się znalazł w tej dzielnicy inny budynek, będący własnością spółdzielni, administracji, znaleźli się ludzie, którzy powiedzieli, że nam tu komisariat nie jest potrzebny, bo będą syreny wyły pod oknem, bo to będzie przeszkadzać. Więc czego chcą niektórzy ludzie? Trudno powiedzieć...

Aby zapewnić bezpieczeństwo trzeba zmienić przede wszystkim otoczenie społeczne, to znaczy warunki w szkole. Na pewno trzeba zapewnić lepsze wyposażenie policji, aby

nie była jak ten goły święty turecki. Ale przede wszystkim zmienić trzeba system postępowania karnego (co już od miasta w żadnym stopniu nie zależy), tzn. żeby policjant nie tkwił po uszy w papierach, ale żeby mógł pilnować tego, co się dzieje wokół. Ponadto trzeba aby policjantów było więcej. My ze swej strony możemy im tylko dokładać pieniędzy na wyposażenie. Dzięki nam mają część paliwa do samochodów, dzięki nam mają w ogóle kamizelki kuloodporne w naszym kochanym mieście, no i jeszcze parę innych rzeczy.

Natomiast, co do zmiany świadomości, to przyznam, że oprócz tego rodzaju spotkań, i oprócz jednej akcji pt. „Kocham Lublin” nie mam pomysłu jak zmienić świadomość. Nie wiem...

Na straży straży, oraz kilka słów o wolnym handlu

Zacznę od tego, że straż miejska nie ma kompetencji policyjnych, choć ma kompetencje większe niż gdzie indziej (ma również dbać o czystość i porządek). Ale, choć „bierze czasem udział” w różnych burdach [radość na sali], łapie złodziei, to nie ma uprawnień policji. To nie są żadni policjanci, to są zwykli urzędnicy. Nasza straż miejska jest nieliczna, jak na 400-tu tysięczne miasto. Strażników jest w ogóle 68 (a muszą przecież pracować na zmianę). Więc jest to (po odliczeniu kierowców, dyżurnego itp.) 15 patroli dwuosobowych. Na 400-tu tysięczne miasto! Utrzymanie straży miejskiej zwraca się dziesięciokrotnie, z całą pewnością. Kompetencje strażników to – oprócz najbardziej widocznych mandatów za złe parkowanie – także kary za brudne posesje, dzikie wysypiska, to też likwidacja siedlisk Cyganów rumuńskich, które powstają w niedozwolonych miejscach. Zakres działania strażników jest szeroki. To nie jest zbieranie pieniędzy, na tym mi wcale nie zależy. Oni mają znów nauczyć, że dozorca to nie jest pan i władca, że ma także pracować przez 8 godzin, jeśli nie więcej. Że się nie nakleja czegokolwiek byle gdzie, że się nie rzuca byle gdzie odpadków. Np. – co może zabrzmieć humorystycznie – śmiecie mogą być znaczone. Jeśli strażnicy znajdą jakieś wydruki, rachunki, to przywożą je delikwentowi do domu. Skoro zgubił, niech sobie odbierze! [Ogólna wesołość]

Jeśli zaś chodzi o problem handlu ulicznego, to nie wiem, czy państwo pamiętają, jak wyglądały nasze ulice kilka lat temu. Funkcją miasta jest stworzyć warunki godziwego handlu. Ja jestem jednym z tych, którzy zlikwidowali handel uliczny na Krakowskim Przedmieściu i w okolicach. I nie pozwolę, aby ten handel powrócił, bo to urąga wszelkim zasadom współżycia, a poza tym grozi Państwu zdrowiu i życiu. Nie po to zostały wymyślone – nie przeze mnie i nie dzisiaj – przepisy zakazujące sprzedaży towarów żywnościowych nieświadomego pochodzenia i w nieprzystosowanych do tego warunkach, żeby na to pozwolić.

Był czas, że ci ludzie mogli się dorobić. Nikt też nie wyrzucał ich siłą, tylko przez wprowadzenie tak wysokich opłat za miejsce, że musieli zrezygnować. Uważam takie działanie za uczciwe, w przeciwieństwie do oszukiwania, niepłacenia podatków i robienia komuś konkurencji pod sklepem.

Są ulice, będą parkingi, czyli o przestrzeni w perspektywie (oraz tajemnica teatru w budowie)

Na początek powiem, że dzięki jednemu poprzednikowi na moim urzędzie (a dokładnie chodzi tutaj przede wszystkim o pana prezydenta Zielińskiego, który był wcześniej

przewodniczącym rady miejskiej w Chełmie i tam też podobnych rzeczy dokonał), dzięki niemu właśnie w Lublinie powstały niektóre drogi obwodowe.

Nie powstała mijająca miasto obwodnica, do czego jeszcze wróć, bo jest to problem szerszy i bardzo poważny, natomiast powstały niektóre drogi obwodowe (droga Chełm – Zamość, Aleja Gomulki – dziś Unii Lubelskiej). Gdyby tego nie było Lublin zupełnie by się „zakorkował”. Więc hold trzeba oddać ludziom z tego okresu. Wielu z nich zostało potraktowanych bardzo źle, przynajmniej werbalnie. (Żeby nie było wątpliwości, to ja nie jestem żadnym komunistą, tylko wprost odwrotnie). Mam natomiast przyjemność pracować już ponad 20 lat i to pracować, po prostu, od najbardziej szarego stanowiska i znam sposób w jaki się dochodzi do końcowego efektu. Wszystkie ujemne i pozytywne – tak się wydaje – strony tego procesu. W różnych miejscach, w tym również i przy miejskich inwestycjach. Zresztą, w tej chwili okazuje się, że część tych ulic jest wykonana źle. Przy Zamku, gdzie właśnie teraz są prowadzone roboty, odkryliśmy wiele miejsc, gdzie w ogóle nie było podbudowy.

Nie wiem, czy Państwo wiedzą, jak wygląda budowa prawdziwej drogi: wybranie gruntu – bardzo głęboko, ustabilizowanie tego gruntu, warstwa rzeczywistej drogi, mocnej. A te asfalty i tego typu rzeczy, to jest niczym naskórek na naszych rękach. Pomijam oczywiście całe uzbrojenie podziemne, które właśnie pod drogami przebiega (często droższe od samych dróg).

Wiele ulic w Lublinie nie miało – sięgając wstecz – około 10 lat żadnego remontu. To oznacza całkowitą degradację. I krzyki, jakie są co roku, na temat pojawiających się dziur, to ani nie jest złośliwość chochlików na wiosnę, ani zła wola kogokolwiek, ale to jest skutek braku remontu. W Lublinie są dwa newralgiczne punkty: Śródmieście i trasy wylotowe. Zacznę od tras wylotowych.

Proszę spojrzeć, co w ostatnich 3 latach stało się z większością tras wylotowych. Aleja Kraśnicka, wylot na Nałęczów, Aleja Sikorskiego, ul. Turystyczna (w tej chwili rozbudowywana), również Al. Warszawska, wyjazd z Czechowa. Nie zapominajmy także o moście, jest w trakcie budowy i mam nadzieję, że jeszcze za mojej kadencji zostanie skończony. To wszystko kosztuje obłędne pieniądze. Ale to już jest inna sprawa.

I drugi problem to jest Śródmieście. Do Krakowskiego Przedmieścia nikt się nie dotykał tak naprawdę, od czasów przedwojennej rady miejskiej z lat 20., od tzw. pożyczki Ulemowskiej [amerykańskiej], kiedy wybudowano w Lublinie oczyszczalnię ścieków i wysypisko na Kalinowszczyźnie, także kanalizację miejską, wodociągi... Wszystko to leżało od tej pory nie zmienione i użytkowane w środku miasta. Gdybyśmy poczekali z renowacją, czy, jak ktoś tu powiedział „rozkopaniem” Krakowskiego Przedmieścia, do poprzedniej zimy, która była bardzo sroga i spowodowała zamarznięcie gruntu bardzo głęboko, to domy na Krakowskim Przedmieściu by się po prostu złożyły. Oprócz tego wodociąg i kanalizacja zostałyby zrujnowane, a woda podmyłaby budynki. Więc to, co zrobiliśmy w centrum, to jest kompletna przebudowa uzbrojenia. Wszystko to, co leżało w ziemi od 1925 roku zostało zamienione na nowe.

Zamknięcie Krakowskiego Przedmieścia już jest faktem, na odcinku, na którym będzie zamknięte na stałe. Zdjęte są druty trolejbusowe, które też naciągały stare domy. Kto w takim domu mieszkał, to wie, że po przejechaniu trolejbusu czł^o wiek czasem czuł się tak, jakby siedział w basetli. Krakowskie Przedmieście będzie zamknięte nie od ul. Kapucyńskiej,

tylko mniej więcej od ul. Staszica. Deptak będzie od Kapucyńskiej, ale będzie przejazd, w zależności od tego jakie będzie natężenie ruchu w mieście, jakie będą potrzeby. Plac przed ratuszem zostanie zupełnie przebudowany, aż do Bramy Krakowskiej. Przebudowana też będzie cała „struna grzbietowa” Traktu Królewskiego, wzdłuż ul. Grodzkiej, aż do zamku. Fragmenty tego już państwo widzą.

Z tym, że wszystko to poprzedza gruntowna wymiana uzbrojenia. Tego się na co dzień nie dostrzega, ot, kupa piasku, jakiś wykop. A to jest właśnie to, dzięki czemu miasto żyje. Bez tego nie ma nic. Obecnie przebudowano uzbrojenie śródmieścia Lublina na miarę XXI wieku, łącznie z nowoczesnymi urządzeniami, a przynajmniej miejscem do zamontowania takich urządzeń. Zwróćcie uwagę na ilość banków zainstalowanych w Śródmieściu, one na pustym polu stać nie mogą. Potrzebują infrastruktury. Chciałbym rozwiać obawy, że Krakowskie Przedmieście zamieni się na ulicę Bankową. Na razie nam to nie grozi – póki co i tak banków jest za mało (w Poznaniu jest ich ponad 60, a u nas, jak na razie dwadzieścia parę). Banki to najbardziej wykwalifikowana praca, największy zysk i wcale nie jest to oszustwo, wysysanie pieniędzy. Wprost odwrotnie. No chyba, że mamy do czynienia z mało rozgarniętymi ludźmi. Podobno z mądrym lepiej zgubić, jak z głupim znaleźć. I to jest chyba prawda.

Jednocześnie z zamknięciem Krakowskiego Przedmieścia, będzie trwała przebudowa szeregu ulic obwodowych, szczególnie w rejonie Staszica, Szewskiej, Niecałej. Będzie wjazd od Wodopojnej, ul. Szewska nie będzie kończyła się w polu, ul. Niecała nie będzie kończyła się w polu. Na tych pustych terenach, nad Czechówką, będą parkingi, na razie na powierzchni. I będą takie objazdy, żeby można się było poruszać po śródmieściu. Trzeba tylko zmienić jedną rzecz – ludzkie przyzwyczajenia, że gdy się już gdzieś jedzie, to trzeba przejechać koniecznie przez Krakowskie Przedmieście. Trzeba się nauczyć korzystać z dróg trochę inaczej i nie pchać się do śródmieścia.

Co do parkingów – czemu nie zakazujemy wjazdu na starówkę, czemu pozwalamy parkować na wyremontowanej części Krakowskiego Przedmieścia, gdzie stan techniczny samochodów powoduje spustoszenie na nowych trotuarach i szpeci? Po prostu nie można, tak sobie zakazać, nie dając żadnej alternatywy.

Decyzje już zapadły – jest przewidzianych kilka miejsc dla wielopoziomowych parkingów. Pierwszy na ul. Przystankowej (tam pod ziemią można zrobić nawet i 6 pięter). Drugi – to róg Hempla i Okopowej (parking łącznie z usługami wszelkiego rodzaju). Trzeci duży parking ma być przy teatrze w budowie.

Tu mogę Państwu zdradzić tajemnicę: w Lublinie nie będzie nowego, wielkiego teatru. O tym się jeszcze głośno nie mówi, ale decyzje podjęło już samo życie. Ludzkie decyzje przyjdą niebawem. Teatr Osterwy pozostanie przy ulicy Narutowicza i będzie rozbudowany, natomiast w teatrze w budowie nie będzie żadnej sali na 1000 miejsc, nie będzie teatru. Taki pomysł to relikwiny poprzedniego okresu, kiedy wszystko musiało być największe, kiedy nie liczone się z realnymi potrzebami i możliwościami. Ale ten obiekt i tak będzie żył. Zresztą już żyje – jest tam filharmonia, wiele firm i instytucji. I taka będzie chyba rola tego budynku.

Wracając zaś do parkingów, będzie parking niedaleko Domu Żołnierza. Ma powstać również parking, we współpracy z Niemcami, przy Dworcu Centralnym PKP. Chciałbym aby znalazło się miejsce dla samochodów również pod Placem Litewskim, który będzie przebu-

dowany w dalszej kolejności. Mam nadzieję, że będą to parkingi, gdzie kluczyki będzie się zostawiać obsłudze, a winda powiezie samochód w odpowiednie miejsce. Że nie będzie ani płam oleju, ani spalin. Czy to jest fantazja? – nie. Dlatego, że są firmy, które chcą to zrobić.

Planujemy też parking dla biur i urzędów na ul. Wieniawskiej 14, za budynkiem Urzędu Miejskiego. Myślmy też o wykorzystaniu terenu przy ul. Lipowej, przy cmentarzu. Trwają rozmowy z obcymi kontrahentami. Ma tam powstać duży ośrodek administracyjno-hotelowo-usługowy, w tym również i parkingi. Prawdę mówiąc powinien być nastawiony w dużej mierze na Żydów.

Żydzi, czyli pamięć i turystyka

To nam, jako miastu umyka z rąk. W Izraelu obowiązkiem szkolnym (i chyba też w innych krajach, gdzie zamieszkują Żydzi) jest odbyć choć raz pielgrzymkę do Polski, na Majdanek, do Oświęcimia.

Miastu z tego tytułu niestety żadne korzyści nie wpadają do rąk. Bo oni lądują w Krakowie, w Warszawie. Tam mają organizowane trasy. Jadą na Majdanek, miasto omijają, a potem tworzą w świecie opinię, że Polska i Lublin w szczególności to takie miejsce, gdzie kiedyś mordowano. Pozostaje Majdanek, jako symbol zbrodni, a brak symbolu tworzenia czegoś nowego. Ten rodzaj przyjazdów może nam wiele dać, tak samo w sensie duchowym, jak i materialnym. Choć brzmi to brzydko, źle, to taką liczbę przyjeżdżających co roku ludzi, trzeba wykorzystać. Musi powstać odpowiedni ośrodek, odpowiednie hotele (wcale nie luksusowe, przecież w Izraelu też nie ma samych krezusów, ale normalni ludzie). Musi powstać także oferta naszego województwa. Inaczej będą tylko przez nasze miasto przeskakiwać, zabierając złą pamięć, bez żadnej korzyści dla miasta.

Kompromis i pragmatyzm, czyli dwa lyki polityki (lokalnej)

Często stawiany jest mi zarzut z wejścia w koalicję z SLD w radzie miejskiej. Aby to wyjaśnić musimy sięgnąć nieco wstecz. Nie ma nic gorszego – w sprawach związanych ze sprawowaniem urzędu, władzy, czy w załatwianiu jakiegokolwiek rzeczy publicznych – jak mieszanina przemożnego poczucia misji połączonego z niekompetencją.

Po wyborach roku 89, w 1990 roku byłem w ekipie pana wojewody Wojcieszczuka (nazwijmy to umownie „linią unijną”). Pani Sierakowska miała w Sejmie pretensje do nas, że tak wspaniałych ludzi, jak urzędnicy z (wtedy) ZSL-u dręczymy i wyrzucamy. To między innymi ja byłem w tym czynny. Gdzie byli w tym czasie ludzie, którzy oskarżają, między innymi, takich jak ja, o tzw. kolaborację? Nie było ich w pierwszym szeregu zmian. Nie potrafili zrobić nic, oprócz zwykłego knucia i rozrabiania. Efektem tego były nieustanne klótnie i awantury pomiędzy Urzędem Miejskim a wojewodą. Były to spory ideologiczne, zupełnie niekiedy idiotyczne. Spory na zasadzie „kto nie z Miciem, tego zmieciami”. A ci ludzie, to trzeba powiedzieć wyraźnie, często nie mieli żadnego przygotowania merytorycznego. Mieli tylko poczucie misji i konieczności zmian, ale brak im było wizji, tego co chcieli zrobić. Efektem była tzw. wojna na górze. W skali całego kraju doprowadziło to do tego, że po prostu wybory wygrali tzw. postkomuniści. Stało się

tak dlatego, że ludzie, którzy nazywają się „prawicą”, zadufani w sobie, myślący, że mają monopol na prawdę, obrzydzili społeczeństwu „Solidarność” i jej idee.

W konsekwencji doszło do tego, że po wyborach samorządowych z roku 1994, powstały dwa duże bloki. Z jednej strony ugrupowanie, które nazywa siebie „centroprawicą”, do którego należą również ludzie z przeszłością z partii komunistycznych, z mentalnością w sprawach społecznych i ekonomicznych iście komunistyczną. Niektórzy z nich poza wyrzucaniem z pracy, poza czystkami i awanturami, nic nie potrafią zrobić. Na dodatek ludzie nienawidzący. Po drugiej stronie są tzw. postkomuniści, wśród których jest oczywiście paru takich, jak wyżej, ale z jedną maleńką różnicą – oni po prostu wiedzą, co to jest dyscyplina. I wiedzą, że nie można się pchać na afisz, jeśli się czegoś nie potrafi. Trzeba się wtedy trzymać w grupie. I w środku jest Unia Wolności (która jest również silna związkami z przedsiębiorstwami i środowiskami intelektualnymi). Siła tego środka nie tkwi w kolaboracji z kimkolwiek, ani w zwalczaniu kogokolwiek, ale w postawieniu na sprawy miejskie. I gdyby nie nasza działalność, tego „środka”, przed wyborami w 94. roku (bo wtedy zaczęła się przebudowa ul. Świętoduskiej, Krakowskiego Przedmieścia, wyburzanie ruder, wtedy zaczął się program mieszkaniowy – Lublin od trzech lat buduje najwięcej mieszkań komunalnych w kraju), to po wyborach samorządowych w 1994 roku nie byłoby dwóch dużych bloków, tylko byłoby na pewno ponad 50% po lewej stronie. Wtedy stanęliśmy przed wyborem sojusznika. Wyciągnęliśmy rękę ku prawej stronie, ale oni nie chcieli z nami rozmawiać. Druga strona dała możliwość realizacji programu miejskiego i swobodne wspólne działanie.

A teraz proszę spojrzeć – różnego rodzaju spory przewalają się przez kraj, a w mieście robi się swoje. Władza w mieście nie musi być tożsama akurat z koalicją na górze. Jest dla mnie oczywiste, że jeśli w mieście mam do czynienia z człowiekiem rozsądnym, co nie chce tylko burzyć i rozrabiać, to trzeba z nim współpracować. To się chyba nazywa pragmatyzm. Czy nie wolałbym z prawą stroną? Może wolałbym, ale wiem, że z nimi do niczego bym nie doszedł. Potwierdzają to wielokrotnie już rozmowy na ten temat. Nigdy nie zapomnę takiej sceny, gdy tuż przed usunięciem przez premiera Olszewskiego pana wojewody Wojcieszczuka – przyszedł do mnie późniejszy wojewoda, pan Cichocki i powiedział: „Ty Paweł, to jesteś jeszcze taki, że można by z tobą współpracować i chętnie byśmy Cię u siebie widzieli”. Oznaczało to dla mnie, że miałbym zdradzić swojego przełożonego i kolegę oraz wyrzec się własnych przekonań za cenę stanowiska. Dziś nie dziwię się już woltom politycznym ludzi tej formacji.

Żeby Państwo nie odnieśli wrażenia, że mi (czy w ogóle Unii Wolności) się zupełnie nie układa z prawicą, to można przytoczyć układ w radzie miejskiej z Unią Polityki Realnej, dotyczący sprzedaży mieszkań komunalnych i ulg w podatku spadkowym. Jest to przykład pewnego kompromisu. Bo demokracja to także kompromis. Kompromis i pragmatyzm. A w polityce potrzebne jest też wybaczenie, zapomnienie, porozumienie. Braku kompetencji chyba jednak wybaczyć nie można.

„Pan Bóg ustrzegł mnie od nienawiści”

Jako prezydent musiałem inaczej spojrzeć na niektóre sprawy. Jednak myślę, że trawestując jedną z dawnych piosenek – Pan Bóg ustrzegł mnie od nienawiści. A można było nabyć tę cechę patrząc na niektórych ludzi. Moja optyka zmieniła się o tyle, że wre-

szcie nabrałem doświadczenia, w tym zakresie, że nie ma patentu na najlepsze rozwiązania i na mądrość. Poza tym wiem, że nie da się wszystkiego zrobić w jednej chwili, że trzeba czasami poświęcić nawet i chwilową pomyślność niektórych ludzi, powiedzieć im wprost, że nie można teraz nic dla nich zrobić, po to, żeby uratować coś, co w przeszłości im lub może następnej, większej grupie ludzi pomoże. Czasem trzeba przejść pozornie obojętnie i mieć jakby twardsze serce dla terażniejszości, żeby coś w ogóle zrobić. To jest sytuacja niedobra, jeśli chodzi o własne serce, ale konieczna.

Jeśli chodzi o moje spojrzenie na to miasto, to chyba tak, jak lubilem, wprost kochałem swoje miasto, tak mi to pozostało. Choć niektóre dzielnice są rzeczywiście i przez ludzi, i przez materię bardzo zubożone.

A teraz chyba rzecz, którą się kieruję szczególnie. Uważam tę sprawę za podstawową dla wszystkich tych, którzy chcą ten troszeczkę zwariowany – nazwijmy to zawód, zajęcie, to znaczy służbę miastu, wybrać. Trzeba to miasto starać się znać i kochać, albo lubić przynajmniej. A poza tym nie wolno nienawidzić ludzi. Ten, kto nie lubi, nienawidzi ludzi – chociażby nawet udawał, że jest inaczej – ten bardzo szybko narobi kłopotu sobie i innym. Kiedy byłem młody, to tak jak państwo, dostrzegałem głupotę rozwiązań, niemożliwość usunięcia pewnych problemów, nieracjonalność danych spraw. Winą za to również obarczałem starsze pokolenie. Tylko, że w miarę upływu czasu, człowiek się uczy, że pokonuje się trudności krok za krokiem, że zmienia się rzeczywistość powoli, i że takie same problemy są wszędzie.

Wiele straciłem, jeśli chodzi o edukację, choć już nikt w szkole na szczęście nie kazał mi „robić ćwiczeń gimnastycznych” przed portretem Bieruta, ani jakiś innych głupich historii. Natomiast później zorientowałem się od czego mnie odcięto. Od dostępu do jakich książek, od dostępu do jakich filmów, do jakich idei, które trzeba sobie było samemu wyszukiwać, wtedy, kiedy już życie goniło do codziennej pracy, uczenia się zawodu, kiedy życie nakazywało robienie zupełnie czegoś innego. Nie dane było mi też swobodnie jeździć za granicę, podczas gdy dziś moi synowie mają paszporty w kieszeni, jeśli bardzo chcą i mają do kogo, to po prostu sobie jadą. I oni będą już zupełnie innymi ludźmi. Mnie to odebrano. Trochę sobie też zaszkodziłem, bo każdy z mojego pokolenia, tego sowieckiego człowieka w głowie nosi. Nawciskano temu człowiekowi do głowy, gdzieś pewnych głupich haseł i stereotypów. Myślę, że jednak jakoś z tego wyjdziemy. Państwo, jako młodzi, na pewno mają tę szansę. Każdy, komu los dał swoje pięć minut, musi je wykorzystać. Popada się często w zwątpienie, ale jednocześnie wiem, że skoro te pięć minut jest dane i jakieś efekty są widoczne, chociażby cząstkowe, niedoskonałe, to trzeba konsekwentnie, nie załamując się, ani nie obciążając siebie zbytnio wątpliwościami, iść do przodu.

Opracowanie: **Adrian Lesiakowski**

Marketing to obserwacja i kształtowanie rynku

– rozmowa z Ewą Szemborską (SGH)

Ewa Szemborska – pracownik naukowy Katedry Zarządzania Przedsiębiorstwem w Szkole Głównej Handlowej oraz Instytutu Rynku Wewnętrznego i Konsumpcji, konsultant d/s marketingu w firmie OLYMPUS – Centrum Edukacji i Rozwoju Biznesu.

Magdalena Pokrzycka: Obecnie pojęcie marketingu jest powszechnie znane. Można powiedzieć wręcz, iż robi w Polsce karierę. Coraz głośniej słychać o działaniach marketingowych organizacji, tworzone są działy marketingu, poszukiwani są specjaliści w tej dziedzinie. Z przeprowadzonego na ulicach Warszawy sondażu – na który powołuje się Pani we wprowadzeniu do książki Richarda Floyda Nichollsa „Promocja i sprzedaż usług handlowych” – wynika, że na 100 zapytanych osób 19 nie zna pojęcia marketing, 11 sądzi, że jest to dziedzina zajmująca się zarządzaniem przedsiębiorstwem, 29 osób uważa, że marketing to sprzedaż (zwłaszcza w odniesieniu do produktów, które trudno sprzedać), zaś 35 zapytanych identyfikuje marketing z reklamami w prasie i telewizji (6% osób, które brały udział w sondażu podało inne odpowiedzi). Spotyka się również podejście typu – marketing to panaceum na wszelkie kłopoty – świadczące o nieznaności podstawowych funkcji i celów marketingu. Czym tak naprawdę jest marketing?

Ewa Szemborska: Dla większości teoretyków i praktyków marketingu pojęcie to jest pewną koncepcją aktywności przedsiębiorstwa na rynku, zakładającą, że firma osiągnie sukces rynkowy tylko wtedy, gdy uda jej się zaspokoić potrzeby określonej grupy klientów. Najistotniejszym elementem koncepcji marketingowej jest wobec tego zdefinio-

wanie potrzeb określonej grupy nabywców i stworzenie produktu zaspokajającego w pełni te właśnie potrzeby. W odróżnieniu od koncepcji, według której przedsiębiorstwo powinno skupić swe wysiłki na opracowywaniu nowych technologii pozwalających na produkcję lepszej jakości i tańszych wyrobów, marketingowe podejście do organizacji zakłada przede wszystkim „wsluchanie się” w rynek, uważne śledzenie zmieniających się potrzeb klientów i dostosowywanie do nich wprowadzanych na rynek produktów.

Punktem wyjścia dla teorii marketingu są więc potrzeby potencjalnych klientów, a nie chęć lub konieczność sprzedaży opracowanego i wyprodukowanego uprzednio produktu. Krótko mówiąc marketing to spojrzenie na wszystko, co dzieje się w firmie z punktu widzenia klienta, jego potrzeb i preferencji oraz przyszłego zysku.

M.P.: Od czego należy zacząć prowadzenie działalności marketingowej?

Ewa Szemborska: Musimy znaleźć odpowiedzi na trzy podstawowe pytania: kto jest moim klientem, jakie są jego potrzeby, co mogę zrobić, by zaspokoić te potrzeby lepiej od konkurentów, którzy już są na rynku lub nań wchodzi z substytutami mojej oferty? Wbrew pozorom udzielenie odpowiedzi może sprawić wiele trudności. Pytania te dotyczą bowiem czynników zewnętrznych z punktu widzenia organizacji, i nie spo-

sób odpowiedzieć na nie z perspektywy wygodnego fotela za biurkiem. Odpowiedzi należy poszukiwać na zewnątrz organizacji. Najlepszym źródłem cennych informacji jest klient – dostarczy nam wielu informacji o sobie samym, swoich potrzebach, motywach, które nim kierują przy zakupie konkretnych produktów i usług, a nawet o ofercie konkurentów i swojej opinii o niej. Klienta musimy o to zapytać – w bezpośrednim kontakcie lub poprzez badania rynku. Najwięcej błędów marketingowych popełnianych jest z powodu samych założeń. Błędne założenia, wyjątkowo „bolesne” dla skuteczności strategii marketingowej organizacji dotyczą najczęściej potrzeb klienta oraz traktowania wszystkich klientów jako jednorodnej grupy odbiorców, zbliżonej upodobaniami, strukturą potrzeb i przejawami zachowań rynkowych. Rynek nie jest tworem jednorodnym. Konsument, który go tworzą różnią się między sobą płcią, wiekiem, stylem życia, który prowadzą. Trudno wyobrazić sobie produkt, który w równym stopniu zaspokoiliby potrzeby wszystkich klientów. „Wymyślenie” produktu powinno w związku z tym opierać się na analizie potrzeb wybranej, ze względu na podobieństwo pewnych cech, grupy klientów. Zabieg ten, polegający na podziale rynku na mniejsze, bardziej jednorodne elementy nazywany jest w terminologii marketingowej segmentacją rynku. Polega ona na właściwym wyborze oraz szczegółowej identyfikacji rynku docelowego, dla którego przeznaczony jest dany produkt lub usługa. Czynniki determinujące zachowanie klienta i wpływające tym samym na jego decyzję o zakupie są różnorodne. Należą do nich: wpływy kulturowe, społeczne, indywidualne oraz psychologiczne. Ta różnorodność czynników wpływających na decyzje klienta o zakupie danej usługi powoduje, że nie można traktować rynku jako homogenicznego tworzywa, zbliżonego konsystencją do homogenizowanego sera – niezależnie od tego, którą część weźmiemy na łyżeczkę jej zawartość będzie zawsze taka sama. Trzeba pamiętać o tym, że jeżeli nawet dwóch klientów korzysta z tej samej usługi, przyczyny tych zakupów mogą być zupełnie różne.

Nie istnieje idealny produkt znakomicie odpowiadający wszystkim, tak jak nie istnieje usługa, której jakość i przydatność wszyscy klienci oceniliby w identyczny sposób. Firmy, które próbują sprzedawać uniwersalną usługę najczęściej natrafiają na rynkową pustkę, okazuje się bowiem, że z założenia odpowiadająca wszystkim usługa nie cieszy się powodzeniem u nikogo. Koncepcja podziału rynku na mniejsze lecz bardziej jednorodne segmenty zakłada wyraźne skonkretyzowanie grupy nabywców, do której kieruje się określoną usługą. W tym celu należy wyodrębnić na rynku kilka w miarę homogenicznych grup nabywców o podobnych potrzebach i preferencjach. Docelowe grupy klientów, to znaczy te, do których głównie kierowany jest projektowany produkt powinny być objęte szczegółowymi badaniami marketingowymi, w celu szczegółowego i dokładnego rozpoznania potrzeb tej właśnie grupy nabywców.

M.P.: *Ale może się zdarzyć, że dopracowany w szczegółach pod względem jakości i innych cech materialnych i niematerialnych produkt lub usługa pozostanie nie zauważona przez potencjalnych nabywców...*

Ewa Szemborska: Rzeczywiście, ale ma to miejsce jedynie wówczas, gdy wejściu danego produktu na rynek nie towarzyszą inne elementy, które według koncepcji marketingu muszą stanowić integralną i nieodłączną część działań związanych z wprowadzeniem na rynek innowacji. Elementy te, nazywane przez jednych autorów narzędziami, przez innych instrumentami marketingu to produkt i jego marka oraz cena, dystrybucja i promocja.

M.P.: *Proszę scharakteryzować te elementy...*

Ewa Szemborska: W koncepcji marketingu produkt oznacza zarówno towar materialny, jak i niematerialną usługę. Powstaje on dopiero po rozpoznaniu potrzeb rynkowych klientów. Jego cechy są wobec tego wynikiem szczegółowych obserwacji rynku przeprowadzonych przez oferenta. Z pojęciem produktu bardzo ściśle związana jest jego marka handlowa, czyli nazwa, termin, znak graficzny lub symbol stosowany w celu ułatwienia klientowi identyfikacji produktu.

Kształtowanie marki handlowej, aczkolwiek zwykle związane z dużymi nakładami, na przykład na promocję, jest istotnym elementem procesu tworzenia produktu, gdyż to właśnie marka jest często czynnikiem decydującym o zakupie przez klienta danej usługi. Ponadto wielu klientów wykazuje lojalność wobec marki, to znaczy kupuje daną usługę wyłącznie u jednego oferenta.

Jeżeli chodzi o cenę, to jej ustalanie nie jest związane jedynie z funkcją generowania zysku. Na rynku nasyconym, na którym każda organizacja musi liczyć się z silną konkurencją wobec swojej oferty, cena staje się metodą walki z konkurentami oferującymi substytuty. Należy jednak pamiętać o tym, że cena wpływa na sposób, w jaki klient postrzega jakość produktu. Często usługa droższa od innych uznawana jest za lepszą, stąd też dążenie do obniżenia ceny oferty w stosunku do konkurencyjnych produktów nie zawsze jest celowe. Wynika z tego, że cena musi być traktowana również jako element marketingowego oddziaływania na otoczenie i być częścią zintegrowanego zbioru narzędzi marketingowych.

Wybór kanałów dystrybucji jest również jednym z narzędzi marketingowych, którego stosowanie powinno zapewnić przede wszystkim dostępność usługi. Nie wystarczy sformułowanie oferty na miarę potrzeb klienta oraz przemyślana polityka cenowa, jeśli nie zostanie spełniony warunek dostępności. W przypadku usług jednym z istotnych elementów dystrybucji jest lokalizacja, gdyż miejsce sprzedaży usługi staje się dla klienta miernikiem jakości.

Ostatnim z czterech podstawowych narzędzi marketingu jest promocja. Promocją to zespół narzędzi oddziaływania na docelowy segment rynku, których celem jest: informowanie klienta o usłudze i korzyściach wynikających z jej zakupu, przekonanie klienta do wyboru danej usługi spośród istniejących na rynku oraz stałe przypomnianie o ofercie.

Wspomniane wyżej cztery podstawowe obszary decyzji marketingowych w przedsiębiorstwie umożliwiają takie ukształtowanie produktu, by w maksymalnym stopniu zaspokoić potrzeby

klienta. Podejście to jest zrozumiałe, gdy pamięta się o kolejnym istotnym dla koncepcji marketingu stwierdzeniu, że klient nie kupuje produktu (czy usługi), lecz związaną z jego używaniem korzyść.

M.P.: *Wśród polskich przedsiębiorców panuje pogląd, że na kampanię promocyjną mogą pozwolić sobie jedynie organizacje w bardzo dobrej kondycji finansowej, o ugruntowanej pozycji na rynku...*

Ewa Szemborska: Fakt ten przesądza w wielu przypadkach o tym, że firma dysponująca produktem lub usługą o wysokiej jakości nie potrafi poinformować o tym konsumentów, ani też wpływać na ich zachowania rynkowe i tym samym skutecznie działać na rynku. Działalność promocyjna firmy ma szczególne znaczenie w przypadku, gdy organizacja oferuje usługi. Specyficzny, niematerialny charakter usług powoduje, że celem działań promocyjnych jest przede wszystkim nadanie usługom pewnych cech materialnych. Kolejną ich cechą jest nietrwałość, sprawiająca na przykład, że nie można ich składać w magazynie oczekując lepszych, korzystniejszych czasów.

M.P.: *W jaki sposób – zdaniem specjalisty – realizują podstawowe zasady marketingu polskie firmy?*

Ewa Szemborska: Sposób realizacji działań marketingowych zależy od rodzaju firmy. Trudno jednoznacznie określić stopień świadomości marketingowej wszystkich przedsiębiorstw funkcjonujących na polskim rynku, daje się jednakże zauważyć przełamywanie utartych do niedawna schematów traktujących marketing tylko w aspekcie reklamy i promocji. Zaznaczają się wyraźnie tendencje do stosowania wszystkich narzędzi marketingowych w tym również specjalistycznych badań rynku.

M.P.: *Teoretycy marketingu pochodzą z państw, w których marketing jest jedną z najistotniejszych dziedzin życia firm. Czy możemy czerpać wzorce z krajów zachodnich zważywszy, że sytuacja gospodarcza tych państw różni się znacznie od naszej?*

Ewa Szemborska: Faktycznie istnieje różnica w poziomie rynkowym oraz mentalności klientów.

Zadaniem polskich teoretyków i praktyków marketingu jest adaptacja sprawdzonych już na innych rynkach narzędzi marketingowych do polskich warunków gospodarczych i społecznych. Przeniesienie gotowych schematów jest niemożliwe.

M.P.: *W jaki sposób można nauczyć się praktycznie podstawowych zasad marketingu nie biorąc udziału w teoretycznych kursach licznie organizowanych przez szkoły biznesu czy spółki?*

Ewa Szemborska: Przede wszystkim przez obserwację rynku, kampanii promocyjnej prowadzonej przez firmy w środkach masowego przekazu oraz śledząc prasę lokalną jak i ogólnopolską – podpatrując jak radzą sobie inni. Kolejnym etapem powinno być wypróbowanie swych sił w podobnych poczynaniach pamiętając o tym, iż najlepiej uczyć się na cudzych błędach.

M.P.: *W swej pracy naukowej dużo uwagi poświęca Pani tematowi marketingu bankowego...*

Ewa Szemborska: Wiele lat temu bankierzy w niewielkim stopniu rozumieli marketing; można powiedzieć, że nie zwracali nań uwagi. Banki dostarczały potrzebnych usług, bankierzy nie musieli wspierać marketingowo takich czynności jak sprawdzanie rachunków, oszczędności, udzielanie pożyczek lub zakładanie depozytów. Bank był zbudowany na podobieństwo greckiej świątyni, co miało wzbudzać w klientach poczucie ważności i solidności. Wnętrze było proste, a obsługujący rzadko się uśmiechali. Pewien pracownik udzielający pożyczek tak urządził swoje biuro, aby przyszyły pożyczkobiorca siedział naprzeciw jego masywnego biurka na krześle niższym, niż jego własne. Okno w biurze mieściło się za plecami pracownika i promienie słoneczne mogły razić nieszczęśnika, który próbował w tym samym czasie wytłumaczyć dlaczego potrzebuje pożyczki. Taka była postawa banków przed erą marketingu.

Marketing dotarł do banków nie jako „konceptcja marketingu” lecz jako „konceptcja reklamy i promocji”. Banki stanęły przed wzrastającą konkurencją, którą stanowiły oszczędności konsumentów. Niektóre banki rozpoczęły duże kampanie reklamowe i agresywną promocję sprzedaży. Banki oferowały parasolki, radiodiodniki i inne prezenty

i przyciągnęły dzięki temu nowych klientów. Konkurencja w postaci innych banków była zmuszona przyjąć te same metody i pospieszyła korzystać z usług agencji reklamowych i ekspertów w dziedzinie promocji sprzedaży.

Banki, które jako pierwsze rozpoczęły reklamowanie się i stosowanie promocji sprzedaży wkrótce odkryły, że ich przewaga została zniwelowana przez naśladowców. Zorientowano się także, że przyciągnięcie nowych klientów jest prostą sprawą, natomiast uczynienie z nich klientów lojalnych jest o wiele trudniejsze. Banki te rozpoczęły tworzenie programów mających zadowolić klienta. Bankowcy nauczyli się uśmiechać. Kraty w okienkach zostały zdjęte. Wnętrze banku zostało zaprojektowane od nowa tak, aby wytworzyć miłą, przyjazną atmosferę. Banki, które zastosowały opisane powyżej metody zaczęły wyprzedzać swoich konkurentów w zdobywaniu nowych klientów. Konkurenci jednak szybko wprowadzili podobne programy: szkolenia jak być miłym dla klienta i zmiany w wystroju banku. Wkrótce potem banki były tak przyjazne, że cecha ta utraciła swoją pozycję decydującego czynnika przy wyborze banku.

Banki odkryły nową różnicującą cechę, gdy doszły do wniosku, że ich interes polega na zaspokajaniu zmieniających się potrzeb finansowych swoich klientów. Tą cechą jest innowacyjność. Zaczęto więc wprowadzać nowe usługi bankowe, takie jak karty kredytowe, plany Bożonarodzeniowego oszczędzania i automatyczne pożyczki bankowe. Dla przykładu Citibank oferuje dziś swoim klientom 350 różnych usług finansowych. Usługi te są jednak łatwe do skopiowania i koryzści płynące z ich wprowadzania są krótkotrwałe. Lecz jeśli bank stale inwestuje we wprowadzanie nowości, to może on być wciąż lepszy od innych banków.

Kiedy jednak wszystkie banki stosują reklamę, uśmiechają się do klienta i wprowadzają innowacje zaczynają się do siebie upodabniać. Zmuszone są więc do szukania nowych dróg wyróżnienia się, zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że żaden bank nie może zaoferować wszystkich usług i być najlepszym dla wszystkich poten-

cyjnych klientów. Bank musi dokonać wyboru. Musi określić swoje możliwości, wybrać „pozycję” na rynku. Planowanie to coś więcej niż tworzenie wizerunku. Bank tworząc wizerunek samego siebie dąży do przekonania klienta, iż jest potężny, przyjacielski lub skuteczny w działaniu. Często stosuje się symbole, np. lwa (Harris Bank w Chicago) lub kangura (Continental Bank w Chicago), aby podkreślić w wyraźny sposób swoją odrębność.

Istnieje również wyższy poziom koncepcji marketingu bankowego. Jest on związany z wprowadzeniem efektywnego systemu analizy marketingowej, planowania, realizacji i kontroli. Pewien potężny bank, który osiągnął duże umiejętności w reklamowaniu się, byciu przyjaznym, wprowadzaniu innowacji i plasowaniu się na rynku, odczuwał brak dobrych systemów planowania marketingowego i kontroli. W każdym roku finansowym pracownicy działu kredytów komercyjnych zmniejszali swoje roczne zadania o 10 procent w stosunku do roku poprzedniego. Jednocześnie prosili o zwiększenie swojego budżetu także o 10 procent. Nie towarzyszyło tym żądaniom żadne racjonalne uzasadnienie. Pewnego dnia jeden z pracowników działu kredytów, uważany za dobrego specjalistę, odszedł

na emeryturę i na to stanowisko przyszedł młodszy pracownik. Zwiększył on w następnym roku wielkość udzielonych pożyczek o 50 procent. Bank boleśnie przekonał się, że błędnie prowadził badania marketingowe, źle mierzył potencjał poszczególnych rynków, nieporadnie wprowadzał plany marketingowe, ustalał cele i określał formy nagradzania.

M.P.: *Jaka dewiza przyświeca Pani pracy naukowej?*

Ewa Szemborska: Podstawą marketingu jest obserwacja, opierająca się na analizie tego, co dzieje się nawet w najmniejszej firmie oraz wśród potencjalnych klientów. Osoba zajmująca się marketingiem w praktyce lub w teorii powinna więc mieć oczy szeroko otwarte na to co dzieje się na rynku i na tej podstawie próbować przewidzieć co stanie się w przyszłości. Jedną z zasad marketingu jest – klient ma prawo nie wiedzieć o tym, co robi konkurencja, jakie są korzyści z naszej oferty, o tym, czy cena odzwierciedla jakość. Takiego prawa nie ma „marketingowiec”, którego praca polega przede wszystkim na uważnej obserwacji rynku.

Opracowanie: **Magdalena Pokrzycka**

„Wolność (...) jest fundamentalnym warunkiem rozwoju gospodarki, czyli stałej poprawy ekonomicznych warunków życia ludzi.”

Leszek Balcerowicz, *Wolność i rozwój – Ekonomia wolnego rynku*

Lucyna Kujawa

Wiedza czy umiejętności? Rzecz o kształceniu obywatelskim w szkole

Moje refleksje będą dotyczyć aktualnej edukacji obywatelskiej w szkole – a więc tego co między innymi robię na co dzień. Nie będą to zresztą tylko moje refleksje. Dlatego, by uniknąć podejrzeń o nauczycielski autorytaryzm, przedstawię również opinię moich uczniów na powyższy temat.

Po co komu WOS?

Nie sposób przecenić znaczenia przedmiotu, aktualnie nazywanego wiedzą o społeczeństwie, dla budowania demokracji w naszym kraju. Jak wiadomo, ustrój ten jest stabilny w tych krajach, w których spełnione są cztery warunki:

- 1) społeczeństwo jest objęte powszechną edukacją;
- 2) sytuacja ekonomiczna jest ustabilizowana;
- 3) obywatele aktywnie uczestniczą w życiu politycznym;
- 4) istnieje społeczny *consensus* odnośnie podstawowych wartości, takich jak swoboda jednostkowe czy tolerancja.

Tenże przedmiot może przyczynić się do realizacji trzech z wymienionych warunków. Zależy to jednak od jego treści programowych, sposobu prowadzenia zajęć i atmosfery w szkole, a najwyżej chyba od samych nauczycieli tego przedmiotu. Niestety bywa tak, że tego przedmiotu uczy dwóch, a nawet trzech zupełnie przypadkowych nauczycieli – niektórzy traktują to jako karę. Najczęściej tym „wybrańcem” jest historyk. Najlepszym chyba wyjściem byłoby zatrudnienie absolwentów politologii, ale ci już w czasie praktyk studenckich wybrzydzą na szkołę. Mając do wyboru gazetę lub szkołę, zazwyczaj wybierają tę pierwszą, i gdy tylko zapomną o trudach nauczania chętnie piszą o konieczności położenia nacisku na obywatelskie kształcenie młodzieży. Na placu boju pozostaje zazwyczaj historyk – „wosowiec” (to przykład z radosnego słowotwórstwa moich uczniów). Wkład jego pracy w nauczanie tego przedmiotu jest nieporównywalnie większy niż w innych specjalnościach przedmiotowych, a to dlatego, że program nauczania obejmuje wiedzę interdyscyplinarną, a bieżące życie dodatkowo niesie nowe informacje.

Ambitne programy

Program według mnie jest zbyt rozbudowany w warstwie teoretycznej. Nastawiony na zdobywanie wiedzy socjologicznej i politycznej. Z dużą więc dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że dla znacznej części uczniów jest on i będzie po prostu nieatrakcyjny. Zgodnie z nim w ciągu jednego roku, uczeń ma omówić m.in. pojęcie i typy państw, struktury władzy w państwie, wybrane ustroje, prawa człowieka, ideologie polityczne, formy własności, politykę ekologiczną oraz aktualną sytuację polityczną w kraju. To naprawdę tylko niektóre punkty tego ambitnego programu. Problemy są często zbyt szczegółowe, a więc szybko ulegają dezaktualizacji. Tak przeciążony program zmusza nieustraszonego nauczyciela do „edukacyjnego galopu”. Kroku dotrzymują mu jedynie najzdolniejsi a „ogony” są długie. W przypadku jednych i drugich korzyści z nauczania tego przedmiotu są nikłe. Czy naprawdę konieczna jest perfekcyjna znajomość formuł typu: *opróżnienie urzędu prezydenta może nastąpić przed upływem kadencji wskutek (...) uznania przez Zgromadzenie Narodowe trwałej niezdolności do sprawowania urzędu ze względu na stan zdrowia większością co najmniej 3/5 głosów w obecności co najmniej połowy ogólnej liczby członków Zgromadzenia?* Nie sposób uczyć się tego w kraju, który jest w stadium galopującej transformacji legislacyjno-ustrojowej, a sama ustawa zasadnicza stoi, jak wiemy, pod znakiem zapytania.

Samospełniające się proroctwo

Jednym z celów do osiągnięcia w ciągu jednego roku jest, jak podają programy nauczania, wykształcenie u ucznia umiejętności podejmowania samodzielnych decyzji co do określenia swego miejsca w otaczającej go rzeczywistości. Tak postawiony cel to nic innego jak samo spełniające się proroctwo – cel zostanie zrealizowany na pewno, bo młody człowiek określi swoje miejsce w rzeczywistości tak czy inaczej. Zatem są one niedookreślone. Skazują więc całe nauczanie na rozminięciu z potrzebami i oczekiwaniami młodzieży.

Poza tym można by się zastanowić nad pewną niekonsekwencją w układzie godzin WOS-u. Skoro uczeń ósmej klasy jest na tyle dojrzały, żeby go kształcić na obywatela, to dlaczego w szkole średniej musi ponownie dojrzewać do tego przez trzy lata. W klasie maturalnej przestraszonego *homo scholarusa* znowu kreuje się na super obywatela. I tutaj znowu dygresja. Czy przez jeden rok w czwartej klasie da się odwrócić pewien proces przedmiotowego traktowania naszego ucznia – podmiotu kształcenia, a co za tym idzie, niewolenia jego umysłu? Wbrew pozorom do niewoli przywyka się łatwo, a wolność jest rzeczą trudną. Zmusza do odpowiedzialności, myślenia i działania. „Zniewolony” umysł dobrze się czuje, gdy inni myślą i decydują za niego. Zakrawa na kpinę uczenie młodzieży demokracji, gdy **szkoła tkwi w strukturach prawie feudalnych, a nauczyciele często dowartościowują się władzą nad uczniami** (zastrzegam, że nie dotyczy to szkoły, w której pracuję). W takich warunkach trudno kształtować u młodzieży poczucie odpowiedzialności za własne decyzje i za własne życie. Tego nie można nikomu narzucić ani nauczyć. Doświadczenia społeczeństw, w których ludzie są za siebie odpowiedzialni, wykazuje, że to poczucie kształtuje się powoli, przede wszystkim pod wpływem warunków gospodarczych, w których każdy człowiek sam musi dokonywać wyboru między zamoż-

nością a biedą. Niewątpliwie kształtuje się ono również pod wpływem doświadczania wolności, uświadamiania sobie swoich własnych praw i domagania się, by były one respektowane. Najlepszym do tego miejscem byłaby szkoła, ale niestety zazwyczaj nie jest.

Wiedza czy umiejętności

Istnieje więc konieczność przesunięcia akcentu ze zdobywania wiedzy na aktywne uczestnictwo w życiu publicznym lub przynajmniej jego symulację. Może to być udział w posiedzeniach samorządu lokalnego, spotkanie z maklerem giełdy, prawnikiem czy człowiekiem biznesu. Uniknie się wtedy teoretyzowania bez odniesień praktycznych. Inną formą może być przygotowanie w klasie tekstu konstytucji lub deklaracji praw człowieka. Zacząć można od próby stworzenia nowego kodeksu praw uczniowskich i podjęcia negocjacji z nauczycielami i dyrekcją, w celu wypracowania wspólnego stanowiska. To idealna sytuacja do obdarzenia młodego człowieka narzędziami, tak by aktywnie w przyszłości mógł się włączyć do życia publicznego.

Wydaje mi się, że dobre efekty przyniosłoby wprowadzenie korelacji pomiędzy WOS-em a wprowadzanym w niektórych szkołach przedmiotem pod nazwą „przedsiębiorczość”. Ten jednak, żeby było ciekawiej, prowadzony jest przez pierwsze lata szkoły średniej. Uczniowie nabywają tam m.in. prostych ale jakże przydatnych w życiu umiejętności, takich jak: wypełnianie zeznań podatkowych, pisanie podań, odwołań czy życiorysów. Innym argumentem przemawiającym na rzecz porzucenia nadętych programów jest brak podręczników do tego przedmiotu, chociaż raz po raz ukazuje się to i owo. Jeśli uczeń ma zdobywać wiedzę, to musi uczynić to w sposób usystematyzowany. Podręczniki lub inne materiały powinny dać mu możliwość jej ugruntowania. Inaczej cel nie zostanie zrealizowany w dostatecznym stopniu. Bywa i tak, że brak konkretnych materiałów jest dla nauczyciela twórczym natchnieniem, niekiedy jednak taka możliwość niektórych obezwładnia, a czasami wręcz paraliżuje. Zawsze nakłada obowiązek dodatkowej pracy i sprostania nowym wymaganiom.

W tym miejscu przychodzi mi do głowy kolejna refleksja. Jako nauczycielka historii i WOS-u przygotowuję uczniów nie tylko do egzaminu maturalnego, ale również do egzaminów wstępnych na prawo, politologię i historię. Tam właśnie wymagana jest znajomość tzw. elementów wiedzy o społeczeństwie.

Obezwładnia mnie brak jakiegokolwiek korelacji pomiędzy programem nauczania WOS-u a egzaminacyjnymi wymaganiami. Egzamin ma najczęściej formę testu, w którym się pyta o zupełnie nieistotne szczegóły. Legendą już obrosło pytanie o zwierzę symbolizujące partię Clintona, podczas kampanii wyborczej (ciekawskim podaję, że chodziło o osła). Porównując testy z kilku naszych uczelni (Warszawa, Poznań, Kraków, Lublin) z przykrością muszę stwierdzić, że twórcza inwencja pracowników naukowych z UMCS przerasta pozostałych. A więc wiedza czy umiejętności? Stawia to nauczyciela w przysłowiowej pozycji – pomiędzy młotem a kowadłem. Uczniom natomiast burzy wpajany przez rok porządek.

Co na to uczniowie?

Pora więc na przytoczenie opinii na temat WOS-u i programu jego nauczania. Użyłam je na podstawie wypełnionych przez nich tzw. ankiet sondażowych oraz wielu

wspólnych rozmów na ten temat. Zdecydowana większość uczniowska uznała, że przedmiot jest potrzebny, ale pod warunkiem, że treści programu będą dostosowane do realiów dzisiejszej i najbliższej przyszłości oraz do zainteresowań młodzieży. Przedmiot ten, w ich opinii, powinien spełniać różnorakie funkcje. Najczęściej powtarzane było: wyrobienie własnych poglądów społeczno-politycznych oraz zrozumienie podstawowych problemów współczesnego świata. Młodzież czuje się zdezorientowana w natłoku informacji i wydarzeń. Stąd oczekuje od leksji WOS-u, aby pomogły jej w zrozumieniu podstawowych spraw dotyczących społeczeństwa i kraju. Najbardziej młodzież interesują wydarzenia dnia dzisiejszego, mechanizmy rządzące polityką, funkcjonowanie systemów politycznych i ekonomicznych, problem władzy i jej sprawowania, umiejętność podejmowania racjonalizowanych decyzji w danej sytuacji. Najczęściej powtarzające się uwagi dotyczyły przeteoretyzowania programu wiedzą o polityce i braku odniesień do konkretnych sytuacji życiowych. Krytycznie oceniono również odwoływanie się do przeszłości, nawet tej stosunkowo bliskiej. Przedmiot ten na szczęście nie kojarzy się młodzieży z próbą jakiegokolwiek indoktrynacji. Najbardziej pożądaną metodą na lekcji jest dyskusja, która daje według nich możliwość kształtowania i wymiany poglądów. Na lekcjach mile widziani są przedstawiciele władz samorządowych, partii politycznych czy ludzi biznesu. Lekcje wówczas są bardziej atrakcyjne i nie nudzą – jak podkreślają uczniowie w swoich wypowiedziach. Ogromną rolę w tych zmaganiach przypisują nauczycielowi. Oczekują od niego orientacji w aktualnych wydarzeniach i szerokiej wiedzy z różnych dziedzin. Nazwa tego przedmiotu jest dla większości bez znaczenia.

Zdobywana wiedza powinna służyć celom praktycznym, to jest umiejętnościom podejmowania decyzji i dokonywania wyborów jednostki w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym. Bowiem właśnie od jednostki, jej przedsiębiorczości, samodzielności i niekonwencjonalnego myślenia zależeć będzie rozwój społeczeństwa. Upragniony „powrót do Europy” nigdy się nie ziści, jeżeli będzie oznaczać integrację jedynie w sferze instytucjonalnej. Musi to być również „powrót” w sferze świadomości obywatelskiej.

„Być wolnym, to znaczy dysponować i swobodnie, zgodnie z własnym sumieniem, kierować własną osobą, działaniem, majątkiem, całą swą własnością z przyzwoleniem prawa, któremu się podlega, nie być więc poddanym czyjejs arbitralnej woli, ale kierować się bez przeszkód własną wolą.”

John Locke, *Dwa traktaty o rządzie*

**Janusz Maleska
Zbigniew Smutek**

Projekt autorskiego programu nauczania przedmiotu „Wiedza o społeczeństwie”*

Wstęp

Niniejszy projekt powstał w wyniku zniecierpliwienia przedłużającym się oczekiwaniem na wprowadzenie nowego przedmiotu – „Kształcenie obywatelskie”.

Procesy gwałtownie zachodzących w Polsce przemian społecznych, politycznych i ekonomicznych dobitnie ujawniają potrzebę zmodernizowania szeroko rozumianej edukacji obywatelskiej. Skomplikowany charakter tych przemian, brak zrozumienia ich istoty i potrzeby, sprawia, że 60% Polaków deklaruje apolityczność, a 2/3 obywateli naszego kraju nie bierze udziału w życiu społeczno-politycznym państwa. Na taki stan rzeczy nakładają się także nawyki z minionych dziesięcioleci: bierność i brak zaangażowania, „syndrom antypaństwowy”, „wyuczona bezradność” itp. Jeżeli dodatkowo uwzględnimy złożone problemy polskiej sceny politycznej, to mamy pełny obraz braków w edukacji obywatelskiej praktycznie całego polskiego społeczeństwa.

Dążąc do zbudowania w przyszłości państwa prawa, opartego na społeczeństwie obywatelskim, konieczne jest podjęcie długofalowych i wielopłaszczyznowych działań obejmujących wszystkie dziedziny życia szkoły, w kierunku edukacji obywatelskiej młodzieży.

Opracowany przez nas program ma być jednym z ogniw tak rozumianego procesu wychowania. Dobór treści, kładący szczególny nacisk na problematykę społeczną, służyć ma realizacji celu nadrzędnego, jakim jest przygotowanie jednostki do życia w społeczeństwie obywatelskim.

Niniejszy projekt opracowaliśmy uwzględniając minimum programowe oraz na podstawie programu nowego przedmiotu „Kształcenie obywatelskie” zredagowanego przez zespół przy Departamencie Kształcenia Nauczycieli Ministerstwa Edukacji Narodowej. Uwzględniliśmy także założenia programów edukacyjnych wdrażanych do szkół średnich przez Fundację im. Stefana Batorego. Pomocne okazały się również dotychczasowe doświadczenia pedagogiczne.

Nauczanie „Wiedzy o społeczeństwie” wymagać będzie korelacji z innymi przedmiotami np. przysposobienie obronne (współczesne zagrożenia, obowiązek obrony kraju), historia (zmiany w Polsce i świecie po II wojnie światowej), religia (nauka społeczna Kościoła), geografia, ekonomia, ochrona środowiska, itp.

Dostrzegamy także potrzebę uzupełnienia realizacji tego programu o zajęcia pozalekcyjne takie jak: Koło Edukacji Obywatelskiej, Koło Debat Szkolnych, Program „Młodzi

Przedsiębiorcy”, Samorząd Szkolny, itp. Duże możliwości widzimy we współpracy z Wydziałem Politologii UMCS, Fundacją Rozwoju Demokracji Lokalnej, Kołem UNESCO, Fundacją im. Stefana Batorego, lubelskimi politykami.

Zgodnie z programem dla szkół średnich przedmiot „Wiedza o społeczeństwie” będzie realizowany w wymiarze 2 godzin lekcyjnych tygodniowo w ostatnim roku nauczania w liceum ogólnokształcącym. W sumie na realizację opracowanego przez nas programu przewidujemy około 55 godzin.

Cele przedmiotu

1. Cele poznawcze.

Uczniowie po zakończeniu nauki powinni zdobyć wiedzę związaną z:

– podstawowymi mechanizmami regulującymi życie jednostki w grupach i zbiorowościach społecznych.

– zasadami funkcjonowania demokratycznego państwa prawa.

– społeczno-politycznymi i ekonomicznymi podstawami funkcjonowania państwa.

– ideą społeczeństwa obywatelskiego i otwartego (na gruncie Polski)

– aktualnymi i przyszłymi powiązaniem Polski ze strukturami międzynarodowymi takimi jak: ONZ, NATO, UE, OBWE.

– klasyfikacją problemów współczesnego świata zwłaszcza dotyczących zagrożeń środowiska naturalnego.

Uczniowie powinni rozumieć:

– cechy nowoczesnej, konkurencyjnej gospodarki rynkowej.

– organizację i funkcjonowanie ważniejszych instytucji państwa polskiego.

– nieuchronność procesów integracyjnych Polski.

2. Cele kształcące.

Uczniowie powinni umieć:

– świadomie i selektywnie korzystać z bogatego strumienia informacji oraz samodzielnie je zdobywać.

– krytycznie oceniać otaczającą rzeczywistość.

– samodzielnie formułować i bronić swoich poglądów.

– współlistnieć i współdziałać w grupie społecznej.

– samodzielnie podejmować przemyślane decyzje dotyczące problemów obywatelskich.

– właściwie korzystać z przysługujących praw i demokratycznych procedur w rozwiązywaniu konfliktów.

– rzetelnie wypełniać powinności obywatelskie.

– skutecznie załatwiać swoje sprawy w urzędach i innych instytucjach publicznych.

– w ramach szeroko rozumianej przedsiębiorczości skutecznie zadbać o własne interesy ekonomiczne z uwzględnieniem dobra publicznego.

3. Cele wychowawcze.

Efektom nauczania powinno być wykształcenie u ucznia:

– potrzeby poszanowania prawa i prawdy.

– postawy tolerancji oraz otwartości na argumenty innych osób.

- świadomości związku własnych interesów z dobrem publicznym.
- aktywności społecznej i obywatelskiej zwłaszcza wrażliwości wobec przykładów patologii społecznej.
- poczucia odpowiedzialności za funkcjonowanie zbiorowości, do której należymy, od rodziny, poprzez szkołę, aż do Państwa.

Sposoby realizacji:

Specyfika przedmiotu wymaga zaangażowania i współuczestniczenia ucznia w procesie nauczania. Proponujemy więc zwiększyć zakres metod aktywizujących takich jak:

- dyskusja, dyskusja panelowa, dyskusja punktowana.
- „burza mózgów”, analiza argumentów.
- debaty szkolne (nowy program wdrażany do szkół przez Fundację im. Stefana Batorego).
- wywiad.
- stawianie i rozwiązywanie problemów.
- podejmowanie decyzji metodą „drzewa decyzyjnego”.
- inscenizacje, gry dydaktyczne, drama.
- ćwiczenia (pisanie skarg, petycji; „zakładanie” partii, związków zawodowych, stowarzyszeń; wypełnianie deklaracji podatkowej).
- spotkania z politykami, prawnikami, ludźmi biznesu, itp.
- seminaria popularnonaukowe.
- wycieczki (Rada Miejska, Sądy, Parlament, Giełda Papierów Wartościowych, itp.)

Treści kształcenia

1. Spoleczeństwo. (14 godzin)

a. Człowiek jako istota społeczna.

- koncepcje relacji jednostka – społeczeństwo.
- czynniki determinujące życie społeczne.

b. Pojęcie zbiorowości społecznej.

- zbiór społeczny a zbiorowość społeczna.
- więzi społeczne.
- pojęcie i typologia grup społecznych.

c. Rodzina jako podstawowa grupa społeczna.

- funkcje rodziny.
- siły wiążące rodzinę.
- rodzina w świetle obowiązującego prawa.

d. Duże zbiorowości społeczne.

- środowisko lokalne.
- naród i świadomość narodowa.

e. Mechanizmy regulujące stosunki społeczne.

- psychologiczne podstawy stosunków międzyludzkich.
- normy regulujące życie społeczne.
- ład społeczny.
- prawo.

f. Zakłócenia w relacjach jednostka – społeczeństwo.

- patologie społeczne.
- bierność społeczna.
- niedostosowanie społeczne.
- g. Proces socjalizacji a wypełnianie ról społecznych.
 - pojęcie socjalizacji.
 - uwarunkowania środowiskowe i motywacyjne procesu socjalizacji.
 - metody socjalizacji.
 - role społeczne.
- h. Stratyfikacja społeczna.
 - koncepcje podziału społeczeństwa.
 - zmiany struktury społeczeństwa w Polsce w II połowie XX w.
- i. Kultura jako nieodłączny element życia społecznego.
 - pojęcie kultury.
 - typy kultury.
 - *Kultura narodowa a kultura masowa i alternatywna – konflikt czy przenikanie?*
- 2. Państwo jako społeczność polityczna. (11 godzin)
 - a. Państwo.
 - geneza i pojęcie państwa.
 - atrybuty państwa.
 - współczesne systemy polityczne.
 - b. Władza jako zjawisko społeczne.
 - pojęcie i modele władzy.
 - struktura władzy.
 - problemy legitymizacji władzy.
 - patologie władzy.
 - c. System demokratyczny.
 - geneza i rozwój demokracji.
 - formy demokracji.
 - monteskiuszowski trójpodział władzy.
 - prawa człowieka (geneza praw człowieka, międzynarodowy system ochrony, poza-rządowe organizacje ochrony praw człowieka).
 - prawo i praworządność.
 - zagrożenia systemu demokratycznego (totalitaryzm, autokratyzm, demokracja narzucona, nietolerancja, anarchia).
 - Prawo obywatelskiego nieposłuszeństwa – demokracja czy anarchia?
 - współczesne koncepcje demokracji.
 - „Demokracja jest najgorszym z możliwych ustrojów, tylko że lepszego nikt nie wymyślił”.
- 3. Ustrój polityczny współczesnej Polski. (12 godzin)
 - a. Transformacja ustrojowa w Polsce po 1989 roku.
 - od Konstytucji 3 Maja do Małej Konstytucji.
 - prace nad projektem konstytucji.
 - konstytucja jako nadrzędny akt normatywny państwa.
 - b. Struktura organów władzy.

- władza ustawodawcza.
 - władza wykonawcza.
 - system wymiaru sprawiedliwości.
 - organy kontroli i ochrony prawnej.
 - c. Samorząd terytorialny.
 - struktura.
 - kompetencje.
 - szanse i zagrożenia.
 - d. Ochrona praw człowieka w Polsce.
 - geneza.
 - ratyfikacje międzynarodowych dokumentów dotyczących ochrony praw człowieka.
 - instytucje ochrony praw człowieka w Polsce.
 - e. Partie polityczne w Polsce.
 - geneza partii politycznych.
 - klasyfikacja partii.
 - współczesna panorama partii politycznych w Polsce.
 - f. Specyfika walki politycznej polskiego systemu demokratycznego.
 - wybory, referendum.
 - rola mediów w walce politycznej.
 - g. Społeczeństwo obywatelskie.
 - geneza.
 - czynniki warunkujące funkcjonowanie społeczeństwa obywatelskiego.
 - instytucje i organizacje charakterystyczne dla społeczeństwa obywatelskiego.
- Społeczeństwo obywatelskie w Polsce – utopia czy realna perspektywa?*
- szkoła – miniatura społeczeństwa obywatelskiego.
4. Przemiany ekonomiczne w Polsce po 1989 roku. (5 godzin)
- a. Cechy gospodarki rynkowej.
 - b. Formy własności w gospodarce rynkowej.
 - pojęcie własności.
 - typy własności.
 - przekształcenia własnościowe w Polsce.
 - c. Budżet jako podstawa funkcjonowania państwa.
 - źródła finansowania budżetu.
 - podatki jako główne źródło dochodów budżetowych.
 - płacenie podatków – czy zło i czy konieczne?
 - struktura wydatków budżetowych.
 - budżet domowy – praktyczna lekcja ekonomii.
 - d. Bariery przemian ekonomicznych w Polsce.
 - dziedzictwo po gospodarce centralnie zarządzanej.
 - bariery psychologiczne i społeczne.
5. Miejsce Polski w świecie współczesnym. (4 godziny)
- a. Polska racja stanu.
 - kierunki polskiej polityki zagranicznej.
 - stosunki z sąsiadami.

b. Procesy integracyjne.

- integracja gospodarcza z Unią Europejską.
- integracja polityczna w ramach Rady Europy.
- integracja militarna z NATO.

c. Polska w systemie Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- struktura ONZ.
- udział Polski w pracach ONZ.
- miejsce Polski w europejskim systemie bezpieczeństwa i współpracy.
- czy procesy integracyjne zagrażają suwerenności państwa polskiego?

6. Wybrane problemy współczesnego świata. (4 godziny).

a. Konflikty zbrojne.

- przyczyny współczesnych konfliktów zbrojnych.
- potencjalne zagrożenia eskalacji konfliktów.

b. Konsekwencje podziału świata na „biedne południe” i „bogatą północ”.

c. Degradacja środowiska naturalnego.

- źródła zagrożeń.
- różnorodność form działania na rzecz ochrony środowiska.
- *Zrewanżuj się naturze – mój wkład w ochronę środowiska.*

7. Godziny do dyspozycji nauczyciela. (5 godzin)

a. Powtórzenia i sprawdziany.

b. Omawianie aktualnych wydarzeń.

Tematy zaznaczone kursywą są przeznaczone do realizacji w formie dyskusji lub debaty.

Bibliografia:

A. Ajcnenkiel, *Polskie konstytucje*. Warszawa 1991.*

M. Argyle, *Psychologia stosunków międzyludzkich*. Warszawa 1991.

P. L. Berger, *Zaproszenie do socjologii*. Warszawa 1988.

Co nam zostało z tych lat. Społeczeństwo polskie u progu zmiany systemowej, pod red. M. Marody, Londyn 1991.

P. Dembiński, *Gospodarka rynkowa dla każdego*, Warszawa 1992.

Ekonomia stosowana, Warszawa 1994.

Elementarne zagadnienia ekonomii, red. R. Milewski, Warszawa 1994.

Encyklopedia ONZ, Warszawa 1974.

D. W. Johnson, *Umiejętności interpersonalne i samorealizacja*, Warszawa 1985.

A. Kloskowska, *Kultura masowa*, Warszawa 1983.

A. Kloskowska, *Wiedza o kulturze*, Wrocław 1991.

T. Kocowski, *Potrzeby człowieka; Koncepcja systemowa*, Wrocław 1982.

Kompendium wiedzy o społeczeństwie, państwie i prawie, red. M. Zmierczak i S. Wronkowska, Warszawa 1993.

S. Kosiński, *Socjologia. Zagadnienia podstawowe*, Warszawa 1989.

S. Kowalski, *Socjologia wychowawcza w zarysie*, Warszawa 1976.

M. Król, *Słownik demokracji*, Warszawa 1991.

W. T. Kulesza, *Ideologie naszych czasów*, Warszawa 1991.

R. Kuźniar, *O prawach człowieka*, Warszawa 1992.

W. Lamentowicz, *Państwo współczesne*, Warszawa 1993.

A. Masłowski, *Motywacja a osobowość*, Warszawa 1990.

J. Mikołajewicz, *Wiedza o życiu w społeczeństwie*, Warszawa 1992.

R. Mojak, W. Tekely, A. Wrzyszczyk, *Historia najnowsza oraz wiedza o społeczeństwie, Polsce i świecie współczesnym, wybrane zagadnienia dla kandydatów na studia prawnicze*, Lublin 1993.

- Nauka o polityce*, red. A. Bodnar, Warszawa 1984.
- Osobowość a społeczne zachowanie się ludzi*, red. J. Reykowski, Warszawa 1980.
- S. Ossowski, *O strukturze społeczeństwa*, Warszawa 1982.
- S. Ossowski, *Dzieła*, Warszawa 1967.
- J. Pilikowski, *Wiedza obywatelska – podstawowe wiadomości o państwie, społeczeństwie i polityce*, Kraków 1992.
- Projekt programu nauczania Kształcenia Obywatelskiego*, Warszawa 1993.
- Z. Resich, *Międzynarodowa ochrona praw człowieka*, Warszawa 1981.
- F. Ryszka, *Nauka o polityce. Rozważania metodologiczne*, Warszawa 1984.
- Z. Skotny, *Proces socjalizacji dzieci i młodzieży*, Warszawa 1977.
- J. Szczepański, *Elementarne pojęcia socjologii*, Warszawa 1970.
- R. Tokarczyk, *Współczesne doktryny polityczne*, Lublin 1978.
- H. Tomalska, *Wiedza o społeczeństwie*, Warszawa 1992.
- J. Turowski, *Spółczesność. Wielkie struktury społeczne*, Lublin 1994.
- J. Turowski, *Spółczesność. Małe struktury społeczne*, Lublin 1993.
- G. Ulicka, *Demokracje zachodnie*, Warszawa 1992.
- Wiedza o kulturze*, Warszawa 1993.
- P. Winczorek, J. Majchrowski, *Ustrój państwowy Rzeczypospolitej Polskiej*, Warszawa 1993.
- K. A. Wojtaszczyk, *Współczesne systemy partyjne*, Warszawa 1992.
- K. A. Wojtaszczyk, *Współczesne systemy polityczne*, Warszawa 1992.
- Wybór tekstów pomocniczych dla nauczycieli Kształcenia Obywatelskiego*, Warszawa 1993.

Metodyka:

- R. J. Arends, *Uczymy się uczyć*, Warszawa 1994.
- Dydaktyka historii*, pod red. Cz. Majora, J. Maternicki, A. Suchoński, Warszawa 1994.
- M. Giermakowski, *ABC młodego nauczyciela historii i wiedzy o społeczeństwie*, Lublin 1991.
- K. Kruszewski, *Sztuka nauczania*, Warszawa 1991.
- Cz. Kupisiewicz, *Podstawy dydaktyki ogólnej*, Warszawa 1988.
- T. Lelowicki, *Indywidualizacja kształcenia. Dydaktyka Różnicowa*, Warszawa 1977.
- M. Łobocki, *Współdziałalność uczniów w procesie dydaktyczno-wychowawczym*, Warszawa 1975.
- W. Okoń, *Wprowadzenie do dydaktyki ogólnej*, Warszawa 1987.
- M. Śnieżyński, *Nauczanie aktywizujące*, Kraków 1984.
- Program Kształcenia Obywatelskiego. Przykłady scenariuszy lekcji*, Warszawa 1993.

Pragniemy podziękować panu dr. M. Giermakowskiemu (WOM) za cenne uwagi i sugestie dotyczące konstrukcji naszego programu.

Autorzy

* Podkreślono pozycje godne polecenia uczniom.

Wyборы i decyzje'97

- debata parlamentarna z politykami regionu lubelskiego

Materiał przedstawiony poniżej jest owocem wielomiesięcznej pracy redaktorów kwartalnika „Scriptores Scholarum”. Drukowane wypowiedzi zostały zarejestrowane podczas licznych spotkań redakcji z politykami, które odbywały się w lokalach sztabów wyborczych poszczególnych partii [Ryszard Faszyński (UP), Izabela Sierakowska (SLD), Wiesław Tkaczyk (UW) oraz Wojciech Wardawy (AWS)] oraz na promocji 14. jubileuszowego numeru naszego czasopisma, gdzie odbyła się debata frakcji młodych kilku ugrupowań [Krzysztof Dudziński (ROP) oraz Tomasz Gnyś (UPR) Michał Szubartowski (UP)]. Przygotowując poniższą debatę wzięliśmy pod uwagę jedynie te ugrupowania polityczne, które naszym zdaniem liczą się na scenie politycznej, zwłaszcza wśród młodego elektoratu. Poza tym nie wszystkie partie odpowiedziały na nasze zaproszenie i prośbę o spotkanie; nie do wszystkich udało nam się dotrzeć...

Żyjemy w społeczeństwie demokratycznym i każdy w nim ma prawo do prezentowania swoich poglądów, jeśli oczywiście mieszczą się one w ramach obowiązującego prawa, elementarnych zasad moralnych i dobrego smaku. „Scriptores Scholarum” mają charakter pluralistyczny, i chociaż najbliższe są nam wypowiedzi polityków wywodzących się z postsolidarnościowej opozycji, to do głosu dopuściliśmy również tych, z którymi się nie zgadzamy, a nawet tych, których poglądy i postawy są nam zupełnie obce (a nawet zdają się przekraczać ów dobry smak)... Jako redakcję „Scriptores” interesowały nas przede wszystkim sprawy nam najbliższe, a więc kwestie samorządowe, regionalne, kulturalne i oświatowe. Niestety kilku uczestników debaty, z przyczyn dla nas niezrozumiałych, nie chcieli zabierać głosu w niektórych kwestiach. Chcielibyśmy również zaznaczyć, że główną przyczyną prezentacji poniższych wypowiedzi nie była trwająca kampania wyborcza, lecz cel edukacyjny – potrzeba zachęcenia naszych czytelników do świadomego i roztropnego uczestnictwa w wyborach parlamentarnych, wszak wielu z nich weźmie w nich udział po raz pierwszy... Może ta debata będzie im pomocna w mądrym wyborze?

Redakcja

1. podstawy programowe

Wiesław Tkaczyk* (Unia Wolności): Podstawy programowe UW to dobry ustrój dla wolnej Polski, niskie, stabilne i proste podatki, szybszy rozwój gospodarczy, bezpieczniejsze pań-

stwo i bezpieczny obywatel oraz silna i stabilna Polska w zmieniającym się świecie.

Michał Szubartowski* (Unia Pracy): U podstaw filozoficznych tego, co robimy, co planujemy, znajduje się socjalizm i nie ukrywamy tego, że jesteśmy socjalistami, socjaldemokratami –

* **Wiesław Tkaczyk** – lat 43; socjolog; w latach 1987-92 pracownik naukowy KUL; specjalista od spraw stosunków międzynarodowych, autor wielu publikacji z zakresu współpracy międzynarodowej, zaangażowany w proces integracji Polski z Unią Europejską; obecnie członek Międzynarodowej Komisji Praw Człowieka w Rzymie, Pełnomocnik Prezydenta Miasta Lublina ds. niepełnosprawnych i przewodniczący Unii Wolności regionu lubelskiego.

* **Michał Szubartowski** – lat 20; od urodzenia mieszkaniec Lublina; absolwent III LO im. Unii Lubelskiej, student drugiego roku politologii UMCS; w Unii Pracy od marca 1996 roku; członek Rady Okręgowej UP i sekretarz Koła Młodych oraz Forum Młodych UP w Lublinie.

te pojęcia stosujemy wymiennie. Związani jesteśmy również z liberalną filozofią społeczną oświecenia. Socjalizm jest doktryną pokrewną liberalizmowi, pewną jego modyfikacją. Zarówno jedna jak i druga doktryna głosi, że ład społeczny oparty na wolnym rynku i własności prywatnej jest najlepszy z możliwych. Socjalizm odrzuca jednak liberalną wiarę w spontaniczny ład społeczny, ponieważ powoduje to, że silni stają się coraz silniejsi, a słabi coraz słabszymi. Dlatego właśnie socjaliści i socjaldemokraci wysuwają program korekty ustroju wolnorynkowego w kierunku niwelowania nierówności społecznych. Pogłębianie tych różnic może prowadzić do wybuchu rewolucji, a w dalszej konsekwencji do anarchii lub totalitaryzmu. Toteż państwo w pewnym stopniu musi korygować i ingerować w ustrój wolnorynkowy dla dobra obywateli.

Wojciech Wardawy* (AWS): U podstaw programowych AWS leżą zasady chrześcijańskiej nauki społecznej. Politykę traktujemy nie jako grę sił, walkę o władzę i jej sprawowanie, lecz jako roztropną troskę o wspólne dobro i jako taką chcemy i będziemy ją realizować. Trzeba tu wspomnieć także o naszych tradycjach państwowych i narodowych. Nie wstydzimy się ich, nie wyrzekamy, to właśnie patriotyzm, duma i odpowiedzialność z bycia Polakiem jest źródłem naszej siły. W oparciu o te wartości, tj. patriotyzm, poszanowanie tradycji (także chrześcijańskiej), narodu i państwa, solidarność społeczną będziemy budować nowoczesną Polskę, na miarę wyzwań i potrzeb XXI wieku. Wierzymy, że silne i bezpieczne państwo polskie będzie nie klientem, ale równorzędnym partnerem dla NATO czy UE.

Krzysztof Dudziński* (Ruch Odbudowy Polski): ROP jest młodą partią, w której ścierają się trzy nurty: narodowy – odwołujący się do przedwojennych koncepcji endeckich, chrześcijańsko-

demokratyczny i konserwatywny. Wszystkie łączą nawiązanie do Katolickiej Nauki Społecznej, oparcie na wartościach i etyce chrześcijańskiej. Łączy nas rozumienie państwa, jako wspólnoty obywateli, która dąży ku wspólnemu pożytkowi i połączona jest prawem. Prawo można rozumieć w dwóch aspektach: prawo naturalne i prawo stanowione. Zakładamy wyższość prawa naturalnego, które wywodzi się z Dekalogu i Ewangelii. Jest to prawo moralne, które pozwala nam sprzeciwić się złym prawom ustanowionym (których przykładem w historii było ustawodawstwo III Rzeszy i Związku Radzieckiego, gdzie dominacja prawa stanowionego prowadziła do powstania państw totalitarnych). To utwierdza nas w przekonaniu, że w polityce powinny być obecne wartości i zasady wypływające z etyki chrześcijańskiej jako ogólnoludzkiego dziedzictwa kulturowego. Zasady te nie mogą być tylko wpisane w pewne dokumenty, tylko powinny je nieść konkretne osoby.

Tomasz Gnyś* (UPR): Doceniam znaczenie filozofii, ponieważ zajmuje się ona tak ważnymi zagadnieniami jak miejsca człowieka w świecie, możliwości poznawcze człowieka. Jako człowiek o poglądach prawicowych znajduję odniesienie do nich w religii katolickiej i nauce Kościoła. Religia pozwala odpowiedzieć sobie na pytania dotyczące celu życia, czy wspomnianych możliwości poznawczych. Określając wizję człowieka i świata, wskazuje również na pewną koncepcję wolności. Jako UPR odwołujemy się do wolności widzianej przez pryzmat jej nierozdzielności z odpowiedzialnością i taką koncepcję propagujemy. Domagamy się z tego powodu obecności kary śmierci w polskim prawie, ponieważ człowiek popełniający najcięższą zbrodnię musi za to ponieść surową karę. Wspomniana podstawa religijna i koncepcja wolności stanowi dla mnie odniesienie do działalności

* **Wojciech Wardawy** – lat 32; rzecznik Prasowy Sztabu Wyborczego Akcji Wyborczej Solidarność Regionu Środkowo-Wschodniego.

* **Krzysztof Dudziński** – lat 25; student prawa UMCS, obecnie rzecznik prasowy lubelskiego ROP-u, członek władz krajowych Federacji Młodych ROP oraz komisji kontaktów zagranicznych Polskiej Rady Młodzieży.

* **Tomasz Gnyś** – 21 lat; student trzeciego roku Wydziału Politologii UMCS; członek Unii Polityki Realnej.

politycznej i idei konserwatywnego liberalizmu, do którego odwołuje się UPR. Z jednej strony broniemy konserwatywnych zasad: takich pojęć jak: Prawda, Honor, podstaw naszej cywilizacji chrześcijańskiej – greckiego umiłowania Prawdy, rzymskiego Prawa, wiary chrześcijańskiej, łącząc to z postulatami wolnego rynku, nieingerowania państwa w gospodarkę, koncepcji państwa minimum. UPR opowiada się również za wyższością prawa naturalnego nad stanowionym, ponieważ chroni to przed nadużywaniem władzy państwowej. Prawo stanowione bywało usprawiedliwieniem dla działalności władz państwowych w państwach totalitarnych.

2. samorząd lokalny

Izabella Sierakowska* (SLD): W ciągu ostatnich czterech lat zarówno Lublin jak i województwo lubelskie bardzo się zmieniły. Województwo znajduje się w czołówce naszego kraju, jeżeli chodzi o tempo rozwoju gospodarczego. Wszelkiego rodzaju problemy związane z gospodarką przebiegają u nas na ogół spokojnie. Właściwie tylko jeden zakład pracy w województwie, „Eda” Ponia-towa, przeżywa poważny kryzys. Pozostałe zakłady funkcjonują bardzo dobrze. Wystarczy popatrzeć na listę 500 najlepszych zakładów polskich, na której znajduje się kilka zakładów lubelskich – jest to Świdnik, zajmujący się produkcją dla potrzeb wojska i lotnictwa; kopalnia „Bogdanka”, która w przemyśle węglowym znajduje na drugim miejscu w kraju pod względem wyników ekonomicznych i zarobków. Niedawno zakończyliśmy nową inwestycję, mianowicie budowę szpitala na Alei Kraśnickiej. Jest to szpital wojewódzki. **Tomasz Gnyś (UPR):** UPR dostrzega rolę i istotę samorządu lokalnego i opowiada się za dalszym jego rozwojem. Postulowana przez nas decentralizacja państwa związana jest nierozłącznie właśnie z rozwojem samorządu i zwięks-

zeniem jego wpływu na poziomie lokalnym. Służy on temu, aby ludziom łatwiej było rozstrzygnąć o swoich codziennych sprawach i problemach. Często brak jest odpowiedniej wiedzy i orientacji dotyczących samego samorządu, a połączone jest to wszystko z dość krótkim istnieniem instytucji samorządu lokalnego w Polsce. Z tegoż powodu należy propagować powstawanie i rozwój prywatnych instytucji, ośrodków i fundacji, które zajmowałyby się rozpowszechnianiem wiedzy i informacji dotyczących samorządu, w różnych aspektach (na przykład udział w wyborach samorządowych). Bardzo często przeszkodą w załatwianiu przez ludzi ich problemów jest biurokracja oraz przepisy utrudniające załatwianie konkretnych spraw. Kolejnym elementem, który czyni dalszy rozwój samorządu lokalnego koniecznym jest kwestia podatków. Obecna sytuacja, kiedy pieniądze z podatków nie zostają w kieszeni gminy, bo idą do Warszawy, tam są dzielone i dopiero wracają, jest niewłaściwa. Pieniądże te w przeważającej większości powinny zostać w gminie, a rządowi powinny zostać pieniądze przeznaczone na cele wspólne, jak bezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne, polityka zagraniczna, sądownictwo, bardzo ograniczona administracja, ochrona środowiska.

Wiesław Tkaczyk (UW): Unia Wolności przywiązuje dużą wagę do samorządu. Przeprowadzony w 1990 r. pierwszy krok reformy samorządowej – utworzenie samodzielnych gmin – spowodował rozwój społeczności lokalnych widoczny chociażby w wyglądzie samych miast i miasteczek. Dlatego uważamy, że o najbardziej sensownym sposobie wydawania pieniędzy mogą decydować samorządy lokalne, a nie scentralizowane państwo. Niezbędne jest więc wzmocnienie pozycji gmin poprzez stabilny i niezależny od doraźnej polityki centrum, system finansów gminnych. Rozwój społeczności lokalnych wiąże się również z działalnością organizacji pozarząd-

* Izabella Sierakowska – lat 50; pedagog, długoletni pracownik oświaty; poseł Ziemi Lubelskiej; członek PZPR, później wiceprzewodnicząca Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej oraz zastępca przewodniczącego klubu parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej; w obecnej kadencji Sejmu członek kilku komisji: edukacji, nauki i postępu technicznego oraz kultury, a w poprzedniej kadencji pracowała w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego.

wych. Organizacje te są partnerem w zakresie konsultowania wyboru kierunków rozwoju społeczno-kulturalnego gminy. UW dąży do stworzenia jak najlepszej komunikacji pomiędzy organizacjami pozarządowymi a Zarządami i Radami gmin. Naturalnie, w pełni możemy realizować swój program, w przypadku gdy posiadamy władzę, gdy mamy swoich burmistrzów, prezydentów, wójtów, bądź też członków zarządu poszczególnych gmin. W przypadku Lublina jesteśmy w dobrej sytuacji, gdyż program Unii Wolności może być realizowany lokalnie dzięki temu, że jesteśmy w koalicji rządzącej.

Wojciech Wardawy (AWS): Czym kończy się próba recydywy „centralnego sterowania” przekonał się w makabryczny sposób podczas powodzi na południu i zachodzie kraju. Polska sprawna i skuteczna to Polska zdecentralizowana i samorządna. Od wejścia w życie Ustawy samorządowej w 1990 r. kolejne ekipy polityczne nie podjęły wyzwania rzeczywistej reformy państwa, konserwując tymczasowe i niekorzystne dla lokalnych społeczności rozwiązania. Będziemy tworzyć silny samorząd terytorialny, będący filarem konstrukcyjnego porządku w państwie i gwarantem jego demokratycznego charakteru. Słowo silny to nie frazes, którym często posługują się różne teoretycznie pro samorządowe środowiska i partie. Oznacza ono radykalne zwiększenie uprawnień samorządów i rozszerzenie pola ich działania na takie dziedziny życia jak: bezpieczeństwo publiczne, ochrona zdrowia, polityka gospodarcza (podatkowa). Wzrostowi roli samorządów będzie towarzyszyć drastyczna redukcja biurokracji państwowej centralnej i wojewódzkiej. Siła samorządu zależy nie tylko od jego uprawnień, ale przede wszystkim od środków jakimi dysponuje. Należy więc odwrócić dzisiejsze niekorzystne proporcje, gdy jedynie ok. 10% wpływów podatkowych uzyskiwanych od lokalnych społeczności pozostaje na miejscu, reszta (ok. 90%) jest pochłaniana przez starą biurokratyczną maszynę państwa scentra-

lizowanego. Konieczny jest większy udział samorządów (ok. 30 do 50%) we wpływach z podatku dochodowego (dziś 15%), a także udział w podatku VAT płaconym przez lokalne społeczności. Samorządy będą mogły częściowo regulować wysokość tych podatków na swoim terenie (zmniejszać stawki). Koniecznym jest wprowadzenie kolejnych szczebli samorządu: powiatu i tzw. dużego województwa, co stworzy trwałe podstawy budowy regionalnej polityki gospodarczej w ramach państwa.

Krzysztof Dudziński (ROP): Jesteśmy za przekazaniem organom terytorialnym i samorządowym szerokich uprawnień w zakresie decyzji gospodarczych, a jednocześnie za pozostawieniem w ich gestii stosownych środków finansowych. Decyzje dotyczące inwestycji lokalnych, emisji obligacji, finansowania wydatków społecznych, programów budownictwa mieszkaniowego, zwalczania bezrobocia, ochrony zdrowia – w coraz większym stopniu powinny być podejmowane przez samorządy. Głównym źródłem dochodów budżetu gminnych powinny być podatek dochodowy i VAT. Docelowo samorządy powinny dysponować 25% wpływów z podatków. Wiązać to będzie aktywność i zainteresowanie władz terenowych z tworzeniem warunków do podejmowania działalności gospodarczej na terenie gminy. Jesteśmy przeciwni tzw. reformie powiatowej, oznaczającej rozrost biurokracji i zwiększenie obciążeń podatkowych (na przykład już zapowiadany podatek od nieruchomości).

Ryszard Faszyński* (UP): Zaczę od tego, co już zrobiliśmy. Sprawą na największą skalę i o największym znaczeniu, z tych, które nam się udało załatwić była ciągnąca się bardzo długo i głośno w Lublinie planowana likwidacja LZNS-u. Na prośbę „Solidarności” i LZNS-u zapoznałem się z programem restrukturyzacji, przedstawiłem propozycję ustosunkowania się do stanowiska banku, sposobu nacisku na bank, który odmawiał postępowania układowego. Ściągnąłem wtedy Najwyższą Izbę Kontroli. Skończyło się to

* Ryszard Faszyński – 36 lat; informatyk, specjalista w dziedzinie zarządzania przedsiębiorstwem; sekretarz międzynarodowy Unii Pracy; członek Prezydium Rady Krajowej UP; poseł na sejm II kadencji RP.

sprawą prokuratorską, ale ten zakład nie został zrównany z ziemią. Myślę, że to bardzo dobrze, chociaż chwilami, na przykład przy pikietowaniu banku, było gorąco. Takich spraw interwencyjnych jest sporo, choć nie na taką skalę. Dotyczą one po prostu poszczególnych ludzi, ich problemów emerytalnych, sporów ze spółdzielniami mieszkaniowymi, także wniosków do administracji państwowej. Jest tego długa lista.

3. polityka regionalna

Tomasz Gnyś (UPR): Wychodzimy z założenia, że należy stwarzać warunki i możliwości do powstawania dobrowolnych związków poszczególnych obszarów występujących obecnie w ramach regionów. Sprzeciwiamy się odgórnemu określaniu przynależności obszarów do danego regionu. Zwracamy jako UPR uwagę na to, iż „oddolne” łączenie się w regiony to również element sprawnego funkcjonowania samorządu lokalnego oraz możliwość decydowania o pewnych sprawach na szczeblu samorządu.

Izabella Sierakowska (SLD): Miasto utrzymuje się z podatków i z subwencji celowych. Są to subwencje, które pochodzą z budżetu państwa na określone zadania. Na przykład gmina na prowadzenie placówek oświatowych, służby zdrowia, utrzymanie dróg otrzymuje pieniądze z budżetu państwa. Jest szansa, że na skutek nowego podziału administracyjnego kraju, większość kompetencji samorządowych jak również funduszy, znajdzie się w posiadaniu gminy, która będzie pełnić funkcje powiatu.

Wiesław Tkaczyk (UW): Podmiotem polityki regionalnej w skali całego kraju jest rząd, polityki regionalnej w skali regionów są ich władze – wojewodowie, polityki regionalnej w skali lokalnej są władze lokalne – organy samorządu terytorialnego. Nie jesteśmy w koalicji rządowej a zatem możemy jedynie realizować swój program na szczeblu samorządowym, tam gdzie mamy swoich prezydentów, burmistrzów i wójtów.

Krzysztof Dudziński (ROP): Politykę regionalną można rozumieć dwojako, jako polską politykę regionalną w Europie Środkowo-wschodniej. I tu

jesteśmy zwolennikami ścisłej współpracy z naszymi sąsiadami: Ukrainą, krajami bałtyckimi i innymi należącymi do CEPTY, tak aby stworzyć szeroki „zwoznik” Europy zachodniej i wschodniej, łączący ją w jedną całość, ale też gwarantujący stabilny układ sił między Rzeczpospolitą a Niemcami.

Drugie rozumienie jest to polityka regionalna w mniejszym, wewnętrznopolskim rozumieniu, dotycząca dawnej Lubelszczyzny. Chcemy postawić na rozwój kulturowy, naukowy i gospodarczy regionu ze szczególnym uwzględnieniem Lublina jako liczącego się ośrodka po tej stronie Wisły. Promocję turystyczną regionu, rozwój tak ostatnio popularnej agroturystyki i unowocześnienie naszego regionalnego rolnictwa. Rozwój sieci komunikacyjnej i promocja regionu w kraju i za granicą.

Ryszard Faszyński (UP): Sprawa prywatyzacji mieszkań komunalnych jest w gestii samorządu, więc nie powinienem odbierać radnym chleba. Sprzedaż mieszkań komunalnych jest możliwa tak długo, jak nie pozbawia gminy (w tym wypadku miasta) pewnego zasobu, który zgodnie z ustawą o najmie i dodatkach mieszkaniowych – gmina mieć musi, ze względu na swoje funkcje socjalne. Sprzedaż tej nadwyżki to kwestia umowy między lokatorem a gminą (podobnie jak w przypadku zmiany mieszkania spółdzielczego na własnościowe). Cena nie może być ani wysoka (niektóre gminy traktują to jako źródło swoich dochodów), ani za niska (są gminy, które chcą mieć kłopot z głowy). To prawda – jest to pozbycie się kłopotu ale trzeba pamiętać, że jest to majątek całej gminy. I gdy dochodzi do taniej sprzedaży lokali gminy, prywatnym osobom, to dochodzi do pewnego transferu majątkowego, który mieć miejsca nie powinien. Próbowaliśmy, choć przynaję, idzie nam to jak po grudzie – podejmować działania prowadzące do zmiany sytuacji architektonicznej. Lublin jest jednym z najstarszych miast w Polsce, w związku z czym ma co zatrzymać, ma potrzebę zachowania dużej liczby zabytkowych obiektów. Jednocześnie stan tego jest znacząco gorszy niż w innych miastach historycznych. To automatycznie zmienia

i nasze nastawienie do tego, co uważamy za istotne w Lublinie, a tego, co uważamy za istotne na przykład w Zamościu. Wystarczy porównać Starówkę zamojską i lubelską. Tutaj potrzebne są bardzo poważne nakłady. Nie otrzymujemy jednak w tych działaniach pomocy, nawet ze strony konserwatorów zabytków, co nas bardzo martwi, bo tutaj starczy pracy dla wszystkich, a jeśli będziemy działać w pojedynkę to bardzo niewiele uda nam się osiągnąć.

4. program ogólnokrajowy – program lokalny

Wojciech Wardawy (AWS): AWS regionu Środkowo-Wschodniego jako jedyny komitet wyborczy na naszym terenie posiada stworzony specjalnie dla potrzeb naszych kandydatów „Program Polityki Regionalnej”. Jego autorami są eksperci i praktycy z lubelskich środowisk związanych z AWS. Dokument ten jest rozwinięciem programu centralnego. Jego głównym założeniem jest podniesienie poziomu cywilizacyjnego Lubelszczyzny w stosunku do reszty kraju, co popularnie można określić jako likwidację odziedziczonej po komunistach tzw. Polski „B”. program zawiera szereg szczegółowych rozwiązań dla poszczególnych sektorów życia regionu, są to przede wszystkim: modernizacja sieci komunikacyjnej (drogowej i kolejowej), budowa zgodnej z zasadami ochrony środowiska infrastruktury technicznej w miastach i wsiach, ochrona i odbudowa zespołów zabytkowych (Lublin, Zamość, Kazimierz). Ważną jego część stanowią plany rozwoju gospodarki i rolnictwa na Lubelszczyźnie. Kandydaci AWS, którzy zostaną wybrani zobowiązali się do realizacji tego programu.

Wiesław Tkaczyk (UW): Naturalnie, jeśli chodzi o pewne principia, jak i pewne zasadnicze sprawy dotyczące polityki, to „lokalne” zawsze pokrywa się z tym, co „centralne” i odwrotnie. Natomiast musimy pamiętać, że inną logiką kieruje się społeczność lokalna, a inną całe społeczeństwo. Często pewne działania na szczeblu rządowym nie mają bezpośredniego przełożenia na działania w terenie, ponieważ zawsze w

regionie dotykamy czegoś bardziej konkretnego, w mniejszej skali. Stąd też na przykład różne koalicje Unii Wolności w regionach, które nie pokrywają się z koalicją rządową.

Tworząc koalicję z SLD na poziomie miasta Lublina wychodzimy z pewnego pragmatycznego sposobu myślenia. Nie ideologia, nie programy ponad głowami ludzi, lecz dobro konkretnej społeczności. W ten sposób można prowadzić działania, które są ważne dla społeczności lokalnej, takie jak: poprawa dróg, szkolnictwo, służba zdrowia, pomoc społeczna. Gmina ma zawsze na liście określone zadania. Będąc w koalicji rządzącej możemy przekładać poszczególne elementy programu UW na konkretne działania. Na ogół program Unii jest dla jej wyborców czytelny. Jednak jest spora część społeczeństwa, która utożsamia Unię Wolności wyłącznie z reformami Balcerowicza. W czasach realnego socjalizmu – w ich myśleniu – „wszyscy” mieli pracę, minimum socjalne, pewność przyszłości, oczywiście skromnej często nawet ubogiej, ale zawsze była to jakaś pewność, jakaś stabilizacja. Po reformach Balcerowicza staliśmy się innym krajem, o innym obliczu i nowych mechanizmach społeczno-gospodarczego, politycznym. Część ludzi nie dostrzegła jeszcze do tej pory konieczności dokończenia tej reformy, zapominając, że gdyby nie reforma Balcerowicza byłibyśmy do tej pory Rumunią, Bułgarią, a nie Polską liczącą się w świecie.

Krzysztof Dudziński (ROP): Chcemy zbudować Polskę niepodległą, zasobną i silną, w której obywatele mogą żyć i pracować uczciwie dla własnej zamożności i dla wspólnego dobrobytu. „Rodzina, Przedsiębiorstwo, Państwo” to trzy ogniwa, które stanowią system gospodarczy. Rodzina stanowi fundament społeczeństwa i aby spełniała swoje funkcje musi posiadać samodzielność ekonomiczną. Zapewnić to można poprzez: prorodzinny system podatkowy, utworzenie całego systemu taniach kredytów mieszkaniowych, wprowadzenie rozwiązań sprzyjających budownictwu mieszkaniowemu, kas oszczędności, banków komunalnych, itp. Wspieranie małej i średniej przedsiębiorczości poprzez uproszczone

formy opodatkowania. Reforma systemu edukacyjnego, powołanie funduszy emerytalnych, reforma samorządów, a przede wszystkim uporządkowanie i ustabilizowanie całego systemu prawnego, uproszczenie procedur podatkowych, zmniejszenie obciążenia fiskalnego, ale równocześnie konsekwentne zapewnienie ściągalności podatków. Aktywność państwa winna iść w dwóch kierunkach: 1) samoograniczenia się państwa (przekazanie finansów państwowych i władz administracji dla samorządów; 2) wzmocnienia działań porządkujących, prewencyjnych i ochronnych, wspierających dynamikę rozwoju gospodarczego. Program lokalny – przeznaczony dla Lubelszczyzny jako całości i dla poszczególnych jej części jest jednym z elementów programu ogólnego. Chcemy aby nasze województwo przestało być traktowane w planach inwestycji ogólnokrajowych jako Polska „B”. Przygotowaliśmy szczegółowy program rozwoju naszego regionu, który zostanie ogłoszony we wrześniu.

Ryszard Faszyński (UP): Jest jedna sprawa, która wykracza poza Lublin, a dotyczy wszystkich terenów – jest to rolnictwo. Jest również sprawa bardzo mi bliska bo osobiście borykam się z nią od półtora roku. Chodzi o problem sieci energetycznej w kontekście planów prywatyzacyjnych. Odkąd zostały wycofane zamówienia rządowe, a potem zakłady energetyczne stały się spółkami nastąpiła koncentracja środków inwestycyjnych na tych terenach, gdzie jest dużo odbiorców. Krótko mówiąc – w mieście. Jeśli mamy blok dziesięciopiętrowy, to jeśli dociągniemy tam kabel to mamy czterdziestu odbiorców. Na wsi po dociągnięciu kabla mamy jednego odbiorcę. Na wsi następuje degeneracja tych urządzeń, ludzie dostają prąd o parametrach 110 V! Według NIK 75% instalacji powinno być zrekapitalizowanych. To bardzo ważna rzecz, bo nowoczesne rolnictwo – to maszyny. Bez prądu nie działają maszyny i możemy zapomnieć o nowoczesnym rolnictwie. Województwo lubelskie mieści w tym obszarze, gdzie inwestycja jest potrzebna w tym zakresie. I mam nadzieję, że niedługo będę miał przyjemność prezentować projekt ustawy dotyczącej właśnie takiej interwencji, która

by niwelowała ten naturalny proces. Trzeba stworzyć taki nacisk ekonomiczny, żeby tam, gdzie mniej opłaca się inwestować w sieć energetyczną ta inwestycja była tańsza.

Izabella Sierakowska (SLD): Moje ugrupowanie jest za rozwojem budownictwa komunalnego, ponieważ mieszkania są bardzo drogie i nie każdego człowieka stać na to, by wykupić własne mieszkanie. Mając to na uwadze Rada Miejska podjęła uchwałę umożliwiającą wykup mieszkań komunalnych po zastosowaniu dużych ulg. Mieszkanie takie można już wykupić za 30% jego wartości, a w szczególnych przypadkach nawet za 20%. Rozpoczęliśmy również reformę w służbie zdrowia. Zależy nam na tym, żeby wszystkie placówki były samodzielne, same się finansowały, nie licząc na to, że ktokolwiek coś im da. Dyrektor szpitala musi się zastanowić, czy na przykład struktura zatrudnienia jest właściwa. W krajach rozwiniętych, takich jak Niemcy, na jednego lekarza przypada od 1200 – 1500 pacjentów. U nas na jednego lekarza przypada 250 pacjentów, czyli coś trzeba zmienić. Jeżeli lekarz mówi, że źle zarabia to trzeba się zastanowić, dlaczego tak jest. Może dlatego, że tę pracę, za którą on powinien dostać pieniądze, ktoś już dostaje wynagrodzenie? Samodzielna placówka służby zdrowia powinna rozwiązać te dylematy, tym bardziej, że za półtora roku wejdzie w życie nowa ustawa o ubezpieczeniach zdrowotnych. Jest to coś stworzonego na wzór kasy chorych, jakie funkcjonują na Zachodzie. Kasa chorych jest to instytucja, która reprezentuje interesy ogółu obywateli w danym mieście. Przypuśćmy, że powstaje kasa chorych w Lublinie, do tej kasy chorych należą wszyscy mieszkańcy naszego miasta, bo będzie obowiązek przynależności do kasy chorych. Kasa chorych obejmuje wszystkich ludzi, nie tylko tych którzy pracują, ale także bezrobotnych, bezdomnych, dzieci, młodzież. Składkę za młodzież, studentów, ludzi starszych, bezdomnych i bezrobotnych, którzy nie mają pieniędzy, będzie płacić państwo. Chodzi o to, że każdy z nas będzie płacił za swoje leczenie, ale nie z własnej kieszeni tylko z kasy chorych i będzie to polegało na tym, że nie będzie między ludźmi

różnic. Ktoś będzie płacić bardzo duży podatek do kasy chorych a ktoś będzie płacić bardzo niski, ale nie będzie różnic pomiędzy leczeniem zarówno jednego człowieka jak i drugiego.

Tomasz Gnyś (UPR): Program ogólnopolski opiera się propagowaniu wolnego rynku oraz nieingerowaniu państwa w gospodarkę. Jesteśmy zwolennikami tradycyjnych zasad i wartości w sferze aksjologicznej. Pozostałe należy pozostawić w rękach obywateli, a kluczowym tu pojęciem jest własność prywatna, bo to na niej powinno być oparta wszelka działalność gospodarcza. Postulujemy w związku z tym przeprowadzenie prywatyzacji oraz reprivatyzacji. Państwo powinno być obrońcą praw naturalnych człowieka, a więc prawa do życia, wolności, własności, sprawiedliwości, itd. Sprzeciwiamy się aborcji, jako naruszającej prawo człowieka do życia. Jesteśmy również przeciwni koncesjonowaniu i ograniczaniu wolnego rynku. UPR od początku swego istnienia domaga się niskich podatków, sprzyjających rozwojowi gospodarczemu. Nadmierne opodatkowanie traktujemy jako naruszenie prawa własności. Uważamy, że armia powinna być zawodowa i dobrze opłacana. UPR jest zwolennikiem stabilnego prawa z obecną w nim karą śmierci. Proponujemy, by system polityczny opierał się na modelu prezydenckim. Administrację państwową należy ograniczyć, ponieważ jest ona przeszkodą biurokratyczną dla ludzi, którzy naprawdę chcą coś załatwić. Program UPR opiera się na popieraniu decentralizacji państwa. Na poziomie lokalnym, podobnie jak na ogólnopolskim, należy doprowadzić do tego, aby działalność gospodarcza znajdowała się w rękach prywatnych, a władze lokalne poparły sprzedaż mieszkań komunalnych. Władze samorządowe nie powinny wkraczać w działania, w których dadzą sobie doskonale radę, osoby prywatne.

5. kultura

Izabella Sierakowska (SLD): Kontynuujemy budowę Teatru w Lublinie (np. filharmonia została oddana do użytku). Dzięki funduszom centralnym i wojewódzkim zostały polepszone drogi.

Tomasz Gnyś (UPR): Jako Unia Polityki Realnej niezmiennie jesteśmy przeciwni finansowaniu kultury z budżetu państwa, a więc pieniędzy podatników. Finansowanie kultury w taki sposób powoduje, że wiele z tych pieniędzy jest marnowanych, zanim dotrze do zainteresowanych, ponieważ pociąga to za sobą konieczność opłacenia osób odpowiedzialnych za ich rozdysponowanie. Występuje również problem lansowania miernot, osób, o których działalności nie da się powiedzieć, że dokonują jakiegoś wkładu w rozwój polskiej kultury. Dochodzi do tego jeszcze przyzwyczajenie tych osób do przebywania na „państwowym garnuszku”. Ponadto pieniądze podatników powinny być wydawane na cele wspólne obywatelom, a nie na przykład kulturę, gdyż ta da sobie radę przy pomocy prywatnych sponsorów i instytucji.

Wiesław Tkaczyk (UW): W dziedzinie kultury UW opowiada się za obowiązkami państwa wobec twórczości w sferze kultury: powinno umożliwiać rozwój różnorodnych źródeł finansowania twórczości kulturalnej i publicznych, i prywatnych, powinno gwarantować wolność twórczości i chronić ją przed rozmaitymi naciskami, powinno ono stać na straży własności intelektualnej, tak aby twórcy mogli osiągnąć – poprzez rynek – należyte dochody. Mecenate państwa powinien skupić się na wspieraniu poważnej twórczości i odróżnić ją od rozrywki.

Wojciech Wardawo (AWS): Zapewniamy ochronę dziedzictwa narodowego. Kultura obok oświaty pomoże ukształtować nowoczesnego Polaka – obywatela, który będzie w stanie sprostać wyzwaniom współczesnej cywilizacji. Należy wzmocnić mecenat państwowy poprzez zwiększenie nakładów i likwidację biurokracji (tysiące „specjalistów od kultury” przejadających budżetowe pieniądze). Wydatkowanie środków publicznych musi być poddane społecznej kontroli, tak by np. kosztem podatnika nie finansować zakupów puzonów dla orkiestr strażackich. Poprzez realne możliwości odpisów podatkowych i ulg zamierzamy zwiększyć rolę mecenatu prywatnego w działaniach na rzecz kultury narodowej. Poważne zadanie stanie też przed samorządami lokalnymi.

Zamierzamy kosztem kasy centralnej zwiększyć ich wpływ, co umożliwi gminom realne i wymierne wspieranie lokalnych inicjatyw w dziedzinie kultury. W oparciu o te trzy filary: mecenat państwowy, prywatny i samorządy, korzystając z nowoczesnych rozwiązań finansowych i prawnych wprowadzimy Narodowy Program Odnowy Zabytków.

Krzysztof Dudziński (ROP): We współczesnym świecie zaczyna dominować kultura masowa jako model uniformistyczny właściwy dla całego świata. Styl ten jest bardzo mocno promowany przez większość mediów i stąd wynikają pewne zagrożenia związane z tym, że w środkach przekazu wpływ uzyskują osoby, które promują kulturę postmodernizmu. Kultura ta za swoje główne hasło przyjęła „wolność”, rozumianą jako możliwość robienia wszystkiego. W myśl tego hasła każdy mówi, że mu wszystko wolno, że może robić co chce, nie zważając na możliwość skrzywdzenia drugiego człowieka. A przecież wolność jednego człowieka kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka. Nigdy nie można rozważać wolności bez odpowiedzialności, zarówno za siebie jak i za drugiego człowieka. Już w Starożytnej Grecji jeden z filozofów powiedział, że wszechogarniająca wolność prowadzi do anarchii. Ważne jest w kulturze aby to, co promujemy, lansujemy, co chcemy swoją osobą afirmować wypływało z pewnych wartości, które uważamy za stałe i niezmiennie, jeżeli o tym zapominamy to dojdziemy do kompletnej anarchii, gdzie każdy żyje we własnym świecie odizolowanym od całej reszty. To może nam grozić jeżeli w tym momencie nie powiemy „STOP” kulturze masowej, która niszczy naszą osobowość, niszczy nasz rozwój duchowy, intelektualny i twórczy.

Michał Szubartowski (UP): Unia Pracy opowiada się za szerokim wsparciem państwa dla kultury i powinno to odbywać się zarówno w sposób bezpośredni poprzez dotacje państwowe, jak również w sposób pośredni za pomocą stworzenia odpowiedniego systemu ulg podatkowych dla osób lub instytucji, które chcą wspierać kulturę. Bardzo istotną rolę w upowszechnianiu

kultury powinny odgrywać media publiczne – zwłaszcza telewizja. Niestety telewizja publiczna w ostatnich latach bardzo się komercjalizowała i coraz bardziej upodabnia się do prywatnych stacji komercyjnych. Coraz więcej pojawia się w niej programów, zawierających treści, które nie powinny znaleźć się w telewizji publicznej. Telewizja emituje przemoc, emituje również pornografię. W tej sprawie Unia Pracy zgłosiła inicjatywę ustawodawczą – projekt ustawy o rozpowszechnianiu publikacji stanowiących zagrożenie dla dzieci i młodzieży. To dotyczy również wszelkich innych materiałów, czyli również audycji radiowych i telewizyjnych, w których propagowana jest nie tylko pornografia, lecz również przemoc, agresja, rasizm i temu podobne. Nasz projekt ustawy przewiduje całkowity zakaz lub ścisłą reglamentację rozpowszechniania tego typu publikacji.

Ryszard Faszyński (UP): Należy dodać, że kultura w Lublinie znajduje się w kryzysie. Widać to dobrze na przykładzie: trzy lata temu był pożar w teatrze w Lublinie i w teatrze we Wrocławiu. Teraz wrocławski dostał tytuł inwestycyjny, dostał pieniądze. Mimo naszych (całego klubu parlamentarnego) interwencji w Sejmie nie udało się uzyskać podobnych środków na Lublin. Nie ma drugiego ośrodka w Polsce, gdzie kultura jest w tak złym stanie i gdzie, jak uważamy, pieniądze są wydawane tak nierozsądnie.

6. edukacja

Krzysztof Dudziński (ROP): Reforma szkolnictwa wymagać będzie całkowitej zmiany systemu kształcenia. Proponujemy – jako ROP – wprowadzenie trzyetapowej szkoły ogólnokształcącej. Obejmującej: 1) szkołę podstawową w dwóch cyklach: elementarnym (I-III) i podstawowym (IV-VI); 2) gimnazjum – czteroletni okres (VII – II klasy szkoły średniej), w którym obowiązywałby program ogólny i dodatkowy do wyboru fakultatywny; i wreszcie 3) etap dwuletniego liceum – przygotowujący profilowo do szkół wyższych lub wykonywania zawodu. Zakładamy wprowadzenie instytucji bonu oświatowego, który po-

zwoliliby na finansowanie szkół bez pośredniczenia zbudowanej administracji. Reforma szkolnictwa wymagać będzie wymiany części kadr. Nauczyciele powinni mieć przygotowanie pedagogiczne, a także przygotowanie do nauczania pokrewnych grup przedmiotów. W miejsce Karty Nauczyciela powinien wejść inny dokument dostosowany do obecnej sytuacji społeczno-ekonomicznej.

Wiesław Tkaczyk (UW): UW uważa, że edukacja jest najlepszym sposobem wyrównania szans życiowych w warunkach demokracji i ładu rynkowego. Oświata, szkolnictwo wyższe, nauka zadecydują o pozycji Polski wśród innych narodów. Dalej, jesteśmy za stopniowym, ale wyraźnym wzrostem nakładów na oświatę i wychowanie, przyznaniem każdemu nauczycielowi prawa do bezpłatnego kształcenia się, rozwojem systemu stypendiów i pożyczek studenckich, szybkim rozwojem szkolnictwa wyższego.

Wojciech Wardawy (AWS): Najlepszą inwestycją w przyszłość jest dobre wykształcenie przyszłych pokoleń. Przeprowadzimy radykalną (gruntowną i szybką) reformę edukacji, która dostosuje ją do potrzeb współczesności i wyrówna szanse startu młodzieży. Upowszechnimy szkolnictwo średnie na terenie całego kraju, zreformujemy szkolnictwo zawodowe. Unowocześnimy także system kształcenia nauczycieli. Podniesiemy wyraźnie ich płace. Przywrócimy społeczną rangę tego zawodu. Poprzez wprowadzenie bonów oświatowych i możliwości swobodnego wyboru szkoły rodzice uzyskają prawo do decydowania o kierunku wychowania. Umożliwi to także rozwój różnych form szkolnictwa. Zdecydowanie zwiększymy wydatki na edukację szczególnie na wsi i w małych miastach. Szkoły wyższe będą dostępne dla szerszych kręgów młodzieży. Wprowadzimy system stypendiów i kredytów, który umożliwi studia młodzieży z rodzin uboższych.

Isabella Sierakowska (SLD): W centrum uwagi naszych działań znajduje się szkolnictwo. Chcielibyśmy aby centralna inauguracja nowego roku szkolnego odbyła się w Lublinie w rozbudowanym i zmodernizowanym Zespole Szkół Włókienniczych. Myślę, że to co było w naszej

mocy, to zrobiliśmy. Z wojewodą lubelskim staraliśmy się działać w miarę naszych możliwości. Zawsze wspomagaliśmy działanie wojewody i te działania będziemy dalej wspierać.

Tomasz Gnyś (UPR): Mówiąc w ogóle o edukacji należy określić sytuację, w jakiej się ona obecnie znajduje. Jest to sytuacja zła i wymagająca reformy. Trzeba sobie teraz odpowiedzieć na pytanie, co powinno być celem tejże reformy? Otóż celem tym powinno być zwiększenie możliwości decydowania rodziców o tym, czego jest uczone ich dziecko. UPR uważa, że środkiem realizacji tego postulatu jest prywatyzacja oświaty. W obecnej sytuacji, odnośnie tej kwestii, lansujemy już od dawna pomysł bonu oświatowego, który to bon stanowiłby równowartość kwoty przeznaczonej na edukację dziecka w roku szkolnym. Bonem tym jednak dysponowałiby rodzice – mogliby oni wybrać dowolną szkołę w zależności od swych poglądów. Obecny system – gdzie pieniądze są pobierane, i trafiają do szkoły poprzez urzędników i kuratoria, a po drodze są marnowane – jest systemem niewłaściwym. Dlatego też opowiadamy się za prywatyzacją, aby rodzice mogli opłacić szkołę w sposób bezpośredni. Będzie to tańsze, a zarazem zwiększy się wskutek tego konkurencyjność między szkołami, co pozytywnie wpłynie na poziom nauczania.

Michał Szubartowski (UP): Najważniejszym elementem programu UP dotyczącego oświaty jest zasada bezpłatności nauczania w szkołach publicznych. Ta zasada została wpisana do głównych działań naszych postów – do nowej konstytucji. Bezpłatny dostęp do szkół wszystkich szczebli jest podstawą do stworzenia równych szans zdobycia wykształcenia. Wprowadzenie czesnego w szkołach doprowadziłoby do podziału społeczeństwa na dwie warstwy – bogatą i wykształconą oraz pozbawioną pieniędzy i wykształcenia. Szanse przejścia warstwy upośledzonej do bogatej byłyby w tej sytuacji ograniczone, tylko najwybitniejsze jednostki mogły by to osiągnąć. Dla zapewnienia równego startu wszystkim chcącym się kształcić konieczne jest rozbudowanie systemu stypendium. Istotnym

elementem wyrównania szans jest kontrola poziomu szkolnictwa podstawowego i średniego w miastach i na wsiach, ponieważ różnice pomiędzy szkolnictwem w dużych miastach i mniejszych miejscowościach są dosyć znaczące. Nie jesteśmy fanatycznymi zwolennikami bezpłatnych studiów, ale w obecnej sytuacji, gdzie społeczeństwo polskie jest stosunkowo ubogie, nie ma systemu stypendialnego pozwalającego na to, że studenci mogliby się utrzymać. Obecne stypendia są bardzo niskie, więc bezpłatne studia są koniecznością. W sytuacji, gdy poziom zamożności społeczeństwa wzrośnie, gdy będą systemy stypendialne i firmy będą zatrudniać absolwentów, to bezpłatność studiów może być ograniczona. Drugim elementem w programie dotyczącym oświaty jest neutralna światopoglądowa szkoła. Nie oznacza to wcale, że chcemy usunięcia religii ze szkoły, ale jej nauka religii powinna odbywać się w taki sposób, by nie naruszała praw osób innych wyznań, lub niewierzących. Dlatego Unia Pracy domaga się postawienia o nie umieszczaniu oceny z religii na świadectwach szkolnych, ponieważ ten zapis narusza zasadę wolności sumienia i wyznania oraz może prowadzić do dyskryminacji. Jednocześnie chcemy zapewnienia prawa do nauki religii mniejszym wyznaniom poprzez ograniczenie limitu wymaganego do zorganizowania takich lekcji do pięciu osób. W obecnej sytuacji religie posiadające niewielką liczbę wyznawców są dyskryminowane. Co do reformy systemu szkolnictwa Unia Pracy opowiada się za wydłużeniem nauczania w szkole podstawowej do dziesięciu lat i stopniowego rozszerzania powszechności wykształcenia średniego.

7. relacje z innymi

Wojciech Wardawy (AWS): AWS w dziele budowy nowoczesnego Państwa Polskiego będzie na pewno otwarty na współpracę ze wszystkimi ugrupowaniami o charakterze demokratycznym i realizującymi czy identyfikującymi się z polską racją stanu. Wynika z tego, że niemożliwa jest jakkolwiek współpraca z partią komu-

nistyczną (SLD) jako bezpośrednim kontynuatorem (związki personalne i ideowe) PZPR – organizacji zbrodniczej i przestępczej. Uważamy, że działalność tej formacji i jej funkcjonariuszy winna zostać osądzona i ukarana. Dekomunizacja jest jednym z elementów programowych AWS. Jeśli chodzi o PSL (dawne ZSL) to zdania wewnątrz AWS są podzielone. Osobiście uważam, że AWS nie powinien angażować się w jakiegokolwiek alians z tym ugrupowaniem, a działalność ZSL jako wiejskiej ekspozytury PZPR winna być objęta procesem dekomunizacyjnym. Prawdopodobnie koniecznością chwili stanie się współpraca w przyszłym parlamencie wszystkich ugrupowań posierpniowych tj. AWS, ROP i UW. Nie wykluczamy też współdziałania z UP, zależy to jednak czy partia ta jest w stanie wyzbyć się swojego dziecinnie naiwnego „wojującego socjalizmu”, oraz wyeliminować ze swoich szeregów komunistycznych aparatczyków takich jak Nałęcz czy Ziółkowska.

Izabella Sierakowska (SLD): Koalicja Lubelskiego Forum Samorządowego z Sojuszem Lewicy Demokratycznej służy miastu, chociaż narażona jest na ataki ze strony prawicy. Jesteśmy zadowoleni z obecnego zarządu miasta i szcunkiem darzymy prezydenta miasta Pawła Bryłowskiego. Współpracuje nam się dobrze. Kolejne wybory odbędą się za rok (czerwiec 1998). Chciałabym, żeby moje ugrupowanie utrzymało się przy władzy, gdyż dużo osiągnęło dla miasta Lublina.

Wiesław Tkaczyk (UW): Często mówi się, że Unia Wolności jest partią najsilniej atakowaną przez prawicę. Myślę, że tak do końca nie jest. Chyba zaściankowe myślenie powoduje, że Unię Wolności uważa się za partię skrajnych liberałów, powiązanych ze strukturami zachodnimi kosmopolitów i tak dalej. Nie widzi się natomiast tych ludzi UW, którzy naprawdę zrobili dużo dobrego dla tego kraju, tylko widzi się jakieś „mechanizmy”, „tryby”, etc. Wydaje mi się to szczególnie niebezpieczne, dlatego że w naszym społeczeństwie występuje tendencja dzielenia wszystkiego na przeciwstawne czy wręcz wrogie obozy. Nie ma natomiast miejsca dla

„środką”. A przecież w tym „środku” rozwija się demokracja i wolność osoby ludzkiej. Prawdopodobnie mentalnie nie do końca wyszliśmy z okresu socjalizmu realnego, z okresu systemu totalitarnego. Tam było jasne, ktoś jest wrogiem, ktoś sprzymierzeńcem. Oczywiście o tym decydował aparat państwowy, obywatel miał pozostać bierny. Dzisiaj podobnie niektóre ugrupowania polityczne chcą podzielić polską scenę polityczną na dwa obozy. A to grozi destabilizacją państwa i rozwoju demokracji. Jednakże wierzę w zdrowy rozsądek polskiego społeczeństwa, które nie dopuści do rozpołowienia państwa i wybierze „środek” sceny politycznej.

Krzysztof Dudziński (ROP): W ramach ROP-u działa Komitet Organizacji Stowarzyszonych grupujący kilkanaście mniejszych partii politycznych, związków zawodowych, organizacji młodzieżowych i kombatanckich, jak również Polskie Przymierze Gospodarcze grupujące polskich przedsiębiorców i handlowców. Do niektórych partii jest nam bliżej, a do niektórych dalej. Bliska jest nam AWS, która odwołuje się do tradycji narodowych i chrześcijańskich, a także etosu solidarnościowego. Akceptujemy wiele rozwiązań gospodarczych UPR, choć z korektą w dziedzinie polityki socjalnej i z wyeliminowaniem pewnych skrajnych pomysłów i rozwiązań gospodarczo-społecznych. Z sympatią spoglądaliśmy w stronę wykształcającego się wewnątrz PSL-u nurtu chrześcijańsko-ludowego nawiązującego do przedwojennej tradycji ruchu ludowego. Mamy nadzieję, że weźmie on górę nad grupą działaczy dawnego ZSL-u. Krytycznie oceniamy politykę rządów UW (H. Suchockiej i T. Mazowieckiego) jak i SLD w ostatnich kilku latach. Rządy te przyczyniły się do zubożenia większości obywateli (wzrostu bezrobocia, zmniejszenia realnych dochodów) upadku wielu przedsiębiorstw i wyprzedaży często za bezcen najlepszych polskich przedsiębiorstw kapitałowi zagranicznemu. Stworzenie takich mechanizmów, które sprzyjają wzrostowi przedsiębiorczości gospodarczej i pospolitej oraz szerszą korupcję poprzez wprowadzenie systemu zezwoleń i koncesji. Partie te często kierują się własnym partykularnym interesem,

a nie ogólnonarodowym, dlatego negatywnie oceniamy ich wkład w ostatnie siedmioletnie.

Tomasz Gnyś (UPR): UPR zawarła umowę o wspólnym starcie w wyborach parlamentarnych między innymi z Republikanami, Ruchem dla Rzeczypospolitej w ramach Unii Prawicy Rzeczypospolitej. Są to ugrupowania, bądź organizacje, z którymi UPR utrzymuje najlepsze stosunki. Natomiast, co do partii polskiej centro-prawicy: AWS, ROP, Blok dla Polski, to mimo zgodności w sferze aksjologicznej występują różnice na polu gospodarki. Należy zaznaczyć, że ze strony UPR, jak i koalicjanta – Republikanów w momencie powstania komitetu wyborczego padło zaproszenie skierowane do m.in. Stronnictwa Ludowo-Konserwatywnego, wchodzącego w skład AWS. Niewykluczone, że może dojść do porozumień między UPR a ROP dotyczącym wyborów do Senatu. Natomiast Unia Wolności jawi się jako partia mająca jednocześnie w swoich szeregach ludzi o poglądach centro-prawicowych, czy wręcz prawicowych oraz typowo lewicowych czy centro-lewicowych. Dopóki UW będzie trzymała w swoich szeregach ludzi lewicy trudno będzie nawiązać z nimi jakiegokolwiek stosunki i prowadzić takie rozmowy. PSL ponosi wspólnie z SLD za ostatnie czteroletnie rządy w kraju. Występująca z typowo lewicowych pozycji UP jest partią nam zupełnie przeciwną.

Michał Szubartowski (UP): Unia Pracy z zasady nie odrzuca współpracy z żadną siłą polityczną. Warunkiem tego jest chęć ewentualnego partnera do zawarcia kompromisu. Wielokrotnie nasze inicjatywy ustawodawcze zamiast być poddane dyskusji i konsultacjom były odrzucane głosami najczęściej SLD, ale także UW, KPN czy BBWR. Na forum parlamentarnym najlepiej układa nam się współpraca z PSL, czego przykładem była sprawa obniżenia podatków. Porównując program poszczególnych ugrupowań najbardziej zbliżona do koncepcji Unii Pracy jest program SLD. Jednak rządy obecnej koalicji prowadzą częściowo z nim nie zgodną politykę. Wspólne poglądy łączą Unię Pracy z lewicowym skrzydłem Unii Wolności, jak również częścią PSL. Jeśli chodzi o AWS i ROP to ich programy wła-

ściwie nie istnieją. AWS skupia w swych szeregach zarówno liberałów, chadeków, konserwatystów jak i działaczy związkowych. Jej oblicze programowe będzie zależało więc od tego, która z tych opcji zdobędzie po wyborach przewagę w klubie poselskim AWS. ROP ma jedynie do zaoferowania populistyczne hasła, za którymi nie stoi pozytywny plan działania. W przyszłym parlamencie nie wykluczamy współpracy z żadnym ugrupowaniem, ale znając polityków z prawej strony sceny politycznej, będzie to bardzo trudne.

8. partia nowoczesna czy anachroniczna?

Wojciech Wardawy (AWS): AWS nie jest jeszcze partią. Obecnie trwają dyskusje i prace nad przekształceniem Komitetu Wyborczego w organizację. Myślę, że realnie może to nastąpić dopiero po wyborach, gdy zweryfikowana zostanie przez wyborców popularność i siła poszczególnych liderów i ugrupowań. Nie bardzo rozumiem co to znaczy formacja anachroniczna czy nowoczesna? Jeśli w ciągu roku od powstania AWS uzyskuje ona 30-25% poparcia w sondażach i wszystko wskazuje, że wynik ten będzie utrzymany w wyborach, to chyba jesteśmy ugrupowaniem nowoczesnym, a przynajmniej skutecznym. Przypomnę tylko, że hipernowoczesna i postępową UP oscyluje wokół progu 5%.

Wiesław Tkaczyk (UW): Jest prawdą że Unia Wolności w jakiś sposób wyprzedza rozwój wypadków, wyprzedza działania, klimat polityczny, jaki może nastąpić w Polsce, za parę czy kilkanaście lat. I stąd też nasza popularność jest największa w kręgach młodzieży i średniego pokolenia. Wierzmy, że następne lata będą bardziej ustabilizowane politycznie. Nie będzie tych wahań z lewej do prawej, z prawej do lewej strony sceny politycznej. Niestety to nieszczyście Polski, że te wahnięcia są ciągle tak duże. Pojawiają się różni demagodzy polityczni, którzy przeciągają społeczeństwo na jedną albo drugą stronę. Dzieli to społeczeństwo i wygrywają, obywatel zaś przegrywa. Zaś UW w swoim programie ma wygraną dla obywatela, dla każdej polskiej rodziny.

Krzysztof Dudziński (ROP): ROP jest partią nowoczesną, budowaną na długi okres czasu a nie jednorazowym pospolitym ruszeniem. W swoich strukturach skupia około 80% osób bez wcześniejszej przeszłości politycznej, większość osób to młodzież i ludzie w średnim wieku. Duże znaczenie przykładzie się do wykszolenia fachowców i ludzi nowoczesnego systemu, tworzenia nowoczesnego wizerunku partii. Szczególny nacisk kładzie się na pozyskanie i wykształcenie młodych kadr tzw. „nowej fali”, która już w niedługim czasie coraz bardziej będzie wpływać na wizerunek ROP-u. Idąc ku nowoczesności nie możemy zapomnieć o swoich korzeniach narodowych i chrześcijańskich. Bo tylko poprzez zrozumienie własnej tradycji i historii możemy czuć się w pełni Polakami.

Michał Szubartowski (UP): Unia Pracy jest bez wątplenia partią nowoczesną. Jest jedyną partią w Polsce, która oparta jest o wspólnotę programową, a nie wspólnotę życiorysów. Jesteśmy żywym przykładem, że ludzie, którzy w latach 80-tych stali po przeciwnych stronach barykady, potrafili zjednoczyć się dla dobra wspólnego, dla Polski. W swym programie nawiązujemy do najlepszych wzorów europejskich. Na zachodzie Starego Kontynentu nowoczesna socjaldemokracja odnosi ogromne sukcesy. Świadczy o tym, że zwykli ludzie postanowili powierzyć swą przyszłość lewicy. W polityczny niebyt odchodzą partie klasowe, dlatego już pewien czas temu socjaldemokracja kieruje swą ofertę dla całego społeczeństwa. Unia Pracy jest partią młodą, często niedocenianą przez przeciwników politycznych, ale jesteśmy przekonani, że w niezbyt dalekiej przyszłości będzie odgrywać tak znaczącą rolę jak Labour Party w Wielkiej Brytanii czy socjaliści we Francji.

Tomasz Gnyś (UPR): Już samo postawienie takiej alternatywy wydaje się nieco wątpliwe. Zastanowić się bowiem można, co oznacza określenie „nowoczesna” czy „anachroniczna” w odniesieniu do partii na polskiej scenie politycznej? Nie zdecyduję się, odpowiadając mimo to na to pytanie, na jednoznaczne określenie UPR w wyżej wymienionych kategoriach. Biorąc pod uwagę nasz program i brak jakichkolwiek złudzeń, co

do państwa opiekuńczego i rozwiązań z takiej koncepcji płynących, to jesteśmy partią nowoczesną, z uwagi na to, iż uważamy te rozwiązania za wielokrotnie już w przeszłości skompromitowane w przeciwieństwie do lewicy. Jako UPR bowiem jesteśmy zwolennikami sprawdzonych rozwiązań, takich, dzięki którym państwa je stosujące odnotowały sukces gospodarczy. Jako przykład można podać Wielką Brytanię za rządów Margaret Thatcher czy Stany Zjednoczone za Ronalda Reagana. Z drugiej strony można o nas powiedzieć, że jesteśmy partią anachroniczną, ponieważ w związku z naszym hasłem „Świnie się zmieniły, ale trzeba zlikwidować koryto”, trzymamy się swoich zasad i nie traktujemy budżetu jako pieniędzy, które są na przykład wydawane na cele nie będące wspólnymi. W odróżnieniu od innych partii my chcemy zmienić w sposób dogłębny strukturę budżetu i sposoby dysponowania pieniędzmi podatników.

9. prognoza przedwyborcza

Wiesław Tkaczyk (UW): Unia Wolności cieszy się poparciem w granicach 10 – 15, czy nawet w niektórych rejonach 20 %. Wierzę, że będą takie regiony, gdzie poparcie sięgnie nawet 25%. Jestem również optymistą, co do naszego regionu i liczę również na duże poparcie. Unia Wolności ma bardzo dobrych kandydatów, na którego może głosować każdy zarówno intelektualista, robotnik, czy liberalnie myślący przedsiębiorca...

Tomasz Gnyś (UPR): Celem jaki stawia sobie UPR jest uzyskanie wyniku, który gwarantowałby jej reprezentację parlamentarną i żywią głęboką nadzieję, że tak się stanie. Uważam, że bardzo istotne znaczenie będzie miał sposób przeprowadzenia kampanii wyborczej i możliwość częstego dotarcia do potencjalnego elektoratu. Uzyskaniu reprezentacji parlamentarnej służyć ma również umieszczenie na listach powszechnie znanych jak na przykład Jan Pietrzak.

Izabella Sierakowska (SLD): Patrząc na bardzo spokojną i konsekwentną politykę jaką prowadzi moje ugrupowanie, mam nadzieję, że nadchodzące wybory parlamentarne o czym świadczą

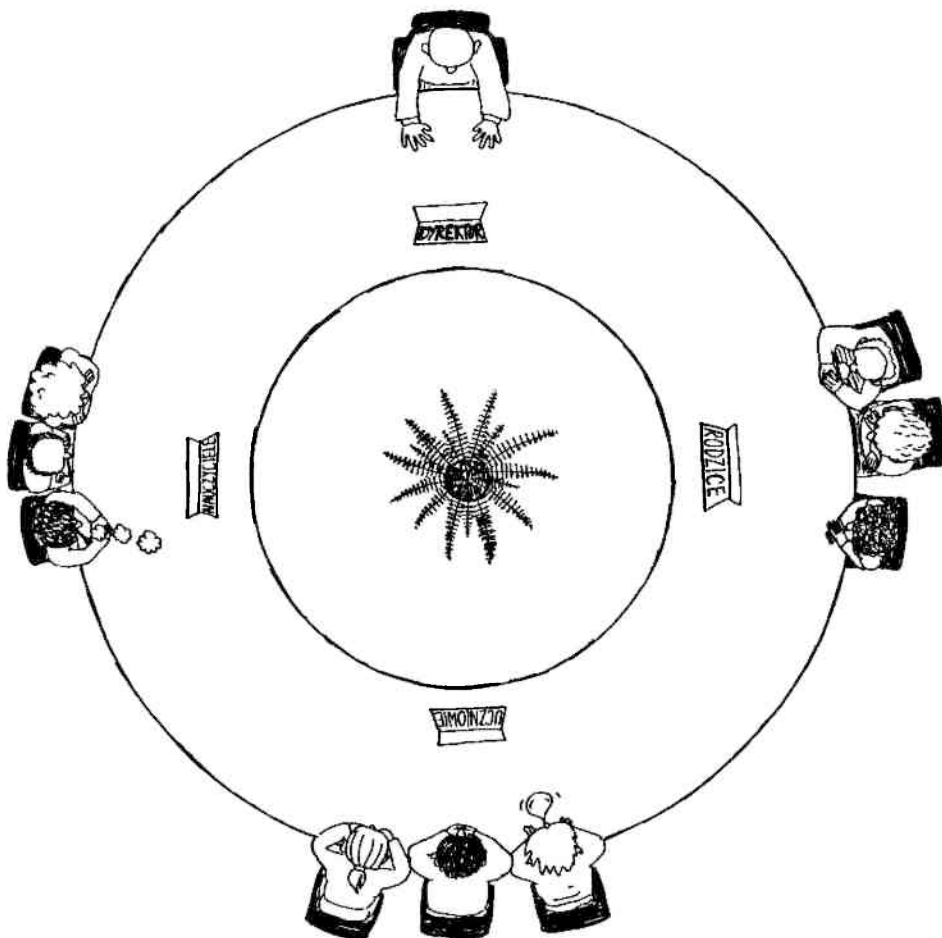
sondaże nie będą dla nas przegrane. Mam także nadzieję, że to, co rozpoczęliśmy, będziemy mieli szanse kontynuować w latach kolejnych. W 1993 roku na jednego mieszkańca Polski przypadało rocznie 4000 \$, co wynika z podziału tzw. Produktu Krajowego Brutto. Dzisiaj, pod koniec 1997 roku, będzie to kwota 8000 \$, czyli w ciągu czterech lat nastąpiło podwojenie PKB. Liczymy na to, że w kolejnych latach, jeżeli utrzyma się tempo rozwoju gospodarczego, to kwota ta wzrośnie do 12000 \$ na jedną osobę.

Krzysztof Dudziński (ROP): Obserwując sondaże dotyczące Ruchu powinienem być pesymistą, nasze notowania w nich ciągle idą w dół. Ale uważnie obserwuję podobne wyniki dotyczące poparcia Jana Olszewskiego w wyborach prezydenckich i referendum uwłaszczeniowego i konstytucyjnego – dlatego jestem optymistą. W skali kraju sądzę, że ROP zdobędzie między 12 – 16%.

Wojciech Wardawy (AWS): Wydaje mi się, że w 10 mandatowym okręgu lubelskim AWS powinien uzyskać na pewno 3 miejsca (to minimum) a być może 4, 5 byłoby doskonałym (maksymalnym) wynikiem. Jeden mandat weźmie ROP, także jeden UW, o resztę walczyć będą komuniści i PSL. W wyborach do Senatu kandydat AWS nie powinien mieć kłopotów, drugi mandat uzyska na pewno PSL.

Michał Szubartowski (UP): We wrześniowych wyborach najbardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz: SLD i AWS po około 25-28% głosów, pozostałe partie, czyli UP, PSL, UW, ROP, KPEIR zdobędą od 5 do 12%. największe szanse na przekroczenie 12% ma PSL, najmniejsze na osiągnięcie 5% KPEIR. W takiej sytuacji określenie jaka koalicja utworzy rząd jest bardzo trudne. Za najlepsze uważamy układy: SLD-UP-UW oraz SLD-UP-PSL. Być może powstanie „wielka” koalicja: SLD-UP-UW-PSL. Raczej niemożliwe jest utworzenie rządu przez AWS-ROP-UW. Prawdopodobny i niestety najgorszy z możliwych wariantów to układ: AWS-ROP-PSL.

W debacie udział wzięli i opracowali materiał do druku: **Jarosław Bojanowski, Aleksander Janas, Adrian Lesiakowski, Szymon Pietrasiewicz, Wojciech Stanek, Sławomir J. Żurek, Eliza Żywicka.**



samorząd uczniowski – wybory w szkole

Michał Hucal

Demokracja, odpowiedzialność, szkoła

Zmiany zaczną się dzięki nam, nie – politykom, ekspertom, nauczycielom; nam, którym na tym zależy. Wierzę, że świat należy naprawić, ale tylko my, młodzi, zdołamy to zrobić!

(„Więcej czadu”, reż. Allan Moyle)

U progu kolejnego tysiąclecia czekają nas szumne apele, wskrzeszanie „ducha” narodu, zasług dawnych Polaków. Jednak nie powinniśmy zapominać, że aby przyszłe pokolenia także mogły chlubić się swym pochodzeniem, musimy działać i tworzyć nowe dzieła, idee, święta. Nasz naród pełen jest krzykaczy, pesymistów, szowinistów skarżących się na wszystkich, ale jednocześnie pozbawionych krzty przedsiębiorczości, pragnienia reform i pracy. Liczba osób uprawnionych do głosowania, które wzięły udział w wyborach oscyluje wokół 50%, a winna ona wynosić 100%! To zjawisko powszechne w Europie, ale inne kraje starają się temu przeciwstawić, np. w dwóch landach RFN komunalne prawa wyborcze otrzymali wszyscy obywatele od 16 roku życia. Musimy zadać pytanie, skąd wzięła się tak mała troska obywateli o ich własne interesy? – To wina złych metod wychowania, w których brakuje miejsca na demokrację, tolerancję i zachęty do samodzielnego podejmowania decyzji. Podnoszone są hasła, iż młodzieży brakuje odpowiedzialności. W jaki sposób lepiej ją zaszczerpić, jak nie poprzez doświadczenie, praktykę od najmłodszych lat życia, większe zaufanie?

Samorząd uczniowski

Czy istnieją możliwości wprowadzenia młodzieży w arkana demokracji i aktywnego działania? – Nie są one dziś aż tak porywające, lecz istnieją. Najlepszym miejscem takiego działania jest szkoła. Znana instytucja samorządu szkolnego jest niedoceniana nawet przez uczniów. Jej podstawy prawne tworzą zaledwie dwa przepisy: art. 55 Ustawy o systemie oświaty z dn. 7 września 1991 r. (t. jed. Dz. U. Nr 67, poz. 329 z 1996 r., zm. Dz. U. Nr 106, poz. 496) i ust. 5 art. 6 Ustawy z dn. 26 stycznia 1982 r. – Karta Nauczyciela. Samorząd to wszyscy uczniowie szkoły lub placówki, którzy w uchwalonym przez siebie regulaminie, ustalają zasady wybierania i działania organów samorządu. Właśnie te organy dają duże możliwości do wdrożenia programów prodemokratycznych.

Ustawa pozostawia swobodę w tworzeniu struktur samorządu. Niepodważalnie, członkowie tych organów powinni być wybierani bezpośrednio przez uczniów. W niektórych szkołach są oni powoływani bezpośrednio przez przewodniczących samorządów klasowych, co bynajmniej nie zachęci późniejszych pełnoletnich wyborców do pójścia do urn. „Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci” i odpowiedzialność za błędy państwa będzie spychana na nieokreśloną grupę ludzi (np. na masonerię). Dobrym rozwiązaniem może być organizacja tychże organów na wzór instytucji państwa. Rada lub Senat Samorządu, składający się z 20–30 uczniów, spełniałby rolę władzy ustawodawczej, ustalając przepisy regulaminu Samorządu, opiniując statut szkoły, regulaminy innych organów szkoły (np. Rady Szkoły) i sprawy bieżące oraz powołując nauczyciela-opiekuna samorządu, który to spełniałby rolę mediatora w sprawach wewnętrznych samorządu i w kontaktach z Radą Pedagogiczną. Zadania o charakterze wykonawczym przewidziane w ustawie, tj. ochrona praw ucznia „do zapoznania się z programem nauczania, z jego treścią, celem i stawianymi wymaganiami, do organizowania życia szkolnego, umożliwiającego zachowanie właściwych proporcji między wysiłkiem szkolnym a możliwością rozwijania i zaspokajania własnych zainteresowań, (...) prawo organizowania działalności kulturalnej, oświatowej, sportowej oraz rozrywkowej”, mogą być przekazane Przewodniczącemu Samorządu, który byłby jednocześnie przewodniczącym Senatu. Kandydat na przewodniczącego startowałby razem ze swym ewentualnym zastępcą w wyborach równych, powszechnych i tajnych. Roczna kadencja Przewodniczącego – powszechna w szkołach – jest zdecydowanie za krótka (praktycznie 7 miesięcy działania) i winna wynosić min. 2 lata – co potwierdzają członkowie samorządów. Jeśli Przewodniczący w związku z np. maturą nie mógłby podolać wszystkim obowiązkom, składałby dymisję na ręce swego zastępcy (zazwyczaj młodszego), który stawałby się Przewodniczącym do końca danej kadencji. Równocześnie ten system pozwalałby na kontynuację prac Samorządu, która obecnie nie istnieje. Jednocześnie lider dobierałby grono doradców, specjalizujących się w określonych sprawach samorządowych. Gazeta szkolna, gwarantowana przez ust. 4 art. 55, musi być redagowana w sposób pluralistyczny pod ochroną nauczyciela-opiekuna samorządu. Jej niezależność ma za zadanie wpoić uczniom etyczne zadania wolnej prasy.

Dodatkowy efekt podnoszący rangę społecznej aktywności może dać zorganizowanie wszystkich wyborów jednego dnia, z tej okazji np. wolnego od zajęć. Z tego względu udział w głosowaniu (poprzedzonym wcześniejszą kampanią) byłby obowiązkowy i towarzyszyłyby mu imprezy, przygotowane przez odchodzący samorząd. Dniem tym może być rocznica założenia szkoły, święto patrona lub rocznica wielkiego zrywu uczniowskiego, np. dla mojej Szkoły strajk uczniów 1905 r.

Nowelizacja „Karty Nauczyciela” (Dz. U. Nr 87, poz. 396) z 1996 r. nakazuje dyrektorowi szkoły zaciągnięcie opinii samorządu przy ocenie nauczyciela. Artykuł ten bez odpowiednich przepisów wykonawczych w statucie szkoły, regulaminie Samorządu i przychylniej postawy dyrekcji zamienia się w farsę. Nauczyciele z trudem przyjmują do wiadomości, że mogą być oceniani przez uczniów i na tym tle dochodzi do konfliktów. Argument o braku obiektywizmu ze strony wychowanków jest nieprawdziwy. Każdego z uczniów czeka matura i wolimy być do niej rzetelnie przygotowani. Tymczasem wizytacje, odbywające się po powiadomieniu nauczyciela raz na długi okres czasu, nigdy nie dają właściwego obrazu stosunku belfra do uczniów i nauczania. Tylko

uczniowie są w stanie właściwie ocenić profesora, bowiem przebywają z nim na co dzień, a nie od święta, jak dyrekcja. Zaangażowanie uczniów w życie szkoły od tej strony może sprzyjać budowaniu poczucia odpowiedzialności, eliminować miernoty pedagogiczno-naukowe.

Rada szkoły

Samorząd szkolny należy do znanych, ale nie jedynych sposobów budowania demokracji w szkole. Ustawa o systemie oświaty pozwala na utworzenie w każdej placówce oświatowej Rady Szkoły, organu – jak wskazuje Informacja Kuratora Oświaty dla Lubelskiego Sejmiku Samorządowego – mało wykorzystywanego w naszych szkołach. Rady, mimo tego, że teoretycznie posiadają uprawnienia, pozwalające samorządowi wzmocnić ich pozycję; występują tylko w ok. 25% szkół ponadpodstawowych publicznych.

Rada Szkoły jest organem służącym do rozwiązywania konfliktów wewnętrznych szkoły i stanowi poważną siłę moralną. Przez wielu dyrektorów właśnie ten cel jest postrzegany za jej główne zadanie, ale pozytywnie wyrażają się także o współpracy w zakresie remontów szkół i pozyskiwania dodatkowych sposobów finansowania placówek. Rada powoływana jest przez dyrektora na wniosek dwóch podmiotów spośród Samorządu Szkolnego, Rady Pedagogicznej i Rady Rodziców. W jej skład wchodzi nauczyciele, uczniowie i rodzice w równej liczbie (min. po 2 osoby). Kadencja Rady trwa 3 lata, a ustawa dopuszcza coroczną zmianę 1/3 składu. Na jej czele stoi wybierany przez nią przewodniczący, a jej zebrania są protokołowane. Do udziału w posiedzeniach Rady mogą być zapraszane osoby z głosem doradczym (np. dyrektor), ale wyłącznie za zgodą członków Rady. Do ustawowych kompetencji Rady należy: uchwalanie statutu szkoły, przedstawianie wniosków w sprawie rocznego planu finansowego środków specjalnych, występowanie do organu sprawującego nadzór pedagogiczny z wnioskami o zbadanie i dokonanie oceny działalności szkoły, jej dyrektora lub nauczyciela (wnioski o charakterze wiążącym), opiniowanie planu finansowego i pracy szkoły, projektów innowacji i eksperymentów pedagogicznych oraz wszelkich spraw związanych ze szkołą. Opinie Rady bezwarunkowo wymaga także odznaczenie lub nagrodzenie nauczyciela, przedłużenie kadencji dyrektora, powołanie i odwołanie wicedyrektora oraz zgoda na działalność w szkole organizacji i stowarzyszeń. Dodatkowo artykuł 50 ust. 3 Ustawy pozwala gromadzić fundusze z dobrowolnych składek i innych źródeł. W rzeczywistości Rady nie wykorzystują tego uprawnienia, a ich członkowie wskazują na spychanie rad do roli opiniotwórczej. Dyrektorzy stwierdzają, iż to właśnie rady nie wykazują najmniejszej inicjatywy. Wskazują oni także na nieporozumienia z Radami Rodziców w kwestiach finansowych i działania „na papierze”. Obie strony zgadzają się jednak, że kompetencje rad winny ulec rozszerzeniu oraz, iż głównym problemem jest brak możliwości realizacji zadań z powodów finansowych.

Ustawa posiada inne, poważniejsze wady, najprawdopodobniej zamierzone, wprowadzone specjalnymi poprawkami, których celem jest osłabienie wpływu uczniów na szkołę i jednocześnie działanie antysamorządowe, antydemokratyczne, antypedagogiczne. Art. 55 ust. 1 Ustawy o systemie oświaty nazywa samorząd uczniowski „jedynym reprezentantem uczniów” przez co deprecjonuje znaczenie uczniów – członków Rady Szkoły jako

pełnoprawnych przedstawicieli uczniów. Stąd też należy – biorąc pod uwagę ten antagonizm – włączyć tychże uczniów do organów samorządu, np. Przewodniczący Samorządu, jego zastępca i członkowie Senatu o najwyższym poparciu uzyskanym w wyborach automatycznie stawaliby się członkami Rady Szkoły. W ten sposób sekcja uczniowska Rady byłaby silnie skonsolidowana z Samorządem, co wzmacniałoby jego rolę. Może on wtedy wprowadzać własne poprawki do statutu szkół – podstawy jego działania. Należy pamiętać, iż mimo wszystko Rada jest organem najważniejszym w placówce oświatowej.

Do problemów jeszcze większych należy zaliczyć zapis art. 51 ust. 3 i art. 51 ust. 5a (dodany przez art. 1 pkt 41 Ustawy z dn. 21 lipca 1995 o zmianie ustawy o systemie oświaty oraz niektórych innych ustaw – Dz. U. Nr 101, poz. 504). Pierwszy z nich pozwala na rozszerzenie składu Rady o inne niż wymienione osoby z wyborów, co ustalałby statut. Należy przypomnieć, że do chwili ukonstytuowania się Rady jej funkcje sprawuje Rada Pedagogiczna (jest wtedy – tzn. w 75% szkół ponadpodstawowych – prawdziwym organem dyktatorskim). Nietrudno wyobrazić sobie, iż może ona wprowadzić do Rady Szkoły spoza wyborów, np. przewodniczącego Związku czy dyrektora. W ten sposób równowaga w Radzie – będąca duchem ustawy – zostaje zachwiana, a ona sama zmienia się w marionetkę Rady Pedagogicznej. Podobne niebezpieczeństwa stwarza drugi zapis, który wszedł w życie 1.01.1996 r. Jego treść jest jawnie antysamorządowa: „W regulaminie (Rady Szkoły – przyp. aut.) mogą być określone rodzaje spraw, w których rozpatrywaniu nie biorą udziału przedstawiciele uczniów”. Stworzenie możliwości wyłączenia uczniów z dyskusji na wszystkie możliwe tematy (ustawa nie określa o jakie chodzi), stoi w określonej sprzeczności z duchem ustawy i polską racją stanu, której celem jest zbudowanie państwa obywatelskiego. Argument o potrzebie zabezpieczenia w ten sposób praw osobistych ucznia, którego dotyczyłaby dyskusja, jest nieprawdziwy. Można przecież wprowadzić tajemnicę obrad (takie rozwiązanie istnieje w IV LO). Zaniepokojenie powyższymi problemami wyrazili tak członkowie rad, jak i niektórzy dyrektorzy.

Wojewódzkie rady oświatowe i Krajowa Rada Oświatowa

Szczególną pozycję Rady Szkoły tworzy m.in. jej zaplecze w postaci wojewódzkich rad oświatowych. Organ ten jest tworzony przez Wojewodę na wniosek, co najmniej 10% szkół i placówek, przedstawiony przez Kuratora Oświaty. Jego kadencja trwa 3 lata, a Kurator ma obowiązek zapewnić mu obsługę administracyjną. Rada Wojewódzka „bada potrzeby oświatowe województwa oraz inicjuje prawidłowe ich zaspokajanie, opiniuje kryteria podziału środków budżetowych będących w budżecie Wojewody, występuje z wnioskami w sprawach dotyczących oświaty do Krajowej Rady Oświatowej, Kuratora Oświaty lub organów gmin, może wystąpić z umowowowanym wnioskiem o odwołanie Kuratora”. Rada typuje także 2 przedstawicieli do komisji konkursowej, tworzonej dla wyłonienia Kuratora Oświaty, którego ustawowym obowiązkiem jest współdziałanie z woj. radą oświatową. Rada może stanowić kolejne ogniwo w kształceniu obywatelsko-samorządowym.

Do organu tego wchodzi bowiem rodzice, uczniowie i nauczyciele – przedstawiciele rad szkół i placówek w łącznej liczbie 24 oraz – co niszczy równowagę w tej instytucji – po jednym przedstawicielu związków zawodowych nauczycieli, 2 przedstawiciele sejmii-

ku samorządowego, 3 przedstawiciele szkół niepublicznych (nauczyciel, rodzic, uczeń) oraz po jednym przedstawicielu wojewody i woj. urzędu pracy. Wyboru przedstawicieli rad dokonuje się trzystopniowo. Najpierw rady szkół wybierają po jednym swoim przedstawicielu spośród nauczycieli, rodziców i uczniów. Drugi etap to zgromadzenie przedstawicieli rad każdej gminy, gdzie powołuje się elektorów (po jednym spośród uczniów, nauczycieli, rodziców), którzy wybierają przedstawicieli do woj. rady oświatowej.

Wojewódzkie rady oświatowe reprezentujące 1/4 województw inicjują powstanie Krajowej Rady Oświatowej, która opiniuje wszelkie akty prawne związane z oświatą (w tym budżet) oraz występuje z własnymi wnioskami do MEN, Senatu, Sejmu i innych. Kadencja Rady trwa także 3 lata, składa się ona z przedstawicieli każdej rady wojewódzkiej i centralnych struktur związków zawodowych nauczycieli.

Mimo złego systemu oświaty w Polsce, istnieje szansa na stworzenie społeczeństwa obywatelskiego, aktywnego, nie obawiającego się odpowiedzialności. Służyć temu mogą samorządy szkolne, rady szkół, wojewódzkie rady oświatowe i Krajowa Rada, ale niezbędna jest do tego aktywność choćby kilku jednostek, które stanowiłyby przysłowiowy pierwszy kamyczek lawiny. Niestety w woj. lubelskim nie istnieje woj. rada oświatowa, a szkoły z radami stanowią mniej niż niezbędne 10% **wszystkich** szkół i placówek (rejestr Kuratora jest nieściśły, bowiem ani rady nie muszą informować go o swoim istnieniu, ani kurator o nie pytać). Brak także zrzeszenia samorządów uczniowskich, które pomogłoby w wymianie doświadczeń i powiązałoby lubelskie szkoły. Powyższy schemat działania jest jedną z metod poprawy beznadziejnej organizacji samorządu. Uczniowie nie wiedzą o możliwości zawiązania rady szkoły, co więcej – nie wiedzą o tym nauczyciele i rodzice. W niektórych szkołach rady, mimo swego wieloletniego istnienia pozostają nieznanne. Nikt o nich nie wie. Ilustracją problemu może być wypowiedź jednego z pracowników V LO: „Nie ma żadnej Rady szkoły. Tu jest porządna szkoła!”

W tym roku upływa 92 rocznica strajku uczniowskiego w lubelskich gimnazjach w obronie polskości. W Szkołach, im. Vetterów zakończył się on zwycięstwem, m.in. dzięki poparciu Rady Opiekuńczej w osobie Augusta Vettera. Nie pozostaliśmy gorsi. Dziś znów potrzebna jest taka współpraca. Za nas nikt tego nie zrobi.

P.S.

Autor składa specjalne podziękowania Mieczysławowi Taraszkiewiczowi – dyrektorowi Wydziału Kształcenia Ponadpodstawowego i Edukacji Ustawicznej, Sławomirowi Kaczyńskiemu – dyrektorowi Wydziału Opieki, Wychowania i Kultury Fizycznej Kuratorium Oświaty w Lublinie, Teresie Radzikowskiej-Lysiak – dyrektorowi IV LO im. Zofii Sempołowskiej, p. Markiewiczowi – dyrektorowi Zespołu Szkół Ekonomicznych im. A. i J. Vetterów, Danucie Wasyl – przewodniczącej Rady Szkoły IV LO, Jeremiu Elżanowskiemu – przewodniczącemu Samorządu Uczniowskiego ZSE im. A. i J. Vetterów oraz innym osobom, dzięki którym powstał ten artykuł.

Lucyna Kujawa

Prawa uczniów i sposoby ich obrony (konspekt lekcji)

Cel ogólny: Poznanie praw przysługujących uczniom w szkole i sposobów ich obrony

Cele operacyjne:

Poziom I – wiadomości

Kategoria A – Pamiętać

1. Dokumenty, w których zapisane są prawa uczniów
2. Osoby i instytucje, do których można się zwrócić w wypadku łamania praw uczniów
3. Organizacje działające na rzecz ochrony praw człowieka

Kategoria B – Rozumieć

1. Znaczenie pojęć: – statut szkoły
 - regulamin szkoły
 - deklaracja
 - procedura dochodzenia praw
 - zasada obywatelskiego nieposłuszeństwa
 - rzecznik praw
2. Potrzebę ochrony praw uczniów
3. Potrzebę określenia statutu szkół prywatnych i publicznych dla dzieci i młodzieży przez Ministra Edukacji Narodowej

Poziom II – umiejętności

Kategoria C – Wykorzystywanie umiejętności w sytuacjach typowych

1. Uczniowie formują prawa i obowiązki uczniów, które powinny znaleźć się w regulaminie szkoły
2. Wyjaśnienie konieczności istnienia organizacji lub osób, które zajmują się ochroną praw uczniów
3. Umiejętność wskazania dokumentów, w których zawarte są prawa uczniów

Kategoria D – Wykorzystanie umiejętności w sytuacjach problemowych

1. Symulacja zachowań w różnych sytuacjach
2. Umiejętność wskazania praw uczniów, które są naruszone

3. Umiejętność wskazania dokumentów, w których zawarte są prawa uczniów

Kategoria E – Wykorzystanie zdobytej wiedzy do kształtowania własnych poglądów

1. Wskazanie konieczności obrony praw uczniów w polskich szkołach i wiążących się z tym trudności

2. Uzmysłowanie uczniom korzyści płynących z jasno określonych praw ucznia w szkole

Metoda: Praca pod kierunkiem nauczyciela z elementami rozmowy nauczającej i dyskusji

Forma pracy: Zbiorowa z elementami grupowej

Środki dydaktyczne:

1. Fragmenty wybranych artykułów

2. Fragmenty aktów prawnych dotyczących praw uczniów

3. Fragmenty Konwencji Praw Dziecka

4. Fragmenty Ustawy o Systemie Oświaty z 07.09.1991 r. oraz Zarządzenia Ministra Edukacji Narodowej z dnia 19.06.1992 r. w sprawie ramowego statutu szkół publicznych i młodzieży

5. Regulamin praw i obowiązków uczniów w Zespole Szkół Chemicznych w Lublinie

6. Tomalska H.: *Wiedza o społeczeństwie* (podręcznik)

Lp. CZAS OGNIWO CZYNNOŚCI NAUCZYCIELA CZYNNOŚCI UCZNIA

1. 5 min. czynności organizacyjne. Sprawdzenie listy obecności

Polecenie podzielenia się klasy na 4 grupy

Uczniowie wykonują polecenie nauczyciela

2. 5 min. rekapitulacja wótorna. Nauczyciel wprowadza uczniów w problematykę lekcji. Zapisuje temat lekcji

Poleca wymienić uczniowi dokumenty chroniące prawa człowieka i obywatela

Nauczyciel poleca wymienić organizacje chroniące prawa człowieka

Uczniowie zapisują temat lekcji w zeszytach

Uczniowie wymieniają te organizacje:

– Powszechna Deklaracja Praw Człowieka ONZ

– Pakty Praw Człowieka ONZ

– Europejska Konwencja o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności

– Konwencja Praw Dziecka

Uczniowie wymieniają te organizacje:

– Trybunał Konstytucyjny

– Rzecznik Praw Obywatelskich

– Komitet Praw Człowieka ONZ

– Europejska Komisja Praw Człowieka

– Europejski Trybunał Praw Człowieka

3. 30 min. właściwy tok lekcji 1. Nauczyciel rozdaje uczniom pracującym w grupach teksty pomocnicze nr 3, 4, 5, 6 polecając, by przeanalizowali teksty

2. Nauczyciel poleca uczniom aby stworzyli własny katalog praw i obowiązków

3. Nauczyciel poleca porównać te prawa z regulaminem szkoły

4. Nauczyciel zadaje pytanie:

– Które z praw gwarantowanych przez regulamin szkoły są najczęściej naruszane?

5. Nauczyciel zwraca uwagę na tekst pomocniczy nr 4 i poleca wypisać ogólne uprawnienia samorządu szkolnego

6. Nauczyciel wskazuje uczniom na korzyści płynące ze sprawnie funkcjonującego samorządu uczniowskiego w szkole

7. Nauczyciel poleca uczniom zapoznać się z tekstem pomocniczym nr 1

8. Nauczyciel zadaje pytania:

– Czy odgórne decydowanie o sposobie ubierania się uczniów w szkole jest naruszeniem praw ucznia?

– Czy ubranie (wygląd zewnętrzny) wyraża poczucie przynależności grupowej?

– Czy mundurki tłumią indywidualność?

– Jak zachowaliby się w przypadku wprowadzenia takiego zarządzenia w szkole?

– Do kogo zwróciliby się by bronić swoich praw?

– Jaka rolę mogą odegrać nieformalne środki nacisku (rodzice, mass media)?

9. Nauczyciel poleca zapoznać się z tekstem nr 2. Następnie zadaje pytania:

– Czy postępowanie tych uczniów jest wg nich naganne?

– Czy jest sposób na zapewnienie w szkole bezpieczeństwa?

– Jak szkoła powinna postępować z uczniami naruszającymi regulamin szkoły?

– Czy w szkole potrzeby jest rzecznik praw ucznia i czy tę rolę może pełnić nauczyciel np. opiekun samorządu szkolnego?

– Czy w szkole można stosować zasadę obywatelskiego nieposłuszeństwa? Uczniowie pracując w grupach omawiają prawa ucznia w tychże dokumentach

Uczniowie w grupach opracowują taki katalog. Następnie na tablicy przedstawiciele każdej grupy zapisują propozycje praw i obowiązków.

Uczniowie wypisują różnice

Pracując w grupach uczniowie odpowiadają na zadane pytanie

Uczniowie zapisują w punktach:

1. prawo do samodzielnego podejmowania decyzji przez uczniów

2. prawo do podejmowania decyzji wewnątrzszkolnych

3. prawo do tworzenia organów przedstawicielskich

Uczniowie zapisują to do zeszytu samodzielnie redagując notatkę:

1. przywrócenie uczniom poczucia godności i wolności osobistej

2. zapewnienie poczucia bezpieczeństwa (w większym stopniu)

3. wzajemne wspieranie się uczniów

4. zapewnienie uczestnictwa uczniów w życiu szkoły

5. kształtowanie odpowiedzialności za decyzje

6. możliwość podejmowania decyzji

Uczniowie czytają tekst.

Uczniowie odpowiadają na zadane pytania

4. 3 min. praca domowa. Nauczyciel proponuje pracę domową:

Wybierz prawo z regulaminu szkoły, które wg ciebie jest najczęściej łamane. Rozwiąż ten problem podejmując określone działania. Uczniowie zapisują polecenie w zeszytach.

5. 5 min. rekapitulacja pierwotna. Na zakończenie nauczyciel poleca chętnemu uczniowi podsumowanie przedstawionych treści

Następnie poleca zapisać i wyjaśnić następujące pojęcia:

- statut szkoły
- regulamin szkoły
- deklaracja
- procedura dochodzenia praw
- zasada obywatelskiego nieposłuszeństwa
- rzecznik praw

Uczniowie zapisują w zeszytach.

„Wolność sprowadza się do niezależności od przymusu i gwałtu ze strony innych. Nie jest to możliwe, tam gdzie nie ma prawa. Nie jest więc to, jak się nam mówi, wolnością, gdyby każdy robił to, co mu się podoba. Któż bowiem mógłby być wolny, gdyby inny był w stanie go tyranizować.”

John Locke, *Dwa traktaty o rządzie*

*

„Ludzie rodzą się i żyją wolnymi i równymi wobec prawa.”

Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela

*

„Zgodnie ze zwykłym użyciem słowa >>wolność<< jestem wolny przez samą możliwość wyboru, czyli jestem wolny, zarówno gdy dobro, jak i zło wybieram. W tym ostatnim wypadku staję się zły, lecz jestem nadal wolny i z tego tytułu odpowiedzialny.”

prof. Leszek Kołakowski

Debaty szkolne

Coraz więcej szkół w całej Polsce przyłącza się do programu „Debaty szkolne”. Mówi się o istniejących w nich zasadach i regulach. Ale osoba początkująca najbardziej zaciekawiona jest tym, jak owa organizacja wygląda w oczach uczestnika. Dlatego w swej pracy pragnę przedstawić parę tematów, które dotyczą bezpośrednio nas – debatujących, a zarazem są interesujące dla niewtajemniczonych.

Pierwsza debata jest na pewno najbardziej stresująca dla wszystkich. Prace przygotowawcze (czasochłonne, ale i niezbędne) zaczynają się od poszukiwania i zbierania materiałów, które dostarczyłyby nam odpowiednich i jak najtrafniejszych argumentów. W owym czasie odwiedza się wszystkie znane biblioteki, czytuje się znacznie więcej gazet, prosi o pomoc znajomych. Każdy artykuł, dotyczący danego tematu jest „na wagę złota”. Kiedy uzbiera się już ładna sarta makulatury, jest to sygnał, że drużyna powinna się spotkać, by porozmawiać na temat zgromadzonych materiałów. Może nam się zdarzyć, że zebraliśmy za dużo potencjalnych argumentów i mamy problem z ich selekcją, jak również, możliwe jest, iż nie posiadamy nic, co pomogłoby nam odnieść zwycięstwo. W takich wypadkach należy bardzo szybko podjąć decyzję co dalej oraz przyspieszyć i nasilić poszukiwania odpowiednich materiałów. Kiedy owy problem mamy już za sobą – jesteśmy po burzliwej wymianie zdań z kolegami ze swojej drużyny i argumenty są jasno sprecyzowane – należy przygotować się do przemowy. Tu każdy postępuje według własnego zdania. Jedni piszą wystąpienie na kartkach w punktach, inni w całości. To zależy od danej osoby i od tego, czy jest ona w stanie powstrzymać swoje nerwy i jasno myśleć przez parę pierwszych minut imprezy. I punkt kulminacyjny – debata, czasem przed dużym gronem publiczności. Podczas pierwszego wystąpienia trema jest tak duża, iż z trudnością przypominamy sobie własne imię i nazwisko. Później wszystko powoli przemija, lecz gdy przychodzi czas na nasze przemówienie, czujemy jak serce wali nam w całym ciele. Nie wiemy co zrobić z rękoma, głos zaczyna się załamywać... W końcu przypominamy sobie, po co właściwie tu stoimy i z odwagą i przekonaniem przedstawiamy swoje argumenty (nie zawsze zgodne z własnym zdaniem). Dużą rolę w całym przedstawieniu odgrywa publiczność – jej zachowanie ma ogromny wpływ na osobę przemawiającą. Często zdarza się, iż podczas wystąpienia cała sala wybucha śmiechem lub gdzieś tam słychać szepty aprobaty. W takim przypadku uczestnik debaty z jeszcze większą uwagą atakuje argumenty przeciwnika, jest pewniejszy tego co mówi. Publiczność dodaje mu otuchy, a trema paraliżująca go uprzednio przeobraża się w siłę dopingującą. Inaczej jest, gdy widzowie nie podzielają naszego zdania. Wówczas sami nie jesteśmy pewni, czy stoimy po właściwej stronie i tracimy przekonanie o prawdziwości wypowiedzianych przez nas faktów, opinii.

Po zakończeniu debaty, kiedy sędziowie ustalają werdykt, każdy w myślach przypomina sobie przebieg dyskusji i próbując być obiektywnym ocenia własną osobę, kolegów ze swojej i przeciwnej drużyny. Zauważamy wówczas popełnione błędy, usterki i niedociągnięcia w wypowiedziach.

I moment bardzo ważny, nie wiem czy nie najważniejszy – ogłoszenie werdyktu. Tu emocje sięgają szczytu. Każdy zastanawia się czy udało mu się wystarczająco przekonać sędziów, aby móc odnieść zwycięstwo...

Ktoś może się zapytać, po co debatować? Czy nie ma nic ciekawszego, czym można by się zająć? Na pewno jest wiele interesujących czynności, ale nie aż tak! Pierwsza debata jest wielką niewiadomą, związaną nieodłącznie z nerwami. Lecz następne, gdy nabieramy już doświadczenia w dyskutowaniu, stają się ucztą, na której delektujemy się wypowiedzianym słowem. Na pierwszym planie nie są już argumenty, lecz sama sztuka prowadzenia rozmowy, wymiany poglądów. W sposób bardzo kulturalny możemy przedstawić swój punkt widzenia na dany temat, obalać argumenty przeciwnika, a nie jego osobę. Jesteśmy zmuszeni do uważnego słuchania, szczegółowego analizowania i wypowiedzania się na konkretny temat. A te ważne i zarazem konieczne czynności są pomijane w naszym codziennym życiu, a niekiedy także przez osoby publiczne, np. polityków. Dzięki uczestnictwu w tym programie przeciętny uczeń może się bardzo wiele nauczyć. Oczywiście jest to, iż jest mu łatwiej sformułować w poprawne zdania swoje myśli, układać jasne i sensowne przemówienia, błyskawicznie wylapywać wiadomości potrzebne mu do opracowania danego zagadnienia. Takie umiejętności niezmiernie pomagają w karierze uczniowskiej. Należy także oddać, iż osoba często uczestnicząca w debatach, nabywa charakterystycznej pewności siebie i nie daje się łatwo kierować przez innych, chyba, że zostanie przekonana odpowiednimi argumentami. Cechy te we współczesnym świecie są bardzo cenione i poszukiwane wśród potencjalnych pracowników. Toteż debaty szkolne są doskonałym przygotowaniem do zawodu prawnika, polityka, dziennikarza, biznesmena, ale także duchownego, czy nauczyciela. Zalet wynikających z uczestnictwa w tym programie mogłabym wypisywać jeszcze setki, lecz zaznaczyć trzeba zwłaszcza te, które przydadzą nam się teraz, kiedy jesteśmy uczniami. Do jednej z nich należy dodać fakt, iż podczas odpowiedzi ustnych przy nauczycielu, łatwiej jest kontrolować swoje nerwy, starannie dobieramy i łączymy wiadomości, by nasza wypowiedź była jak najlepsza. Sukces gwarantowany!

Czy istnieją zatem jakieś wady takiego spędzania wolnego czasu? Mówiąc, szczerze to takich wad nie ma. Bo czy niewłaściwe, czy złe jest to, że posiadamy własne zdanie na kontrowersyjne dziś tematy, jesteśmy na bieżąco w niemalże wszystkich dziedzinach życia społecznego i kulturalnego? Na pewno solidne przygotowanie do debaty wymaga od nas poświęcenia i wiele czasu. Jednak każdy człowiek, który ma jakieś zainteresowanie, oddaje mu każdą wolną chwilę. Zatem namawiam wszystkich do wzięcia udziału w tym programie. W każdej chwili można się przecież wycofać. A więc – **SPRÓBUJ I TY!**

Klub Debat w „Stasiu”

W lutym mijął rok od pierwszego spotkania Klubu Debat Szkolnych w ILO im. St. Staszica w Lublinie. Skąd wziął się pomysł i na czy polega? Otóż przywędrował on, za sprawą Fundacji Stefana Batorego, ze Stanów Zjednoczonych, gdzie debaty rozgrywane są od kilkunastu lat, a na zwycięzców czekają stypendia renomowanych uczelni. W Polsce i w innych krajach byłego „demoludu” Fundacja działa od kilku lat. Program Debat Szkolnych jest jednym z wielu wdrażanych w naszym kraju programów edukacyjnych. Wspomnieć należy chociażby o „Przedsiębiorczości” , „Młodych Przedsiębiorcach” czy konkursach na gazetki szkolne .

Idea pomysłu jest nauka trudnej sztuki dyskusowania, przekonywania innych do naszych poglądów. Debata uczy logicznego, krytycznego formułowania swoich myśli i, co uważam za najistotniejsze, tolerancji dla innych punktów widzenia. Wyrabia kulturę dyskusji oraz poczucie własnej wartości. Poszerza horyzonty, zmusza do poszukiwania informacji z wielu dziedzin w różnych źródłach. Pozwala spojrzeć na każdy problem wieloaspektowo. Debata może stać się atrakcyjną metodą nauczania, przydatną na lekcjach historii, wiedzy o społeczeństwie, literatury, religii a nawet przysposobienia obronnego. No i wreszcie „dzieci” świetnie się bawią. Debata przebiega według ściśle określonych reguł. Najpierw ustala się temat, im bardziej kontrowersyjny tym lepiej np. „Jajo było wcześniej niż kura”. Dwa, trzyosobowe zespoły mają miesiąc na przygotowania, ale stanowisko, jakie zajmą w dyskusji poznają dopiero w dniu zawodów w wyniku losowania. Każdy z zawodników ma dokładnie wyznaczoną rolę w zespole. Kolejność, w jakiej poszczególne mówcy zabierają głos, jest ściśle określona, a czas na wystąpienia ograniczony. Rywalizację obydwu drużyn oceniają sędziowie. Najistotniejsze kryterium dotyczy treści argumentów oraz prawidłowego zdefiniowania samej tezy. Bardzo ważna jest metoda dyskusji. Czy optymalnie dobraliśmy argumenty, czy udało się je przekonująco udowodnić, czy dostrzeżliśmy i odpowiednio zareagowali, na argumenty przeciwnika. Należy także zwrócić uwagę na sposób prezentacji stanowisk: np. prawidłowe operowanie głosem, umiejętne korzystanie z niewerbalnych środków komunikacji, no i oczywiście zgodność wypowiedzi z ogólnie przyjętymi regułami języka polskiego /lub innego/.

W „Stasiu” odbyło się już 11 publicznych debat m.in. na takie tematy jak: „Miejsce kobiety jest w kuchni”, „Kolor czarny jest ważniejszy od białego”, „Pieniądze szczęścia nie dają”, „Wyższość Świąt Wielkiej Nocy nad Świątami Bożego Narodzenia”, „Energia jądrowa – najgorszym wynalazkiem XX wieku” (lekcja z przysposobienia obronnego). Debatującym kibicowali nauczyciele i uczniowie naszej szkoły, studenci socjologii UMCS,

koledzy z klubów ze „Stanowskiego”, I LO z Włodawy i Zespołu Szkół Społecznych z Chełma, sponsorzy, a nawet rodziny. W przygotowaniu pojedynki na tematy: „Przedmioty humanistyczne są ważniejsze od ścisłych” / „human” atakuje „informa” broni / „Szkoła średnia nie przygotowuje do życia” / uczniowie kontra nauczyciele / i inne. Planujemy również debatę z udziałem polityków. Dzięki hojności sponsora, pana J. Ożgi, uczestnicy debaty otrzymują upominki.

Dziękujemy za udostępnienie łam Waszego pisma, chcemy bowiem „wyjść” z naszymi debatami poza mury szkoły.

„(...) liberalizm stanowi rewoltę człowieka przeciw porządkowi naturalnemu ustanowionemu przez Stwórcę, która prowadzi do indywidualistycznego, egalitarnego i noszącego znamiona obozu koncentracyjnego społeczeństwa.”

Marcel Lefebvre

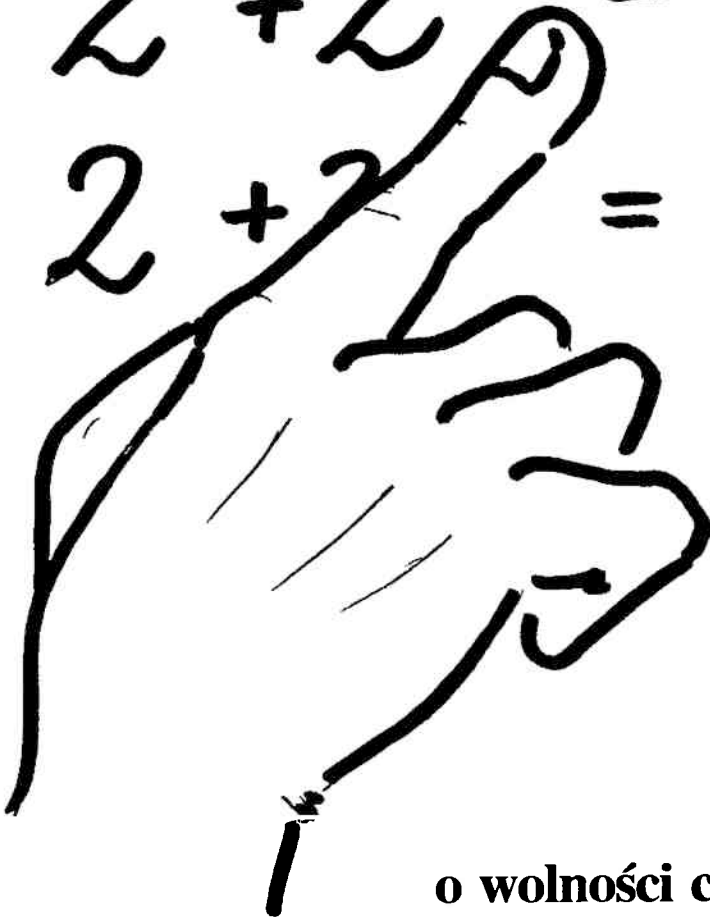
„(...) uczeni od księdza arcybiskupa z Ecône wymieniają liberalizm na jednym oddechu z takimi zjawiskami jak: libertynizm, relatywizm, permissywizm, postmodernizm, New Age, agnostycyzm i ateizm czy zgoła satanizm. Antyliberałowie w Kościele i wokół niego tworzą sobie osobowego wroga, którego trzeba zwalczać i niszczyć. Wzbudzają strach i nienawiść, co stoi w jaskrawej sprzeczności ze stanowiskiem Kościoła i nauczaniem Jana Pawła II. Z tych ataków wylania się ulubiony spisek demoliberalny przeciw Kościołowi, Narodowi Polskiemu i wszelkim możliwym wartościom. A spisek to już nie tylko bezosobowe trendy, ale złowrogie działanie jakichś ludzi: masonów, liberałów, Żydów.”

Ernest Skalski

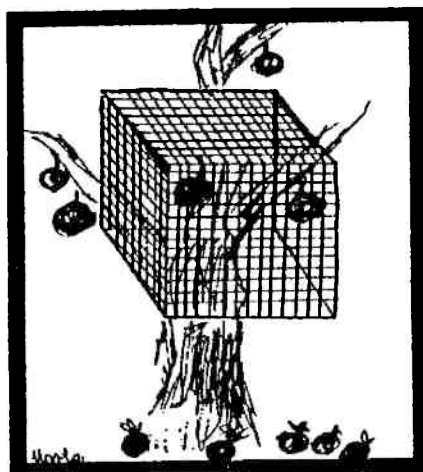
$$2 + 2 = 2$$

$$2 + 2 = 4$$

$$2 + 2 = 5$$



**o wolności człowieka
i miłości Boga**



Marta Grela

Bóg stworzył człowieka...

Bóg stworzył człowieka, po czym zamknął go w klatce,
którą z kolei umieścił na wysokim drzewie
(„klatka” w prastarym języku znaczy „Eden”).
Adam początkowo bardzo cierpiał:
kończyny jego stawały się coraz słabsze, zanikały mu mięśnie,
(wymiary klatki wynosiły 2 x 2);
Męczyła go klaustrofobia i niepokoiły koszmary nocne,
Stopniowo jednak zaczął się odnajdywać w rzeczywistości,
poznał nawet pokrewną duszę – Ewę;
ustatkował się.
Jego niepokorna natura badacza uspokoiła się,
gdy empirycznie dowiódł
(przy pomocy własnego uzębienia),
że wydostanie się z klatki jest niemożliwe.
A ponieważ siedzenie przez kilkadziesiąt lat
bezczynnie w kucki
jest najcięższym grzechem,
postanowił poświęcić się fizyce
(wtedy powstała I zasada dynamiki:
„Jeżeli na człowieka nie działają żadne siły prócz losu,
tzn. jeżeli człowiek się nie sprzeciwia i nie szamocze
to jego życie jest zharmonizowane i spokojne”)
Bóg widząc, że Adam jest rozsądnym stworzeniem,
co jakiś czas do jego codziennego pożywienia,
dodaje kilka drobno posiekanych kawałków jabłka
z drzewa niezależności.

Inicjatywa jest zawsze po stronie Boga

– rozmowa z Ojcem Wacławem Oszajcą (SJ)

Wacław Oszajca (SJ) – ur. 1947; ksiądz katolicki, jezuita, kaznodzieja; redaktor naczelny „Przeglądu Powszechnego”; literat, twórca telewizyjny oraz publicysta prasowy i radiowy, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Świecenia kapłańskie otrzymał w roku 1971. Początkowo pracował jako wikariusz diecezji lubelskiej, następnie został dyrektorem Domu Rekolekcyjnego w Łabuniach. Na początku lat osiemdziesiątych rozpoczął pracę jako duszpasterz akademicki w Lublinie. W latach 1982–86 pełnił funkcję przewodniczącego Lubelskiego Komitetu Pomocy Internowanym i Represjonowanym. W roku 1987 wstąpił do zakonu jezuitów. Śluby wieczyste złożył w roku 1989. W latach dziewięćdziesiątych pracował w jezuickim Ośrodku Kultury Chrześcijańskiej w Poznaniu. Wykładał również homiletykę w Wyższym Seminarium Duchownym w Siedlcach i Toruniu. Od roku 1995 redaktor naczelny „Przeglądu Powszechnego”. Najważniejsze publikacje: *Zamyśl* (1979), *Z głębi cienia* (1981), *Listy ze strajku* (tom opublikowany pod pseudonimem Jakub Nadbystrzycki w roku 1983), *Łagodność domu* (Lublin 1984), *Naszyjnik umiłowanego* (Wrocław 1984), *Ty za blisko my za daleko* (Lublin 1985), *Musikalische Reise* (Freiburg 1988), *Mnie się nie lękaj* (Lublin 1989), *Die Erde über dem Kopf den Himmel unter den Füssen* (Köln 1989), *Rozmyślajmy dziś* (Poznań 1991), *Śladami nieznanego. Rozmowy o Jezusie* (Warszawa 1991), *Biblia na każdy dzień* (Lublin 1991), *Powrót Uriasza i inne wiersze* (Szczecin 1992), *Juda Krzyżowa* (Wrocław 1993), *Nie chowa się światła* (Kraków 1994), *Z dnia na dzień* (Toruń 1994).

Michał Kopaczewski: *Co to jest powołanie?*

O. Wacław Oszajca SJ: Sensownie na ten temat mówić można tylko na płaszczyźnie religijnej. Bo powołanie jest sprawą wiary. Jeśli człowiek wierzący naraz dochodzi do przekonania, że wzywa go Chrystus do kapłaństwa, czy do zakonu, czy do małżeństwa, wtedy powołanie można pojmować z jednej strony jako zaproszenie Chrystusa, a z drugiej strony, ludzkiej, jako odpowiedź na to zaproszenie. Natomiast jeśli nie ma wiary, jeśli nie ma mocnej więzi między człowiekiem a Chrystusem, wtedy także można mówić o powołaniu, z tym że jest to zjawisko w gruncie rzeczy tragiczne. Bowiem nie jest to wtedy sprawa pokornej odpowiedzi na to, co Chrystus ofiarowuje, tylko sprawa urzędu, władzy, czasem pieniądza, czy pozycji spo-

łecznej. Tak rozumiane powołanie to ucieczka od życia. Pójście bez wiary do zakonu może być powodowane na przykład lękiem przed małżeństwem, przed kobietą, przed ojcostwem. Wtedy może dojść do ogromnej tragedii, zwłaszcza w przyszłości.

Można jeszcze patrzeć od innej strony. Chodzi mi o kwestię motywów. Nawet wtedy, kiedy człowiek jest wierzący, kiedy szczerze odpowiada na zaproszenie, te motywy są mniej lub bardziej szlachetne, mniej lub bardziej bezinteresowne czy wielkoduszne. Również to, co człowieka może bezpośrednio zachęcić, żeby poszedł za swoim powołaniem, może być nieraz komiczne i groteskowe i nie bardzo szlachetne. A później dzieje się też coś przedziwnego – Duch Boży potrafi jakoś te nasze motywy kształtować, zmieniać, uszlachetniać.

Sławomir J. Żurek: *A czy powołanie to jest wy-bór człowieka przez Boga czy Boga przez człowieka?*

O. Wacław Oszajca SJ: Inicjatywa jest zawsze po stronie Boga. Widać to doskonale u proroka Jeremiasza: „Uwiodłeś mnie, Panie, a ja pozwoliłem się uwieść, pokonałeś mnie, a ja się poddałem”. Kiedy tak patrzę z własnej perspektywy po ponad dwudziestu pięciu latach od święceń, to myślę, że było coś silniejszego ode mnie - „Uwiodłeś mnie”. I muszę przyznać, że z wiekiem człowiek jest coraz bardziej zadowolony z tego, że dał się uwieść. Sądzę, że nie jest to zjawisko odosobnione i właściwe tylko płaszczyźnie religijnej. Tak jest również w ludzkich przyjaźniach, w małżeństwie i we wszystkich tych powiązaniach, gdzie chodzi o miłość.

M. K.: *Czy powołanie mamy rozumieć tylko w sensie duchowym? Czy na przykład lekarz to nie jest pewne powołanie?*

O. Wacław Oszajca SJ: Powołanie zawsze ma wymiar społeczny. Jest powołaniem i jednocześnie posłaniem. Weźmy na przykład sakrament małżeństwa. Nie jest sztuką siebie oddać drugiemu człowiekowi, ale sztuką jest przyjąć drugiego człowieka i uszanować jego odrębny świat, jego godność i niepowtarzalność. Tak samo jest w kapłaństwie. Owszem, jest to sprawa między człowiekiem a Bogiem. To się dzieje w duszy człowieka, w jego głębi. Natomiast jest się posłanym do Kościoła, a więc po to, żeby służyć. Zawód-powołanie lekarza, zresztą wszystko jedno jaki zawód (to może być nawet praca w ubikacji), jest równie ważne jak praca księdza. Dlatego, że to zawsze jest także służba człowiekowi. Prawdziwa służba musi jednak wynikać z naszej wolności. Przychodzę do drugiego człowieka, bo ja bez niego nie mogę istnieć. Mój rozwój jako człowieka, jako chrześcijanina, domaga się drugiego, ponieważ moja wolność jest wtedy spełniana, kiedy ja robię przestrzeń w sobie dla innych ludzi. To się dzieje poprzez pracę, z całą pewnością, poprzez ojcostwo, macierzyństwo. To się również dzieje poprzez modlitwę. Papież powiedział, że modlitwa jest nam potrzebna po to, żebyśmy umieli podejmować odważne i mą-

dre decyzje. Kiedy więc ja się modłę po chrześcijańsku, to ja też robię przestrzeń w sobie nie tylko dla Pana Boga, ale też i dla ludzi.

M. K.: *Czyli wszystko jest darem od Boga: praca, modlitwa, powołanie...*

O. Wacław Oszajca SJ: Tak. Chrześcijaństwo jest wiarą w Boga wcielonego. To nie jest Bóg daleki, odległy, którego trzeba przyzywać, zapraszać, i dopiero wtedy On przyjdzie, zstąpi, a jeśli będziemy grzeczni (przepraszam za trywializację problemu), to On będzie tutaj z nami i wtedy nam da to, o co my prosimy. To jest niechrześcijańskie myślenie. Jest akurat odwrotnie. Mianowicie: jeśli się zawierzy naszemu Bogu, trzeba pamiętać, że to jest Bóg, który wisi na krzyżu, i że ma takiego Ojca, który może nas posłać tam, gdzie nam się wcale nie podoba iść, gdzie można stracić wszystko. W powołaniu pojmowanym po chrześcijańsku trzeba być gotowym na to, że się będzie posłanym tam, gdzie się nie zechce pójść. I trudno mieć wtedy pretensje do Pana Boga. „Chcącemu nie dzieje się krzywda.”

M. K.: *Można być posłanym pomiędzy wilki...*

O. Wacław Oszajca SJ: Tak, ale tu też ostrożnie. Chrześcijanin ma zakazane nazywać tych ludzi, do których idzie: bezbożnikami, głupcami, gdyż grozi za to, według słów Chrystusa, kara ognia piekielnego. Trzeba bardzo uważać, żeby nie osądzać zbyt pochopnie tego świata.

Sebastian Rejak: *A jak do sprawy powołania ma się wolność? Wspomniał Ojciec, że można być posłanym tam, gdzie się nie chce. Paweł w Drugim Liście do Koryntian mówi: „Gdzie Duch Boży, tam wolność”. Czy między wolnością a powołaniem zachodzą jakieś istotne relacje? Może wolność sama w sobie jest już jakimś powołaniem?*

O. Wacław Oszajca SJ: Wolność to nie tylko powołanie, to również zadanie. Jan Paweł II mówi, że wolność trzeba zdobywać. Nigdy się nie jest człowiekiem wolnym i nigdy się nie będzie wolnym w porządku tego świata, ponieważ my jesteśmy straszliwie ograniczeni – przede wszystkim małą pojemnością naszego mózgu (choć teoretycznie jest ona ogromna) oraz możliwościami naszej woli i serca. Dlaczego to jest kwestia wolności? Wiara jest kwestią wolności. Ani

Pan mi nie udowodni, ani ja Panu nie udowodnię, że Pan Bóg istnieje lub nie istnieje. Ten nasz świat, przy całym swym pięknie i brzydocie, jawi się jako irracjonalny. Tu się niczego nie da uzasadnić. Jeśli tak jest, to za Bogiem czy przeciw Bogu opowiadamy się na własne ryzyko. Owszem, kiedy się uwierzy, to człowiek zaczyna rozumieć jakby więcej, horyzont naszego poznania się przesuwa. Ale na podstawie tej samej decyzji podejmuje się wiarę w Boga, jak i niewiarę. To jest jakby to samo, jeśli chodzi o opowiedzenie się za, czy przeciw Bogu, czy wstrzymanie się od jakiegokolwiek wiary. Tak samo jest z powołaniem. Z tą różnicą, że tu już jest sprawa nie tak krańcowo postawiona. Ponieważ, żeby doszło do tego, iż ja, człowiek, oddaję siebie Panu Bogu, to musi najpierw być coś takiego jak zauroczenie Panem Bogiem, które nazywamy - wiarą. Nikt się nie żeni, nikt się nie przyjaźni, jeśli go ten drugi człowiek nie zauroczy. Później dopiero zaczynają się konflikty i jest to zrozumiałe i oczywiste. To jest czas poznawania, nazwijmy to: narzeczeństwa. „Ślub” na dobrą sprawę, niczego nie zamyka, a tylko otwiera te światy, które człowiek wcześniej tylko przeczuwał. Tak samo i tutaj. Powołanie, i w ogóle każde inne ludzkie działanie, jest realizacją wolności. Ja oddaję siebie i ja przyjmuję drugiego. Mało tego – ja oddaję siebie w tej rzeczywistości, w której żyję i akceptuję ten świat, w którym żyję. To jest właśnie działanie Ducha Świętego, Ducha Chrystusa. Jeśli chcemy zrozumieć na czym polega działanie Ducha Bożego, trzeba patrzeć na życiorys Pana Jezusa, na to, co się z Nim dzieje: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?”, i za moment: „W ręce Twoje oddaję ducha mego” – oddaję siebie samego, swoje życie. Jeśli by myśleć o naszej wolności, to polegałaby ona też na tym, żeby nie oddać siebie w niewolę ani Panu Bogu, ani drugiemu człowiekowi, ani żadnemu systemowi wartości, ani też, (broń Boże!), nie oddać siebie w niewolę jakimś bożkom (czyli kiedy człowiek będzie deifikował naród, partię, państwo czy Kościół). Wtedy czci się bałwany, czci się coś, co przecież nie jest Bogiem. I tutaj też wolność by polegała na

tym, żeby ciągle kwestionować i siebie samego, i swoje decyzje, i ten świat, w którym się żyje.

S. R.: *Czy w takim razie między powołaniem a wolnością można postawić znak równości? To znaczy: czy realizacja człowieka w powołaniu musi zakładać jego realizację w wolności?*

O. Wacław Oszajca SJ: Wolność realizuje się w wyborach. W tym również to, co nazywamy powołaniem. Wolność jest warunkiem zaistnienia jakiegokolwiek ludzkiego działania. Jeśli człowiek robi coś w sposób nieświadomy i nie bierze za to odpowiedzialności, nie przewiduje konsekwencji, no to czy to jest ludzki wybór? Jeśli robi coś pod przymusem, nawet wewnętrznym (powiedzmy, że jest zdeterminowany swoją cielesnością, czy zafalszowanym sumieniem, czy niezbyt rolgarniętym rozumem), to czy to jest wolność? Dopiero tam, gdzie człowiek dochodzi do takiego wniosku, że może zrobić to lub tamto i jest gotów ponieść konsekwencje swojego wyboru, to wtedy to jest czyn wolny.

S. J. Ż.: *A jak się nauczyć wolności?*

O. Wacław Oszajca SJ: To jest sprawa całego ludzkiego życia. Sprzymierzeńczynią wolności jest miłość. Miłość rozumiana jako chęć uczestniczenia w tym, co się dzieje, chęć budowania rzeczywistości, gotowość do poświęcenia i ofiary, gotowość do tego, co Ewangelia mówi o ziarnie wrzuconym w ziemię. Im bardziej człowiek jest nastawiony na zewnątrz, im bardziej jest nastawiony na świat, na ludzi, na Pana Boga, staje się coraz mniej przywiązany do czegokolwiek. Tu się jawi następny problem – problem grzechu. Grzech to właśnie egoistyczne przywiązanie do kogoś lub czegoś, na zasadzie, że jest się nie dla kogoś, tylko chce się, aby cały świat był dla mnie.

S. J. Ż.: *A do czego człowiek może być powołany? Czy istnieje jakaś hierarchia, że jedno powołanie jest lepsze, a inne jest gorsze?*

O. Wacław Oszajca SJ: Nie. Z katolickiego punktu widzenia wszystkie powołania są sobie równe, bo są sakramentami, a więc trudno je hierarchizować, czy mówić, że powołanie do kapłaństwa czy do życia zakonnego jest bardziej szlachetne niż

do małżeństwa. Wszystkie powołania są równe, ponieważ w tych wszystkich powołaniach i poprzez nie Chrystus czyni „nową ziemię”. W naszym Kościele pokutuje przeświadczenie, które jest bardzo podejrzane od strony Ducha Świętego. Jest to mniemanie, że najdoskonalszy sposób chrześcijańskiego życia to sposób mnisz (a więc życie w zakonie zamkniętym, kontemplacyjnym), później bycie w zakonach takich jak franciszkanie, dominikanie (a więc żebrzące), które utrzymują się z jałmużny, a głoszą tylko słowo czy misje; później „takie nie wiadomo jakie” zakony, jak jezuiti (ani to kontemplacyjne, ani to czynne); i wreszcie kler świecki; no i długo, długo nic... i cała reszta, czyli Kościół, tak na dobrą sprawę, a więc ludzie świeccy. Od Reformacji, a później Soboru Watykańskiego II zaczynamy rozumieć, (z wielkimi oporami nam to idzie), że władza w Kościele nie polega na powielaniu władzy świeckiej. Nie polega też na naśladowaniu więzów rodzinnych, familijnych.

S. R.: *Czy jest coś takiego jak „dynamika powołania”? To się jakoś wiąże z zagadnieniem jego rozeznawania. Czy można więc mówić, że to rozeznawanie ciągle dokonuje się w człowieku, że jest nieustannym, dynamicznym zadaniem?*

O. Wacław Oszejka SJ: Na pewno tak. Ów dynamizm może być dwojakiego rodzaju. Może to przebiegać tak: wybrałem i próbuję teraz do tego swojego wyboru dorosnąć, czyli próbuję być wierny temu swojemu pierwotnemu wyborowi. I wtedy rzeczywiście następuje rozwój, bo samo życie koryguje moje nastawienie. Po prostu, jeśli się jest z ludźmi, ludzie stawiają wymagania. Jeśli się te wymagania podejmuje, człowiek musi w sobie i egoizm zwalczać, i musi się uczyć, by odpowiedzieć sensownie na postawione pytanie. Musi też zmieniać swoje nastawienie do człowieka. Musi uczyć się lubienia tego człowieka, i to nie takiego, jakiego ja bym chciał, żeby on był (czyli siebie w drugim), tylko takiego, jakim on jest. Mało tego, do takiego przekonania dochodzę, że ta specyfika bycia księdzem polega na tym, że się za zło nie odplaca złem; że się jest gotowym dosłownie nastawić drugą połowę „gęby”, kiedy wałą w jedną; że

się jest gotowym raczej odcierpieć, niż żądać sprawiedliwości. Coraz bardziej dochodzę do przekonania, że specyfika „księżowskiego życia” polega na umiejętności cierpienia. Ja mam świadomość, że mi do tego, jak „stać do Rzymu” albo i dalej, ale coraz bardziej jestem do tego przekonany, że nie mogę drugiego człowieka osądzać. Ja mam go tylko rozgrzeszać. Jeśli się nawet z nim nie zgadzam, to muszę robić to tak, żeby ten człowiek wiedział, że to jest kwestia jego poglądów, ale nie jego samego. Że on, jako człowiek, ma zawsze tę samą godność, jak każdy inny. Czyli to „księżowanie” wygląda mi na to, że ono staje się coraz bardziej duchowe, że ono gdzieś krąży koło duszy człowieka. Może być i inna dynamika. Dokonuję wyboru, ale gdzieś ten wybór był takim wyborem, który nie trzyma mnie przy sobie, gdzie ja z upływem czasu zaczynam widzieć, że to była pomyłka, że to był błąd. I wtedy owa dynamika powinna pójść w innym kierunku. Najpierw, oczywiście, trzeba sobie samemu, w swojej wolności zadać pytanie: „czy się pomyliłem, czy też nie?”. Czy może byłem wyrachowany i popełniłem grzech przyjmując to, co nie jest moje, co nie było dla mnie? No i wtedy trzeba zawrócić. I tutaj Kościół takie możliwości stwarza: zwalnia ze ślubów zakonnych. Nie można się wycofać z kapłaństwa, bo to jest sakrament i się zostaje *in saecula saeculorum amen*. Natomiast Kościół pozwala nie pełnić funkcji. Można przyjąć następny sakrament – małżeństwo. Z tym, że ja bym nie przeciwstawił celibatu małżeństwu, bo to są dwie równoległe drogi. Dla jednej i dla drugiej drogi grzechem jest nieczystość.

S. R.: *Czy powołanie jest skierowane ku przyszłości?*

O. Wacław Oszejka SJ: Nie, nie. To jest zawsze kwestia czasu teraźniejszego. Ja mam dzisiaj dzień do przeżycia. Mam wydarzenia, które się dzieją w tej chwili. Jeśli jestem chrześcijaninem, to Słowo Boże, to nie tylko Biblia, ale także to, co piszą gazety, to co ja obserwuję, moja wiedza o tym świecie. Trzeba te dwie przesłanki złożyć razem: z jednej strony Biblia, tradycja Kościoła, to jak Bóg działał w przeszło-

sci, a z drugiej to, co się dzieje dzisiaj. Dopiero łożenie obu przesłanek nazywam „rozeznawaniem” i dla mnie to jest głos... to jest prawdziwe, żywe Słowo Boże. Moje słyszenie jest znowu intelektualne i to jest kwestia procesu myślowego, bardziej niż kwestia „uszu”. Bo gdybym zaczął słyszeć jakieś głosy, to do psychiatry pójść, niech mnie leczy, bo zaczynam być schizofrenikiem, a wtedy nie ma mowy o powołaniu, ale po prostu nieszczęście mnie spotkało...

S. J. Ż.: *Czyli, z tego co zrozumiałem, powołanie rozpoznaje się w faktach, które Pan Bóg daje w życiu człowiekowi, a następnie są one osadzone w kontekście Słowa...*

O. Wacław Oszajca SJ: Łaska nie może budować, jeśli nie ma natury. Jest takie porzekadło: jeśli kleryk jest pobożny, ale głupi, trzeba natychmiast wywalić go z seminarium, bo zwykle pobożność mija, a głupota zostaje... i z upływem czasu jeszcze się pogłębia... [ogólna wesołość – red.] Sprawa staje się o wiele prostsza, jeśli człowiek patrzy na swoje talenty, jeśli człowiek patrzy na to, co jest jego marzeniem, co go porywa, na to, co go jakoś „kusi”, a wtedy dość łatwo rozpozna, w którym kierunku ma iść.

M. K.: *Czy w życiu każdego człowieka jest jedno powołanie, czy może być wiele powołań?*

O. Wacław Oszajca SJ: Od strony Pana Boga sprawa jest jasna. Bóg się nami nie bawi. Za takie gadanie, że On nas gdzieś trzyma, że On nas doświadcza, to ja dziękuję – nie lubię eksperymentów wykonywanych na mnie. Poza tym byłoby to śmieszne: Bóg, który wiedząc jak my się zachowamy będzie próbował jeszcze robić na wyrost jeszcze jakieś eksperymenty. Ja często nie rozumiem Bożego działania, ale chcę się podeprzeć i Ratzingerem, i Ojcem Świętym, którzy mówią, że czekają, kiedy będą mogli Panu Bogu zadać pytanie: „Po co zło?”. My na to pytanie nie znajdziemy odpowiedzi. Grzeszylibyśmy, jak mówi Jan od Krzyża, pychą religijną, gdybyśmy mówili, że znamy odpowiedź. Owszem, częściami tak, która trochę pokazuje sens. Natomiast z naszej strony może być różnie. Między nami, ludźmi, choć mówimy tym samym językiem, dochodzi do nieporozumień. Używamy tych sa-

mych słów, które znaczą to samo, a proszę bardzo: czasem nawet się nie potrafimy dobrze umówić w jakimś określonym miejscu, mimo że jest to miejsce znane. Pomiędzy nami a Panem Bogiem jest podobnie: co innego Pan Bóg mówi, co innego nieraz słyszymy. Mało tego, jeśli nawet dobrze słyszymy, to nie potrafimy tego wyrazić. Zawsze istnieje możliwość błędu. I wtedy jasne, że trzeba z błędu się wycofać, bo po co żyć w fikcyjnym świecie. Myślę też, że nie należy dość szybko rezygnować z własnego zdania przed Panem Bogiem. Czy też przed autorytetami, również najwyższymi, w Kościele. Łącznie z papieżem. Jeśli papież mówi, to po to, żeby rozpocząć rozmowę, a nie po to, żebyśmy wszystkim w bezmyślny sposób brali za dogmat, i na tym koniec. Nie. Tak samo dogmat w Kościele jest rozumiany nie tak, że „Roma locuta, causa finita”. Tu zaczyna się dopiero problem, jeśli jest dogmat sporny między protestantami a nami o Niepokalanym Poczęciu Maryi, to najpierw trzeba zadać pytanie: „na czym to polega, co to jest?”. Tu zaczyna się myślenie, a nie koniec myślenia. Tak samo jest jeśli chodzi o powołanie. Jeśli się wybrało, trzeba przy tym trwać. Ale jeśli człowiek w pewnym momencie widzi, że wszystkie fakty świadczą przeciwko niemu, to trzeba ustąpić.

S. R.: *Czy Kościół, zarówno ten hierarchiczny, jak i Kościół jako wspólnota, pełni jakąś rolę w rozeznawaniu powołania? Czy może być pomocny w tym procesie?*

O. Wacław Oszajca SJ: Jeśli chodzi o ten Kościół hierarchiczny, a dokładniej o odpowiedzialnych za formację, to tak. Lepiej – gorzej, ale tak. Natomiast jest kłopot z odpowiedzialnością świeckich katolików za powołania. Proszę zauważyć, że: po pierwsze to się bierze stąd, że ludzie świeccy się nie utożsamiają z Kościołem. Jeśli padnie słowo „Kościół” to znaczy to dla nich „mój proboszcz” (w najlepszym wypadku). Dla nich „Kościół” to biskup. W każdym bądź razie nie ma tego utożsamienia, że Kościół to my wszyscy. To widać w reakcji na to, kiedy proboszczowi się powinie noga, kiedy naraz proboszcz „strzelił” jakieś głupstwo. W zasadzie to

nikogo nie boli. Co najwyżej niektórzy są zgorznięci, ale w gruncie rzeczy są zadowoleni z takiego stanu rzeczy, bo jeśli proboszcz tak, to czego ja mam lepiej żyć (a więc znajdują usprawiedliwienie dla własnej słabości i grzeszności). Albo jest to powód do tego, żeby „spuścić z tonu”. Skoro się proboszcz tak marnie stara, to po co ja mam się bardziej starać, by być porządnym chrześcijaninem. Więc rzeczywiście nie ma odpowiedzialności. Ja nie chcę uogólniać, nie chcę mówić, że tak jest wszędzie i zawsze. Ale wydaje mi się, że jakoś najogólniej rzecz biorąc, to tak bym to widział. Natomiast jeśli proboszczowi przydarzyło się zgrzeszyć, jeśli się jest chrześcijaninem i jeśli się jest z jego parafii, to powinno boleć; i pierwszy odruch to pomóc temu człowiekowi stanąć na nogi, uszanować również jego grzeszność, jego słabość, pamiętać, że się samemu jest grzesznikiem. I tego ciągle nam brak: tej solidarności grzeszników, ludzi słabych. Ale też trudno obwiniać ludzi świeckich o to, że mają taką mentalność. Taki był cały Kościół. Kiedy obecny papież zaczął wzywać do rachunku sumienia przed końcem drugiego tysiąclecia, to wielu się poczuło dotkniętych, i biskupów, i księży, i świeckich. Jak to? My, święty Kościół, zwłaszcza rzymsko-katolicki, mamy robić rachunek sumienia? Z czego? Proszę pamiętać, że do niedawna jeszcze się nie powiedziało: „papież powiedział”, tylko: „przenajświętsze usta powiedziały”. Jeszcze parę dziesiątków lat wstecz, mieliśmy taki język. Dopiero zaczynamy troszkę wychodzić z takiej pychy religijnej. I dlatego musimy się nauczyć na nowo pewnej szczerości i uczciwości względem ludzi i względem Pana Boga. Również w naszej świadomości, że jesteśmy słabi, jesteśmy grzeszni.

S. R.: *Czy Ojciec nie zauważa, że słowo „powołanie” najczęściej kojarzone jest z jedną z jego form - powołaniem kapłańskim czy zakonnym? W ustach chrześcijanina ma ono wydźwięk bardzo funkcjonalny. Czy nie byłoby dobrze zmieniać ten sposób myślenia? Przecież nie tylko księża i zakonnice mają związane ze swoim powołaniem pewne zadania. Każdy człowiek jest do czegoś powołany (a więc ma powołanie). I to*

nie koniecznie musi być związane z włączeniem do Kościoła hierarchicznego. Czy takie postawienie sprawy jest sensowne?

O. Wacław Oszejca SJ: W zasadzie jest jedno powołanie. I to wcale nie ograniczone Kościołem, bo jest jeden Bóg, który wszystkich powołuje. Nie dla żartu stwarza ludzi w różnych kulturach i w różnych religiach również. Jest jakiś bardzo poważny sens w innych religiach i w innych kulturach. A więc każdy człowiek jest powołany. Jeśli jest powołany do życia, to też jest i posłany do tego, żeby to życie mógł zrealizować. Natomiast, rzeczywiście, zawłaszczanie tego terminu tylko do posługi kapłańskiej w Kościele czy do tego sposobu życia, jaki jest właściwy zakonnikom, jest nadużyciem. I tutaj ma Parację w zupełności – należało by mówić o powszechnym powołaniu (skoro się mówi o powszechnym kapłaństwie w Kościele). Natomiast później, te szczegółowe powołania tylko przez analogię mogą się tak nazywać. Jest powołanie do wojska (też analogia), ale to już w szerszym kontekście, bo to Ojczyzna powołuje. Każdy jest powołany do służenia krajowi, a ten akurat w takiej formie. Jeśli jest jakieś powołanie – to powołanie do świętości, do zrealizowania w pełni swojego człowieczeństwa. My, wierzący chrześcijanie rzymsko-katolicy, tak to widzimy; protestanci inaczej, prawosławni inaczej, ale w gruncie rzeczy tak samo, gdyby się doszło do samej głębi naszej tradycji. Na pewno jest jedno powołanie, a później konkretyzacje są takie, jakie w danym czasie są potrzeby.

S. J. Ż.: *Widoczny jest dzisiaj, we współczesnym Kościele, wyraźny kryzys powołań do służby Kościołowi. Co jest powodem tego kryzysu?*

O. Wacław Oszejca SJ: Nie wiem, ale jeśli wierzymy, że powołanie jest łaską, zwłaszcza do służby Kościołowi, zwłaszcza w kapłaństwie, takim, jakim jest w Kościele rzymskim, gdzie to jest związane z celibatem, a więc z moimi najbardziej wewnętrznymi sprawami, z moim stylem życia, to coś Duch Boży chce przez to powiedzieć. Wygląda na to, że stoimy nie tylko przed problemem zmiany sposobu odprawiania Liturgii i sprawowania innych sakramentów; sto-

imy nie tylko przed ogromnymi zmianami w teologii, a więc w refleksji nad wiarą, ale też stoimy przed zmianą struktur kościelnych. Jeśli papież mówi, zachęca, i protestanckich i katolickich teologów, żeby podjęli refleksję nad sposobem sprawowania jego posługi, jego urzędu w Kościele, to znaczy, że gdzieś rodzi się w Kościele przekonanie, że może ten Kościół będzie wyglądał inaczej. Co dzisiaj można powiedzieć? Wygląda na to, że nie będzie to Kościół masowy. Że Pan Bóg nie tyle narody zbawia, co raczej poszczególnych ludzi, i dopiero poprzez tych ludzi przemienia taką społeczność, jaką jest naród. Będą to raczej niewielkie Kościoły – wspólnoty. Jeśli tak, to posługa prezbitera w tej społeczności też będzie inaczej wyglądała niż dzisiaj (proboszcz, kancelaria, księgi itd.). Te relacje, te związki będą bardziej osobowe, bardziej bezpośrednie.

S. J. Ż.: *Ale czy do takiej formacji wychowuje współczesne seminarium duchowne?*

O. Wacław Oszajca SJ: Zależy gdzie. W Polsce myślę, że za mało sobie zdajemy sprawę, że nas nie ominie ten sam proces, który przechodzą nasze bratnie Kościoły na Zachodzie czy na Wschodzie. W tej chwili wydaje się, że trochę uciekamy w złudzenia: że jeszcze mamy powołania, mamy pełne kościoły. Jeśli się popatrzy na trendy badań socjologicznych, to ta masowość staje się coraz bardziej problematyczna, najdelikatniej mówiąc. Natomiast jest inny trend, który warto zauważyć. Profesor Baniak z Uniwersytetu Poznańskiego opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” badania na temat przemiany autorytetu księdza i Kościoła. Okazuje się, że w Polsce ksiądz, jako autorytet społeczno-polityczny, poniósł straszliwą klęskę. I słusznie! Natomiast okazuje się, że dość mocno się trzyma, jeśli chodzi o autorytet w sprawach duchowych, duchowo-religijnych. I to jest pocieszające. Czy seminaria w Polsce przygotowują do takiego Kościoła XXI wieku? Jeszcze nie. Przygotowują do takiego Kościoła, jaki w tej chwili jest, ale już by trzeba myśleć nad tym. Papież mówi, że XXI wiek Kościoła będzie należał do ludzi świeckich. W związku z tym, jak będzie wyglądał ksiądz

w takiej społeczności, to ja w tej chwili nie jestem w stanie tego powiedzieć, bo nie wiem, jakie te społeczności będą. Już gdzie indziej, w tych Kościołach, które zaczynają się organizować jako wspólnoty wspólnot, łącznie z parafiami, gdzie parafia składa się z jakichś pomniejszych, podstawowych wspólnot, no to wtedy rola księdza polega na scalaniu, na jednaniu tych ludzi między sobą, na posłudze ku ich rozwojowi w tych grupach, ale zarazem na strzeżeniu, by to się nie stały sekty. By żadna grupa nie zdominowała parafii i nie narzucała swojej duchowości innym grupom. A więc okazuje się, że prezbyter (starszy) w parafii ma być stróżem pluralizmu, a nie jakiegoś zunifikowania wszystkiego. Mało tego, on powinien pomagać rozwijać się temu bogactwu, jakie te grupy w sobie zawierają.

M. K.: *W Polsce jest wiele zakonów. Czy one ze sobą jakoś współzawodniczą, konkurują?*

O. Wacław Oszajca SJ: Zwłaszcza dominikanie z jezuitami...? [ogólna wesołość – red.] Wie Pan, to jest tego rodzaju sprawa, że w zasadzie każdy zakon ma swoją duchowość: on coś proponuje całemu Kościołowi. Naszym nieszczęściem (zakonów) jest to, że my jesteśmy zbyt odizolowani od ludzi świeckich. Bo czym były zakony w przeszłości? To były szkoły duchowości. Ludzie przychodzili do zakonników czy do zakonnika po to, żeby się uczyć chrześcijaństwa, żeby się uczyć jakoś chryścianizmu. Dotąd, dopóki nasze zakony nie będą domami otwartymi dla ludzi świeckich, również dla księży diecezjalnych, dla siebie nawzajem, to nie będziemy potrzebni ani Panu Bogu, ani Kościołowi. Czy istnieje współpraca? Do pewnego stopnia tak, ale cały dowcip polega na tym, że owej współpracy za wiele nie ma. Natomiast zakony pilnują tradycji i przez to stwarzają, że Kościół jest wieloraki, że jest pluralistyczny w swojej duchowości. Mało tego. Za tym idzie również różna teologia. Bo jednak nie ma jednej refleksji nad wiarą, nie ma jednej teologii w Kościele. Jest parę kierunków, parę nurtów. I poszczególne zakony jakoś tam się podpinają pod taki czy inny nurt tradycji teologicznej. To jest owo bogactwo teologicznej refleksji nad wiarą, nad Kościołem.

Poza tym te zakony mają swoją specyfikę działalności praktycznej (zakony, które szczególnie są uwrażliwione na biedę materialną, inne znowu na to, co można by nazwać życiem duchowym człowieka, inne zajmują się szpitalnictwem, jeszcze inne mają zasługi dla kultury). I myślę, że one są właśnie po to, żeby Kościół nie stał się jednolitą masą, ale, żeby ten człowiek, przez którego wiedzie droga Kościoła, jak mówi Jan Paweł II, mógł znaleźć swoje miejsce, takie, które jest zgodne z jego naturą (a więc z jego uzdolnieniami i również z jego słabościami).

M. K.: *Jak powołanie realizowało się w Ojca życiu?*

O. Wacław Oszejca SJ: Długo by opowiadać... Ja nawet nie bardzo wiem od czego zacząć całą sprawę...

S. J. Ż.: *Ojciec mówił o takim spotkaniu Boga z człowiekiem. Czy takie spotkanie Ojciec ma na swoim koncie?*

O. Wacław Oszejca SJ: Nie, nie, to nie jest nic jednorazowego. To nie jest coś, o czym by można mówić podając daty i godziny. Niektórzy potrafią, ja – nie. I tak na dobrą sprawę to ja dopiero dzisiaj co nieco zaczynam rozumieć z tego, co się ze mną po drodze działo. Raczej widzę, że to jest tak, iż ja robiłem swoje w sposób zupełnie wolny, czasem szokujący dla otoczenia (również dla moich przełożonych w Kościele czy dla współwierzących), ale to było moje, to ja robiłem i nigdy się nie czułem jako skrupowany czymkolwiek. Natomiast widzę, że był ktoś, kto to wszystko prowadził. Jeśli robię rachunek sumienia z tych iluś lat życia w kapłaństwie, to dzisiaj mogę stwierdzić, że najgorzej bym wyszedł na tym, co nieraz rozeznawałem jako właśnie moje powołanie, jako moje zadanie, jako coś, na czym mi bardzo zależało, co uważałem za dobre itd. Lepiej wyszedłem na tych sytuacjach kryzysowych, gdzie była nawet moja wolność naruszona, gdzie mnie nie poszanowano, gdzie naruszono jakoś moje prawa ludzkie czy chrześcijańskie. Okazywało się, że te kryzysowe sytuacje jakby stworzyły dla mnie znowu takie warunki, gdzie przede mną się ten świat szerzej otworzył, gdzie otworzyły się nowe moż-

liwości i gdzie jakby mogłem z siebie dać więcej, ale też i więcej otrzymać. Dlatego nie mogę powiedzieć, że ja otrzymałem w jakiś sposób nadzwyczajny, jednorazowy taką pewną świadomość tego, co się robi. Nie, nawet mogę mówić, że jakby trochę mnie tutaj Duch Święty „przechytrzył”, bo mimo wszystko jestem człowiekiem, który lubi rządzić, lubi narzucać swoje zdanie, lubi żyć w sposób niezależny. Być może, że to mi się najpierw podobało. Nie jestem wcale pewny tego, co mi się najbardziej podobało w życiu kapłańskim. Poza tym proszę pamiętać, że ja pochodzę z czasów, kiedy to był zupełnie inny Kościół. To, co jest dzisiaj to się ma nijak do tamtego Kościoła sprzed Soboru czy tuż po Soborze. I to z kolei był dobry czas dla mnie. Mnie już wiele rzeczy nie pasowało w tamtym Kościele. Pamiętam z mojej wsi awanturę pod figurą, gdzie ludzie zaczęli się domagać, żeby im czytać Ewangelię po polsku, a nie po łacinie. Domagało się tego takich dwóch gospodarzy, najbogatszych na wsi, którzy mieli za sobą przeszłość komunistyczną (jaką tylko kto chciał – u nich tam wszystko było), oni pierwsi domagali się, żeby było po polsku. I przyznam się, że mi się to wtedy podobało. Oczywiście moja matka z babką były oburzone na takie naruszanie świętości i powagi naszego proboszcza. Później, kiedy ja miałem swój czas buntu, przyszedł Sobór. I naraz się okazało, że ja się słusznie buntowałem, miałem akurat dobry czas. Teraz, na przykład, staję i dziwuję się skąd u młodych ludzi jest potrzeba właśnie tego, z czym ja walczyłem. A więc, powiedzmy, język łaciński, zupełna niekomunikatywność treściowa liturgii. Owszem, mnie się po dziś dzień podoba śpiew łaciński (wtedy mi się też podobał), ale na pewno nie chciałbym, żeby niedziela w niedzielę tak to się działo. Mi dzisiaj przeszkadza sprymityzowanie liturgii, to też prawda, ale do tamtego bym nie wracał. Natomiast jakby młodzi wracają do tego, od czego ja uciekałem, co dla mnie było obciążeniem.

S. R.: *Nawiązuje Ojciec teraz do sympatyków Lefebvre'a...?*

O. Wacław Oszejca SJ: W krańcowej formie tak... Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby były

Msze po łacinie, proszę bardzo. Nie mam nic przeciwko temu, żeby ten ryt został; daleki jestem od burzenia. Natomiast nie cierpię, jeśli się próbuje tę swoją pobożność i swoją liturgię narzucić innym. Albo kiedy się próbuje wykorzystywać w tym względzie tak pojęte chrześcijaństwo czy tak pojęty Kościół dla celów politycznych (jeśli chodzi o tzw. partie konserwatywne czy prawicowe). Tak samo nigdy się nie zgodzę na teologię wolności pojmowaną po marksistowsku, czyli przechylenie w drugą stronę. Stąd mam dosyć ciężkie życie nieraz, jeśli chodzi o polityków czy różne grupy w Kościele, zwłaszcza te, które jakoś instrumentalnie próbują traktować Kościół w życiu politycznym. Mnie się wydaje, że ja jestem księdzem po to, żeby chrześcijanie zachowali swoją wolność (ludzie świeccy), a więc żeby swoje opcje polityczne wybierali na podstawie głosu swojego chrześcijańskiego sumienia.

S. J. Ż.: *Czy był jakiś bezpośredni impuls, który Ojca pchnął do seminarium duchownego?*

O. Wacław Oszejka SJ: Czy on był bezpośredni...? No... powiedzmy. To był czas Millenium (ja robiłem maturę w 1965 roku), czas listu biskupów polskich do niemieckich, który mi się ogromnie podobał. Ale pamiętam swojego proboszcza, czy innego księdza, który był wściekły. I pamiętam nienawiść w ludzkich oczach i słowach moich braci i sióstr w wierze, bo to uchodziło wtedy za zdradę Polski, za zdradę wszystkiego co polskie (a mnie się to ogromnie podobało). To był jeden impuls: ta odwaga biskupów wtedy mi ogromnie zaimponowała. Druga rzecz: wtedy też wychodziło cały szereg książek, takich pamiętników księży i sióstr zakonnych, którzy wystąpili. Przyznam się, że czytałem te książki i byłem pełen zdumienia, jak oni mogli wytrzymać tyle lat w tak strasznym świecie. I mnie też interesował ten straszny świat, interesowało mnie, czy tak jest naprawdę. [ogólna wesołość – red.] Tak, to jest śmieszne, ale między innymi poszedłem do seminarium, żeby sprawdzić, czy tak jest naprawdę. No i skutek jest jaki jest... Pamiętam... był taki film „Szerszeń”. Katecheta nam zabronił go oglądać. Pierwsze, co zrobiłem, to oczywiście poszedłem na ten film (w Tomaszo-

wie Lubelskim). Była piekielna awantura później. Ale ja miałem swój chłopski rozum, wyniesiony z domu. Ja się po prostu nie bałem. Niby czego tu się miałem bać? Najwyżej, jeśli trzeba, no to trzeba dać w mordę i sprawa załatwiona; więc tutaj (tak sobie wtedy myślałem) nie ma kłopotu. Jeśli jest coś, no to dlaczego ja mam tego nie dotknąć? To tak jakby człowiek na wsi się bał wyjść z domu, bo ciemność. No dobrze, ale ubicajka była za stodołą, więc nie było ratunku. Czyś chciał, czyś nie chciał, toś musiał wyjść...

S. J. Ż.: *Czyli trochę z przekory?*

O. Wacław Oszejka SJ: Ale to jest mądrość, którą ja zawdzięczam wsi (tak sobie myślę dzisiaj). W najlepszym znaczeniu mądrość chłopska. To był świat, gdzie wiele rzeczy było oczywistych. Ja nie miałem kłopotów, skąd się biorą dzieci, bo u nas były krowy, które się prowadziło do byka, a po podwórku latał kogut i kury. Ja wiedziałem jak sprawa wygląda. Później, jako księdza, nie bardzo mnie było można nabrać na taką magię kościelną. W której Pan Bóg jest potrzebny do zapychania różnego rodzaju dziur, gdzie człowiek sobie nie radzi. Ja wiedziałem, że czy się modlisz, czy się nie modlisz, to przyjdzie deszcz, będzie burza i chałupa się może spalić. Oczywiście dzisiaj dopiero widzę sens tamtego dystansu do tego bezpośredniego związku między religijnością a powodzeniem w tym świecie. Jako człowiek ze wsi ja tego bezpośredniego związku nie widziałem. Widziałem, że ten Pan Bóg musi być jakiś kapryśny, podejrzewałem Go, że On tak nierówno tutaj jednemu i drugiemu daje. Stąd... ten bezpośredni impuls... Jednego bym nie potrafił wskazać. Miałem cały szereg takich punktów zahaczenia, które chciałem sprawdzić, sprawdzić jak to wygląda. Poza tym to był również, jak powiedziałem, czas soborowy, kiedy się dużo działo. Po dziś dzień pamiętam, że w liceum strasznie nie lubiłem, kiedy mówili, że Kościół jest zacofany. Dopiero później zrozumiałem, że się nieomal do PAX-u zapisałem, ponieważ czytałem „Za i przeciw”, a to była postępową gazetą wtedy. Oni wychwytywali te różne wątki tak zwane „postępowe”, ale też, jak się dzisiaj okazuje, pokazywali zupełnie

sensownie Kościół inny niż polski, niż ten masowy, zorganizowany, jednomyślny.

S. J. Ż.: *Patrząc na biografię Ojca trzeba stwierdzić, że powołanie to jest rzeczywistość dynamiczna. Wstąpił Ojciec do zgromadzenia Jezuitów...*

O. Wacław Oszejca SJ: Do zakonu...

S. J. Ż.: *...już będąc na drodze kapłańskiej. Dlaczego?*

O. Wacław Oszejca SJ: To jest problem wiary. Ja nie potrafię tego uzasadnić tak do końca i w sposób niezbyt przekonujący kogokolwiek innego, bo to są moje subiektywne sprawy, które się jakoś tam po czasie sprawdzają. Więc dlaczego przeszedłem do Jezuitów? Bo w pewnym momencie wydało mi się, że idę w pewnym kierunku, w którym bym nie chciał iść. Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić siebie jako proboszcza. Z tym, że ja widzę wielkość i szanuję pracę... Nie chcę wartościować. Nie chcę powiedzieć, że wybrałem doskonalszy sposób życia, bo to, czy on jest doskonalszy czy jest niedoskonały, to ode mnie zależy, a nie od tego, czy ja jestem w zakonie, czy na parafii, czy gdziekolwiek indziej. To jest moja sprawa, a nie struktury kościelnej czy społecznej, w jakiej jestem. Natomiast wydawało mi się, że powinienem poszukać takiego sposobu życia, gdzie mógłbym robić coś, co, wydaje mi się, wierzę w to, jest moją drogą. Nie chciałem iść na parafię, nie chciałem iść na probostwo. Nie interesuje mnie władza w Kościele. Nie interesuje mnie też nauka, powiedzmy teologia, żeby kończyć studia i tak dalej. Natomiast ciągle mnie interesowało raczej kaznodziejstwo, bo wtedy tylko takie warunki były. W tym się specjalizowałem zresztą na KUL-u. Z tego też wyrosła poezja. Później się otworzyły inne możliwości, przyszło radio, telewizja, przyszły media. I ciągle mi się wydaje, że to jest mój świat. Choć teraz widzę coraz bardziej, zwłaszcza kiedy mi przyszło szefować „Przeglądowi Powszechnemu”, widzę, że trzeba będzie powoli szukać następcy, który to znacznie lepiej zrobi (ja już jestem za stary na te czasy). Moje pokolenie to powinniście wy, młodzi, odznaczyć... Mam nawet pomysł bardzo ładny: kupcie dobre puszkę z rybami, trzeba wyjeść ze środka to, co

tam jest dobre; potem tam jest takie błyszczące złotko, z tego orderki porobić, przypinać nam wszystkim (kombatantom „solidarnościowym”, „PZPR-owskim” i wszystkim innym) i do lamusa. Tak samo tutaj powinien przyjść młody człowiek, który puls dzisiejszego świata będzie lepiej czuł. Wydaje mi się, że to moje przejście było czymś, co mi się sprawdza w tej pracy, w tych możliwościach, jakie dzisiaj mam.

S. J. Ż.: *W takim razie, do czego się Ojciec czuje dzisiaj powołany?*

O. Wacław Oszejca SJ: Ja myślę, że muszę pilnować w tej chwili tego, co mam, tego, co mi dano. Też jest ten problem, ta kwestia posłuszeństwa zakonnego. Wokół tego jest ogromnie dużo mitów i dużo nieporozumień, począwszy od tego obrazka, gdzie matka przełożona kazała sadzić pietruszkę zielonym do dołu, a korzonkiem do góry. No i wyrosła... To dobrze obrazuje na czym nie powinno polegać posłuszeństwo. To znowu jest jednak kwestia płaszczyzny wiary i uwierzenia w to, że nasz Bóg nie jest li tylko indywidualistą i nie załatwia sprawy bezpośrednio z każdym człowiekiem oddzielnie, ale działa poprzez społeczność, w tym przypadku poprzez społeczność kościelną (w moim przypadku poprzez społeczność zakonną). I owo posłuszeństwo, jeśli je dobrze zrozumieć, jest właściwie nieustannym dialogiem, nieustannym poszukiwaniem. Przynajmniej tak jakoś staramy się w moim zakonie, raz lepiej, raz gorzej, widzieć posłuszeństwo: że to jest wspólne rozważanie tego, czym my powinniśmy się zająć, bo wierzymy, że do tego jesteśmy też jakby posłani.

S. J. Ż.: *Jeszcze jedno takie osobiste pytanie, które mnie zawsze nurtowało. Jak czuje się ksiądz-poeta, z wyglądu liberal, w ortodoksyjnym i konserwatywnym Zakonie Ojców Jezuitów?*

O. Wacław Oszejca SJ: Jaki tam liberal... [ogólna wesołość – red.]

S. R.: *Jaki tam konserwatywny Zakon...* [ogólna wesołość – red.]

O. Wacław Oszejca SJ: Tak, ma Pan rację... Czasem się obawiam, że jest dokładnie odwrotnie... Myślę, że kategorie: „liberal”, „demokrata”, „postępowy”, „wsteczny”, mało opisują (i nie

daj Boże, żeby potrafiły opisać) życie chrześcijanina, a już tym bardziej życie Kościoła. Po prostu to są za wąskie pojęcia, one pasują w polityce, kiedy się analizuje życie społeczne. Ale już życie religijne, życie kościelne, nie da się opisać przy pomocy tych pojęć. Gdybym chciał to przerysować, to... powiedziałbym za św. Teresą: „Jeśli ktoś nie był w Zakonie, niech mi o piekle nie opowiada”... [gromki śmiech – red.] Chcę przez to powiedzieć, że myślę, że jednak zakony są takimi miejscami, gdzie się mocno i intensywnie żyje, jeśli człowiek chce mocno i intensywnie żyć. Jeśli tego chce, to takie możliwości tutaj znajdzie, począwszy od formacji intelektualnej. W zasadzie, jeśli któryś z naszych młodych chce studiować, i to porządnie studiować, no to ma cały świat przed sobą. Jeśli jest nie tylko chęć, ale i talent, to proszę bardzo. Jeśli widzi siebie w pracy duszpasterskiej, to też może to znaleźć. Jeśli jest artystą, nie ma problemu, nawet może nawiązać kontakt z kilkoma innymi piszącymi czy malującymi. Ja nie chcę przez to powiedzieć, że w moim zakonie nie dochodzi do skrzywdzenia człowieka, bo dochodzi. To jest jasne. Tak było i tak będzie. Natomiast możliwości są duże. Jaki ten mój zakon jest tutaj w Polsce? Jest w tej chwili na takim etapie odzyskiwania swojej tożsamości, ponieważ przez te lata powojenne żaden zakon nie żył swoim powołaniem. Nie było takiej możliwości. Wszystko się sprowadzało w zasadzie do wnętrza Kościoła, do liturgii i trochę do katechezy (można było trochę wyjść na zewnątrz do spraw społecznych, kulturalnych, politycznych). W tej chwili odzyskujemy tę naszą tożsamość. Wrócę do początku naszej rozmowy: zależałoby nam na wewnętrznej formacji chrześcijan. Stąd nasze domy rekolekcyjne i taka specjalność jezuicka – rekolekcje indywidualne, kiedy to jest grupka paru osób, gdzie każdy jest indywidualnie prowadzony, nie po to, żeby tego człowieka wyalienować, wyłączyć z jego świeckości, ale przeciwnie – żeby tę świeckość w nim pogłębić. Żeby nadal on pozostał człowiekiem świeckim, ale z ducha chrześcijaninem, a nie tylko w deklaracjach czy w jakimś zewnętrznym, „wiewcowym” zachowaniu.

S. J. Ż.: *Czy bycie poetą, bycie publicystą pomaga Ojcu w realizowaniu powołania kapłańskiego, czy przeszkadza?*

O. Wacław Oszajca SJ: Nie chciałbym, żeby moja poezja była odbierana jako przedłużenie ambony. Bo to byłaby kiepska poezja. To jest oddzielny język, to jest oddzielna sprawa, i chciałbym, żeby to jednak była poezja, która, mój Boże, mówi o tym samym, o czym my gadamy na ambonie. Tylko na ambonie ja nie mogę powiedzieć tego wszystkiego, co w poezji (nie dlatego, żebym się czegoś wstydił, tylko dlatego, że czemu innemu służy ambona czy katecheza). Sądzę, że tutaj sprzeczności nie ma, ponieważ staram się nie pełnić ról, ale żyć... Więc mam nadzieję, że również i wiersze to nie jest kwestia jakiejś mojej ucieczki czy rekompensaty czy nadrabiania czegoś, czego mi tutaj nie dostawa, tylko jeszcze jednym językiem. Wydaje mi się, że to jest wciąż kwestia języka, ale też i przez to samo odsłanianie pewnych rzeczywistości, których bym nie odsłonił ludziom na przykład nie chodzącym do Kościoła. Czyli też jakiś wymiar duszpasterski tej poezji istnieje, ja sobie z tego zdaję sprawę, ale nie po to piszę wiersze. Ja chcę przy pomocy nich rozmawiać. Natomiast obawiam się o tych chrześcijan, którzy jakoś boją się kultury, boją się poezji; próbują wmówić w siebie samych i w innych, że Chrystus jest wrogiem kultury. (Gdyby był wrogiem kultury, to by wina nie użył do Mszy św., ani też nie zaczął od przemienienia wody w wino.)

S. J. Ż.: *A prowadzenie „Przeglądu Powszechnego”...? Czy to jest pomoc w powołaniu, jego realizacja?*

O. Wacław Oszajca SJ: Realizacja. Jeśli powołanie do kapłaństwa jest konkretyzacją tego powszechnego powołania, tak prowadzenie „Przeglądu” jest jakimś konkretnym sposobem spełniania tego, w czym wierzę, że jest „palec” Boży, jest wola Kościoła, jest też zadanie, które mi daje zakon. W związku z tym staram się to robić możliwie najsensowniej. Jak ja widzę ten „Przegląd”? Myślę, że tak tradycyjnie: żeby to był jednak przegląd, żeby nasi autorzy próbowali tak rozoznać tę rzeczywistość, żeby uchwycili to, co się

sensownego dzieje w tej chwili, w tym naszym świecie. A więc nie tyle żyć przeszłością czy przyszłością, co analiza i opisywanie dnia dzisiejszego.

S. R.: *Mówił Ojciec o różnych nurtach w teologii. Czy można mówić o czymś takim jak teologia powołania?*

O. Wacław Oszajca SJ: Tak, jako pewien aspekt powołania do świętości – teologia wartości ziemskich. W tym bym umieszczał te różne teologie jak teologia kultury, teologia życia politycznego, gospodarczego. Ja rozumiem ową teologię w ten sposób, że to jest jakaś próba odczytania tego wymiaru Bożego w tym, co się nazywa świeckie. I tutaj dochodzę w tej chwili do bardzo ciekawego wniosku: to jest pewna zasługa New Age dla teologii katolickiej, że nas wreszcie wytrąca z tego wygodnego dualizmu manichejskiego (który dzieli człowieka na duszę i ciało, dusza ważna, ciało – „be”; dzieli na sacrum i pro-

fanum, sacrum daleko, profanum blisko – w związku z tym, może tym się zajmijmy, a Pana Boga od czasu do czasu dopuśćmy do głosu). Myślę, że nasze wybawienie od tej schizofrenii i kulturowej i religijnej by polegało na tym, że owszem, zachowamy ten dualizm, ale nie manichejski, ale raczej panenteistyczny. Za św. Tomaszem chyba, że jest „to” i jest coś ponad „to”; jest fizyka i metafizyka. Ale z tego nie wynika, że te światy da się tak pooddzielać. Nie. Jedno dzieje się w drugim. I wtedy można by widzieć teologię powołania jako taki strumień namysłu nad wartościami ziemskimi, tak to nazwijmy.

S. J. Ż.: *Serdecznie dziękujemy Ojcu za spotkanie i rozmowę!*

Opracował i przygotował do druku: **Sebastian Rejak.**

„Wolność nie jest najwyższą wartością człowieka, ponieważ służy prawdzie i dobru. Ale jest wartością podstawową. Bez wolności nie może być mowy o odbudowie osobowej tożsamości człowieka.”

*

„(...) nie wystarczy skruszyć kajdany na rękach, skoro prawdziwe kajdany oplatają dusze. I to nie tylko dusze wiernych, również dusze duszpasterzy. Jednym z największych paradoksów i jedną z największych niespodzianek czasów posttotalitarnych jest fenomen >>zniewolonego pasterza dusz<<.”

ks. Józef Tischner

Ewa Kwiatek

Wybory i decyzje

Wszystkie czyny ludzi dobrej wiary oznaczają ostatecznie poszukiwanie wolności jako takiej.

Jean Paul Sartre

Dokonywanie wyborów, podejmowanie decyzji jest przejawem i rezultatem życia w świecie. Każdy dzień przynosi nowe możliwości i problemy, z którymi musimy się mierzyć, chcąc normalnie funkcjonować nie ignorując rzeczywistości. Tak więc świadome istnienie implikuje konieczność wybierania i decydowania wciąż na nowo.

Wybór a decyzja

Z pozoru różnica między nimi jest trudno dostrzegalna, określamy tak podobne czynności. A jednak nie są tym samym i zachodzi między nimi ciekawa relacja. *Mały słownik języka polskiego* definiuje „decyzję” jako „postanowienie, rozstrzygnięcie, uchwałę”, zaś „wybór” jako „wyróżnienie spośród pewnej liczby”. Oto kiedy rozciąga się przed nami pewna liczba możliwych opcji (np. zachowania), wybór polegać będzie na wskazaniu jednej spośród nich, na tej podstawie podejmiemy decyzję. Kiedy wchodzimy do księgarni, nasz wzrok pada na mnóstwo znajdujących się tam, prawdopodobnie ciekawych, pozycji. Przejrzawszy kilkanaście, wyróżniamy zazwyczaj jedną – oto nasz wybór, bez którego niemożliwe jest zaistnienie decyzji o kupnie tej jednej książki. Trudno jednak stwierdzić, że wybór poprzedza decyzję w czasie – wszak w momencie wyboru podjęliśmy decyzję. Gdyby posłużyć się kategoriami Augustyńskimi, można by utrzymać tezę, że wybór poprzedza decyzję „pierwszeństwem w pochodzeniu”. By przybliżyć tę relację, oddajmy głos samemu autorowi: „Takie tworzywo jak drewno i srebro również w czasie poprzedzają kształty rzeczy, jakie z nich robimy. A w śpiewie jest inaczej. Kiedy się śpiewa, śpiewem jest sam rozlegający się dźwięk. Nie jest tak, że najpierw słyszy się dźwięk bezładny, który by dopiero potem w śpiew się składał. (...) Aby stać się śpiewem dźwięk otrzymuje formę. (...) Ale ma dźwięk pierwszeństwo w pochodzeniu: nie harmonizuje się bowiem śpiewu, aby powstał dźwięk, ale harmonizuje się dźwięk, aby powstał śpiew.”¹ Decyzja jest uformowanym wyborem, wybór warunkuje jej powzięcie – oto pierwsze rozróżnienie między wyborem i decyzją.

Pamiętając o nim dojdziemy do drugiego, jednak niezbędne w tym celu jest odniesienie do historii rozważań nad możliwościami ludzkiej świadomości. Starożytni niewiele uwagi poświęcali zagadnieniom związanym z wolą, zazwyczaj nie oddzielając poznania dobra od dążenia ku dobru. Nie wyodrębnili pojęcia woli, ale stworzyli „proairesis” – poprzedniczkę woli, będącą władzą wyboru, zajmującą się rzeczami pozostającymi w naszej mocy, wyróżnieniem jednej spośród wielu możliwości. Dopiero w późniejszych wiekach dostrzeżono problem woli, nie zawsze odnoszącej się do spraw osiągalnych, będącej przejawem dążenia, chcenia. Dlatego można by zaryzykować twierdzenie, że, o ile decyzja jest aktem woli (chcenia lub nie-chcenia), o tyle wybór jest aktem proairesis – władzy rozstrzygnięcia.

Na podstawie przedstawionych refleksji wydaje się, że decyzja znajduje się nieco wyżej w hierarchii ludzkiego rozumowania. Konsekwentnie, dalsze rozważania skoncentrowane będą głównie na problemie podejmowania decyzji, aczkolwiek nie sposób pominąć zagadnienia dokonywania wyborów, które znajdzie się na drugim planie.

Wolność

Podejmowanie decyzji jest realizowaniem wolności. „...każde «chcę» wyrasta z naturalnej skłonności do wolności, to jest z naturalnej u każdego człowieka ucieczki przed zniewoleniem przez innych”.² A więc posiadamy naturalną skłonność do wolności, dążenie do samostanowienia należy do istoty człowieczeństwa.

Problem granic dostrzegamy, gdy na przykład rozważamy nasze istnienie jako zdarzenia powiązane ze sobą w ciągu przyczynowo-skutkowym. Nadal jednak wolność pozostaje wartością, ku której należy się kierować. Niektórzy myśliciele akceptują świadomość pewnego zdeterminowania, inni starają się ją zaliczać, czy to dzięki Kantowskiemu rozróżnieniu na akty wolności względnej (będące rezultatem pewnych przyczyn) i akty wolności bezwzględnej (będące początkiem kolejnego ciągu zdarzeń). „Jeśli teraz np. wstanę z krzesła zupełnie swobodnie (...) to w tym zdarzeniu rozpoczyna się bezwzględnie nowy szereg wraz z naturalnymi jego następstwami w nieskończoność.”³

Wola

„Wolność tkwiąca w każdej spontaniczności jest częścią kondycji ludzkiej. Jej umysłowym organem jest wola.”⁴ Wola jest narzędziem umożliwiającym realizowanie wolności, przeto by tak było, sama wola musi być wolna. A „...czymże innym może być wolność woli, jak autonomią, tj. wolnością woli polegającą na tym, że ona sama jest dla siebie prawem?”⁵. Wolność woli była ważna w koncepcji Nietzschego; Św. Augustyn dzięki niej wyjaśniał istnienie zła w świecie – zależy ono od woli człowieka, nie od Boga. Przy tym należy wspomnieć o rozróżnieniu, jakiego dokonał Mistrz Eckhart, a które podjął Kant: na skłonność i wolę. Skłonność jest niejako od nas niezależna, zaś na wolę posiadamy wpływ.

Założenie wolności woli stało się problematyczne dla Schopenhauera, wszak nie wybraliśmy woli, istnieje niezależnie od naszego „chcenia”. Przeto wolność realizowana może być w naszych czynach, lecz nie przez wolę, od której należy się odizolować, bowiem jest „irracjonalną, kosmiczną siłą”.

Konieczność wyboru

Słynna Pitagorejska metafora porównywała nasze życie do litery Y, bowiem zawsze stoimy wobec wyboru, lub właśnie ku niemu zmierzamy. To stanowi dla pewnych myślicieli źródło tragizmu egzystencji, musimy wciąż wybierać albo-albo, jesteśmy „skazani na wolność”, która w pewnym sensie ogranicza możliwość samorealizacji. Wybierając – zawsze z czegoś musimy zrezygnować, o czym nigdy nie dowiemy się, czy nie doprowadziłoby nas do szczęścia. To, że konieczność wyboru wiąże się z nieuchronnością utraty, często uniemożliwia nam podejmowanie decyzji. Pozwalamy, by po prostu coś samo się stało – co też jest wyborem polegającym na zrzeczeniu się woli wybierania czy też przyznaniu się do niezdolności wyboru.

Odpowiedzialność i osamotnienie

One także sprawiają, że niektórzy samowolnie wyrzekają się wolności. Kiedy świadomie podejmiemy decyzję, wiemy że jesteśmy zdani wyłącznie na siebie. Czujemy samotność wobec konieczności wyboru, wobec decyzji, a następnie wobec odpowiedzialności za swoje postanowienia. Pokorne przyjmowanie konsekwencji własnych decyzji i odpowiadanie za siebie wymaga przede wszystkim dojrzałości. Uświadomienie sobie, że jesteśmy swoimi jedynymi towarzyszami, że nie możemy uniknąć często przykrych następstw własnego postępowania – nie dla wszystkich jest możliwe do przyjęcia. Ludzie uciekają od wolności, nie nam to oceniać, wszak sami nieraz tak postępowaliśmy. Jeśli nie – gratulacje!

Wiedza

Oczywistym wydaje się, że aby świadomie i mądrze podjąć decyzję, należy uprzednio posiadać pewną wiedzę na temat możliwości wyboru, konsekwencji decyzji i znać własne predyspozycje. Jednak wzajemna relacja poznania i woli była źródłem filozoficznych sporów, zarysowały się w nich dwie koncepcje: mówiąca o prymacie intelektu nad wolą (św. Tomasz) i o prymacie woli nad intelektem (Duns Szkot). Żeby coś wybrać, trzeba najpierw poznać, wola jest władzą służebną intelektu, możemy chcieć tylko tego, co już znamy – utrzymuje pewna teoria, na co druga odpowiada, że nie poznajemy wszystkiego, ale wybieramy pewien skrawek rzeczywistości, który decydujemy się poznać intelektem, akt woli przesądza o kierunku rozwijania wiedzy.

Realizacja

„Przedmiotem sporów bywa też pytanie, czy istotniejsze dla dzielności etycznej jest raczej postanowienie, czy też raczej czyn...”⁶. Arystoteles, który zauważał problemy związane z realizowaniem decyzji, ostatecznie przyznał, że o człowieku więcej mówi nam jego postanowienie, „ono bowiem jest najściślej związane z dzielnością etyczną i jest sprawdzianem (...) lepszym aniżeli czyny.”⁷. Lecz cóż warte są decyzje bez prób ich realizowania, choć często trudnych. „Widzę, co jest lepsze i przyjmuję to i idę za tym co

gorsze”⁸ – powiada Owidiusz. Trudność leży w nas samych; rozbieżność między „chcę” i „czynię” spędza nam sen z powiek. Mówimy wtedy o słabości woli, o własnej niekonsekwencji, o sile pokus, o chwili zwątpienia. Najważniejsze, żeby nie rezygnować z urzeczywistniania własnej wolności. Wciąż z wiarą i odwagą dokonywać wyborów i podejmować decyzje – wyzwania oraz z nadzieją i wytrwałością starać się je realizować.

Przypisy:

¹ Św. Augustyn, *Wyznania*, tłum. Z. Kubiak, Kraków 1994, s. 309.

² H. Arendt, *Wola*, Warszawa 1996, s. 106.

³ I. Kat, *Krytyka czystego rozumu*, tłum. R. Ingarden, Warszawa 1975, s. 193.

⁴ H. Arendt, *op. cit.*, s. 159.

⁵ I. Kant, *Uzasadnienie metafizyki moralności*, tłum. H. Wartenberg, Warszawa 1984, s. 86-87.

⁶ Arystoteles, *Etyka nikomachejska*, 1178a 35.

⁷ Arystoteles, *Etyka nikomachejska*, 1111b 5.

⁸ Owidiusz, *Metamorfozy*, w: H. Arendt, *op. cit.*, s. 107.

„Ku wolności oswoił nas Chrystus. A zatem trwajcie w niej i nie poddawajcie się na nowo pod jarzmo niewoli.”

Gal 5,1

Katarzyna Grzybowska

Człowiek jest wolny całkowicie i na zawsze lub nie jest wolny wcale

Wstałem od stołu. Byłem rozgoryczony, popatrzyłem na półkę pełną równo poustawianych książek. Wziąłem jedną z nich i zacząłem niedbale przewracać kartki, znowu te same słowa ujawniły mi prawdę o moim życiu i zraniły, tylko chyba boleśniej, niż ostatnim razem:

„On jest wolnym i bezpiecznym obywatelem ziemi, gdyż jest przykuty do łańcucha, który jest dostatecznie długi, by mu dać dostęp do wszystkich miejsc na ziemi, a jednak tylko na tyle długi, że nic go nie może porwać poza granice ziemi. Ale jednocześnie jest wolnym i bezpiecznym obywatelem nieba, gdyż jest przykuty do podobnie odmierzonego łańcucha niebios...”¹

Zamknąłem oczy, nie chciałem więcej czuć się tym – przykutym łańcuchami – człowiekiem. Niestety, podświadomie czułem, że to zamykanie oczu to dziecinna zabawa, która nie zmieni faktu, że to właśnie ja jestem bohaterem opowiadania Kafki. Pamiętam dzień, gdy poznałem go osobiście... Jego obraz, jego samotność, jego ograniczenia i cierpienie towarzyszyły mi każdego dnia. On nie wierzył, że człowiek może być wolny całkowicie. Kafka – podobnie jak ja – próbował odciąć się od rzeczywistości, uciec. Wiedziałem, że tak zawsze dzieje się z człowiekiem, który nie potrafi uświadomić sobie własnej wolności i zbyt dużą wagę przykładą do swoich niepowodzeń, ograniczeń, niedoskonałości. Pisząc o wolności – mam na myśli tę wolność prawdziwą, która nie zależy od czynników zewnętrznych i jest w naturalny sposób przydana człowiekowi, po prostu ze względu na swoje człowieczeństwo... Często się zastanawiam: skąd pochodzi ta wolność? Od Boga? Od szatana? Od natury? Choć jestem tak stary – nigdy nie zostało mi dane odkrycie tej tajemnicy... To prawda, że nie znam jej źródeł, ale wierzę, że jest wyrazem godności i wyjątkowości człowieka. Wolność, o której przyszło mi pisać, nie ma nic wspólnego z wolnością wyboru czy sumienia. Muszę się powtórzyć, ale to wydaje mi się szczególnie ważne. Wolność, ta prawdziwa i nieograniczona, jest czymś naturalnie przydanym człowiekowi, czymś, co mieszka w nas od urodzenia. Problem jest w tym, czy człowiek ją w sobie odnajdzie, rozwinie...

Od tego właśnie zależy: czy „jest on wolny całkowicie i na zawsze czy nie jest wolny wcale.” Tak, to jest myśl Sarte’a, którego bardzo cenię jako filozofa i człowieka... Zdaję sobie sprawę, że moje opowiadanie często odbiega od tematu, zanurza się w wirze innych wspomnień, jest chaotyczne... Myślę jednak, że to ma swój cel i urok, więc nie zamierzam próbować porządkować mojego toku myślenia...

Nie jestem wolnym człowiekiem, tak jak i Kafka nie był. Dziś zrozumiałem, że Kafka przegrał swoje życie, bo zbyt mocno odizolował się od ludzi. W najbliższych ludziach żyje nasza wolność; w ich gestach, szybkich krokach, nagłych wzruszeniach². Kafka przegrywał swoje życie, bo wybierał samotność. Jego walka o samego siebie „mieszkała” w okropnym cierpieniu i słabości. Ta porażka ujawniła się w bólu, którego doświadczał przez całe życie. Poczulem wstyd. Dlaczego nagle zacząłem go oskarżać? Czy jego sposób życia i myśli były przyczyną utraty mojej wolności?

Wiem, że wina jest moja i nie chcę się okłamywać. On przynajmniej czegoś dokonał. Był pomostem. Każda kultura ma swojego upadłego anioła, który tworzy pomost między rzeczywistością ludzkich doznań a sferą metafizyki... On tego dokonał, bo był pisarzem. Z pasją równą poecie używał swoim utworom skrzydeł samotności, a sam spadał coraz niżej na samo dno...

Ktoś mógłby powiedzieć, że to, co piszę to tylko jedna, wielka przenośnia, której brak realności i konkretnych konturów. Trzeba mi to wybaczyć albo zrozumieć ukryty w tym cel.

Człowiek jest z natury swojej wolny, ale jego dramat polega na tym, że nie uświadamia sobie tej wolności... Jeżeli jednak człowiek z natury swojej jest wolny – to jak możliwe jest, by tę wolność stracił? Sam muszę sobie odpowiedzieć na to pytanie, nie, to nieprawda – ja znam już odpowiedź: jeżeli człowiek dokonuje złych wyborów, czyli zbyt mocno zanurzy się we własne ograniczenia, wtedy zapomina o tym naturalnym darze, jakim jest wolność. To właśnie sprawia, że tak ważna jest nauka autoobserwacji. I choć może zabrzmieć to banalnie – należy pomagać tym ludziom, którzy zapomnieli o własnej wolności. Trzeba postępować z nimi bardzo łagodnie, jak z małymi dziećmi... Dzieci muszą się uczyć wszystkiego od podstaw. Ludzie ci powinni robić to samo. Ja też powinienem odnaleźć w sobie siły, by tego dokonać. To proces trudny, ale jak powiada mój lekarz – „ma się więcej niż połowę szans na powodzenie”.

Czasem w poznaniu i uświadomieniu własnej wolności pomaga nam ideologia. O, już widzę wyraz niechęci na twojej twarzy! Niepotrzebnie jednak, bo ideologia nie zawsze prowadzi do utopii, rozczarowania i poczucia fikcji. Ja wierzę w liberalizm³, ponieważ liberałowie przyznają człowiekowi „całkowitą wolność”. W tej ideologii człowiek – jako jednostka indywidualna – jest najważniejszy; człowiek jest zdolny by poznać i zdecydować, gdzie kryje się jego dobro i szczęście. Liberalizm przyznaje człowiekowi prawo do zdecydowania, jakiego rodzaju wolności potrzebuje, wiedząc zarazem, że jedyną granicą jego swobody jest wolność drugiego człowieka... Według mnie to bardzo mądra i piękna ideologia, która wskazuje na myśl, że to w jakiej mierze jesteśmy wolni – zależy tylko od nas, od siły wewnętrznego pragnienia i niezależności.

Niestety – do dzisiejszego dnia – nie zrobiłem niczego, by odnaleźć w sobie tę śpiącą wolność. Bez oporu akceptowałem zmieniającą się scenę mojego życia. Obraz po obrazie, klatka po klatce. Przyglądałem się temu z przerażającą obojętnością – jak znużony widz w kinie. Moje wnętrze przepelniał ogromny ładunek niezadowolenia i nienasyceń... Dla ludzi, byłem obcy. Lekceważyli oni – a może była to tylko moja wyobraźnia – moje gesty, szamotanie... To dziwne, ale im bardziej opisuję swoje doznania i uczucia, tym złośliwiej staję się nieznosnie banalny i pompatyczny... Nie wiem dlaczego. To nie pierwszy raz, gdy chcę się zmienić, próbowałem już kilkakrotnie. Kiedyś pomyślałem, że skoro wolność człowieka jest najczystsza w momencie urodzenia, może, aby ją odna-

leżć – powinienem powrócić do miejsc, gdzie spędziłem dzieciństwo. Wszedłem do wielkiego pokoju, który przez długie lata był moim pokojem dziecięcym. Przymknąłem oczy naiwnie myśląc, że ta chwila ciemności może przywrócić wizerunek pokoju, który znałem jako mały chłopiec. Tak bardzo pragnąłem zobaczyć te same sprzęty: brzydki, ale duży i wygodny tapczan, szafę na ubrania, piękne dębowe biurko będące chlubną pamiątką rodzinną, wreszcie brązowy, bujany fotel. Jednak to były tylko wspomnienia. Pokój, który miałem przed oczami zaskoczył mnie nieprzyjemną barwą ścian i obcą atmosferą. Jak widać nie istnieją udane powroty. Zatraciłem już umiejętność utożsamiania się z małym chłopcem, który godzinami siedział przy biurku – czytając stare książki dotyczące metafizyki, filozofii, przyrody... Nie chciałbym potraktować mojego procesu rozwojowego w sposób powierzchowny, ale czasem przesładuje mnie myśl, że może ten błąd tkwił właśnie w tym czytaniu... Kiedy czytasz – ograniczasz się i rozwijasz, stajesz się bardzo bogaty i niezależny lub tracisz wolność i „prawo posiadania tylko jednego życia” w swoim umyśle...

Tak więc wróciłem do swego dzieciństwa, by jeszcze raz zaczerpnąć tej prawdziwej swobody i wolności, której nie można stracić... Najwyżej zapomnieć! Pragnąłem uwierzyć, że ten powrót może coś odmienić, dać mi jakieś wskazówki. Moją pamięć bezlitośnie wypełniały głosy, gesty, szepty, twarze; w rzeczywistości nic konkretnego, nic czulego, nic drogiego. Wciąż tylko ta nużąca perspektywa czasu. I poszedłem...

poszedłem⁴

*Nie spędziłem siebie. Poddąłem się zupełnie i poszedłem.
Do uciech, które na poły rzeczywiste
Na poły w mózgu moim wirowały
Poszedłem w noc rozjarzoną.
I piłem wina mocne, jakie piją ci, (...)
co nie potrafią odnaleźć wolności.*

Ten niesamowity wiersz Kawafisa, genialnego greckiego poety, to część mojego życia. Kocham wiersze tego poety, choć mówią one często o tym rodzaju miłości, który uważa się powszechnie za wstydliwą chorobę, ograniczającą godność i wolność człowieka. A jego poezja jest zawsze moim natchnieniem – tak pełna dźwięków, greckiego ciepła i miłości, uroku, który oszalał. To na zasadzie paradoksu: jedyne chwile, które dają mi odczuć, że jestem wolnym człowiekiem – to te z poezją Kawafisa. Aż trudno wyrazić, jak wiele traci ten, kto ich nigdy nie poznał. Jednak można znaleźć w twórczości tego poety kilka wierszy, które pokazują człowieka zamkniętego, odgradzonego, ubezwłasnowolnionego... Przeczytaj „Okna” lub „Mury”, a zrozumiesz moje cierpienie.

Mury⁵

*Nie myśląc, co mi czynią, bez wstydu i litości
Zbudowali wokół mnie mury wysokie, wielkie.*

*I teraz siedzę tu, i męczę się w beznadziejności,
i o niczym innym nie myśli już umysł żarty przez mękę.*

Kiedy wzniesli mury, czemuż byłem uległy?

Przecież miałem tam w świecie do zrobienia tak wiele. (...)

Gdy tracimy poczucie wolności – tracimy także poczucie sensu świata, i stajemy się samotni. Ja także byłem i jestem samotny, choć mam wspaniałego przyjaciela: Dalleire – artysta, malarz, prozaik, poeta – słowem człowiek, który w swej dobrotliwej naiwności przekonany był o naszej przyjaźni, mawiał, iż moja obojętność spowodowana jest osamotnieniem, w które wtopiłem się tak dalece, że stan, w którym obecnie żyję – wydaje mi się słuszny i normalny. Gdy wypowiadał te słowa kilka lat temu – miał rację. Jego serce, choć pełne banalnych uczuć towarzyszącym artystom, posiadało dar wspaniały, mianowicie intuicję. Otóż owa intuicja właściwa prostodusznym Francuzom ukazała mi dno, którego doświadczałem przez ostatnie lata. Nie byłem człowiekiem godnym, więc nie byłem człowiekiem całkowicie wolnym. Teraz wiem i czuję to bardzo wyraźnie, że muszę się z tego wyciągnąć... Nawet wiem jak to zrobić. Należy szukać utraconej wolności przez kontakt z drugim człowiekiem... Kilka tygodni temu byłem w Paryżu... Pogoda była wspaniała, „miasto prawie świeciło” i przeglądało się w lustrze Sekwany... Siedząc w małej kawiarence pod Wieżą Eiffela – zobaczyłem nagle starego człowieka prowadzonego przez dwóch policjantów. Mnóstwo gapiów. Ktoś mówił, że to bezdomny wałęsający się po paryskich parkach; jakiś wysoki mężczyzna krzyczał, że to na pewno morderca tej dziewczynki, o której dzisiaj rano w radio... Jakaś starsza kobieta powiedziała, że zna tego starca i że on bardzo długo nie wyjdzie z więzienia... Jeszcze wtedy myślałem, że moje własne więzienia są znacznie cięższe, umysł cię więzi – przywiązując do myśli – każdego dnia.

Teraz stoję przy oknie i próbuję uchylić lufcik, by odetchnąć głęboko świeżym powietrzem. Spoglądam za okno, prowadzę swój wzrok najdalej, by dotknął horyzontu... Przeszkadzają mi domy, wysokie drzewa, kominy wielkich fabryk... A ja nic, tylko uporczywie szukam tego horyzontu, który jest podobno miarą i linią wolności... Kiedyś jej dotknę dłonią lub myślą.

„Ale jednocześnie jest także wolnym i bezpiecznym obywatelem niebios. Kiedy dąży do ziemi, dławi go obroza nieba, kiedy zaś zdąża do nieba, dusi go obroza ziemi.

A przecież ma wszystkie możliwości i czuje to; nawet wzbrania się przed tym, by wszystko położyć na karb błędu popełnionego przy pierwszym założeniu kajdan.”

Franz Kafka

Przypisy:

¹ Franz Kafka, *Rozważania o grzechu, cierpieniu, nadziei i słusznej drodze*. [w:] *Nowele i miniatury*, Gdynia 1991.

² Kompendium wiedzy o społeczeństwie, państwie i prawie. Red. M. Zmierzczak, S. Wronkowska. Warszawa-Poznań 1993, s. 189.

³ Ibidem.

⁴ Koustaumos Kafafis, *Wybór poezji*, Warszawa 1992, s. 50.

⁵ Koustaumos Kafafis, *Wybór poezji*, wątki biograficzne.

Jakie są granice obywatelskiego posłuszeństwa? POSTULAT: Człowiek dobrem najwyższym

W szeroko pojmowanej tradycji europejskiej systemy polityczne oscylują (przynajmniej teoretycznie) pomiędzy totalitaryzmem i anarchią, czyli stanem, w którym interes ogólny zastąpiony jest całą masą interesów jednostkowych. Skrajny indywidualizm cechujący anarchię wpływa destrukcyjnie na państwo, skąd można wnioskować, że po okresie anarchii albo instytucja państwa ulegnie rozkładowi, albo nastąpi czas silnych rządów kosztem części wolności jednostek (dobrze, jeśli malej tylko części) zachowają jedność państwa.

Pragnienie życia w pewnej społeczności (grupie) warunkuje powstanie i potrzebę utrzymania państwa. Na pozór sprawa wydaje się prosta: Władza stanowi prawo, które powinno być przestrzegane. Posłuszeństwo jest więc przestrzeganiem ustanowionych przez państwo przepisów. Czasami jednak obywatel buntuje się z jakichś powodów i łamie prawo – wtedy, w większości przypadków, jest przestępcą – człowiekiem ściganym i karanym.

Temat pracy zmusza do refleksji nie tyle nad przyczynami dokonywania przestępstw, co nad genezą konfliktu pomiędzy „prawem-w-człowieku” a prawem państwowym, gdyż rozstrzygnięcie go wyznacza właśnie granice obywatelskiego posłuszeństwa. Rozwiązać ten problem może tylko bezpośrednio zainteresowany człowiek, gdyż on decyduje o swoim postępowaniu i on ponosi odpowiedzialność za swoje czyny.

Podstawowym kryterium oceny prawa państwowego jest sprawiedliwość. Co prawda teoria pozytywizmu prawniczego wyklucza możliwość i zasadność jakiegokolwiek oceny prawa, jednak ma ona zasadniczą wadę: Człowiek tworzy prawo, które przedkłada ponad samego siebie, bo przecież uniemożliwiając jego ocenę, pozbawia się nad nim kontroli. Buduje w ten sposób nowoczesnego Golema, który może obrócić się przeciw twórcy, a to jest już sprzeczne z postulatem.

Człowiek, chcąc ocenić prawo, powinien zadać sobie pytanie: „Czy uważam obowiązujące prawo za sprawiedliwe?” Są dwie możliwości odpowiedzi:

1. „Tak. Prawo jest sprawiedliwe.” Nie istnieją więc przeszkody w podporządkowaniu się takiemu prawu, czyli byciu posłusznym obywatelem. Czasem jednak, mimo że człowiek zgadza się z obowiązującymi przepisami, nie przestrzega ich. Kara, jaka go za to spotyka jest w jego pojęciu uzasadniona i choć nie należy do przyjemności, akceptuje ją.

2. „Nie. Obowiązujące prawo nie jest sprawiedliwe.” Dalsza część pracy poświęcona jest właśnie temu przypadkowi. Zanim określe swoje stanowisko, pragnę zaprezentować w skrótovej formie trzy różne poglądy dotyczące tego problemu.

Stoicy uważali, że rozum przewycięża namiętności, które mają charakter egoistyczny. Człowiek, który kieruje się w życiu zasadami rozumu, mądrości i cnoty, nie znajduje przeciwieństwa między interesami osobistymi a społecznymi. Ciekawe więc, jak stoicy rozwiązywałyby problem Antygony (o którym niżej).

Wizja państwa stworzona przez Platona skonstruowana była według idei dobra i sprawiedliwości. Największymi zaletami były: powszechność oraz stałość. Zhierarchizowana struktura państwowa wymagała od obywateli stałości w sposobie myślenia i odczuwania. Poeci, jako osobnicy podlegający zmiennym nastrojom i mogący źle wpływać na ogół obywateli, powinni być, według Platona, wydaleny z doskonałego państwa. Niewątpliwie państwo platońskie, jeśliby istniało, miałooby się dobrze, wątpliwe jednak, czy sprowadzeni do roli trybów olbrzymiej maszyny ludzie zaznaliby szczęścia. Obywatele z utopii Platona nie zastanawialiby się nad sprawiedliwością obowiązującego prawa, gdyż z samego założenia stałości i niezmienności praw, żadne nowelizacje nie miałyby racji bytu. Państwo Platona, gdyby istniało, byłoby równie znieawidzone przez obywateli jak totalitaryzm.

Sokrates rozróżniał dwie kwestie: oceny prawa i posłuszeństwa wobec prawa. Oceniając jakieś prawo jako niesprawiedliwe, można nie stosować się do niego, porzucając kraj, w którym ono obowiązuje. Jeżeli jednak znając prawo i oceniając je jako niesłuszne pozostajemy tam, gdzie obowiązuje winniśmy się temu prawu podporządkować. Życiem swoim Sokrates złożył podpis pod tym poglądem. Obecnie takie rozwiązanie jest z oczywistych powodów utrudnione, jeśli nie niemożliwe.

Trzeba tu jasno zaakcentować, że z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora, człowiek dokonuje subiektywnej oceny prawa. Tenże obserwator mógłby twierdzić, iż dane prawo jest sprawiedliwe, gdyż wprowadza między ludzi prawdziwą i anonimową równość, niezależną od sytuacji społecznej i osobowości jednostek. Mógłby także twierdzić, że roztrząsanie przez jednego człowieka problemu sprawiedliwości prawa, stawia pod znakiem zapytania tę sprawiedliwość, gdyż narusza równość, uzależniając ją od osobowości jednostki. Takie rozumowanie jest spójne, ale sprowadza człowieka do roli mechanizmu z utopii Platona. Warto zauważyć, że dokonując „subiektywnej” oceny prawa stanowionego i uznając je za sprawiedliwe, człowiek stara się popierać to prawo i stać na jego straży. Państwo otrzymuje w ten sposób obywatela w pełnym tego słowa znaczeniu – człowieka świadomego swych praw i obowiązków, człowieka akceptującego państwo. Śmiem twierdzić, że o to właśnie chodziło Platonowi, tyle że on zakładał uzyskanie akceptacji „odgórną”, co nie może się udać. Dopuszczając więc możliwość pozytywnej oceny prawa, trudno odmówić oceny w ogóle, także tej negatywnej.

Warto teraz zastanowić się nad sytuacjami, w których człowiek zmuszony jest ocenić prawo stanowione i na tej podstawie dokonać wyboru między zachowaniem prawa, lub jego przekroczeniem. Klasycznym przykładem konfliktu pomiędzy prawem stanowionym a innymi wartościami jest część mitu o Labdakidach przekazana w *Antygonie* Sofoklesa.

Antygona, siostra zmarłego zdrajcy, stanęła przed dylematem: pochować ciało brata, łamiąc obowiązujące prawo, czy nie grzebać go, naruszając obyczaje i normy religii. Uważając pochowanie zmarłych za święty, nałożony przez bogów obowiązek i mając na

względnie niepisane prawa, naruszyła zakaz Kreona. Za swój czyn została skazana na śmierć. Nie złamała natomiast prawa siostra Antygony, Ismene.

Wyraźnie zarysowany jest tu konflikt pomiędzy prawem stanowionym (przez Kreona) a niepisanym prawem religii. Są też dwie różne postawy: Antygona buntuje się przeciw prawu stanowionemu, by zachować „prawo boskie”, natomiast jej siostra, Ismene, pozornie daleka od buntu, przestrzega prawa stanowionego, co oznacza pogwałcenie „prawa boskiego”.

Przedstawiony powyżej przykład ilustruje konflikt pomiędzy prawem stanowionym a normami religijnymi. Może się również zdarzyć, że prawo wejdzie w konflikt z moralnością (mającą swe źródło niekoniecznie w religii). Rodzi się wtedy (podobnie jak w poprzednim przypadku) problem natury aksjologicznej: która z norm jest nadrzędna, która zaś aksjologicznie podporządkowana. Ideałem byłoby rozwiązanie takie jak w kodeksie ruchu drogowego: Kierowca ma się stosować w pierwszym rzędzie do znaków policjanta, później do sygnalizacji świetlnej, znaków drogowych i przepisów ogólnych. Takie rozwiązanie jest jednak możliwe tylko w utopiach. Trzeba więc zastanowić się nad cechami prawa i moralności.

Prawo ma charakter imperatywno-atrybutywny, co znaczy, że nie tylko nakazuje, ale także egzekwuje swoje przestrzeganie. Moralność natomiast ma charakter imperatywny, z czego wynika, że wprawdzie moralność jest szlachetniejsza, jednak prawo jest ważniejsze z punktu widzenia funkcjonowania państwa. Dla jednostki moralność i prawo mają jednakową wartość. Oznacza to, że przekroczenie norm, zarówno moralnych, jak i prawnych przynosi jednostce cierpienie wewnętrzne. Oznacza to także, iż normy prawne i moralne w psychice ludzkiej nakładają się niejako na siebie, tworząc dwie moralności: osobistą i obywatelską. Na tej płaszczyźnie konflikt pomiędzy moralnością a prawem sprowadza się właściwie do konfliktu między moralnością osobistą, a moralnością obywatelską. Podsumowując tę myśl, można przytoczyć słowa Bertranda Russela: „Bez moralności obywatelskiej społeczeństwa giną, bez moralności osobistej nie są godne przetrwania”.

Chciałbym zwrócić uwagę na jeden z aspektów myśli Russela. Z jednej strony, aby państwo trwało, było silne i bezpieczne, potrzebna jest świadomość społeczna obywateli, poczucie więzi i przynależności do pewnej wspólnoty, czyli właśnie moralność obywatelska. Z drugiej strony swoiste oddanie się państwu nie może być treścią życia jednostek, gdyż sprowadza je do roli bezdusznych maszyn sterowanych przez władze. Istniały jednak w przeszłości (mam nadzieję, że tylko w przeszłości) państwa, w których jedyną „panującą” moralnością była właśnie moralność obywatelska. Tak było przecież w państwach totalitarnych, gdzie terrorem, propagandą i kompleksowym wychowaniem młodzieży, próbowano maksymalnie podporządkować ludzi państwu.

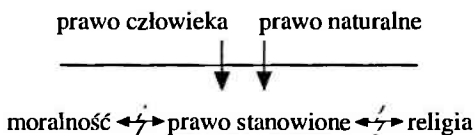
Powróć jeszcze na chwilę do *Antygony*. Bardzo często, przy okazji omawiania dzieła Sofoklesa w szkole, podaje się uczniom, niby prawdę wiary twierdzenie, że Antygona broniła prawa do wolnego wyboru, natomiast postawa Ismene była zdradą i przyzwoleniem na dyktaturę. Ta dodatnia ocena Antygony i jednoznacznie ujemna Ismene nie ma, według mnie, dostatecznych podstaw i jest uwarunkowana jedynie przyzwyczajeniem. Zauważyć trzeba, że jedna (Ismene) wypełniła prawo, wchodząc w konflikt z moralnością religijną, druga natomiast wypełniła zasady religii, wchodząc w konflikt z prawem. W jaki sposób można uznać jeden wybór za lepszy od drugiego, skoro możliwości dopu-

szczały zamiast jednego zła (przekroczenie norm moralnych), drugie (przekroczenie norm prawnych). W jaki więc sposób można uznać za lepszy wybór jednego z nich? Chyba tylko przez umieszczenie moralności ponad prawem, co już nie jest takie oczywiste.

Pogląd uznający, że przepisy uchwalone w odpowiedni sposób, przez odpowiedni organ i proklamowane jako prawo, winny być przestrzegane zwie się legalizmem. Trzeba jednak przyznać, że czasami czyny stanowiące przekroczenie obowiązującego prawa zyskują z czasem miano czynów heroicznych. Legalizm wyklucza przecież postęp na drodze rewolucyjnych zmian.

Z drugiej jednak strony wypada się zastanowić, czy nie lepiej przestrzegać prawa „dla świętego spokoju”, bo respektowanie prawa jest wymuszone przez organy ścigania, wymiaru sprawiedliwości i zakłady penitencjarne. Sankcje za przekroczenie prawa wiążą się z przymusem państwowym, natomiast przekroczenie norm moralnych pociąga za sobą „tylko” sankcje opinii publicznej. Mędrzec z *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego mówi: „Zwierchności cześć i posłuszeństwo. Nawet krętej zwierchności! Dobry sen tego wymaga. I cóż ja na to poradzę, że władza chętnie krzywo kroczy?”

Wydaje mi się, że granice obywatelskiego posłuszeństwa wyznaczają wszystkie normy, które w porządku aksjologicznym można umieścić na równi lub ponad prawem stanowionym. Normy będące na równi z prawem dopuszczają, w razie konfliktu, nieskrępowany wybór przestrzegania prawa lub owej normy. Określony wybór może być krytykowany przez otoczenie, jednak w tym wypadku nie można potępiać człowieka za taki lub inny wybór, gdyż dokonywany jest on między wartościami równymi co do znaczenia. Inaczej ma się rzecz, jeśli chodzi o wartości stojące ponad prawem. W wypadku wyboru pomiędzy nimi a prawem, człowiek ma „moralny obowiązek” opowiedzenia się za nimi, gdyż są one wartościami podstawowymi – takimi, na których powinno być oparte prawo. Wartościami tymi są prawa człowieka oraz prawo naturalne, na którym opiera się wszelka teoria stosunków międzyludzkich nawiązująca do natury człowieka, jego skłonności i aspiracji uczuciowych. Dla jasnego zobrazowania analizowanego tematu, proponuję umieszczoną poniżej interpretację graficzną problemu.



/ – granica płynna; ——— – granica nieprzekraczalna

Normy postępowania i wartości płynące z moralności czy z religii ostatecznie ustanawia lub akceptuje sam człowiek. W trakcie swego życia może porzucić religię, może przyjąć inne normy moralne, lecz nie może wyzbyć się praw człowieka czy zakwestionować prawa naturalnego. Jeśli więc istnieje konflikt pomiędzy prawem a wartościami wyższymi, powinien być bezwzględnie rozstrzygnięty na korzyść wartości wyższych. Jeżeli natomiast prawo koliduje z równymi mu wartościami, werdykt powinien być korzystny przede wszystkim dla jednostki, gdyż trzeba pamiętać, że człowiek jest wartością samą w sobie i to wyższą niż państwo. Człowiek bez państwa może egzystować, lecz państwo bez ludzi nie ma racji bytu. Może to wprawdzie stwarzać jednostce okazję do różnego rodzaju

nadużyć, lecz trzeba wierzyć w wyeksponowaną w etyce Kanta „dobrą wolę” i szlachetne pobudki ludzkich czynów. W ten sposób problem granic obywatelskiego posłuszeństwa stawał się problemem nieskrępowanego wyboru własnego stylu życia. Nikt, nawet najsilniejsze państwo, nie może nakazać przestać myśleć, przestać być człowiekiem. To człowiek tworzy własne życie i tylko on ponosi za nie odpowiedzialność.

Bibliografia

1. J. Galarowicz, *Etyka społeczna*, w: tenże, *Na ścieżkach prawdy. Wprowadzenie do filozofii*, Kraków 1992, s. 624–629.
2. H. Jankowski, *Moralność i inne formy...*, w: tenże (red.), *Etyka*, Warszawa 1975, s. 64–120.
3. E. Klimowicz, *Moralność obywatelska i wolność osobista*, w: *Liberalizm i polis: przeszłość i przyszłość*, (red.) Lublin 1993, s. 240–250.
4. F. Nietzsche, *O kazalnicy cnoty*, w: tenże, *Tako rzecze Zaratustra*, Gdynia, wyd. br., s. 28–30.
5. Platon, *Obrona Sokratesa*, Warszawa 1958.
6. A. Schaff, *Dokąd prowadzi droga?*, Szczecin 1988.
7. Sofokles, *Antyгона*, Wrocław – Warszawa – Kraków 1984.
8. K. R. Popper, *Spółczesność otwarte i jego wrogowie*, Warszawa 1993.

„Krytykując swój kraj oddaje się mu przysługę. Mobilizuje się go do innego działania – do zmian.”

William Fulbright

Ireneusz Ziemiński

Murzyn

Opowiadanie z Mroźka na marginesie sporów o aborcję

Minister wezwał nas na naradę w sprawie skutków obowiązywania ustawy o zakazie zabijania Murzynów w sposób legalny.

– Panowie, sprawa jest bardzo poważna – rozpoczął minister. Od dwu lat, to znaczy od chwili wejścia w życie restryktywnej ustawy, zakazującej legalnego zabijania Murzynów musimy z przykrością stwierdzić, że ustawa nie spełniła swej roli.

Minister dramatycznie zawiesił głos spoglądając przez chwilę każdemu z nas w oczy.

– Z naszych badań wynika bowiem – kontynuował po chwili – że los Murzynów, odtąd nie wolno nam ich bezkarnie zabijać, znacznie się pogorszył. Zapadają na poważne choroby, zamarzają w zimie pod mostami, umierają z głodu na naszych ulicach, a ich trupy zatruwają źródła wody pitnej dla naszego miasta. Gorzej, stanowią bardzo często powód przestępstw w postaci skrytobójstwa. Odtąd bowiem nie wolno ich zabijać legalnie, ludzie muszą uciekać się do ukrytych metod zabijania. Muszą to robić w stresie przed wytropieniem ich czynu, przed prawnymi konsekwencjami i karą. Gorzej jeszcze, panowie – minister tragicznie zawiesił głos – biali ludzie, nie mogąc zabijać Murzynów, zaczynają zabijać wzajemnie samych siebie, podnosić rękę na swoich najbliższych – dokończył minister ze łzami w oczach i łamiącym się głosem.

Struchleliśmy.

– Widzicie więc, Panowie – kontynuował minister opanowawszy wzruszenie – że sprawa jest poważna. Zasięgnąwszy opinii prawników, dyrektorów departamentów i samego premiera, wnoszę, szanowni panowie, o zmianę, i to natychmiastową, ustawy o zakazie zabijania Murzynów, ściślej zaś się wyrażając – o jej zniesienie. Mówiąc logicznie, powody są dwa: po pierwsze, Panowie, poprawi to wydatnie los samych Murzynów, którym odtąd będzie oszczędzona śmierć z głodu lub z zimna. Więcej, będą wreszcie wolni od lęku w ciemnych ulicach, zakamarkach czy pod mostami, gdzie obecnie czyhają na nich grupy uzbrojonych ludzi. Przed wprowadzeniem wspomnianej ustawy każdy Murzyn wiedział, że może zostać zabity w dowolnym miejscu i w każdej chwili, dlatego też nie bał się nikogo. Więcej, był w stanie podjąć walkę w obronie swego życia, wiedział bowiem, co może go czekać z rąk każdego z nas. Teraz, Panowie, jest zupełnie inaczej, teraz Murzyn zaczął się bać. Zaczął się bać praktycznie wszystkiego i wszystkich, w pierwszym rzędzie zaś podejrzanie w jego oczach wyglądających przechodniów, złośliwych spojrzeń kierowanych w jego stronę, a także, co zrozumiale, ciemnych ulic i zakątków miasta. Nie zdajecie sobie, Panowie, sprawy, jak wielu Murzynów pada ofiarą zawału

serca lub udaru mózgu, gorzej, jak wielu trafia codziennie do izby wytrzeźwień bądź nawet do szpitali dla nerwowo chorych. Dla normalnego Murzyna sytuacja ta jest dłużej nie do zniesienia. W związku z tym sami Murzyni przystali do nas petycję, aby znieść jak najprędzej wprowadzoną przed dwoma laty ustawę. Potęguje ona bowiem ich psychiczny stres i odbiera zdrowie. Nie pozwala im, jak sami piszą, normalnie żyć i być sobą, być Murzynami.

Po drugie, Panowie, musimy mieć na względzie również aspekt społeczny i moralny całej sprawy. Obowiązująca wszak ustawa godzi przede wszystkim w najbiedniejszych obywateli naszego miasta, tych mianowicie, którzy nie mają pieniędzy, by wykupić się za kaucją z więzienia za zabicie Murzyna i swój wyrok muszą spędzić w poniżających dla siebie warunkach więziennych. W czasie więc, kiedy władze naszego miasta muszą wydać mnóstwo pieniędzy na wyprawienie pogrzebu zabitemu Murzynowi oraz wypłacać odszkodowanie jego rodzinie, biały obywatel nasz brat, drodzy Panowie, cierpi w więziennej celi a jego pozbawiona środków do życia rodzina przymiera głodem. Bogatych, że tak powiem Panowie, ma się rozumieć tylko między nami, ta sprawa nie dotyczy – zabijają wszak Murzynów oficjalnie i bez skrupułów, od wyroku bowiem zawsze mogą się skutecznie wykupić.

Konkludując, Panowie, z uwagi na oczywiste szkody społeczne, z uwagi na fakt, że ustawa zakazująca zabijania Murzynów najbardziej godzi w samych Murzynów oraz w najbiedniejszych białych obywateli naszego miasta, proszę o jednomyślne poparcie mojego wniosku.

Zaległa cisza. Oburzeni negatywnymi skutkami ustawy jednogłośnie ją odrzuciliśmy, uchwalając zarazem ustawę wcześniejszą, zezwalającą na zabijanie Murzynów bez ograniczeń. I trzeba powiedzieć, że znowu wróciły do naszego miasta spokój, normalność i radość prawdziwego życia.

Adam Dobrzyński

Podróż do Kraju Kwitnącej Wiśni

Było około godziny dziesiątej przed południem, kiedy samolot Lufthansy, lecący z Berlina do Kyoto wylądował na rozgrzanej płycie lotniska. Po zadziwiająco sprawniej odprawie celnej, droga do jednego z piękniejszych miast Japonii stanęła przede mną otworem. Mając natomiast jeszcze kilka godzin do odjazdu pociągu wyruszyłem z bagażem na plecach oraz japońskojęzyczną mapą na podbój miasta.

Jako gaijin (pogardliwe określenie cudzoziemca) musiałem bardzo uważać, aby nie zgubić się w gęstwinie krętych uliczek o beładnej zabudowie. Nazwy posiadają bowiem jedynie główne arterie. Mniejsze uliczki są ich prawie w ogóle pozbawione.

W sklepach uwagę moją przyciąga różnorodność towarów oraz horrendalne ceny, na ulicy – karłowate drzewka bonzai, które stanowią namiastkę zieleni. W Polsce podziwiane w kwaciarniach, tutaj głównie z braku chodników, postawione wprost na asfalcie, pokryte kurzem i spalinami, wyglądają żałośnie.

Długo włóczę się po tym mimo wszystko niezwykłym mieście. Odwiedzam kilka przypadkowo napotkanych świątyń buddyjskich, oglądam wystawę malarstwa suiboku¹, a wszędzie totalnym zaskoczeniem jest dla mnie zupełny brak emocji u tutejczyków. Ludzie ci rozmawiają ze sobą, robią zakupy, stoją w popołudniowych korkach bez najmniejszego choćby cienia radości czy smutku. Później dowiedziałem się, że ponoć już w szkole podstawowej dzieci uczone są jak nie okazywać sobie nawzajem uczuć, bo mogłoby to wywołać niepożądane wrażenie u rozmówcy.

Gdy docieram do Ryutaku-ji (Klasztoru Błękitnego Smoka) słońce chyli się już ku zachodowi. Bramę otwiera młody mnich, któremu wręczam list i proszę aby zaniósł go Rosiemu. Po kilkunastu minutach mnich wraca, po czym każe iść za sobą. Mówi, iż Rosi jest obecnie zajęty i że spotka się ze mną dopiero jutro. Natomiast teraz powinienem odpocząć, albowiem jutro rozpoczyna się sesin². Tej nocy długo nie mogę zasnąć, mimo iż wiem, że jutro rano trzeba będzie wstać bardzo wcześnie. Moja radość jest zbyt wielka. Spełniło się wszak jedno z moich marzeń.

O godzinie 3.30 cichy dźwięk dzwonka wrywa mnie ze snu. Czuję jak chłód wciska się pod śpiwór. Szybko wyskakuję na zewnątrz. Krótki pobyt w łazience. Ścielenie łóżka. Gdy godzinę później wchodzę do zendo³ większość osób już siedzi w zazen⁴. Zajmuję wskazane mi miejsce i zaczynam liczyć oddechy. Początkowo idzie mi to nawet zupełnie nieźle. Jednakże po kilkunastu minutach zaczynam odczuwać ból, który z każdą minutą zwiększa się. Ogarnia moje nogi, później kręgosłup, barki, całe ciało. Gdy staje się nie

do zniesienia zmieniam pozycję. Na pewien czas przynosi to ulgę. Po chwili jednak ból powraca ze zdwojoną siłą. To trwa przez cały dzień. Bez przerwy zmieniam pozycje – jedna za drugą. Niezbyt to jednak pomaga. Najgorsze jednak jest uczucie, że nie mogę utrzymać liczenia oddechów dłużej niż do trzech.

Kolejny dzień nie przynosi poprawy. Jest jeszcze gorzej. Moje myśli zaczynają błądzić. Coraz częściej staję się niespokojny. Coraz częściej powraca pytanie: „Czy rzeczywiście trzeba znosić takie niewygody, aby oczyścić umysł?”. Gdy mówię o tym Rosiemu, podczas wyznaczonego spotkania przez chwilę patrzy na mnie surowo, po czym każe mi się wynosić. Nic nie rozumiem...

Trzeciego dnia ból częściowo ustępuje. Praktyka staje się łatwiejsza. Zagrożeniem jest jednak NUDA. Mój umysł draży pytanie: „Jak można siedzieć w bezruchu tyle godzin, obserwując jedynie swój oddech?”. Gdy czytałem *Trzy filary zen* Philipa Kapleau wszystko wydawało mi się takie proste. Wystarczyło tylko odnaleźć nauczyciela zen⁵ i świątynię, i usiąść ze skrzyżowanymi nogami, aby osiągnąć to *doświadczenie* nazywane w książce satori⁶. A tym samym uzyskać odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Wyzbyć się wątpliwości. Odnaleźć swój cel w życiu. Rzeczywistość okazała się jednak trochę inna. Na szczęście Rosi jest dzisiaj w lepszym humorze. Pociesza mnie, mówiąc iż nuda świadczy o postępie w praktyce i zachęca do wytrwałości, i zwiększonego wysiłku.

Gdy wieczorem wracam do swojego pokoju, długie cienie kładą się już na kamienistej alejce. Mijam kilku mnichów ubranych w kesia⁷, którzy zmierzają w kierunku ogrodu. Zapewne spędzą tam całą noc.

Kolejne dni to walka z najrozmaitszymi myślami, z których najbardziej natarczywe są myśli o dobrym obiedzie. Bo i jak tu nie myśleć o porządnym posiłku, gdy śniadanie składa się z ryżowego kleiku i marynowanych jarzyn, spożywanych bardzo wcześnie, kiedy jest jeszcze ciemno. Główny posiłek, przypadający na godzinę dziesiątą przed południem, to ryż, zupa jarzynowa i marynaty. Natomiast kolację stanowią resztki (jeżeli takowe zostają) z dwóch poprzednich posiłków, spożywane około godziny czwartej po południu.

Szóstego dnia sesin Rosi podczas teisio⁸ przestrzega przed utożsamianiem buddyzmu zen z jakąkolwiek filozofią lub religią. Twierdzi, iż zen zaczyna się i kończy na osobiście zdobytym doświadczeniu, a jedynym przedmiotem wiary dla buddysty zen jest to, że każdy z nas posiada wszechobejmującą Naturę Buddy, i że w istocie nie brak nam niczego do szczęścia. Na koniec stwierdza jednak, iż nie należy przywiązywać się do jego słów, albowiem każde tłumaczenie istoty buddyzmu zen, nawet to najbardziej szczegółowe i wnikliwe, jest spojrzeniem z jednego tylko, ograniczonego punktu widzenia na to, co nieskończone.

Po siedmiu dniach sesin dobiegło końca. Rosi może teraz poświęcić mi więcej czasu. Staje się częstym towarzyszem moich codziennych wędrówek po otaczającym klasztor ogrodzie. Bardzo szybko dostrzegam, iż Rosi mimo swych wielkich talentów (jest autorem poezji haiku oraz podobno bardzo zdolnym aktorem-amatorem) w głębi serca jest człowiekiem o wielkiej pokorze. Łączy nas zamiłowanie do sztuki. Bardzo często rozmawiamy na temat japońskiego teatru no. Pewnego dnia Rosi bardzo stanowczo stwierdza, iż japońska sztuka aktorska pozostanie zawsze w dużym stopniu niezrozumiała dla ludzi Zachodu. Nie dlatego, że nie znają oni języka japońskiego, fabuła bowiem opowiadana

jest tutaj tańcem, ruchem głowy lub ręki, czasem okrzykiem, ale ponieważ barierę nie do pokonania stanowi wschodni sposób spostrzegania. Sam dosyć często, jak twierdzi, bywa świadkiem jak niektórzy Europejczycy są bezradni widząc nawet najprostsze sceny japońskiego teatru.

Ostatniego dnia pobytu w klasztorze Ryutaku-ji Rosi zaprasza mnie na herbatę. Gdy docieram do jego skromnego pokoju szybko orientuję się, iż nie będzie to zwykłe spotkanie. I rzeczywiście. Po zaparzeniu herbaty Rosi długo milczy, po czym zaczyna mówić o tym, że w obecnych czasach ludzie w Japonii piją herbatę całkiem inaczej, niż robili to w przeszłości. Dawniej – jak twierdzi – wypicie filiżanki zabierało im trzy godziny. Dla nas być może jest to ogromna strata czasu, ponieważ czas to pieniądz. A jednak dla owych ludzi radością były te trzy godziny i kilka filiżanek herbaty, albowiem rozumieli, co oznacza przebywanie ze sobą. W dzisiejszych czasach mamy zaledwie kilka minut na filiżankę herbaty, a pijąc ją słuchamy głośnej muzyki i myślimy o sprawach, które czekają na nas po herbacie. W ten sposób ta herbata nie istnieje, a my zadajemy jej gwałt. Nie dostrzegamy w niej żyjącej rzeczywistości. Aby ten stan zmienić potrzebna nam jest – ciągnął dalej Rosi – rzetelna praktyka mająca na celu uważność, świadomość, pamiętanie. Gdy skończył, bardzo ostrożnie ujął dłońmi filiżankę z herbatą, przez chwilę rozkoszował się jej zapachem, a następnie podniósł ją do ust. Na zewnątrz powoli zapadał zmierzch.

Opuszczam Japonię ze świadomością, że owe kilkanaście dni spędzonych w Ryutaku-ji to najlepsze jakie kiedykolwiek mogło mnie spotkać wprowadzenie w styl i klimat japońskiej kultury. Jednocześnie jestem pełen niepewności, czy buddyzm zen, próbujący od kilkudziesięciu lat zadomowić się w zachodniej kulturze, zdoła pokonać te wszystkie trudności, jakie przed nim stoją. Czy odnajdzie swój własny, zachodni kształt, nie ulegając jednocześnie wypaczeniu?

Ostatnio dowiedziałem się, że jezuici na uniwersytecie Sophia w Tokyo podjęli problematyczną próbę wykorzystania praktyki zen do wzbogacenia chrześcijańskiej duchowości. Dzieje się to nie tylko przez lekturę, lecz także eksperymentalnie w *jaskini boskiej ciemności*, czyli założonym w pobliżu Tokyo chrześcijańskim ośrodku zen.

Przypisy:

¹ Suiboku – (jap.) japońskie malarstwo czarno-białe, posługujące się tuszem na papierze lub jedwabiu, kulturowane zwłaszcza przez mnichów buddyjskich od XIV do XVII wieku.

² Sesin – (jap.) dosł. „koncentrowanie i jednoczenie umysłu”; okres intensywnego treningu, trwający zazwyczaj od 3 do 7 dni. Surowe sesin przebiegają w całkowitym milczeniu, a uczestnicy pozostają przez cały czas w miejscu praktyki.

³ Zendo – (jap.) sala używana do formalnego siedzącego zazen.

⁴ Zazen – (jap.) dosł. „siedzący zen”; podczas prawdziwego zazen umysł jest zrównoważony, skupiony na jednym i wolny od przypadkowych, nieistotnych myśli.

⁵ Zen – (jap.) chińskie *ch'an*, sanskryckie *dhyana*, oznacza medytację.

⁶ Satori – (jap.) duchowe przebudzenie się ku prawdzie znajdującej się poza wszelkim dualizmem i zróżnicowaniem, wywołujące fundamentalne przekształcenie osobowości i charakteru, dające całkowicie nową wizję świata.

⁷ Kesia – (jap.) ceremonialna szata używana przez mnichów buddyjskich

⁸ Teisio – (jap.) dosł. „wziąć do ręki i oddać”: wykład w czasie sesin.

Aleksander Dobrojer

Żydzi mesjańscy

W 1995 roku na jednym ze stadionów w Odessie miało miejsce wydarzenie, które już na miesiąc przed rozpoczęciem było mocno rozreklamowane w miejscowych środkach masowego przekazu. Przyznam się, że nie chciałem tam iść. Nie pociągała nawet bardzo wyzywająca nazwa imprezy: „Chrześcijański festiwal muzyki i tańca żydowskiego”.

Po pierwsze mam alergię na chrześcijaństwo „stadionowe”, kiedy na: „Powstańcie wszyscy, którzy dzisiaj przyjęliście Jezusa w swe serce...” z entuzjazmem podskakuje cały stadion, podgrzewany przedtem kilkugodzinnym kazaniem. Jest w tym coś z rodzaju okazjonalnej miłości, a jak mówią Anglicy „Easy come, easy go”. Po drugie nie mnie, mieszkańca Odessy, zadziwiać sztuką żydowską. I cóż to za sztuka żydowska – z Ameryki?! Pewnie „popżydowska”.

Jednak decydującym okazało się słowo „festiwal”. Nie często nas, mieszkańców prowincji, pieszczą festiwalami, do tego jeszcze chrześcijańskimi. Okazało się, że prawie nic nie sprawdziło się z tego, co przypuszczałem. Na przykład nie było hysterii. Nie było też samych Żydów. Główny rabin Ukrainy, wraz z rabinem Odessy powiadomili w gazecie żydowskiej, że każdy Żyd, który wejdzie na stadion będzie wyłączony z Synagogi. Był oczywiście entuzjazm tłumów, książki w prezencie, trochę żydowskiej pop-muzyki i tańca. Były i niespodzianki: dobra organizacja, fajerwerki na końcu i rozwożenie autobusami do głównych węzłów komunikacyjnych.

Lecz było coś istotniejszego. Spotkanie z Judaizmem Mesjańskim.

*

Jeżeli żyd uznał Mesjasza Żydowskiego, narodzonego z matki Żydówki, przyjście Którego przepowiadali prorocy żydowscy, taki człowiek nie przestał być żydem. (Jest to główna zasada Judaizmu Mesjańskiego). On stał się mesjańskim żydem, który uznał Jezua (żydowskie imię Jezusa) jako swego Mesjasza. Żydzi mesjańscy uważają, że są konsekwentni w swoim żydostwie. Już z I wieku znani są żydzi, którzy wierzyli w Jezusa, lecz przez długi okres czasu ilość ich była nieznaczną. I chociaż ruch mesjańskich żydów zaistniał prawie 2000 lat temu, współczesny ruch rozpoczął się od niedawna. Przed drugą wojną światową w Europie było bardzo wielu żydów mesjańskich. Istniało również kilka synagog, których rabini uznali Jeszucę jako przepowiedzianego Mesjasza i nawróciło na tę wiarę swoich wiernych. Niestety, wszyscy ci ludzie w czasach Hitlera zginęli, podziwiając losy 6 milionów swoich rodaków.

Jeszcze w roku 1915 w Ameryce było tak wielu wyznawców Jezusa wśród Żydów, że utworzyli nawet własną organizację – „Żydowskie Zrzeszenie Chrześcijańskie”. W ciągu dziesięciu lat ruch ten rozprzestrzenił się po całym świecie i w roku 1925 powstało Międzynarodowe Zrzeszenie Chrześcijań Żydowskich. Wszystko to poprzedza ruch wspólny, który jest znany jako Mesjanizm Żydowski.

*

„Kim oni wreszcie są – ze zdumieniem i zakłopotaniem zapyta czytelnik – żydami czy chrześcijanami?” To zwykła reakcja ludzi, jeżeli człowiek pochodzenia żydowskiego opowiada im, że przyjął Jezusa jako swego Mesjasza. Dla wielu wiara w Jezusa i przynależność do narodu żydowskiego – to kwestie nie do połączenia. „Musisz być żydem, albo chrześcijaninem, ale nie można być i tym i tym naraz, bowiem Żydzi nie uznają Jezusa”. Takie przekonania ma wielu chrześcijan i wielu żydów. Wyrosło ono nie na pustym miejscu.

Po pierwsze ci, co uznają Jezusa Mesjaszem, jak i ci, co go nie uznają, budują swoją argumentację na tej samej Księdze. Żydzi, którzy naśladowają Jezusa twierdzą, że jest Mesjaszem, bowiem wypełnił wszystkie proroctwa Biblii. Żydzi, którzy nie naśladowają Chrystusa mówią, że On nie wypełnił żadnego z biblijnych proroctw. Dlatego, chociaż w świecie jest wiele różnych religii, lecz dyskusję nad tym, czy Jezus jest Mesjaszem lub nie jest – możemy nazwać jedyną w swoim rodzaju.

Po drugie, pojawienie się żydów-chrześcijań w ubiegłych stuleciach związane było zazwyczaj z presją, lub nawet otwartym przymusem, wywieranym przez społeczeństwo chrześcijańskie na Żydów. Ze strony tego społeczeństwa oznaczało to nadanie różnych przywilejów neoficie. Ale to nie uwalniało go od podejrzliwości w stosunku do niego tej nowej społeczności. Natomiast sami Żydzi z jeszcze większą pogardą odnosili się do takich byłych członków swojej społeczności, określając ich obraźliwym słowem „meśumad”. Wszystko, co zostało wyżej powiedziane skłania nas do bardziej uważnego przyjrzenia się temu fenomenowi. Przyjrzymy się stosunkowi do tych zagadnień pierwszych chrześcijan.

Jezus był rabinem żydowskim. Wszyscy jego uczniowie byli Żydami. Lecz nigdy nie zdradzili swego pochodzenia żydowskiego, uznając Jezusa Mesjaszem.

W Kościele Pierwotnym był tak zwany „Kościół Jerozolimski”, to znaczy Kościół chrześcijański, który składał się z Żydów. W czasach imperium rzymskiego członkowie tego Kościoła mieszkali wszędzie. Jedno z głównych zadań Kościoła w tych czasach, to wspólne życie judeochrześcijań i poganochrześcijań, obok siebie wewnątrz Kościoła, Nowego Kahału – Kahału Mesjasza. W ramach takiego współżycia żydów i pogan kwestia wykonania przepisów kultowych była bardzo ważną. Jakie obowiązki trzeba nakładać na pogan, a z jakich mogą być uwolnieni? Te pytania były aktualne nie tylko dla gmin chrześcijańskich, ale i dla gmin żydowskich. Ale nigdy nie stawiano pod znakiem zapytania samego judaizmu. Jednak w stosunkach żydów i chrześcijan doszło do czegoś w rodzaju obustronnego zerwania, kiedy w pewnym momencie władze żydowskie powiedziały: „Nie można zachować wierności synagodze, pozostając uczniem Jezusa”, a chrześcijanie powiedzieli: „Nie może być chrześcijaninem ten, kto nadal zachowuje przepisy żydowskie”. Miało miejsce głębokie rozchodzenie się, coś w rodzaju rozdzielenia rzeki na dwa nurty.

*

Od samego zarania swego istnienia Kościół był w pełni świadom nie tylko fundamentalnej jedności Starego i Nowego Testamentu, lecz także i tego, że Kościół wyrasta z Izraela, jak gałąź z korzenia, jest „dżiczką oliwną”, jak nazywa ją św. Paweł w Liście do Rzymian, zaszczerpioną przez Boga na szlachetym drzewie oliwnym Narodu Wybranego. Naród żydowski zawarty jest w odwiecznym planie Bożym. I chodzi tu nie tylko o jakąś odległą przeszłość, lecz i o dzień dzisiejszy, o współczesny nam judaizm, bowiem, „dary łaski i wezwanie Boże są nieodwracalne” (Rz 11, 29). Miłość Boża jest nieodwracalna. Lecz na przestrzeni wieków były w chrześcijaństwie próby odrzucenia powiązań z judaizmem. Ale zawsze były to zawile drogi, prowadzące w ślepe uliczki. Tak na przykład Markion chciał poprawić Ewangelię w taki sposób, by „wyczyścić” ją ze wszystkich śladów Starego Testamentu. Próba ta była zdecydowanie osądzona negatywnie przez Kościół, lecz starodawna herezja odżywa i w naszych czasach. Tak niektórzy z protestanckich historyków niemieckich przełomu XIX i XX stulecia, opierając się na tym, że Jezus był Galilejczykiem, uznawali go za Aryczyka. Znane jest powiedzenie Goebelsa: „Mnie nie obchodzi to, co mówi nauka. Jezus nie był Żydem! To fakt!”. W tym kierunku idzie i myśl jednego niedawno zmarłego hierarchy Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, który niegdyś powiedział w wywiadzie dla jednej z gazet rosyjskich: „Jezus przyszedł po to, by obalić mit o wybraństwie przez Boga narodu żydowskiego”. Ale współczesny chrześcijanin nie może poddać się pokusie przemilczenia żydowskiego pochodzenia Jezusa. Lecz nie można tylko na tym poprzestać. Trzeba być konsekwentnym, to znaczy trzeba na nowo odkrywać swe chrześcijaństwo, mocno zakorzenione w Starym Testamencie. Jednak nadal jest bardzo wyraźne, że kiedy już u schyłku drugiego tysiąclecia chrześcijaństwa Kościół katolicki wreszcie potępił antysemityzm chrześcijański, on nadal żyje w świadomości chrześcijan i nawet wielu nie uważa go za grzech.

Ten antysemityzm chrześcijański może mieć „łagodny” (niekoniecznie agresywne) oblicze, mocą czego nie przestaje być jednak antysemityzmem. Antysemityzm jest owocem nieznamomości judaizmu. I taki „łagodny” antysemityzm przejawia się między innymi w stosunku chrześcijan do Starego Testamentu.

Jesteśmy przyzwyczajeni patrzeć na Stary Testament jak zapowiedź Nowego. Ale Stary Testament nie wyczerpuje się na tym. Przejście od Starego do Nowego Testamentu nie jest zerwaniem ani dezaktualizacją pierwszego. Stary Testament zachowuje swoją własną wartość – i to dla żydów, jak i chrześcijan – niezależnie od spełnienia w Nowym.

Na Synodzie biskupów, który odbył się w Rzymie w roku 1977 kardynał Marti bardzo nalegał na to, że trzeba przyjmować całe Pismo Święte. Zestawiając Stary i Nowy Testament z kulturami pogańskimi, wprowadzając go w kulturę tego czy innego kraju pogańskiego niemożliwe jest zachowanie mu wierności bez Starego Testamentu.

Nawet podchodząc do tego od strony codziennego życia, czy nie powinniśmy z pokorą przyznać, że nasz „stary człowiek” jeszcze nie obumarł, że potrzebuje jeszcze karzenia Prawem, które wychowuje do miłości? Bowiem całe Prawo jakby „przymuszało” Żydów do miłości. Właśnie dlatego, że miłość była kultywowana w Narodzie Wybranym (choć nawet jako „nakazana” przez Prawo), w tym Narodzie, „gdy przyszła pełnia czasów” mogła przyjść na ten świat prawdziwa Miłość. I błędem jest przeciwstawiać Prawo

i Miłość, chociaż takie przekonanie mocno utkwiło w naszej świadomości. Przecież powołując się na dwa przykazania miłości Jezus mówi, że w tym całe Prawo i wszyscy prorocy. Kardynał Jean-Marie Lustiger w wywiadzie dla jednej gazety izraelskiej („Ediot achronot”) na początku lat 80-ch powiedział: „Dekalog i jego podwójne resume w judaizmie: „Słuchaj, Izraelu, Jahwe jest naszym Bogiem – Jahwe jedyny. Będziesz miłował twój Boga, Jahwe, z całego serca, z całej duszy swojej, ze wszystkich twych sił” (Pwt 6. 4-5); „będziesz kochał bliźniego jak siebie samego” (Kpł 19. 18) – znajdują się w samym centrum modlitwy i nauki Jezusa. W tym istota chrześcijańskiej wierności (Łk 10. 25-28). I w innym miejscu tego samego wywiadu kardynał Lustiger mówi: „Nie przypadkiem antropologia chrześcijańska, między innymi przedstawiona przez Jana Pawła II, bezpośrednio i z naciskiem opiera się na Torze, na pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju. Ale trzeba przyznać, że istnieje obiektywne ryzyko wewnętrznemu zniekształcić wiarę chrześcijańską, jak by «upoganiając ją»”.

*

Dobrych kilkanaście lat temu dwaj malarze pochodzenia żydowskiego nawróceni na chrześcijaństwo i ochrzczeni w Kościele Prawosławnym byli proszeni przez jednego z proboszczów o namalowanie fresków w małej cerkiewce koło Odessy. Póki zajmowali się oni swoją pracą, wokół, jak to często bywa, chodziły starsze parafianki, które głośno komentowały posuwającą się pracę i zaczepiały artystów różnymi pytaniami. Pytania były głównie o tym, dlaczego malują Żydów. Artyści cierpliwie tłumaczyli, że Pan Jezus był Żydem, Apostołowie... To było jeszcze do wytrzymania. Lecz kiedy doszło do tego, że Matka Boża również była żydowską kobietą jedna z nabożnych parafianek nie wytrzymała i donośnym głosem krzyknęła: „Rosjanką ona była! Rosjanką...”.

Wydarzenie to miało miejsce na Ukrainie, ale mogło zdarzyć się w każdym zakątku świata chrześcijańskiego. Na przykład w Polsce. Kto z Polaków zdaje sobie dzisiaj sprawę z tego, że Regina Polonia, ta której zawierzili swoje czasy i która króluje z Jasnej Góry jest Żydówką?...

Nie przeczę temu, że w Chrystusie „nie ma już ani Żyda, ani poganina”. Ale chyba to nie jest bez znaczenia, że sam Jezus był Żydem. Ostatnie 30 lat Magisterium wielokrotnie zwraca na to uwagę wiernych. Zrobił to Sobór Watykański II w deklaracji „Nostra aetate”. Później w 1974 roku Komisja do Spraw Stosunków Religijnych z Judaizmem w jednym z wydanych przez siebie dokumentów podkreślała, że ważne jest „by chrześcijanie starali się lepiej poznawać fundamentalne składniki religijnej tradycji judaizmu”. „Jezus jest Żydem, jest nim zawsze” – stwierdza Komisja w dokumencie „Żydzi a judaizm...” (1985). Życie Jezusa jest integralnie związane z życiem Jego narodu. Obecny papież Jan Paweł II mówi: „Kto spotka Jezusa Chrystusa, spotyka judaizm”.

Tak wspaniałe cytaty można by mnożyć. Ale czy to zmienia coś w codziennym życiu chrześcijan? Problem brzmi następująco: czy tak naprawdę w powszechnej świadomości kościelnej myśli te znajdują jakiś oddźwięk? A jeśli nie, to w czym przyczyna? Czy nie w tym, że ci, którzy są zobowiązani do przekazywania tych treści nie bardzo są tym zainteresowani? Z kolei przyczyna tego prawdopodobnie kryje się w selektywności dzisiejszego chrześcijaństwa narodowego. I to nie w tym znaczeniu, w którym o tym zwykło

się mówić. Czy nie jest zadziwiająca „milcząca zмова” w propagowaniu jednych idei, wychodzących z Rzymu, a absolutne zignorowanie czy przemilczenie innych. Wystarczy przypomnieć jak długo i głośno rozchodziło się po Polsce echo encykliki „Veritatis splendor” i jak niezmiernie skromniejsze i lakoniczne były wzmianki o liście „Orientale lumen” i encyklice „Ut unum sint” (jak zresztą zignorowanie niegdyś przez Kościół Polski encykliki „Orientalium dignitas”). Czy w Kościele Katolickim działa jakieś nowe kryterium, pozwalające według własnego upodobania i wygody jedne orzeczenia Magisterium uznawać za istotne, a drugie – za te, którymi nie warto się przejmować?

*

Wydaje się znamienym, że są dziś chrześcijanie, którzy odkrywają dla siebie wiele głębokich i autentycznych wartości w tradycji judaistycznej. Są wśród nich tak zwani judeochrześcijanie. Istnieje przesvědzenie, że judeochrześcijanie, to tacy chrześcijanie, którzy nadal zachowują szabat, obrzezanie etc. Jednak Jean Danielou pisywał, że judeochrześcijaństwem powinno się nazywać takie chrześcijaństwo, które swe teologiczne, liturgiczne i ascetyczne zwyczaje przyjęło od tego środowiska, w którym narodziło się. I rozumiejąc to zagadnienie w taki sposób, można mówić o judeochrześcijaństwie, odmówiwszy praktykowanie przepisów Prawa. Jest bardzo interesującą pod tym względem próba odrodzenia Kościoła Jakuba przez karmelitę ojca Daniela Ruffeisen. Ojciec Ruffeisen wychodzi z założenia, że w Kościele Powszechnym zapomniano o Kościele-Matce. Kultura grecka wyparła w Kościele kulturę semicką. Wkroczywszy na drogę kultury greckiej chrześcijaństwo zaczęło skupiać swą uwagę na zagadnieniach doktrynalnych, które w końcu podzieliły samo chrześcijaństwo. Natomiast kultura semicka mniej interesowała się zagadnieniami doktrynalnymi, lecz bardziej skupiała się na idei świętości życia. Czy nie można dopatrywać się w tym jednej z przyczyn niepowodzenia chrześcijaństwa w następnych stuleciach? Przecież wiele wojen i zagłada zrodziło się właśnie w obrębie kultury chrześcijańskiej (i często robiono to „w imię Chrystusa”). My, chrześcijanie, ponosimy za to bezpośrednią winę. Można przynajmniej przypuszczać, że gdyby Kościół nie zatracił właśnie tej idei „semickiej”, oblicze dzisiejszego świata mogłoby wyglądać znacznie lepiej.

Jest jeszcze jeden – i wydaje się dziś bardzo aktualny – aspekt tego zagadnienia. W tradycji „semickiej” wiara jest zaufaniem Bogu, natomiast w tradycji „grecko-rzymskiej” wiara ma bardziej destruktywny wymiar – wierzy w to, „co Kościół podaje do wierzenia”. A to z kolei, rodzi postawę bierności, co jest wyraźnie widoczne w dzisiejszym katolicyzmie i prawosławiu.

*

Co możemy wynieść jako chrześcijanie ze spotkania z Judaizmem Mesjańskim? Musimy przede wszystkim zastanowić się nad własnym przeżywaniem chrześcijaństwa. Nie może ono być chrześcijaństwem ukutych formułek, lecz chrześcijaństwem życia. Być może to uchroni nas od dumy z samych siebie, i zarozumiałych, i nie bardzo mądrych ocen innych, jak czyni na przykład autor artykułu o Mesjańskich Żydach, zamieszczone-

go w wydawanej w Kijowie katolickiej „Parafialnej Gazecie”. Napisał tam między innymi następujące słowa: „Żydów mesjańskich chyba nie można nazwać heretykami, bo oni nie wyszli z chrześcijaństwa, lecz tylko zbliżają się do niego. Dotrzymując zwyczaju Kościoła pierwotnego można by nazwać ich «katechumenami»... Oni jeszcze nie przyszedli do Kościoła, lecz już stoją u jego progu. Jak długo będzie trwać ta sytuacja, zależy od nas chrześcijan”. Rozwijając dalej tę myśl autora można rozumieć, że chciałby on wszystkich wciągnąć do „jedynego prawdziwego” Kościoła łacińskiego. Sprawiłoby to lepsze samopoczucie autorowi artykułu i temu, kto podobnie jak on myśli jeszcze w kategoriach eklezjologii trydenckiej i uważa swój Kościół za jedyne zgromadzenie ludzi, „którzy poznali Boga”.

Ale czy potrzebują tego sami Żydzi? Czy nie są współczesne ruchy judeochrześcijańskie jakimś boskim znakiem dla nas, który wzywa nas do poważnej, głębokiej i być może nawet bolesnej refleksji nad swoim chrześcijaństwem? To przecież my jesteśmy „dziką oliwką”, nie zawsze rodzącą dobre owoce. Natomiast „Żydzi nadal ze względu na swych przodków są bardzo drodzy Bogu, który nigdy nie żałuje darów i powołania”. („Nostra aetate”, 3).

„Obie grupy religijne, katolików i Żydów, łączyła, jak przypuszczam, świadomość, że modlą się do tego samego Boga. Mimo różnicy języka modlitwy w kościele i w synagodze w znacznej mierze opierały się na tych samych tekstach.”

Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*

Sergiusz Antipow-Wasielewicz

Mój Chrystus prawosławny, ewangelicki i katolicki*

Bóg objawia się w życiu każdego człowieka w sposób bardzo osobisty. Powołuje każdego osobiście, pokazując, jak bardzo ceni każdego z nas. Rozmawiając z różnymi ludźmi na tematy wiary, doszedłem do wniosku, że drogi człowieka do Boga są zdumiewająco niepowtarzalne i że „Ojciec pociąga” ku Chrystusowi każdego inaczej. Mając rok zostałem ochrzczony w Kościele prawosławnym. Przed chrztem zachorowałem bardzo groźnie na zapalenie płuc. Zdaniem lekarzy miałem bardzo mało szans na przeżycie. Wtedy moi rodzice zdecydowali ochrzcić mnie jak najszybciej, mimo że taki krok mógł spowodować nieprzyjemne konsekwencje w biurze, w którym pracowali. Niedługo po chrzcie nastąpiło dość szybkie wyzdrowienie. To był naprawdę cud. W rodzinie jednak nie otrzymałem wychowania religijnego. Nie upatruję w tym winy moich rodziców, bo ich dzieciństwo i młodość przeszły w czasach wszechniszczącej walki z religią, kiedy zakazano nawet myśleć o Bogu, tym bardziej mieć jakieś kontakty z Kościołem. Szkoła radziecka wychowywała mnie na ateistę, nauczyciele starali się za wszelką cenę wbić w nasze głowy dogmat o nieistnieniu Boga i jakiegoś innego życia, dając w zamian wiarę w najbliższy komunistyczny raj na ziemi. Nie mogę sobie teraz przebaczyć tego, jak razem z kolegami śmiałem się z ludzi starych idących na nabożeństwo do cerkwi, jaki byłem głupi udając mądrale i tłumacząc swojej babci i matce bezsens świąt religijnych czy poświęcania jajek i pokarmów na Wielkanoc. To była dziecinada. Jednak w życiu każdego człowieka przychodzi czas na zastanawianie się nad sensem i celem życia. Nic nie mogłem sobie wytłumaczyć, w niczym nie znajdowałem odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Śmierć mojej prababci, a później babci, które bardzo kochałem i z którymi wiązały się najpiękniejsze wspomnienia lat dzieciństwa, zmusiła mnie do głębszego zastanowienia się nad sensem życia. Doświadczyłem niepewności egzystencjalnej, wielkiego strachu przed przyszłością, a szczególnie przed śmiercią. Doświadczoną pustką duchową próbowałem zappełnić, zaspokoić filozofią, praktykowaniem wschodnich sztuk walki i muzyką, jednak to nie rozwiązywało problemu.

W końcu 1988 r. zabrano mnie do wojska. Służyłem we Lwowie w części łączności satelitarnej KGB, gdzie zawsze czuwano nad naszymi umysłami i kontrolowano nasze myślenie, to, co mówimy, co piszemy do domu i co piszą do nas. Nigdy nie zapomnę

* Przedruk z książki *Opowiem ci o moim Chrystusie*, pod red. O. Stanisława Celestyna Napiórkowskiego, Niepokalanów 1996, s. 19–22.

tego dnia, kiedy mój kolega będąc we Lwowie kupił niewielką Biblię. Poprosiłem, by pozwolił mi ją poczytać. Niestety, nie było ani czasu, ani możliwości ani warunków do spokojnej jej lektury. Pewien oficer poradził odesłać ją do domu. Staralem się więc wykorzystać każdą wolną chwilę, by możliwie dużo przeczytać. Właśnie wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się o Jezusie; doświadczyłem, jak naprawdę Pan objawia się przez swe Słowo. On mówił do mnie z kartek tej Świętej Księgi. Pamiętam niezwykłość wrażenia, jakie sprawiał czytany tekst, jak cudowne natchnienie ogarnęło moją duszę. Wtedy poznałem Chrystusa jako przyjaciela, który nigdy nie zostawia mnie w ciężkich sytuacjach, w chwilach strachu i załamania się. Nawet w najtrudniejszych chwilach wiedziałem, na kogo niewątpliwie mogę liczyć, kogo prosić o siłę i pomoc. W końcu 1990 r. zwolniłem się z wojska i w grudniu dostałem zaproszenie na konferencję chrześcijańską w Kijowie, którą prowadziła pewna protestancka organizacja z Warszawy. Odebrałem to zaproszenie jako wolę Chrystusa, żebym lepiej go poznał. Wtedy po raz pierwszy prosiłem Jezusa o przebaczenie wszystkich moich grzechów, otworzyłem serce i prosiłem Go, by wszedł do niego, do mojej duszy. Przyjąłem Go jako swego Pana i Zbawiciela, oddałem Mu swoje życie, i „teraz zaś nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus” (Ga 2,20).

Chrystus nie jest dla mnie tylko osobą, która żyła 2000 lat temu, lecz On żyje dziś. W swoim życiu doświadczyłem Jego obecności, Jego miłości i Jego pomocnej dłoni. Każdy krok, każde wydarzenie w moim życiu nie jest przypadkowe, lecz – jak pisze Dag Hammarskjöld w swoim dzienniku – „w świetle wiary jako ‘zaślubin Boga z duszą’ wszystko ma sens”. Od momentu poznania Chrystusa Uwierzyłem w Niego jako Pana i Zbawiciela, odnalazłem cel i sens życia: żyć służąc Bogu i bliźnim, żyć w miłości Chrystusa.

W 1992 r. poszukiwania doprowadziły mnie do niewielkiej wówczas gminy rzymskokatolickiej w moim mieście Ługańsku (Ukraina Wschodnia). Po długich poszukiwaniach znalazłem wspólnotę wspaniałych ludzi, wśród których mogłem dalej rozwijać się i kształtować swoją wiarę. Mając 22 lata po raz pierwszy przyjąłem Chrystusa w postaci Chleba i Wina. Bardzo długa i czasami ciężka była moja droga od całkowitej negacji do poznania Chrystusa i życia w Nim i z Nim. Walka o wiarę i łączność z Chrystusem, trwanie w Jego miłości i prawdzie, są celem każdego chrześcijanina. Na tej drodze najbardziej lękam się utraty wiary i osobistego kontaktu z Jezusem, bo wtedy moje życie straciłoby sens. „Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia” – mówi Chrystus. „Ja jestem drogą, prawdą i życiem” (J 14,6). „Żywe obcowanie z Bogiem jest warunkiem poznania siebie samego, w nim nabieramy sił, by chodzić drogami prostymi i tak zwyciężać siebie” – pisze Dag Hammarskjöld w swoich *Drogowskazach*. Czytając tę książkę podziwiałem, jak ściśle życie tego człowieka było związane z Chrystusem, do jak głębokiego poznania Boga i życia z Nim on doszedł. Zachwycające są drogi Chrystusa do każdego człowieka, Jego rola w życiu poszczególnych ludzi.

Kim jest dla mnie Bóg? Świadectwa członków Ruchu „Światło-Życie”

1.

Co to właściwie znaczy kierować się wiarą w podejmowaniu różnych wyborów życiowych??

Są takie momenty w moim życiu, kiedy czuję się tak, jakby wiara przeszkadzała mi żyć. Tak, jakby utrudniała mi pójść za tym, czego ja chcę, za tym, co w moim rozumieniu wydaje się łatwiejsze dla mnie i lepsze. Ale dokonywać wyborów z wiarą znaczy chyba coś więcej, jak iść za tym, czego ja chcę. Czuję, że chodzi tu o kierowanie się w tym, co robię osobą Chrystusa, Kogoś, kto jest dla mnie najważniejszy i nadaje sens mojemu życiu. Zatem, kiedy chcę dokonać wyboru, licząc się z wolą Boga, to rozważam, jak On by postąpił na moim miejscu, jak On by chciał, żebym postąpiła.

Wierzę, że tylko On wie, co jest dla mnie dobre, co pomoże mi przeżyć w pełni moje człowieczeństwo.

Wierzę, a więc modlę się o dokonanie dobrego wyboru.

Wierzę, a więc całkowicie Mu zawieram i proszę o siłę do podejmowania zadań, będących konsekwencją takiej, a nie innej decyzji.

Wierzę, że mimo trudności, mimo tego, że może wszystkiego do końca nie rozumiem, tylko wtedy mogę być naprawdę szczęśliwa.

I jeszcze wierzę i wiem, że tylko przez taki wybór, zgodny z Jego wolą mogę odpowiedzieć na miłość od niego pochodzącą.

Kalina, III rok pedagogiki KUL, Ruch Światło-Życie.

2.

Wiara to dla mnie życie z Bogiem, nieustanny z Nim kontakt. Wiara to ciągle wpatrywanie się w Pana, wsłuchiwanie się w Jego słowa i pełnienie Jego woli, ale życie jest niekończącym się podejmowaniem decyzji. Nie można żyć nie podejmując decyzji.

W moim życiu dokonywałam i wciąż dokonuję różnych wyborów, jedne są łatwiejsze, drugie nieco trudniejsze. Zauważam jednak, że z biegiem lat stają przede mną coraz poważniejsze decyzje, które wywołują bardzo długotrwałe skutki. Myślę, że kiedy zaczęłam poważnie myśleć, zdawać sobie sprawę z tego, co się wokół mnie dzieje, podejmować odpowiedzial-

ność za moje życie, wówczas podstawowym problemem dla mnie był wybór odpowiedniego systemu wartości. Mogłam wybrać to, co niesie ze sobą świat: łatwość, przyjemność, użycie, samowolę albo to, co daje Bóg: prawdziwą wolność, prawdę, wymagania, służbę bliźnim, posłuszeństwo rodzicom, doświadczenia, ale nade wszystko pełną miłość.

I wybrałam Boga z całą jego hierarchią wartości. Odtąd najważniejsze jest dla mnie to, aby On był zawsze na pierwszym miejscu w moim życiu. Uznałam Go za swojego Pana i Zbawiciela i dlatego staram się utrzymywać z Nim stały kontakt i z Nim konsultować moje bardzo ważne wybory: przyjaciół, środowisko, szkołę, uczelnię, kierunek studiów. Jego też proszę o radę w prostych codziennych sprawach, oddaję Mu do dyspozycji całą siebie, aby On mną kierował.

To wszystko zabrzmiało tak, jakbym z Panem Bogiem mieszkała pod jednym dachem i dyskutowała sobie z Nim na różne tematy. Gdzie więc spotykam Pana?

W jego słowie – w miarę możliwości codziennie rozważam fragment Pisma Świętego; w Eucharystii, w Komunii świętej, w Liturgii Słowa, w tekstach mszy świętej, homilii kapłana. W sakramencie pokuty i pojednania – w słowach spowiednika. W modlitwie proszę Ducha Świętego o natchnienie i wierzę, że gdy Go o to szczerze, z wiarą poproszę, to myśli moje w czasie modlitewnego spotkania z Panem od Niego pochodzą. W drugim człowieku – wierzę, że w moich bliźnich, jak i we mnie, żyje Chrystus i w nas, i przez nas działa i mówi. Nikogo nie spotyka się przez przypadek i nic się nie dzieje przypadkowo.

Jezus wielokrotnie zapewniał mnie, że jeśli naprawdę uwierzę i pokocham Boga, to o cokolwiek Go poproszę i to będzie zgodne z Jego wolą, to tak się stanie. Muszę jednak być cierpliwa, bo nie zawsze Pan odpowiada natychmiast. Czasami trzeba trochę poczekać, ale staram się uważać na każdy szczegół, aby Boża odpowiedź nie przeszła obok mnie.

Wierzę mocno, że te wybory, których dokonałam są zgodne z wolą Bożą, bo gdyby tak nie było, to nie sprostałabym im, a Pan przecież daje siłę do spełnienia Jego wymagań.

Teraz jestem w takim wieku, że stoi przede mną kolejny bardzo ważny wybór – mojej drogi życiowej, odkrycie mojego powołania. Modłę się więc nieustannie do Pana, aby On mi tę drogę wskazał, abym nie podjęła decyzji wbrew Bogu, bo wiem, że On mnie kocha i nie chce mojego nieszczęścia. Wierzę, że przyjdzie czas, kiedy ta droga zostanie mi objawiona, a Pan da mi siłę, abym nią podążała.

Na pewno zdarzają się też w moim życiu chwile niepewności, zwątpienia, bo moja wiara jest chwiejna i szatan nie daje mi spokoju. Jednak Pan ciągle na mnie czeka i pomaga mi walczyć z pokusami szatana, odnawia we mnie łaskę wiary. Wtedy wszystko wraca do normy i na nowo wchodzę na drogę wiodącą do Pana.

Renata, IV rok prawa, KUL, Ruch Światło-Życie.

3.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Mam 21 lat. Mogę z odpowiedzialnością powiedzieć, że moja wiara w Jezusa Chrystusa od paru lat ukształtowana jest na pewnym poziomie. Staram się ją pogłębiać na rozmaite sposoby. Mam nadzieję, że mi się to udaje. W moim dotychczasowym życiu podjąłem już parę ważnych decyzji. A jak ma się do nich moja wiara w Jezusa Chrystusa?

Moim pierwszym poważnym i samodzielnym wyborem była szkoła średnia. Bardzo chciałem zdać i chodzić do liceum. Dlatego też o to prosiłem Pana Boga, prosiłem, ale nie pytałem, czy On tego chce.

Wkrótce potem musiałem zdecydować o moim światopoglądzie, a w zasadzie, czy będę rozwijał w sobie postawę katolika, chrześcijanina, czy nie. Tym razem Boga nie prosiłem o pomoc, ale on sam wskazał mi drogę przez pewne wydarzenia w moim życiu. Następną moją osobistą decyzją była sprawa wyrzeczeń w moim życiu oraz opowiedzenie się za jakimś stylem życia. Przy tym wyborze mogę powiedzieć, że był on wynikiem mojej wiary w Boga, ponieważ to więź z Bogiem, miłość do Niego była motywacją obrania przeze mnie takiego, a nie innego stylu życia.

Innym wyborem, którego uzasadnieniem jest moja wiara to kierunek studiów. Dlatego, że jestem katolikiem, że wierzę w Chrystusa i chcę służyć Jemu i Kościołowi, to wybrałem za mój kierunek studiów teologię. Nie wiem, czy dzięki tym studiom będę pracował w instytucji bezpośrednio związanej z działalnością Kościoła Katolickiego, czy będę uczył religii, czy nie, ale przez moją przyszłą pracę chcę pośrednio lub bezpośrednio służyć Kościołowi. Oprócz tego teologia ma mi pomóc zbliżyć się do Chrystusa i bardziej Go poznać. W najbliższych latach stoi przede mną jeszcze jeden wybór, a dotyczy on mojego powołania. Nie przesądziłem jeszcze, w jakim stanie będę żył, czy w duchowym, czy w małżeńskim, czy w samotności. Staram się więc pytać o to Boga, tego, który mnie stworzył i który wie najlepiej, do czego mnie powołał, abym najlepiej zrealizował swoje człowieczeństwo.

Kończąc moje świadectwo, chcę powiedzieć, że tymi najtrudniejszymi wyborami są te codzienne. Nie wybór prezydenta, czy parlamentarzysty jest najtrudniejszy, ale codzienny wybór, czy mam kochać bliźniego, czy być wobec niego obojętnym jest sprawdzianem mojej wiary.

Za to, że mój Bóg stworzył mnie wolnym człowiekiem, że mogę wybierać między dobrem a złem, za to, że uzdalnia mnie do trafnych wyborów życiowych, że uczy mnie wybierać CHWAŁA PANU.

Tomek, II rok teologii KUL, Ruch Światło-Życie.

Hinduizm, czyli migawka z Indii – rozmowa z s. Zofią Pawlik

Katarzyna Dec: *Siostra jest autorką wielu artykułów, broszurki pt. **Buddyzm w spotkaniu z Objawieniem Bożym** oraz książki pt. **Złudne uroki duchowości Wschodu. Czy zechciałaby Siostra, na początku naszej rozmowy przedstawić jak narodził się pomysł poznania religii hinduistycznej.***

s. Zofia Pawlik: Po ukończeniu szkoły pielęgniarzkiej w Warszawie, rozpoczęłam pracę w służbie zdrowia. Chciałam pomagać cierpiącym, korespondowałam z misjonarzem Indii. Pisałam o tragedii tamtejszych ludzi.

Aby posiadać więcej ugruntowanej wiedzy na temat religii, filozofii, kultury Indii zapisałam się do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Indyjskiej w Warszawie. Uczęszczałam również na wykłady IWKR oraz jako wolny słuchacz na zajęcia do ks. profesora Tokarza na KUL-u. Na kanwie zebranych informacji budziło się we mnie pytanie: jak można pogodzić rzekomy wysoki poziom duchowy Hindusów z obojętnością na ludzkie cierpienie?

K. D.: *Czy siostra odpowiedziała sobie na to pytanie?*

s. Zofia Pawlik: Tak. Cały problem obojętności na nieszczęście i cierpienie człowieka wynika z wiary w reinkarnację. Wiara ta uczy, że dusze „lepsze” i „czyste” wcielają się w ciała ludzi bogatych, zdrowych, urodzonych w warstwach wyższych. Natomiast ludzie ubodzy, chorzy, nieszczęśliwi i urodzeni w warstwach niższych traktowani są jako wcielenia „gorszych” dusz, które im wcze-

śniej stracą życie w „podłym wcieleniu” tym szybciej odrodzą się wyżej.

K. D.: *Czy zechciałaby siostra wyjaśnić to?*

s. Zofia Pawlik: Hinduisci z wyższych warstw uważają, że *sidura* (*parias*) posiada „nieczystą” energię duchową, która pod ich wpływem może się udoskonalić. Dlatego przekonani są, że posłuszny im *parias* im wcześniej umrze, tym dla niego lepiej, gdyż czeka go wyższe wcielenie, a więc lepsze życie. Nieposłuszny zaś *parias* będzie pogarszał swoją duchową energię i po śmierci urodzi się w niższym organizmie np. zwierzęcym – to traktowane jest jako *karma*.

K. D.: *Co to jest karma?*

s. Zofia Pawlik: *Karma* jest różnie pojmowana. Najczęściej jest rozumiana jako rodzaj wyemancypowanej energii w jednostkowym życiu duszy. Energia ta determinuje nową formę życia w nowym ciele.

K. D.: *Czy można dokonać rozróżnienia karmy?*

s. Zofia Pawlik: Karma jest to energia powodująca reinkarnację ku górze lub ku dołowi. Hinduści wierzą, że rodzaj karmy zależy od „harmonii kosmicznej” zachodzącej pomiędzy warstwami społeczeństwa, czyli hierarchią zależności i podporządkowania się kast niższych wyższym. Gdy to nastąpi, wówczas dusza reinkarnuje wyżej. W momencie braku podporządkowania element duchowy istniejący w człowieku nie ulega emanacjom energii kast wyższych, więc dusza wciela się niżej.

K. D.: *Jak wygląda struktura społeczna w Indiach?*

s. Zofia Pawlik: Społeczeństwo dzieli się na *braminów, kszatriów, wajsjów i siudrów*. Warstwy są inaczej traktowane w tekście konstytucji, a odmiennie w księgach religijnych – *Wedach*.

Przedstawię pogląd wedyjski. *Bramini* to warstwa najwyższa, uchodząca za duchowych przywódców. Jest to warstwa pełniąca funkcję nauczycielską i kapłańską. *Kszatria* jest to warstwa osób predysponowanych do sprawowania władzy cywilnej. Przyznają oni sobie status osoby boskiej – prawodawcy, sędziego (podobny status posiadali starożytni królowie babilońscy). *Wajsjowie* to warstwa producentów, rolników, rzemieślników, twórców kultury i sztuki. Ta grupa jest najczęściej zróżnicowana pod względem zawodowym. *Siudrowie* są warstwą czyszcicieli. Członkowie jej uchodzą za nieczystych. Nie mogą mieszkać ani dotykać ludzi z wyższych warstw, ponieważ traktowani są jako emanujący „nieczystą” energię.

K. D.: Czy obecnie istnieje powyższy podział społeczności indyjskiej?

s. Zofia Pawlik: W środowiskach miejskich, gdzie wpływ światopoglądu europejskiego był duży, powstał nowy rodzaj hinduizmu, zwany neo-hinduizmem. *Wedy* w tym okresie zostały przedredagowane i „podciągnięte” pod wyznania etyki chrześcijańskiej, np. zakaz palenia wódw, zabijania ludzi na ofiarę dla Kali, okaleczania dzieci itp. Miało to miejsce szczególnie w XIX wieku. Nową redakcją *Wed* nazwano *neo-Wedantę*. W świetle *neo-Wedanty* podział na ludzi „czystych” i „nieczystych” jest kwestionowany. Znalazło to oddźwięk w prawodawstwie – Konstytucja Indii zakazuje kastowej dyskryminacji. Natomiast w tradycyjnych hinduistycznych środowiskach rozróżnienie takie jest podtrzymywane, mimo konstytucyjnego zakazu.

K. D.: Jaka jest koncepcja Boga w hinduizmie?

s. Zofia Pawlik: *Brahma* to odwieczny Absolut, który w 1/4 części uległ materializacji, a w 3/4 jest rozproszony w kosmosie. Są to dwa pojęcia Absolutu: antropomorficzne (*soguna-Brahma*) i filozoficzne (*nirguna-Brahma*). Pierwsze mówi, że z głowy Brahmy powstał bramin, z barku i rąk kszatriowie, z tułowia wajsjowie, z nóg siudrowie.

Drugie pojęcie Absolutu – filozoficzne – przedstawia go jako odwieczną energię, praświatło. Poprzez dźwięk „om” nastąpił ruch i doszło do rozbicia a 1/4 tej energii na różne kolory (analogia do tęczy). Materializacja koloru białego doprowadziła do powstania braminów, koloru czerwonego – kszatriów, żółtego – wajsjów, a czarnego – siudrów. Analogicznie z innych kolorów powstały zwierzęta i rośliny.

K. D.: Kto według *Wed* powinien nauczać religii hinduistycznej?

s. Zofia Pawlik: *Wedy* uczą, że człowiek z najwyższej warstwy powinien zrealizować cztery cele: zdobyć majątek (*artha*), założyć rodzinę i zaznać rozkoszy (*kama*), pełnić służbę społeczną (*dharma*) oraz wyzwoić się z ciała (*moksha*). Nim opuści ciało powinien zostawić swą wiedzę dla potomnych. Jest powiedziane: „Gdy zobaczysz pierwszy siwy włos na swej skroni, pierwszą zmarszczkę na twym czole i syna swojego syna, pozostaw praktyki karmy i darmy a oddaj się medytacji. Co ci się w umyśle pojawi godne przekazania, wstań i nauczaj”. Wyciągnięcie wniosków ze swojej medytacji powoduje, że istnieje wielu różnych nauczycieli. Nauka ich jest bardzo często sprzeczna ze sobą.

K. D.: Jak więc znaleźć prawdę?

s. Zofia Pawlik: Przytoczę tutaj odpowiedź Hindusa, któremu zadałam to pytanie. Mówił on: „Ty słuchaj różnych nauczycieli i to co się tobie jawi jako prawda jest dla ciebie prawdą. Jeżeli w twoim umyśle jawi się przekonanie, że życie ludzkie jest niepowtarzalne – znaczy to, że twoje życie będzie niepowtarzalne. Jeżeli zaś jawi się, że będziesz żyć wiele razy, to tak będzie”. Z takiego rozumowania wynika relatywizm prawdy i etyki.

K. D.: Dlaczego ta religia zdobywa obecnie wielu wyznawców i sympatyków? Od kiedy należy obserwować wzrost zainteresowania hinduizmem w świecie zachodnim?

s. Zofia Pawlik: W widoczny sposób rewolucja francuska przyczyniła się do zainteresowania Wschodem. Poszukiwano w tym okresie alternatywy na miejsce usuwanego chrześcijaństwa.

K. D.: *Dlaczego zwrócono się szczególnie ku hinduizmowi?*

s. Zofia Pawlik: Religia ta daje nieograniczoną rangę władzy. Życie i śmierć zależą od tego, kto panuje. Prawo boże jest prawem nadczłowieka. Segregując społeczeństwo na warstwy można wyeliminować problem rywalizacji o wyższe i lepsze stanowiska oraz przeznaczyć część społeczeństwa do pracy, do której nie ma chętnych. Konsekwencją tego podziału jest segregacja społeczeństwa. Ci, którzy obejmują władzę mają zagwarantowaną dziedziczność.

K. D.: *Nie tylko w hinduizmie władcy pretendowali do absolutnych, totalitarnych rządów. Byli to m.in.: Hitler czy Stalin.*

s. Zofia Pawlik: Owszem, ale idea Hitlera oparta była na poglądach Nietzschego. Niewiele osób w Polsce orientuje się też, że na usługach Stalina był Hindus, nauczyciel „wiedzy tajemnej” – mąż Swietlany – córki Stalina.

K. D.: *Czy można więc na kanwie tego, co siostra powiedziała powyżej stwierdzić, że hinduizm niesie ze sobą zagrożenie?*

s. Zofia Pawlik: Tak. Hinduizm jest zagrożeniem dla współczesnej cywilizacji. Przyjęcie go prowadzi w konsekwencji do utrwalenia władzy

absolutnej, do ustalenia prawa nadczłowieka i dyskryminacji pewnych narodowości. Poza tym apostazja (odejście od katolicyzmu do hinduizmu) może doprowadzić do utraty wiecznego zbawienia.

K. D.: *Na zakończenie naszej rozmowy proszę powiedzieć jak długo Siostra przebywała w Indiach, czym się tam zajmowała? Co działało się z Siostrą po powrocie do Polski?*

s. Zofia Pawlik: Od 1967 roku przebywałam na placówce misyjnej Prakashpalayam w diecezji Mysore. Prowadziłam tam ośrodek zdrowia, zajmowałam się oświatą sanitarną analfabetów, organizowaniem chałupnictwa, katechizacją rodzin. Studiowałam też socjologię religii na Uniwersytecie Karnatak w Dharwar. Po powrocie do Polski wstąpiłam do Zgromadzenia Sióstr Dominikanek Misjonarek Jezusa i Maryi, gdzie otrzymałam imię Michaela. Jako siostra zakonna zatrudniona zostałam w katechizacji oraz wykładałam historię misji w naszym nowicjacie i higienę tropikalną dla studentów misjologii na ATK. Obecnie prowadzę „wędrowną katechyzę” na tematy zleczone przez tych, którzy mnie zapraszają.

K. D.: Dziękuję Siostrze za rozmowę.

„(...)Buddyzm jest w znacznej mierze systemem „ateistycznym”. Nie wyzwalamy się od zła poprzez dobro, które pochodzi od Boga, wyzwalamy się tylko poprzez zerwanie ze światem, który jest zły. Pełnia tego zerwania, to nie jednocześnie z bogiem, ale tak zwana nirwana, czyli wejście w stan doskonałej obojętności względem świata. Zbawić się, to znaczy przede wszystkim uwolnić się od zła, zobojętnieć na świat, który jest źródłem zła. Na tym cały proces duchowy się kończy.”

Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*

Podatni na wpływy

Jak wiele uzyskaliśmy dzięki rozwojowi cywilizacji? Mamy technikę, komunikację, służbę zdrowia, wysoki poziom wykształcenia, rozwiniętą kulturę, komputery, loty w kosmos. Można by tu było napisać niezłą litanię tych osiągnięć, którymi szczyli się współczesny Polak, Europejczyk, obywatel świata.

Ale można też, a może raczej trzeba, zdjąć różowe okulary i zobaczyć, czy zgadza się to poczucie dumy z cywilizacji z tym, jaka jest rzeczywistość. Na pewno nie zanegujemy tego, co wytworzyła cywilizacja, ale dla pełnego obrazu trzeba dodać: dominację myślenia technokratycznego, gdzie człowiek i jego pragnienia oraz problemy są podporządkowane pracy, zarobkowi, wydajności, sprawności, „posłuszeństwu” komputerom, powodującą nieustanny pośpiech; galopującą industrializacją stawiającą na pierwszym miejscu budowę fabryk, czy przysłowiowych elektrowni atomowych, kosztem zniszczenia środowiska naturalnego; szybką powojenną urbanizacją stawiającą pozbawionego swoich korzeni człowieka w anonimowej i betonowej wiosce; również fakt, że wiele lokalnych zwyczajów i kultur zmioła zarobkowa emigracja, zarówno wewnętrzna jak i międzynarodowa. Z tych najróżniejszych powodów cierpi przede wszystkim rodzina, w której więzi międzypokoleniowe zostały rozluźnione, wychowawcza rola rodziców zredukowana a wzrastający młody człowiek czuje się osamotniony i pozbawiony wsparcia ze strony jakiegokolwiek autorytetu.

A sekty (a może lepiej in-sekty)?? Co ma to wspólnego z nimi? Bardzo wiele, a może olbrzymi rozwój sekt na wszystkich kontynentach i we wszystkich krajach spowodowany jest przede wszystkim tymi wcześniej wymienionymi zjawiskami. Dlaczego?

Choćby na przykład młody wykształcony człowiek nie jest skłonny do bezkrytycznego przyjmowania prawd objawionych, a jednocześnie szkoda mu czasu na pogłębianie wiedzy religijnej. Staje się sceptykiem, ateistą, nie wierzy w Boga, bo wiara małego dziecka nie współgra z jego rozwiniętą wiedzą, a inne autorytety legły w trakcie dojrzewania i usamodzielniania. Kiedy zostanie podważony system wartości dorosłego człowieka, to on jest w stanie sobie z tym poradzić, ale młodzieniec nie. On w swoim idealizmie odrzuci wszelki system wartości. A jednocześnie ten brak zaowocuje w nim poczuciem samotności i pragnieniem grupy. Staje się wtedy idealnym kąskiem dla każdej sekty.

Migracje to imigranci, obcy w nowym środowisku. Też szukają grupy, w której wszyscy by się znali, akceptowali i pomagali. Nie zawsze państwo czy Kościół są w stanie im pomóc. To również idealne środowisko do spenetrowania przez sekty.

Kogóż jeszcze możemy tu dołączyć? Wszystkich czujących się odrzuconymi: bezrobotnych, członków rozbitych rodzin, rodziców na równi z dziećmi. Nawet studenci w miasteczkach akademickich szukający swego miejsca w nowej sytuacji. Na ostatek możemy

chyba jeszcze dorzucić każdego, kto czuje się trybikiem w maszynie, nikim w tłumie i kto chce poczuć się dowartościowanym, „kimś wyjątkowym”, jak mówi się językiem reklam.

Kto w takim razie jest podatny na wpływ sekty? Każdy. A w szczególności? Ten, komu potrzebna jest jakaś nowa grupa, każdy niespokojny, poszukujący ducha, który w starym środowisku nie znalazł dla siebie miejsca.

No, ale jest drobny problem polegający na odróżnieniu od sekt innych, normalnych Kościołów, związków wyznaniowych czy po prostu małych grup działających w ramach Kościołów.

Zacznijmy od słownika. Sekta to grupa religijna, która oderwała się od któregoś z wielkich Kościołów panujących i przyjęła własne zasady organizacyjne; odłam wyznaniowy jakiejś religii. Ale to nie wszystko, to jeszcze grupa izolująca się od ogółu. Inne współczesniejsze określenie wypracowane przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego: to grupa pozyskująca swych członków przy pomocy wyrafinowanych i nieetycznych metod i technik manipulacji, narzucająca swoim członkom stereotypowe reakcje psychiczne, kontrolująca ich myśli, zachowania, uczucia, a także zmuszająca ich do zachowania bezwzględniego posłuszeństwa i uzależniająca w sferach materialnej, jak i duchowej.

Ale ponieważ sekty to temat rzeka warto by było skupić się na naszych „lubelskich” sektach, a jest ich kilka. Zacznijmy od najłagodniejszej, mianowicie Reiki (*rei* – „deszcz”, *ki* – „siła życia”, a razem: *reiki* – „miłość zawarta w dotyku rąk”). Należy ona do tzw. sekt terapeutycznych, czyli pozyskująca swych członków na drodze organizowania sesji terapeutycznych, gdzie adept jest leczony za pomocą nakładania rąk. Założycielem jest Japończyk Mikao Usui, który poświęcił się poszukiwaniu metody uzdrawiania, podobnej do tej, jaką stosował Chrystus oraz inni nie znani z imienia uzdrowiacze sprzed wieków. Niestety, odpowiedniego opisu metody nie znalazł w Ewangelii, a dopiero w tajemniczej, wcześniej zaginionej, a przez niego odnalezionej księdze zawierającej opis metody stosowanej przez Buddę. Moc uzdrawiania zdobył po 21 dniach postu, gdy otrzymał promień z nieba dodający do jego wiedzy uzdrowiacza brakującą mu zdolność. Swoją metodę spopularyzował w klinice stosującej System Naturalny dr. Usui. Do Polski metoda dotarła dzięki seminarium na temat niekonwencjonalnych metod leczenia, zorganizowanemu przez Teatr STU w Krakowie. Od tamtego czasu wśród mistrzów leczących tą metodą jest troje uzdrowionych Polaków: Jan Peterko, s. Mariusza Jadwiga Bugaj oraz ks. Maciej R. Wroński. Teoretycznie Reiki nie jest oddzielną religią, ale uzdrowiacze Reiki wierzą, że istnieje Absolut będący dynamiczną siłą rządzącą światem. Duch Święty to, co najwyżej, przejaw tejże energii. Ponadto w czasie spotkań stosuje się odpowiednią medytację prowadzącą do pełnego zaufania energii Reiki, która nie może nikogo skrzywdzić ani zranić. Jednak może być wykorzystywana przez mistrza w celu odnoszenia konkretnych korzyści. Jest to możliwe dzięki silnemu kontaktowi psychicznemu między terapeutą a chorym. Jeśli chodzi o inne nadużycia, to dochodzi także do swoistego kupczenia tą energią, gdyż wystarczy uiścić odpowiednie opłaty, aby zdobyć zdolności uzdrowiacza. Ale szwankuje tu nie tylko strona ludzka, bo Reiki uważając się za organizację ponadreligijną i poza-religijną jednocześnie głosi reinkarnację i panteizm, typowe dla buddyzmu, a nie do przyjęcia przez chrześcijanina. Ponadto praktyki uzdrowiaczy mają na celu samodzielne wyzwolenie się z ludzkich słabości bez potrzeby Boga, bo na jego miejscu staje mistrz. W tych praktykach stosuje się także tajemne napisy, znaki i gesty nieodparcie kojarzące się z magią. A inne negatywy? Wiele osób świadczy wręcz o opanowaniu leczeniem Reiki, o tym, że ta praktyka

całkowicie pochłaniała i zajmowała cały czas odbierając osobę rodzinie i nie pozwalając pracować. Jeszcze inni skarżyli się na widoczne pogorszenie zdrowia po rozpoczęciu takiej terapii. Paradoksalnie zdrowie zaczęło wracać dopiero po przerwaniu „kuracji”.

Inną sektą, a ściślej grupą sekt są Silva Mind Control, czyli Samokontrola Umysłu Metodą Silvy. Jest to metodycznie opracowany kurs medytacji opracowany w Teksasie w latach 60-tych przez Jose Silvę. Przede wszystkim chodzi o opanowanie prawej półkuli mózgu odpowiedzialnej za uczucia, emocje, marzenia, wrażliwość, intuicję, za całą sferę duchową (lewa to logika, rozum i analizowanie). Metodą samokontroli jest opanowanie umysłu na poziomie mózgowych fal *theta* i *delta* właściwych dla prawej półkuli i to w czasie snu czy narkozy. Celem jest całkowita kontrola swego umysłu i ciała. Silva uważa, że w każdym człowieku drzemie ukryty geniusz, którego można obudzić medytacją. Możliwości ludzkiego umysłu jego zdaniem są nieograniczone, a narzędziami, których umysł używa są uczucia przenoszące energię. Są nimi: miłość, empatia, radość. Te nośniki oraz wyobraźnia to podstawowe sposoby uzdrawiania. Wystarczy po prostu wyobrazić sobie chorego jako zdrowego i już po wszystkim. Podobnie z samym sobą: „ekran wyobraźni” umożliwi mi zdobywanie potrzebnych zdolności i wiadomości. Wszystko tylko dzięki wyobraźni. A Bóg, grzech, co z nimi? Bóg raczej jest zbędny, niepotrzebny. Człowiek może stać się swoim autozbawicielem, ale nie do końca. Potrzebuje duchowych doradców, którzy pojawiają się wraz z zagłębianiem w medytację. Trzeba ich słuchać, by wraść. Ponadto pojawi się także nieznaną Wyższą Inteligencją, niewiele niższa od Boga. Ona jest pomocną mądrością, błyskiem olśnienia, życzliwą ogromną siłą, to motor życia, źródło inaczej niedostępnych informacji. Człowiek staje się wolny od poczucia winy, bo ani człowiek, ani jego problemy Boga nie obchodzą. A kim są duchowi doradcy albo Wyższa Inteligencja? Jeśli nie Bogiem i nie są od Niego zależni, to kim mogą być? Kim są istoty duchowe niezależne od Boga i ponadto wręcz Jemu przeciwnie nie muszą mówić.

Następną sektą o korzeniach terapeutycznych jest Niebo – Zbór Chrześcijan Leczenia Duchem Bożym z Majdanu Kozłowieckiego. Grupa ta założona została przez Bogdana Kacmajora przejawiającego zdolności bioenergoterapeutyczne. Pierwotnie składała się z chorych, którym pomógł, a następnie rozrosła się dzięki werbunkowi prowadzonemu przede wszystkim wśród ich rodzin. Dziś ponadto próbuje się zdobywać nowych adeptów przy okazji różnych spotkań, np. w hotelach czy pociągach. Przywódca sekty ma absolutny autorytet co do np. tłumaczenia słów Biblii, ustalania zasad moralnych, kierowania życiem wspólnoty aż po kojarzenie małżeństw (najjaskrawszą decyzją było skojarzenie małżeństwa 14 letniego chłopca z 25 letnią kobietą), decydowanie o liczbie dzieci, ich imionach (i to dość wymyślnych jak np. Audi, Fiu-fiu czy I-śróbokręt-nie-pomoże) i wychowanie, zabraniające chodzenia do szkoły. Oczywiście każdy członek sekty pracuje i żyje tylko dla przywódcy, który planuje ostatnimi czasy długą „podróż” dla całej wspólnoty, tylko nie wiadomo jakiego rodzaju. Sekta wielokrotnie przyczyniła się do rozbicia małżeństw, wyrwania dzieci z pierwotnych rodzin. W tym roku w ramach nagłaśniania sprawy sekt, także i tej zwrócono uwagę na przypadki zaginięcia dzieci, co sugeruje handel nimi. Spektakularnym wydarzeniem było nie tylko wystąpienie w Polskiej telewizji żony B. Kacmajora mówiącej m.in. o porwaniu do sekty ich wspólnego syna. Po rozwodzie mały Dawid Kacmajor decyzją sądu został przy matce, a ojca pozbawiono praw rodzicielskich. Zbiegiem okoliczności wkrótce po jej wystąpieniu policja odnalazła ich syna w siedzibie sekty.

Zostały jeszcze dwie „nasze lokalne” sekty, ale nie zachowam tu już odpowiedniej kolejności zostawiając najgroźniejszą i najniebezpieczniejszą na koniec. Na końcu przedstawię sektę pochodzącą od tej największej i najpopularniejszej. No więc pomantrujmy trochę.

Międzynarodowe Towarzystwo Świadomości Kryszny założył w 1965 roku w USA Bhaktivedanta Prabhupada, spopularyzowali Allen Ginsberg i George Harrison (The Beatles). Kim jest Kryszna? Święte księgi hinduizmu – Wedy, przekazują, że panteistyczny bóg Wisznu, bóg czczony w słońcu i w świętych: drzewach, krowach i gajach pojawił się w ludzkim ciele jako Kryszna. Sam Kryszna jest zarówno epifanią Wiszny, ale też jest uważany za boga. Boga, jak go opisują Wedy kradnącego, uwodzącego pasterki czy cudze żony, organizującego nieprzyzwoite zabawy, zabijającego niewinnych, lekceważącego cudze życie (również najbliższych i krewnych), opiekującego się kastą pasterzy (to kasta pośrednia pomiędzy nieczystymi a czystymi). Sam Prabhupada już w wieku emerytalnym przeszczepił kult Kryszny do zachodniej cywilizacji w celu, jak sam to określił, podporządkowania Krysznie świata, w którym rządzi pieniądź. W tym celu ogłosił „marsz Kryszny”. Jego metody to: infiltracja środowisk uniwersyteckich, spopularyzowanie wiary w reinkarnację, *bhakti-yogi*, kultury hinduskiej oraz, z czego sekta (i jej pochodne) słyną w Polsce, mityngi z rozdawaniem wegetariańskiego jedzenia i charytatywne akcje mające za cel nadrzędny werbowanie wyznawców. Ponadto w trakcie „marszu Kryszny” normalne jest naśladowanie moralności swego bożka, a więc obowiązuje zasada: „cel uświęca środki”, nawet te najgorsze. Zaczniemy więc od kultu. Kryszna to władca sił witalnych, więc nie może nas dziwić prostytutka sakralna, czy wręcz handel żywym towarem. W Indiach to pierwsze ma miejsce za cichą zgodą całego społeczeństwa, osoba tego bożka jest idealnym usprawiedliwieniem dla przestępstw wszelkiej maści, bo „skoro bóg tak robił, a ja jestem jego wyznawcą...”. Poza tym, aby uzyskać kontakt z boską siłą (przecież Kryszna to tylko jedna z wielu epifanii nieosobowego Wisznu) należy doskonalić swoją medytację. Pierwszym sposobem wprowadzenia się w nastrój medytacyjny jest mantrowanie (powtarzanie wyuczonej frazy ok. 1700 razy dziennie), tylko nie wszyscy mantrujący wiedzą, jakie mają znaczenie słowa niektórych mantr, jak np. „Madana Mohana” (z hind. Wszchemocny Uwodziciel), czy „Radżagopalasuami” (czyli Władca seksu i płodności), które są w „użyciu” obok najbardziej znanej „Hari Kryszna...”. Innym ważnym środkiem jest LSD, (czyli „kwas”) oraz inne środki psychotropowe, które w Indiach łatwo zdobyć. W USA „kwas” stał się wśród krysznaitów tak popularny, że nazywany jest „hostią”, „sakramentalnym ciałem”, „przejawem boskiej miłości”, czy nawet „ciałem boga” (tylko którego??). W Indiach krysznaici znani są z procesów o handel ludźmi, porywanie młodocianych do domów publicznych. Do Polski proceder ten został przeniesiony prawdopodobnie przez jedną z hinduistycznych sekt. Poza tym, ponieważ moralność jest podporządkowana korzyści grupy, to dopuszczalne są najróżniejsze nadużycia finansowe, handel bronią i narkotykami oraz skandaliczne zabójstwa wewnątrz samej sekty. Już jako ciekawostkę można podać, że nie dość, że krysznaityzm w zachodnim wydaniu niewiele przypomina wyznanie rozwijające się w Indiach, także wśród inteligencji, ale problem jest o wiele bardziej prozaiczny. Tłumaczenia świętych ksiąg hinduizmu są zafalszowane w celu dopasowania ich do doktryny sekty. I tak przedwojenne polskie tłumaczenie *Bhagavadgity* opisującej wyczyny Kryszny niewiele przypomina w istocie to tłumaczenie, którym posługują się dzisiejsi krysznaici w Polsce. Potwierdzić

to może każdy Polak zaznajomiony z hinduizmem. A w relacji do chrześcijaństwa? No, oczywiście nie ma nic kolidującego pomiędzy byciem krysznaitą a chrześcijaninem (tak powiedzą ludzie sekty), tylko, że Chrystus to albo to ta sama osoba co Kryszna, albo co najwyżej jego syn, albo też jeden z przejawów Wisznu. Ponadto dużo do myślenia może dać wypowiedź Matki Teresy z Kalkuty, której znajomości tematu trudno odmówić. Otóż jednego z Polaków, Lecha Ozierańskiego, przebywającego podówczas w sekcje przywitała słowami: „Lechu, to ty teraz czcisz szatana?”.

A na zakończenie młodsza siostra Towarzystwa Świadomości, mianowicie Instytut Wiedzy o Tożsamości „Misja Czaitanii”, mająca swoją siedzibę w Lublinie przy ul. Lubartowskiej. Założycielem tej sekty jest Chris Butler, jeden z uczniów Prabhupady. Kilka lat po śmierci mistrza oddzielił się od Towarzystwa, założył własny ruch i ogłosił się Nauczycielem Świata, czyli Jagad Guru. Dla całego jego obrazu należy dodać, że w Towarzystwie Świadomości był mnichem po ślubie celibatu, natomiast potem porzucił ten stan, jest przywódcą całego ruchu. W doktrynie ruchu głosi się, że największą formą miłości nie jest pomoc, udzielanie wsparcia, ale nauczenie i przekazanie mantry, bo dzięki temu obdarowany wzniesie się na wyższy poziom duchowy. Samo przekazywanie mantry już jest miłością i dlatego można powiedzieć, że kto kocha Boga, to ta miłość na innych rozlewa się wręcz automatycznie. Sekta ta naucza również, że miłość wobec ludzi musi być równa, bez wyróżniania rodziny, bo więzi z rodziną są tak samo mocne jak z resztą świata. A co z człowiekiem, któremu nie wystarczy taka miłość i będzie się czuł osamotniony? Niech telepatycznie skontaktuje się z mistrzem przebywającym na Hawajach, to zaspokoi jego samotność. Efektem takiej doktryny jest widoczna wśród adeptów: oziębłość emocjonalna, regresyjne stany osobowości i zaburzenia psychiczne.

To niestety nie wszystko. Na Lubelszczyźnie są jeszcze obecne sekty: Moona, ale na szczęście Lublin nie jest dla nich zbyt atrakcyjny oraz wszechobecni Świadkowie Jehowy, ale informacji o nich może udzielić praktycznie każdy zaangażowany i świadomy katolik, a tym bardziej każdy ksiądz. Artykuł ten nie mógł być wyczerpujący, bo w Polsce działa ok. 300 sekt, każda ma swoją specyfikę, metody działania i całą bibliotekę świadectw ludzi, którzy się wyrwali z tej pajęczyny.

Czym zakończyć? Najlepiej przypomnieć słowa Jezusa: „Na tobie zbuduję mój Kościół i bramy piekielne go nie przemogą”. Nie znaczy to, że można zlekceważyć problem, nie, bo jest on zbyt poważny, ale też nie należy odchodzić do niego z obawą porażki. Wierzący chrześcijanin powinien pamiętać te słowa wypowiedziane przez Chrystusa i robić wszystko, by „bramy piekielne” były jak najslabsze.

Adresy instytucji udzielających informacji o sektach:

1. Ruch Obrony Rodziny i Jednostki
ul. Krakowskie Przedmieście 42 (kościół OO. Kapucynów)
środy 16.00–18.00, tel. 532-32-63;
2. Stowarzyszenie Civitas Christiana
90-417 Łódź, ul. Piotrkowska 39, tel. 0-42/33-65-11;
3. Jasnogórski Ośrodek Informacji tel. 0-34/56-66-88;
Dominikańskie Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach
31-501 Kraków, ul. Stolarska 12, tel. 0-12/23-16-13
internet: <http://sun1.wil.pk.edu.pl/centrum>



zawód czy powołanie
- wybory życiowe

Sławomir J. Żurek

Wstęp

Od kilku lat, a dokładniej od roku 1989 toczy się w Polsce ożywiona dyskusja wokół reformy oświaty. Prowadzone rozważania i spory dotyczą z reguły kwestii programowych, instytucjonalnych oraz ekonomicznych. Natomiast prawie zupełnie poza zainteresowaniem stron pozostaje tak ważka i zdaje się, że podstawowa kwestia w procesie dydaktycznym, jaką jest autorytet nauczyciela. Dzisiaj autorytet (i to nie tylko nauczycielski) przeżywa w Polsce poważny kryzys, o czym wszyscy zainteresowani: rodzice, pedagodzy i uczniowie, wiedzą doskonale. Po siedmiu latach funkcjonowania szkoły w społeczeństwie demokratycznym wydaje się, że nadszedł odpowiedni czas, by wspólnie zadać pytanie o przyczyny zaistniałej sytuacji.

W rozpoczętej debacie zaznaczył swój udział również lubelski ośrodek uniwersytecki wydając monograficzny zeszyt („O autorytecie”) kwartalnika „Ethos” (1997, nr 1). Spośród wielu ciekawych wypowiedzi publikowanych w czasopiśmie Instytutu Jana Pawła II, szczególnie żywy rezonans wywołał w środowisku oświatowym artykuł prof. Ireny Sławińskiej (KUL) *Autorytet nauczyciela?*. Właśnie ten tekst (przedrukowany poniżej za zgodą autorów redakcji „Ethosu”) stał się bezpośrednim powodem zorganizowanej dnia 29. 10. 1996 w Ośrodku „Brama Grodzka –Teatr NN” dyskusji panelowej. „Ethos” jest czasopismem uniwersyteckim, natomiast problem poruszony przez Irenę Sławińską dotyczy nie tylko środowiska akademickiego. Z tej to przyczyny w spotkaniu udział wzięli wszyscy zainteresowani sprawami edukacji: uczniowie, nauczyciele, studenci, naukowcy z lubelskich uniwersytetów, metodycy, pracownicy oświaty, rodzice. Wśród adwersarzy znalazła się również autorka artykułu. Obok „Ethosu”, współorganizatorem panelu był zespół redakcyjny lubelskiego kwartalnika edukacyjnego „Scriptores Scholarum”.

Na uwagę zasługują wszystkie głosy w dyskusji, a szczególnie te, które padają ze strony uczniów oraz nauczycieli, gdyż grupy te spotykają się najczęściej i mogą o sobie mówić w sposób naprawdę pełny i obiektywny. Dlatego również zapis debaty publikujemy w obu czasopismach: „Ethosie” i „Scriptores Scholarum”, mając nadzieję, że w ten sposób wypowiedzi ujęte w panelu trafią do większej grupy czytelników.

Autorytet nauczyciela?

Znak zapytania w tytule – stawiam tu nie we własnym imieniu. Nawiązuje on do wciąż powtarzanego slangu o powszechnym kryzysie autorytetu – a więc i tego autorytetu, jakim – przed laty – cieszył się nauczyciel w szkole powszechnej czy na uczelni wyższej. „Przed laty”, „ongiś”, nawet w przeszłości niezbyt odległej, skoro żyją jeszcze – nieliczni – nauczyciele przedwojenni i – znacznie liczniejsi – ich wychowankowie. Ich to świadectwa, ujawniane w druku czy w ustnych przekazach, dają podstawę do pewnych uogólnień. Niech mi będzie wolno odwołać się i do własnych doświadczeń uczennicy, nauczycielki i profesora uniwersyteckiego.

Moje lata szkolne przypadły na okres II Rzeczypospolitej: utrwala je książka *Szkola w miłym mieście* (red. Ewa Zakościelna, Londyn 1978). Zdziwi pewnie współczesnego czytelnika informacja, że **znaczna część naszych najstarszych pedagogów nie miała żadnych stopni uniwersyteckich. Byli to jednak ludzie nie tylko wykształceni, ale i ustawicznie kształcący się i nas kształcący (że odwołam się do rozróżnień Norwida).** Intensywnie pomnażali swoją wiedzę w szerokim zakresie. **Hasło nieustannego samokształcenia**, tak drogie pozytywistom: Prusowi, Orzeszkowej i innym – owocowało rozległym czytaniem kobiet, długo przecież pozbawionych dostępu do uniwersytetów. Niezależnie tylko mogły kształcić się na zagranicznych uczelniach, na przykład w Genewie, albo na „wyższych kursach” w Rosji. Własnym wysiłkiem zdobywały jednak naprawdę imponującą znajomość literatury, historii czy języków obcych. Były to przeważnie damy „z dobrych domów” (wyposażonych w wielkie biblioteki), znające biegle francuski. Hojnie dzieliły się własnym zamilowaniem, wiedzą i czasem **organizując spotkania, wspólne lektury i dyskusje.**

Był to przecież okres żarliwego czytelnictwa, nieustannego obcowania z książką: wieczorami, niedzielami, w czasie każdych ferii i wakacji letnich. **Do intensywnej lektury zachęcał program szkolny**, bez porównania obfitszy niż dziś – przynajmniej w zakresie przedmiotów humanistycznych. **Bakcylem tym zarażali nas także rodzice.**

Podręcznik literatury polskiej Manfreda Kriedla, przeznaczony dla szkół średnich w latach trzydziestych (po tzw. reformie jędrzejowiczowej) zaproponowano po wojnie, w PRL-u, jako podręcznik uniwersytecki, obowiązujący studentów polonistyki. Propozycję tę odrzucono: podręcznik ten zobowiązywał bowiem do zbyt rozległej lektury!

Nieustanne samokształcenie nauczyciela – to chyba jeden z podstawowych warunków jego autorytetu: nie można w tym oszukać młodzieży.

Najważniejsze czynniki autorytetu są niewątpliwie natury moralnej: one przede wszystkim ten autorytet budują i o nim decydują. **To ofiarność i bezinteresowność –**

najbardziej zresztą związane z wymogiem samokształcenia. Czas ludzki, wydajność pracy – zakładają ograniczenia. Nie będzie zdolny do hojnego daru wolnego czasu nauczyciel nastawiony na „łapanie” pieniędzy w celu podniesienia „stopy życiowej”. Wille i samochody, ani nawet własne mieszkania, nie śniły się przedwojennym pedagogom. Nauczycielstwo przedwojenne w latach państwowych było marnie płatne, w przeciwieństwie do szkół wyższych, gdzie wykładowcy – powyżej asystenta – otrzymywali wysokie poby – (a profesorowie – bardzo wysokie!).

Oczywiście nie jedyne to wymogi natury moralnej decydujące o autorytecie nauczyciela. Może jeszcze ważniejsze jest autentyczne **umiłowanie przedmiotu i zawodu pojętego jako służba społeczna i powołanie**, a także **szacunek i przywiązanie do powierzonych mu młodych istot ludzkich**. Mamy prawo wyróżniać najbardziej chłonnych, chciwych wiedzy, najzdolniejszych, ale powinniśmy **otoczyć przyjaźnią i akceptować także i tych mniej wybitnych**, byleby chcieli **przyjąć prawdę o sobie – o co niezmiernie trudno!** Utrudniają im to sami rodzice: niełatwo przyznać, że dziecko ma słabą pamięć i brak mu prawdziwych zainteresowań, ciekawości poznawczej czy zdolności (np. matematycznych czy artystycznych).

A co zabija czy podważa autorytet nauczyciela? Na pewno słabe wyposażenie intelektualne, niewielkie horyzonty naukowe i silne zainteresowania natury finansowej. Ale chyba także czynniki natury moralnej: pycha, samouwielenie nauczyciela, demonstrowana wyższość intelektualna, wszelkie formy poniżenia ucznia (nie mylić z surową oceną, a nawet dyskwalifikacją jego poszczególnych dokonań). Na pewno zabija szacunek dla nauczyciela wspomniane już nastawienie na zyski materialne i nieuchronnie z tym związane skąpstwo w zakresie udzielanego uczniom czasu.

Przegrywa też autorytet nauczyciela, który nadmiernie stara się przypodobać uczniom przez „młodzieżowe” miny i grymasy, stroje, sposób bycia, a nawet słownictwo. Czy tak mizdrzący się do wychowanków nauczyciel może liczyć na autorytet? Wcale częste to zjawisko: zamiast interweniować, tępić plugawą nieraz gwarę „młodzieżową” – niektórzy nauczyciele milczą, tolerując ordynarne zachowania. W obawie przed utratą popularności?

Zaczęliśmy od przywołania zespołu postaw nauczyciela warunkujących uzyskanie autorytetu, a także tych zachowań, które ten autorytet podważają lub zgoła niszczą. Nie można pominąć szerszego kontekstu – z pewnością bardzo istotnego – pewnych trendów współczesnej psychologii i pedagogiki. Przykładowo wymienić tu można sprawę **przesadnego chronienia ucznia przed stresami (niekiedy tak „straszliwymi” jak na przykład nie zapowiedziana klasówka!)**.

Kodeks „praw ucznia” przedstawia nauczycielom rejestr obowiązujących ich zakazów. **Kodeks z pewnością wymierzony jest w autorytet nauczyciela jako votum nieufności**. Uderzenie ucznia „po łapach” to niemal przejaw „okrucieństwa”! Znam wychowanków ojców jezuitów, obecnie profesorów zagranicznych uczelni, którzy z sentymentem wspominają sobotnie „rachunki sumienia” i akty rzekomego „okrucieństwa” ojców. Nie w obronie kar cielesnych to mówię, ale przeciw nieufności względem wychowawców, nieufności, godzącej w ich autorytet, rozsądek i poczucie odpowiedzialności.

Współcześnie bardzo popularna troska o „relaksy” utwierdza nastolatków w ich tendencji do unikania książek, zwłaszcza niedzielnej czy wakacyjnej lektury. Lektury, z której

wyrósł nasz nałóg czytania i wykształcenie – nie tylko literackie. Jakim oburzeniem wybuchła niedawno matka pewnego nastolatka, gdy w jej obecności spytałam chłopca, co przeczytał przez wakacje. – Jak pani śmie tak go stresować! Oczywiście nie przeczytał ani słowa! Odeszłam pełna skruchy. Ot mały przyczynek do koncepcji „relaksu” wpisanej dziś w obiegowe pojęcia pedagogiczne. Wiąże się to naturalnie z ogólną atmosferą społeczną: lekceważeniem karty *tout court*.

Zdumiewa mnie też ubogi zestaw lektury (podstawowej) dla liceów – jakby w obawie przed zagrożeniem uczniów literaturą! **Nauczycielom wypada walczyć nieraz nie tylko z lenistwem umysłowym uczniów, ale i z tępotą rodziców.** *Zwycięstwo autorytetu szkoły i nauczyciela dyskwalifikuje nieraz autorytety rodzinne – w rodzaju wspomnianej przed chwilą matki.* Niełatwo znaleźć dyplomatyczne wyjście nie rezygnując z powołania i obowiązku wychowawczego.

Do obniżenia, a nawet poprawy autorytetu nauczyciela przyczynia się także z pewnością zachwianie – jeśli nie całkowita utrata – **wiarygodności mediów: prasy, telewizji, a ogólniej – słowa.** Jak odbudować zaufanie do słowa mówionego czy pisanego po długotrwałym władztwie kłamstwa, zakłamania, półprawdy w PRL-u? Z problemem tym zderza się także prasa katolicka, a nawet oficjalne wypowiedzi Kościoła.

Czy współczesnej szkole i świadomym tych wszystkich zagrożeń pedagogom uda się przywrócić nie tylko autorytet nauczyciela, ale i szacunek należytej wiedzy i kulturze?

*

Do utrwalenia na piśmie tej bardzo ogólnej przecież – (i wolnej od scjentystycznej terminologii) refleksji – skłoniła mnie nie tylko prośba redakcji „Ethosu”. Równocześnie niemal nadszedł list od mego okupacyjnego ucznia, a obecnie profesora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wzywającego do napisania „czegoś o autorytecie nauczyciela”. Oboje rodzice obecnego profesora uczyli przed wojną w szkole powszechnej pod Wilnem, w Pobrzeziu. Oboje padli ofiarą zbiorowego morderstwa w Głinciszkach, w końcu czerwca 1944 roku, z rąk jednostki litewskiej. Mogiła ich – w zespole 39 ofiar tego mordu – otoczona jest szczególną pamięcią i opieką byłych uczniów państwa Koniecznych. Autorytet tej ofiarnej pary nauczycielskiej poświadczą też piękne listy przesłane obojgu ocalałym i jeszcze żyjącym dzieciom. Dwójka ta podjęła testament Rodziców, ich powołanie pedagogiczne: syn Henryk – w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, córka Krystyna – w szkolnictwie średnim w Gdańsku. Tej rodzinie dedykuję refleksję.

Dyskusja o autorytecie nauczyciela

Zapis poniższy to owoc dyskusji zorganizowanej 29 października 1996 roku w Lublinie wspólnie przez redakcje kwartalników „Scriptores Scholarum” i „Ethos”. Podstawą do dyskusji stał się artykuł Ireny Sławińskiej *Autorytet nauczyciela?* opublikowany później w „Ethosie” 1997, nr 1(37), s. 197–200). W dyskusji udział wzięli: Adrian Lesiakowski – student pierwszego roku politologii; Józef Fert – profesor polonistyki KUL; Jan Gałkowski – uczeń liceum; Dorota Chabrajska – nauczycielka liceum prywatnego i redaktor „Ethosu”; Jarosław Merecki SDS – filozof, sekretarz redakcji „Ethosu”; Anna Kawalec – nauczycielka liceum; Danuta Kurczab – nauczycielka liceum społecznego; Jerzy Cieszkowski – konsultant Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego; Henryk Czarniawski – psycholog; Wojciech Chudy – filozof, zastępca redaktora naczelnego „Ethosu”; Sławomir J. Żurek – polonista, redaktor naczelny „Scriptores Scholarum” oraz profesor Irena Sławińska. (Poniższa publikacja ukazuje się równolegle w obydwu kwartalnikach).

(red.)

Adrian Lesiakowski

Szkoła to ludzie

Warto na początku zdefiniować przedmiot dyskusji, zadając pytanie: Co to jest autorytet nauczyciela? Odwołam się w tym miejscu do ojca Józefa M. Bocheńskiego (niewątpliwego autorytetu). Ów wybitny filozof pisze: „Mówimy, że jeden człowiek jest autorytetem dla drugiego w pewnej dziedzinie dokładnie wtedy, kiedy wszystko, co należy do tej dziedziny i zostało przez pierwszego podane z naciskiem do wiadomości drugiej (np. w postaci nauki, rozkazu, itp.), zostaje przyjęte, uznane przez tego ostatniego. Istnieją dwa rodzaje autorytetu: autorytet znawcy, specjalisty, nazywany uczenie «epistemicznym», i autorytet przełożonego, szefa, zwany «autorytetem deontycznym». [...] nauczyciel w szkole [jest] autorytetem epistemicznym w geografii dla ucznia tej szkoły. Autorytetem jest natomiast

dla mnie ktoś dokładnie wtedy, kiedy jestem przekonany, że nie mogę osiągnąć celu, do którego dążę, inaczej niż wykonując jego rozkazy (J. Bocheński, *Sto zabobonów*, Kraków 1993). Zatem czym jest autorytet nauczyciela i jakie czynniki stanowią o jego zaistnieniu?

Autorytet nauczyciela, wychowawcy jest po części ustanowiony na przesłankach natury epistemicznej (wiedza nauczyciela), ale także i deontycznej (świadomość ucznia, że bez wykonywania poleceń nauczyciela nie osiągnie celu edukacji).

Profesor Irena Sławińska w swoim artykule trafnie wyróżnia czynniki, które są niezbędne dla budowania autorytetu nauczyciela-wychowawcy, pisząc między innymi: „Nieustanne samokształcenie nauczyciela – to chyba jeden z podstawowych warunków jego autorytetu: nie można w tym względzie oszukać młodzieży!” Przy okazji „oszukiwania ucznia” chciałbym (jako student, a więc również uczeń) zwrócić uwagę na wyczulenie młodych ludzi na autentyczność nauczyciela. Częste (choć nie za częste!) przyznanie się do „nie wiem” pozornie powoduje krótkotrwałą utratę autorytetu, jednak w perspektywie, właśnie przez uautentycznienie osoby, umacnia go.

Jako element budujący ów nauczycielski autorytet wymienia profesor Sławińska także ofiarność i bezinteresowność pedagoga. Należy jednak pamiętać, że w sytuacji, gdy nauczyciele (w większości polskich szkół) są przede wszystkim mianowanymi (i nienaruszalnymi) urzędnikami państwowymi, bardzo trudno o hołdowanie tym wartościom (oczywiście istnieją wyjątki). Ethos urzędnika (o którym dzisiaj zresztą też trudno mówić) to przecież nie to samo, co ethos nauczyciela.

Warto również wspomnieć o szacunku dla ucznia, o którym pisze Irena Sławińska. Szacunek to rzeczywiście wartość, która nie powinna ulegać trendom i modom młodzieżowym, lecz powinna służyć dowartościowaniu ucznia. (Choćby przez tak zdawałoby się błahą rzecz jak miast przechodzenia na „ty” przez nauczyciela – zwracanie się do uczniów per „pan”. Sam miałem przyjemność spotkać się z takim podejściem już w szkole średniej, gdy byłem uczniem Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie).

Wreszcie nauczyciel powinien w odpowiednim momencie pozostawić uczniowi maksimum autonomii (lecz dopiero po zbudowaniu szkieletu intelektualno-etycznego). Uczeń musi mieć jednak właściwe (motywujące do aktywności) środowisko i cel. Postawienie we właściwym czasie na s a m o k s z t a l e n i e ucznia w perspektywie daje szacunek dla odważnego nauczyciela.

Kończąc chciałbym spróbować odpowiedzieć na pytanie wieńczące artykuł profesor Sławińskiej pytanie: „Czy współczesnej szkole i świadomym tych wszystkich zagrożeń pedagogom uda się przywrócić nie tylko autorytet nauczyciela, ale i szacunek należny wiedzy i kulturze?” Współczesna szkoła to mimo wszystko nadal ludzie, także młodzi, także uczestnicy tej debaty i jej odbiorcy.

Józef Fert

Służyć prawdzie

Zastanawiam się nad tym, co jest celem naszego spotkania. Pierwsza rzecz: czy istnieją dzisiaj – w społeczeństwach biegnących do demokracji, do liberalizmu – warunki do zaistnienia autorytetów? Czy nie ma tu jakiejś kolizji między demokracją, a więc założoną równością, a autorytetem? Autorytet przecież kojarzy się jednak z pewną hierarchią. Czy nie weszliśmy jako społeczność globalna w strefę zupełnej abnegacji wobec autorytetu? Wydaje mi się, że dzisiaj istnieje wyraźna tendencja, aby podważać wszelkie autorytety. Dzisiaj też bardzo często mylimy autorytet z popularnością. Jest to tendencja, aby istnieć w sposób „gwiazdorski”. Kolejna sprawa, nad którą się zastanawiam to: czy autorytety są potrzebne? Może minęły już takie czasy, może już dzisiaj możemy się obyć bez autorytetu? Może instytucje życia publicznego zastąpią nam te osobiste autorytety? Prawdą jest, że w niektórych dziedzinach autorytet jest wręcz nieodzowny, a w niektórych wydaje się niepotrzebny. Na przykład kolejarz nie musi być autorytetem, ma być porządnym kolejarzem. Urzędnik również nie musi być autorytetem, ma być po prostu porządnym urzędnikiem. Natomiast nauczyciel jest w zupełnie innej sytuacji. Nauczyciel oprócz tego, że powinien być dobrym urzędnikiem, musi przerastać tę średnią, która autorytetem być nie musi. Dlatego, że on s o b ą uczy, on w s o b i e skupia największą energię dydaktyczną. Inaczej przecież nasze dzieci mogłyby być kształcone w inny sposób, na przykład przez jakieś media. Tymczasem dzieci chodzą do szkoły i podobno na początku nawet bardzo chcą do niej chodzić. Nauczyciel jest więc zmuszony, w pewnym sensie jest popychany ku temu aby być autorytetem. Ale tu właśnie grozi nam największe niebezpieczeństwo: manipulacji autorytetem, zawłaszczenia przez instytucje, które nauczyciela zatrudniają. Mamy w Polsce wiele przykładów ruchów w oświacie, które w ten właśnie sposób zniszczyły skutecznie autorytet nauczyciela jako powołania. Możemy się więc przed tym niebezpieczeństwem chronić, jeśli poznamy wartości, które obowiązują nas wszystkich. Nadrzędna wartość, która musi się znaleźć w centrum relacji między uczniem i nauczycielem, to prawda. Jeśli i uczniowie, i nauczyciele tę wartość uznają – czyli uznają się nawzajem w obliczu tej wartości – to wtedy wody pedagogiki otworzą się szeroko, wtedy spełni się rola autorytetu nauczyciela. Autorytet nauczyciela ma służyć prawdzie, jeśli służy czemuś innemu, z pominięciem prawdy, po prostu wyrodnieje...

Nauczyciel – mistrz z wybitną osobowością

Wydaje mi się, że na wstępie potrzebny jest pewien podział, żeby wiedzieć wyraźnie, o czym mówimy. Autorytet nauczyciela – ale jakiego nauczyciela, którego? Trzeba uwzględnić podział na autorytet nauczycieli jako pewnej grupy społecznej i autorytet konkretnego nauczyciela, tego mojego wychowawcy, mojego biologa, itd. Ten podział ma znaczenie, bo istnieją pewne cechy, które obniżają autorytet nauczycieli jako grupy społecznej. Wszyscy wiemy, że nauczyciele w Polsce nie zarabiają najlepiej, i to może obniżać ich autorytet. Ale jeśli ma się na myśli konkretnego nauczyciela, to może to zupełnie nie mieć znaczenia.

Na autorytet nauczyciela składa się bardzo wiele rzeczy. Mówiono już tutaj między innymi o wykształceniu, ofiarności, bezinteresowności, poczuciu służby. Wydaje mi się, że do takich cech podstawowych należą także kompetencje merytoryczne: żeby wiedzieć, co się mówi, znać cele tego, co się mówi. Trzeba więc mieć jakiś szerszy horyzont. Uczeń się uczy czegoś więcej, i to ma jakiś cel, bo on z tą wiedzą ma później żyć.

Nauczyciel, który ma autorytet, to dla mnie człowiek, który wie, czego chce i co chce przekazać uczniowi. Wydaje się, że trzeba w tym miejscu dodać coś więcej. Mianowicie są nauczyciele (nie ma ich zbyt wielu, ale to naturalne), którzy oprócz wymienionych już cech, mają wybitną osobowość. I taki nauczyciel jest dla mnie mistrzem!

Muszę jeszcze jako uczeń odnieść się do dwóch spraw, o których pisze pani profesor Sławińska. Czytamy: „Kodeks «praw ucznia» przedstawia nauczycielom rejestr obowiązujących ich zakazów. Kodeks z pewnością wymierzony jest w autorytet nauczyciela jako votum nieufności”. Kiedy to przeczytałem, to się naprawdę bardzo zdziwiłem. Bo człowiek niestety idealny nie jest i od wieków dąży do wytworzenia pewnych form prawa, które rządząby wzajemnymi kontaktami ludzi. Czymś takim jest dla mnie właśnie Kodeks Praw Ucznia. Myślę, że w żaden sposób nie ogranicza on nauczyciela. Bo jeśli mam do czynienia z dobrym nauczycielem, to nie wiem, czy mu ten dokument przeszkadza. W zeszłym roku przygotowywałem projekt takiego kodeksu w mojej szkole. Były tam takie zapisy, jak: „prawo do godności”, „do posiadania własnych poglądów”, a także „do zapowiedzianej tydzień wcześniej klasówki”. Czy to jest ograniczenie nauczyciela? Dobry nauczyciel w sposób naturalny ten kodeks przestrzega, przejmuje się nim nauczyciel zły...

Nawiązując jeszcze do problemu stresu w szkole mam taką uwagę. Przygotowując się do tej wypowiedzi starałem się dużo rozmawiać z moimi koleżankami i kolegami ze szkoły. I dla nas jest to oczywiste, że jeśli w szkole jest za dużo stresu, to wtedy trudno się uczyć. Z drugiej strony jednak, gdy jest go za mało, brakuje dyscypliny, a ona także jest potrzebna. Czyli jak zawsze potrzebny jest „złoty środek”.

Była tu także mowa o zalewie kultury masowej z hasłami relatywizmu. Ja też to widzę, ale widzę także bardzo wielu ludzi w moim wieku, którzy się z tym nie godzą, starają się zachować swoje własne poglądy, choćby te najbardziej niemodne: że istnieje jakaś Prawda, jakiś cel każdego działania...

Myślę, że dobry nauczyciel płacze nad młodzieżą, ale tylko w domu. W domu ma prawo, w szkole nie!

Na koniec kilka postulatów, jak zwiększyć autorytet nauczyciela. Po pierwsze: każdy jeden nauczyciel, który zyskał autorytet u jednego ucznia, powinien myśleć, co zrobić, aby być autorytetem dla całej grupy. Po drugie: nauczyciele też nie biorą się znikąd i trzeba ich wychowywać! Słyszałem w radiu wypowiedź ministra szkolnictwa, który mówił, że teraz przyjmują coraz więcej studentów na uczelnie, więc będziemy mieć dużo świetnych nauczycieli. Tylko kto ich będzie uczył? Nie ma w Polsce tylu dobrych nauczycieli, aby odpowiednio formować studentów. Koło się zamyka. Nauczycieli trzeba więc niestannie uczyć, oprócz wysuniętego przez profesor Sławińską postulatu samokształcenia, istnieje jeszcze potrzeba przygotowania nauczycieli już na studiach.

Dorota Chabrajska

Autorytet nauczyciela – autorytet szkoły

Pytanie, czy młody człowiek oczekuje od nauczyciela, że będzie on dla niego autorytetem, to przewodni motyw dzisiejszej dyskusji. To również pytanie, czy nauczyciel ma dziś do spełnienia jakąkolwiek inną rolę poza sprawnym przekazywaniem wiedzy. Wydaje się, że nie sposób udzielić negatywnej odpowiedzi na te pytania. Jest bowiem faktem, że jako nauczyciele towarzyszymy młodym ludziom w bardzo ważnym okresie ich życia – kiedy odkrywają oni świat wartości i wyborów moralnych, gdy w sposób szczególnie uciążliwi są na nieautentyczność, nieuczciwość, na niewierność gloszonym poglądom i przekonaniom – w okresie, gdy zdarza się, że odrzucają świat ludzi dorosłych z powodu jego niedoskonałości, a często zakłamania i obłudy. Będąc więc z uczniami na co dzień, naszą postawą, wartościami, którymi kierujemy się w codziennym postępowaniu (nie zaś deklaracjami słownymi!), przekazujemy uczniom pewną informację o świecie ludzi dorosłych, pewien obraz tego świata. Od treści tej informacji zależy to, czy stajemy się dla młodzieży autorytetami, czy przeciwnie – jesteśmy nośnikami wpływu wręcz demoralizującego. Warto przyjrzeć się bliżej treści tej informacji.

Niestety nie jest ona optymistyczna ani budująca. Obecna sytuacja polskiej szkoły narzuca bowiem warunki, w których postawa nauczyciela z konieczności sprowadza się

do przyjęcia roli w z góry założonym scenariuszu. Można by sądzić, że rozpoczynający naukę w liceum ogólnokształcącym uczeń ma prawo oczekiwać od szkoły, że po jej ukończeniu, po pomyślnym zdaniu egzaminu maturalnego, będzie również w stanie zdać egzaminy wstępne na studia. Rzeczywistość okazuje się zupełnie inna. W przepelnionej (trzydziestokilkuosobowej) klasie „jest pytany”, czyli ma osobisty kontakt z nauczycielem, nie więcej niż dwa razy w ciągu semestru. Jego oceny są często przypadkowe, nie odzwierciedlają posiadanej wiedzy. Bywa, że aż do czwartej klasy pozostaje dla konkretnego nauczyciela jedynie numerem w dzienniku. Co więcej, programy szkolne z poszczególnych przedmiotów tylko w niewielkim stopniu pokrywają się z wymaganiami stawianymi kandydatom na wyższe uczelnie. Zdanie egzaminu wstępnego na niektóre kierunki studiów, jak np. filologia angielska czy medycyna, jest po prostu niemożliwe jeśli kandydat bazuje na wiadomościach wyniesionych ze szkoły, nawet jeśli opanował je bardzo dobrze. Szkoła jako instytucja, a wraz z nią nauczyciele, są więc traktowani zarówno przez uczniów (szczególnie tych zdolnych, ambitnych, wybierających tzw. „prestżowe” kierunki studiów), jak i przez ich rodziców, jako twór sztuczny, fasadowy, a uczęszczanie do niej jako koszt dopuszczenia do egzaminów wstępnych na studia. Ci właśnie najlepsi uczniowie u c z ą s i ę (nie: douczają się), zdobywają wiedzę p o z a s z k o ł ą. Jest sprawdzoną praktyką, że tak, jak w ósmej klasie, przed egzaminami do liceów „idzie się” na korepetycje, czy płatne lekcje do nauczycieli tych liceów, tak przed egzaminami na studia wyższe uczniowie korzystają z płatnej pomocy pracowników wyższych uczelni. Co więcej, sytuacja ta nie musi prowadzić do korupcji lub nieuczciwości ze strony uczniów czy korepetytorów – uczniowie przygotowani prywatnie przez nauczycieli liceów lepiej zdają egzaminy do szkół średnich od tych, których edukacja zamknęła się w murach szkoły podstawowej. Wyniki egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie wskazują natomiast, że lepiej przygotowani są ci, którzy pobierali nauki u nauczycieli akademickich (w ten też sposób zostaje „wyśrubowany” poziom na wielu prestiżowych kierunkach studiów). Taka jest właśnie zasadnicza treść informacji o świecie, którą my – nauczyciele – przekazujemy swoim wychowankom.

Trudno się więc dziwić, że nauczyciele są często przez uczniów lekceważeni. Czy może być autorytetem – przewodnikiem po świecie wartości – ktoś, kto podejmując pracę świadomy jest beznadziejności swoich wysiłków w konfrontacji z sytuacją, która faktycznie jest od niego niezależna? Nie mogąc być autorytetami nawet w dziedzinie wykładanych przedmiotów, nauczyciele z konieczności przygotowują uczniów do uczestnictwa w zbiorowej hipokryzji, wobec której uczniowie buntują się, lecz którą ostatecznie akceptują. Czy nie jest to łamanie charakterów młodych ludzi – rzecz znacznie gorsza w sensie moralnym od zwykłej utraty autorytetu?

Głębokie korzenie kryzysu autorytetu nauczyciela

Zanim przejdę do komentarza do tekstu profesor Ireny Sławińskiej, który stanowi podstawę naszej dzisiejszej dyskusji, chciałabym poczynić następującą uwagę. Ideal nauczyciela nieustannie kształcącego siebie i innych oraz bezinteresownego i oddanego pracy wychowawczej, o którym pisze Pani Profesor, stał mi się bliski podczas studiów pod jej kierunkiem. Rzeczywistość szkolna, w której spełniam funkcję nauczyciela od dwóch lat, przyjmuje nieco odmienny model pedagoga. Dlatego nie jest mi łatwo zająć w pełni obiektywne stanowisko wobec tej wizji nauczyciela.

W swoim artykule Pani Profesor skupia się na cechach osobowościowych nauczyciela warunkujących jego autorytet, na braku zainteresowania literaturą wśród młodych (relaks nastolatków, ubogi zestaw lektur dla liceów) oraz na utracie wiarygodności słowa. Warto tu jednak zwrócić uwagę na dwa rodzaje przyczyn powodujących kryzys postaw nauczycieli, o którym pisze Profesor Sławińska.

Pierwszy rodzaj przyczyn to uwarunkowania systemowe szkolnictwa, wywodzące się z okresu PRL-u. Ze względu na mój brak kompetencji w tym zakresie wołałabym oddać głos bardziej doświadczonym i obecnym na tym spotkaniu osobom.

Drugi rodzaj przyczyn to kryzys poglądów. Mam tu na myśli te poglądy, które dają początek kryzysowym postawom nauczycieli, oraz te, które sankcjonują taki stan rzeczy. Poglądy sankcjonujące głosi się w imię wychowania bezstresowego, autonomii, absolutnej wolności człowieka, jego autokreacji i spontaniczności. Aby wskazać poglądy dające początek kryzysowym postawom nauczycieli posłużmy się raz jeszcze rozróżnieniem, wprowadzonym przez Józefa M. Bocheńskiego, na autorytet deontyczny (autorytet przełożonego) oraz epistemiczny (autorytet eksperta).

Poglądy dające początek kryzysowi autorytetu deontycznego wyrażane są przez te teorie społeczne, które akcentują rolę jednostki i jej swobody (np. permissywizm moralny). O sile oddziaływania tych teorii świadczy dezintegracja społeczeństw przez ich zindywidualizowanie, a niekiedy anarchię wewnętrzną (sekty, subkultury).

Poglądy dające początek kryzysowi autorytetu epistemicznego zakorzenione są mocno w postmodernizmie. To, po pierwsze, odrzucenie prawdy oraz obiektywności i traktowanie ich jako konstruktów społecznych. Po drugie, podkreślanie omylności człowieka, ustawiczna niepewność i kwestionowanie jakiegokolwiek punktu oparcia (ironia, żart, dekonstrukcja). Po trzecie, świadome lekceważenie osiągnięć nauk przyrodniczych i niewiara w jakiegokolwiek osiągnięcia w naukach humanistycznych. Zatem generalne kwestionowanie autorytetu nauki, a co za tym idzie – nauczyciela.

Myślę, że zrozumienie istoty kryzysu autorytetu wymaga z r e f l e k t o w a n i a p o g l ą d ó w, które dają początek postawom kryzysowym nauczycieli, oraz poglądów

sankcjonujących taki stan rzeczy. Przemyślenie tej sytuacji może stanowić pierwszy krok na drodze do przezwyciężenia tego kryzysu bez względu na to, czy w świadomości społeczeństwa nauczyciel będzie autorytetem lub przewodnikiem dla mniej doświadczonego drugiego człowieka.

Jerzy Cieszkowski

Co z tym autorytetem?

Miał roztrząsać problem w teoretycznych dyskusjach: ma autorytet czy go nie ma nauczyciel polskich szkół, postanowiłem rzecz sprawdzić u źródła, zadając młodzieży z klasy pierwszej XI LO cztery pytania:

1. Jak rozumiem autorytet?
2. Kto (lub co) jest dla mnie atorytetem w życiu?
3. Czy nauczyciele są dla mnie autorytetami?

4. Jakie cechy osobowe i wartości etyczno-moralne powinny się składać na autorytet nauczyciela?

Klasa liczyła 34 osoby, dwie były nieobecne, a zatem w sondażu uczestniczyło 32 uczniów, ta więc liczba będzie przyjęta za 100 procent.

Odpowiedzi na pytanie pierwsze pozostawały w granicach definicji słownikowych i encyklopedycznych, czyli krótko mówiąc były to odpowiedzi proste, mówiące o poprawnym rozumieniu pojęcia „autorytet”. Oto próbki kilku odpowiedzi na to pytanie.

Aneta (l. 15) – „przez autorytet rozumiem wzór, ideał człowieka, którego warto naśladować”; Magda (l. 15) – „autorytet to pewien wzór człowieka doskonałego, którego chciałabym naśladować i brać z niego przykład”; Krzysiek (l. 16) – „autorytetem jest dla mnie jakaś osoba, której postępowanie godne jest naśladowania. Osoba ta musi posiadać cechy człowieka szlachetnego, umiejącego poradzić sobie w każdej sytuacji. Na pewno nie wzoruję się na ludziach, którzy przy najmniejszym problemie «rozkładają ręce»”.

. W podobnym tonie brzmią wszystkie odpowiedzi: autorytet to wzór, ideał, zespół wartości, które „chcę wcielać we własne życie”.

Kluczowym pytaniem, bo domagającym się odpowiedzi konkretnej, było pytanie drugie. Wymieniono tu dziesięć autorytetów, których kolejność, ze względu na liczbę oddanych głosów, ukształtowała się następująco: pierwsze miejsce – nauczyciele (11 głosów), drugie – rodzice (10 głosów), trzecie – nie mam autorytetu (6 głosów), czwarte – papież (2 głosy), piąte – przyjaciel (2 głosy) i na miejscu szóstym z jednym głosem uplasowały się takie autorytety, jak: Pan Bóg, Wałęsa, wartości Dalekiego Wschodu, przyroda, ja sam (sic!). A więc autorytet Pana Boga, siebie samego i przyrody mają taką samą liczbę zwolenników!

Na pytanie trzecie 28 uczniów, czyli 87%, odpowiedziało – tak, nauczyciele są dla mnie autorytetem; 4 uczniów, czyli 13% odpowiedziało – nie.

Bardzo interesująco wypadły odpowiedzi na czwarte pytanie. Wymieniono 37 różnych wartości, cech i przymiotów, które winny się składać na autorytet nauczyciela.

Na pierwszym miejscu uplasowała się zdecydowanie wyrozumiałość i tolerancja (17 głosów na 32); na miejscu drugim (ex equo po 11 głosów) – sprawiedliwość i poczucie humoru u nauczyciela; na miejscu trzecim – umiejętność uczenia (ciekawe prowadzenie lekcji) – 9 głosów; miejsce czwarte i kolejne zajmuje dobroć i szacunek dla ucznia (po 8 głosów); umiejętność kontaktu z uczniem i mądrość (po 7 głosów); cierpliwość (6 głosów); życzliwość wobec uczniów, pomoc uczniowi w trudnych sytuacjach, bycie niekiedy surowym i wymagającym (po 5 głosów); cieszyć się zaufaniem ucznia (4 głosy); nauczyciela powinny cechować: spokój, poświęcenie, wytrwałość, szczerłość, uczciwość, niestresowanie uczniów (po 3 głosy); nauczyciel powinien rozumieć ucznia, być dyskretnym, mieć dla ucznia ciepłe słowo, być punktualnym, ciekawie prowadzić lekcje, być demokratycznym, tzn. sprawiedliwym w ocenie ucznia, nie być złym, tzn. „humorzastym” (cechy te zyskały po 2 głosy każda); nauczyciel powinien chwalić i wymagać, być grzecznym i kulturalnym, być „człowiekiem”, mieć silną wolę, lubić ucznia, mieć własną filozofię życiową, być pracowitym, być lojalnym wobec ucznia, nie być „szefem”, być sympatycznym, odpowiedzialnym (po 1 głosie).

Oczywiście budowanie jakichkolwiek uogólnień na podstawie tej ankiety prowadziło by do wniosków ryzykownych i jednostronnych, niemniej jednak wskazuje ona, jaki obraz nauczyciela-autorytetu chciałaby młodzież widzieć i naśladować. Jedno w tej ankiecie jest pocieszające, że młodzież ta ma jeszcze nie zafalszowany katalog wartości etyczno-moralnych, które chciałaby wcielać w swoim życiu, widzieć u innych, by móc ich naśladować.

Na zakończenie posłuchajmy uzasadnień dwóch uczennic, które na pierwszym miejscu, jako swój autorytet, wybrały nauczycieli.

Edyta (l. 15) – „Dla mnie autorytetem w życiu jest katechetka, pani Rysia, która uczyła mnie religii w szkole podstawowej. Jest to wspaniała kobieta. Bardzo dobrze rozumie młodzież i problemy wiążące się z tym wiekiem. Bardzo dobrze prowadziła lekcje. Potrafiła zainteresować całą klasę swoimi opowiadaniem, w których zazwyczaj nawiązywała do naszego życia. Lekcja miała formę dialogu, w którym uświadamialiśmy sobie pewne normy moralne. Uważam, że moja była klasa bardzo się zmieniła od czasu, gdy pani Rysia wkroczyła w nasze życie. Bardzo ceniłam w niej anielski spokój, pokorę i dobroć. I właśnie za to niekiedy nauczyciele jej nie lubili. Byli pewnie zazdrośni, że każdy uczeń był dla niej przyjacielem. Z powodu tej zazdrości miała mnóstwo kłopotów, wiele zmartwień. Niejednokrotnie zwierając się nam na lekcji – płakała. Strasznie się wszystkim przejmowała. Kiedy się komuś działo krzywda, potrafiła odpowiednio poradzić i pocieszyć. Ze wszystkimi naszymi kłopotami zśliśmy właśnie do niej, a ona naprawdę wiedziała, co robić. Niekiedy uczniowie bardziej wierzyli jej aniżeli swoim rodzicom. Spotykaliśmy się też poza szkołą. Organizowała nam ogniska, pielgrzymki itp. Bardzo ją wszyscy kochamy”.

Małgorzata (l. 14) – „Dla mnie autorytetem jest nauczyciel od matematyki ze szkoły podstawowej. Jest to człowiek zrównoważony, wiele czasu poświęca młodym ludziom,

aby pomóc im w osiągnięciu własnych celów. Jest człowiekiem poważnym, ale znajduje także chwilę czasu na żarty. Umie dochować tajemnicy. Wszystkie sprawy klasowe załatwiał tylko z nami. Miałam do niego pełne zaufanie. Można z nim było porozmawiać o własnych problemach w cztery oczy, a on starał się od razu pomóc lub coś doradzić. Jest on dla mnie autorytetem, ponieważ znalazłam w jego sercu trochę ciepła i troski o dalszy los młodzieży”.

I jeszcze na zakończenie krótka wypowiedź Emilii (l. 15) o swoich rodzicach: „Autorytetem dla mnie są moi rodzice. Są ludźmi wykształconymi, mają pracę i wspaniałą rodzinę. Ja także chciałabym osiągnąć w życiu to, co oni. Moim marzeniem jest pomyślnie ukończyć liceum i tak jak mama skończyć studia ekonomiczne”.

Warto może jeszcze podkreślić, że dla tych uczniów autorytet nauczyciela został ukształtowany w szkole podstawowej. Ich wypowiedzi miały miejsce zaledwie dwa miesiące po rozpoczęciu nauki w liceum. Stąd też trudno powiedzieć, że wysoko stawiają oni autorytet nauczyciela w obecnej szkole. Może do problemu tego warto wrócić za trzy lata w klasie maturalnej?

Jest zatem nauczyciel autorytetem czy nie jest?

Danuta Kurczab

Zawód i powołanie

W kilku wypowiedziach moich przedmówców dostrzegłam potwierdzenie własnych refleksji i obserwacji, co ośmiela mnie do ich wypowiedzenia. Zabrzmia to bowiem może zbyt kategorycznie, ale nie wierzę, by obecny dyskusja na temat autorytetu nauczyciela mogła być w pełni konstruktywna. Co więcej, podejrzewam, że zbiorowy lament wokół jego upadku może w efekcie przynieść szkole więcej szkody niż pożytku. W dalszej wypowiedzi, korzystając z własnych doświadczeń, postaram się to uzasadnić.

Artykuł profesor Ireny Sławińskiej potwierdził moje intuicyjne przypuszczenia dotyczące pewnych ogólnych przemian szkolnej rzeczywistości. Wydaje się, że dawniej (profesor Sławińska wspomina szkołę przedwojenną) nauczyciel rozpoczynający pracę z młodzieżą wchodził do klasy mając za sobą siłę autorytetu szkoły jako takiej. Obdarzony był pewnym danym mu z góry kredytem autorytetu i zaufania, które mógł stracić, ale także mógł umocnić i utwierdzić.

Współczesny nauczyciel niczego już stracić nie może. Wchodzi bowiem do klasy, która od początku obserwuje go z nieufnością, i dla której żadnym, założonym z góry autorytetem nie jest.

Powyższa refleksja sprowokowała mnie do wyobrażenia sobie pewnej hipotetycznej sytuacji, do czego i Państwa spróbuję zachęcić. Powróćmy na moment do „błogich” lat pobytu w szkole, wyobraźmy sobie ponownie siebie w szkolnej ławce. Jest początek roku szkolnego, do klasy wchodzi nowy nauczyciel. Zaryzykuje: niech tym nauczycielem będę ja. Więc wyobraźmy sobie, że zgodnie z przyjętym zwyczajem przedstawiam się, mówiąc: „Jestem waszym nowym nauczycielem języka polskiego. Nazywam się Danuta Kurczab i od dziś będę waszym autorytetem”.

Dziękuję Państwu za tę szczerą reakcję i śmiech, który usłyszałam. Potwierdza to bowiem moje przeświadczenie, że przedstawiona sytuacja byłaby co najmniej absurdalna.

Dramat współczesnej szkoły polega jednak na tym, że nauczyciel, co prawda nie wypowiadając przytoczonych tutaj słów, jakże często po wejściu do klasy, już od progu zachowuje się tak, jakby autorytetem rzeczywiście był i okazuje to na różne, nie zawsze godne aprobaty sposoby.

Sądzę, że współczesna szkoła powinna jak najszybciej i ostatecznie uświadomić sobie fakt, że autorytetu nie posiada, i wobec tego faktu zająć stanowisko. To, czego osobiście najbardziej się obawiam, to zachwiania priorytetów. Uważam, że nauczyciel nie może stawiać sobie za cel nadrzędny zamiaru bycia autorytetem. Dlaczego?

Po pierwsze, obligowany do tego na różne sposoby, przez różne kręgi i środowiska, nauczyciel coraz częściej zaczyna od końca i chcąc zdobyć autorytet zastępuje jego pozyskiwanie zwykłym, nieraz brutalnym egzekwowaniem. W ten sposób zamiast autorytetu pojawia się autorytaryzm, który dusi w zarodku nie tylko możliwość, ale nawet chęć podjęcia twórczej współpracy i który narusza istotę dialogu potrzebnego współczesnej pedagogice.

Po drugie, współczesna szkoła musi uświadomić sobie nie tylko fakt, że sama autorytetem nie jest, ale i to, że powierzona jej młodzież, nawet szukając, może nigdy autorytetu nie znaleźć. Co więcej, może ulec autorytetom złudnym, pozornym i fałszywym, dość agresywnie lansowanym nie tylko przez kulturę masową. W tej sytuacji zamiast walki o utratony autorytet zadaniem szkoły powinno stać się raczej kształcenie mądrego, dojrzałego krytycyzmu. Zastąpienie nim typowego dla młodzieży, lekkomyślnego krytykanctwa to wcale niełatwe zadanie.

W swoich pracach i wypowiedziach moi uczniowie coraz częściej dają wyraz przekonaniu o tym, że świat, w którym przychodzi im dojrzewać, staje się coraz bardziej skomplikowany, niejasny i niejednoznaczny, stawia ich wobec coraz bardziej złożonych decyzji i sytuacji. Dlatego uważam, że współczesny nauczyciel powinien być przede wszystkim mądrym przewodnikiem i kimś, kto umiejętnie poustawia drogowskazy w postaci pewnych uniwersalnych norm, reguł i zasad postępowania, pomocnych nawet wtedy, gdy zabraknie wszelkich wzorów osobowych.

Przytoczę fragment bardzo szczerzej wypowiedzi, jaką wygłosił jeden z moich uczniów w mającej miejsce rok temu publicznej dyskusji: „My nie szukamy autorytetów, my ich nawet nie potrzebujemy. Dlatego, że autorytet zobowiązuje, a my jesteśmy wygodni”. W kontekście tej wypowiedzi wydaje mi się coraz bardziej cenna i aktualna myśl patrona mojej szkoły, który wiele pisał i mówił o wychowaniu do odpowiedzialności. Tymczasem we współczesnej szkole zaczyna jej coraz bardziej brakować. Po obu stronach. Zarówno nauczyciele, jak i uczniowie zbyt często znajdują dla siebie usprawiedliwienie w znanych

nam i wspomnianych już oświatowych bolączkach i absurdach. Do zaniku jednostkowej, indywidualnej odpowiedzialności przyczynia się depersonalizacja kontaktów nauczyciela i ucznia. Trudno przejawiać i kształtować odpowiedzialność w szkole, w której uczeń zamiast imienia i nazwiska posiada numer, a nauczyciel jest jedynie „przedstawicielem instytucji”.

Podobnie jak profesor Sławińska nie jestem zwolenniczką nadmiernego liberalizmu ani tym bardziej „mizdrzenia się” do uczniów. Sądzę jednak, także po własnych doświadczeniach, że zbyt wiele bolesnych konfliktów, stresów i urazów szkolnych bierze się z zatracania świadomości tego, o czym przypomina rozważany przez nas artykuł. Tego, że po obu stronach „szkolnej barykady” znajdują się konkretni, jednostkowi ludzie wymagający szacunku. Bez niego nie ma mowy o autorytecie ani też o zaufaniu,

Osobiście sądzą, że to właśnie zaufania brakuje współczesnej szkole najbardziej. I wątpię, czy najsilniejszy nawet przyływ środków finansowych jest go w stanie przywrócić. Na pieniądzu można budować autorytet banku, urzędu, przedsiębiorstwa. Pani Profesor wspomina o powołaniu do zawodu nauczyciela. Wątpię, czy podnoszenie pensji nauczycielskich byłoby najlepszym sposobem na przysporzenie szkole ludzi z tym powołaniem.

Wojciech Chudy

Potrzeba przezwyciężenia przeszłości

Chciałbym powiedzieć, podsumowując w pewnym stopniu tę dyskusję, że oczywiście na kryzys autorytetu nauczyciela wpływa otoczka kulturowa, która jest niekorzystna (na przykład ekspansywny nurt postmodernistyczny, jak tutaj już zostało zresztą zauważone), a także i to, że uczniowie są nieraz zbyt wymagający, i to, że nauczyciele są zbyt autorytarni... Wszystkie te sprawy oczywiście warunkują ten kryzys autorytetu. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na jeszcze jeden element łączący tę rzeczywistość, na którą wskazywała profesor Irena Sławińska (sama nauczyciel przedwojenny!), z naszymi czasami. Ten faktor kryzysu nauczyciela jest tym, na który zwróciła uwagę – nie rozwijając go – Anna Kawalec. Profesor Sławińska odróżnia bardzo wyraźnie tamte czasy, kiedy istniał autentyczny autorytet nauczyciela, od naszych czasów, kiedy autorytet ten jest bardzo nadwątlony. Coś jednak łączy obie te epoki. Chcę wskazać na linię łączącą nasze i tamte lata.

Mianowicie wiadomo, że grupa zawodowa nauczycieli w okresie międzywojennym związana była w większości ze środowiskiem lewicy. Była to grupa zawodowa nastawiona lewicowo i akceptująca bardziej takie wartości, jak postęp, walka ze wstecznictwem,

ciemnotą, zabobonem i kult nauki – niż religia, prawo naturalne czy lojalność narodowa. Pozytywizm oraz scjentyzm – to były nurty filozoficzne, które wzmacniały tę postawę. Ogólnie rzecz biorąc można powiedzieć, że środowisko nauczycielskie było związane z postawą lewicową i lewicującą, a sam Związek Nauczycielstwa Polskiego był nawet silnie komunistyczny. Oczywiście nie zaprzeczają to uczciwości i rzetelności poszczególnych osób należących do tej grupy. Nikt nie powątpiewa w to, że większość ich postaw była autentyczna.

Natomiast jest faktem, że kiedy przyszedł PRL, kiedy nastąpił po wojnie okres komunizmu, nastąpiło administracyjne wzmocnienie tej lewicowości. Wiele osób odpadło, nie przyłączyło się do tego nurtu, lub próbowało ocalić swą wewnętrzną uczciwość, ale wiemy przecież o tym dobrze z wielu przekazów, jak nurt dyspozycyjności partyjnej, deformacji ethosu nauczyciela, objął to środowisko w okresie Polski komunistycznej. Było to bardzo ważne narzędzie indoktrynacji społeczeństwa. Nauczyciel był ważnym środkiem wpływu ideologicznego, bodajże, po środkach masowego przekazu, najważniejszym. Tak więc szczególny nacisk kładziono na to, by tę właśnie grupę ludzi zdeformować, aby ich sobie podporządkować i uczynić z nich ludzi dyspozycyjnych. Jak pisze Krzysztof Murawski w artykule *Czy autorytety w Polsce upadają?*, „Szkoła tradycyjnie w czasach PRL-u nie cieszyła się autorytetem, na co miała wpływ odpowiednia polityka państwa, kształtując (i zniekształcając) programy, dobór kadr, place i klimat mięufności nie sprzyjający ambitniejszym pedagogom [...]. Niezależnie od wysiłku wielu pedagogów z powołania, to szkoła uczyła «dwójmyślenia» i «dwójmowy»: oficjalnej akceptacji ustroju przy wewnętrznym, głęboko stłumionym niezadowoleniu i buncie. Szkoła inaugurowała oficjalną demoralizację, którą dalej wzmacniała obowiązkowa służba wojskowa i zakład pracy” („Ethos” 1997, nr 1(37), s.139).

Nie wolno tej tezy traktować bezwyjątkowo, było przecież także w tym okresie wielu wspaniałych nauczycieli. Jednak środowisko to zostało jakby dotknięte chorobą deformacji ideologicznej. Ta ciągłość lewicowości przedwojennej została nawet ostatnio umocniona przez tendencje liberalistyczne, które jakby przejęły dawne sztandary „jedynie słusznego kierunku”. Znane są liczne „przemalowania” dawnych szkolnych urzędników partyjnych na „liberałów” czy „postmodernistów”.

To rzutuje na dzisiejszy kryzys autorytetu nauczyciela i całego środowiska nauczycielskiego. Dopóki nie przezwycięży ono – w formie s a m o c z y s z c z e n i a – tej złej przeszłości, trudno będzie odbudować ethos nauczyciela i zbudować w Polsce zdrową szkołę.

„Autorytet nauczyciela”!

Zacznę od anegdoty, którą przytaczam za „Politykę” (E. Nowakowska, *Żebyś cudze dzieci uczył*, „Polityka” 1996, nr 35): „Po wizytacji nadzoru pedagogicznego nauczyciel zapytał, na jaką ocenę zasłużyła jego lekcja. – Między trzy z plusem a trzy z minusem – odpowiedział z zakłopotaniem wizytator. – To znakomicie! – ucieszył się pedagog. – Tak właśnie ją zaplanowałem. Gdy otrzymam wyższe pobory i nie będę musiał dorabiać poza szkołą, przygotuję lekcje na wyższe oceny!”

Pierwszy wniosek, który brzmi polemicznie wobec artykułu Ireny Sławińskiej *Autorytet nauczyciela?*, jest związany z prawami rynku: „jaka płaca taka praca!” Profesor Sławińska pisze bowiem o bezinteresowności, ofiarności, o zawodzie nauczyciela jako powołaniu i służbie społecznej. W dodatku, jak zdołałem się zorientować z lektury, w przedwojennym systemie edukacyjnym były to postawy powszechne. Rzeczywistość polskiej szkoły dzisiaj jest jednak zupełnie inna.

Primo: Za te pieniądze, które otrzymują polscy nauczyciele, nie da się żyć nawet skromnie. Nauczyciele więc, jeśli mają takie możliwości, są zmuszeni dorabiać i nie dlatego, że „łapią pieniądze w celu podniesienia stopy życiowej”, ale że po prostu pensja nauczycielska nie wystarcza na utrzymanie rodziny. W ten oto sposób pojawia się zjawisko znacznie groźniejsze: rynkiem pracy pozaszkolnej nauczycieli stają się uczniowie, którzy marnie edukowani przez tychże pedagogów, pobierają od nich już całkiem solidnie przygotowane lekcje prywatne. Ze jest to zjawisko powszechne, wystarczy inteligentnie zapytać uczniów. O jego powszechności świadczą także pojedyncze artykuły pojawiające się gdziegdzie w prasie oraz towarzysząca im jednocześnie złowroga cisza, która w tej kwestii zapadła – zarówno uczniowie, jak i nauczyciele bardzo niechętnie wypowiadają się w tej materii. Być może ujawnienie problemu grozi na szerszą skalę demaskacją totalnej indolencji systemu edukacyjnego oraz władz oświatowych. W Polsce istnieje więc pokaźny nielegalny obszar dochodu nie opodatkowanego, drugi co do wielkości obok rynku disco-polo, pornografii i prostytucji. Czy zjawisko to służy podniesieniu autorytetu nauczyciela? I kto jest temu winien: nauczyciel czy anachroniczny system?

Secundo: Nie widać dzisiaj w szkole większego szacunku uczniów do nauczycieli, ale również nie zauważa się szacunku nauczycieli wobec swoich uczniów. Wychowankowie traktowani są z reguły przedmiotowo, z niechęcią, jako przyczyna wszystkich nieszczęść. Z drugiej strony naprawdę trudno traktować tych młodych ludzi inaczej w 35, a nawet 40 osobowej klasie. W tak licznej grupie nauczyciel nie ma nawet czasu, aby z uczniem po prostu porozmawiać, a cóż dopiero „otoczyć przyjaźnią i akceptacją”. Szkoła polska nie jest dziś na pewno placówką dydaktyczno-wychowawczą, za to coraz bardziej, przez swoją masowość, zaczyna przypominać stację obsługi edukacyjnej.

Irena Sławińska pisze o tym, że autorytetowi nauczyciela nie służy „słabe wyposażenie intelektualne oraz niewielkie horyzonty naukowe”. To prawda, w szkolnictwie podstawowym wyższe wykształcenie pedagogiczne posiada niewiele ponad 50% zatrudnionych, w średnim jest pod tym względem już lepiej (ponad 70%). Stan ten dotyczy zresztą całego społeczeństwa: przecież tylko 7% populacji posiada dyplom uniwersytecki (statystyki uwzględniają w tej mierze absolwentów wszystkich instytucji, które w latach 1955–1996 zdobyły prawo nadawania tytułu magistra, a więc i Wyższą Szkołę Pożarnictwa (z całym szacunkiem dla tej instytucji), i Wrocławski Uniwersytet Marksistowsko-Leninowski. Jednak głównej przyczyny nie doszukiwałbym się w braku kompetencji merytorycznych nauczycieli, bo patrzę na ten problem bardziej optymistycznie niż Pani Profesor, lecz raczej w bezmyślności tego środowiska, które niewolniczo realizuje przestarzałe programy, stosując przy tym anachroniczne metody nauczania (indoktrynowanie jednostki, antypragmatyzm oraz erudycyjno-encyklopedyczna dydaktyka). Wydaje się, że model ten jako główny cel stawia przed sobą „wyprodukowanie” uległych, pokornych poddanych na wszystkich szczeblach – od przedszkolaka po profesora uniwersyteckiego. Nauczyciele w Polsce stanowią środowisko najbardziej bierne (mimo licznej reprezentacji w parlamencie), które z dziką zaciekłością protestuje przeciwko uruchomieniu zasad wolnorynkowych w oświacie, okopując się w szanach tak zwanej karty nauczyciela, komunistycznej zdobyczy poprzedniej epoki, która gwarantowała miernotom pedagogicznym bezpieczną vegetację w murach szkolnych. Dzisiaj w Polsce istnieje przede wszystkim **p o t r z e b a f o r m o w a n i a** mądrego, aktywnego i nowoczesnego środowiska nauczycielskiego i jest to postulat w tej dyskusji skierowany pod adresem uniwersytetu, bo wydaje się, że tu jest „pies pogrzebany”!

Chcę zakończyć optymistycznie, gdyż generalnie zgadzam się z głównymi tezami artykułu Ireny Sławińskiej. Różni nas jednak punkt widzenia. Patrzymy bowiem na to samo zjawisko z dwóch różnych perspektyw historycznych i społecznych. Różni nas także interpunkcja stosowana w tytule. Pani Profesor umieściła tu znak zapytania, u mnie widnieje w tym miejscu wykrzyknik!

Henryk Czarniawski

Wiarygodność nauczyciela

Z dotychczasowych wypowiedzi i składu personalnego uczestników panelu można wnosić, że dyskusja dotyczy przede wszystkim filozoficznych aspektów autorytetu, przynajmniej w założeniach teoretycznych. Dlatego chyba tej dyskusji „patronował” o. prof. Bocheński. Wydaje się, że w odniesieniu do tej problematyki, nieodzowny niemal byłby aspekt psychospołeczny. Otóż z tego punktu widzenia „autorytet” jest pojęciem komple-

mentarnym wobec pojęcia „władza”. W naukach społecznych termin ten oznacza szeroko pojęty wpływ jednej osoby (grupy czy instytucji) na inną osobę (grupę czy instytucję). A więc wywieranie wpływu jest przejawem władzy. Natomiast odbieranie tego wpływu, akceptowanie go lub nieakceptowanie, stanowi istotę autorytetu. Ktoś słusznie zauważył, iż współcześnie, pod wpływem cybernetyki, częściej występuje termin „wiarygodność nadawcy informacji”.

Ważne dla tej dyskusji i tej problematyki jest rozróżnienie kilku rodzajów autorytetu. Przede wszystkim – autorytet formalny i nieformalny. A więc jakby urzędowy, oparty wyłącznie na pozycji czy stanowisku osoby wywierającej wpływ, oraz rzeczywisty, nieformalny, oparty nie na tym, kim jest nadawca, ale – co mówi. W tym świetle wydaje się, że – mimo ogólnego jednak spadku autorytetu w dobie współczesnej – mamy do czynienia z zachwianiem autorytetów, co uważam za zjawisko korzystne. Takie ujęcie pozwala zrozumieć relację autorytetu do takich pojęć, jak „demokracja” czy „hierarchia”, o których wspominał prof. Fert. Przykładem może być fakt, że prof. Stefan Świeżawski, mój znany Nauczyciel i Wychowawca, potrafił przyjść na prelekcję muzyczną swojego studenta. Nie sądzę natomiast, że autorytet musi być zaprzeczeniem popularności. Prawdziwy autorytet, rzeczowy, często wiąże się z popularnością. Nie zachodzi tu jednak relacja odwrotna: nie każda osoba popularna musi cieszyć się rzeczywistym autorytetem.

Ponadto wśród rodzajów autorytetu należy wymienić następujące: autorytet moralny, autorytet eksperta i autorytet pedagogiczny. Dotyczy to zresztą nie tylko sytuacji nauczycieli. Zajmowałem się tą problematyką przez szereg lat w odniesieniu do kierowników organizacji. W pierwszej kategorii mieści się przede wszystkim najwyklesza uczciwość nauczyciela oraz właściwe intencje. Ponadto zapewne poświęcenie i ofiarność, o których tak wyraźnie pisze profesor Irena Sławińska. Uzupełniały to wypowiedzi innych uczestników dyskusji, którzy mówili o miłości nauczyciela do ucznia. Nie sądzę, aby mieli na myśli „otoczkę” emocjonalną. Chodzi tu raczej o miłość jako najwyższy przejaw pozytywnej postawy wobec kogoś. A polega ona na tym, że dobro, interes, potrzeby tego kogoś stawia się wyżej niż własne. Bohaterskim przypadkiem jest tu oddanie życia za swoich wychowanków (jak na przykład dr Janusz Korczak). Gdy przypominam sobie sylwetki moich nauczycieli i wychowawców (obok prof. Świeżawskiego są to: Julia Narciszko z Wilna oraz Eugenia i Zbigniew Troczewscy z Białegostoku), to istotą ich nauczycielskiej osobowości była właśnie miłość do wychowanków i uczniów. Liczyli się z nami, szanowali nas, starali się zrozumieć, nie szczędzili nam czasu ani trudu w sytuacjach wymagających opieki i poparcia. Pani Julia należała do kategorii tak zwanych siłaczek, a więc osób, które zrezygnowały z małżeństwa, aby całkowicie poświęcić się pracy nauczycielskiej i wychowawczej (ponoć po pierwszej wojnie światowej na Śląsku był to formalny wymóg, stawiany kandydatom do tego zawodu, a raczej – jak twierdzi pani profesor Sławińska – powołania). Dziś aktualne jest chyba stwierdzenie, że rodzina nauczyciela powinna rozumieć jego sytuację i wspierać go w tej – na pewno wymagającej ofiarności – pracy. W celu „odpatetycznienia” pojęcia „powołanie” warto wskazać na transformacyjną teorię kierownictwa amerykańskiego psychologa Baasa. W przeciwieństwie do kierownictwa transakcyjnego (oparte na spełnianiu obowiązków wynikających z umowy) w swej teorii postuluje on wykonywanie również czynności nadobowiązkowych, co warunkuje niestereotypowe funkcjonowanie instytucji.

Dobra znajomość nauczanego przedmiotu stanowi bezdyskusyjny element osobowości nauczyciela oraz podstawę wiarygodności dla uczniów. I wreszcie – zdolność przekazywania uczniom swojej wiedzy oraz kształtowania ich postaw, czyli wychowywania. Ta cecha, niestety, nie zawsze idzie w parze z poprzednią, ale stanowi bardzo istotny warunek skuteczności oddziaływań pedagogicznych. Oczywiście te umiejętności można zdobyć w pewnym stopniu poprzez uczenie się. Jednak nie podczas dwuletniej nauki w peerelewskich studiach nauczycielskich, które utworzono zamiast bardziej sensownych liceów pedagogicznych. W istotny sposób zaważyło to na osłabieniu autorytetu nauczyciela.

U podstaw autorytetu pedagogicznego i dydaktycznego tkwią także predyspozycje nauczyciela, określona struktura jego osobowości. Wyliczenie cech osobowości nauczyciela, warunkujących skuteczne wykonywanie tego zawodu, jak to przedstawił dr Cieszkowski w oparciu o badania ankietowe, jest interesujące. Kojarzy mi się to z tasiemcowymi zestawieniami cech postulowanych u kierowników organizacji przemysłowych i innych. Konieczna jest tu próba poszukiwania cech istotnych, które zresztą nie powinny być wyabstrahowane od kontekstu społecznego. Jest to problem: czy istnieje nauczyciel jako taki, czy też inny nauczyciel powinien być na przykład w podstawówce, w szkole zawodowej, w liceum czy na uniwersytecie? Na podstawie swoich dwudziestoletnich doświadczeń i obserwacji we wszystkich rodzajach szkół za istotne cechy uważam tak zwany spokój pedagogiczny oraz konsekwencję w egzekwowaniu swoich decyzji i poleceń wobec uczniów. W znacznym stopniu pozwala to uniknąć absurdałnego stosowania kar cielesnych i stwarza szerokie pole do oddziaływań pozytywnych. Jeden z moich kolegów ze szkoły podstawowej, który stosował właśnie ostre kary fizyczne, został później napadnięty przez byłych wychowanków. O innym zaś nauczycielu tej szkoły, jej dyrektor powiedział po czterech latach pracy: „ostrzych metod pan nie stosował, myślę jednak, że pana cierpliwe perswadowanie w ciągu tych lat odniosło swój skutek”.

I jeszcze dwie sprawy. Pierwsza: czy uczeń powinien przeżywać w szkole stresy? Jak utrzymuje twórca tego terminu H. Selye, bodźce umiarkowane (tzw. eustresy) tak, i to koniecznie. Bez nich życie psychiczne byłoby niemożliwe. Natomiast bodźce przewyższające jego odporność (dystresy) – nie. Ponieważ jednak są one nieuniknione, szkoła powinna kształtować u uczniów odporność na dystres. Druga sprawa: kilka razy pojawił się w dyskusji problem relacji między szkołą i rodziną, między nauczycielami i rodzicami. Uważam, że obie te instancje powinny ściśle z sobą współdziałać. (Szerzej na ten temat napisałem w artykule umieszczonym w wydawnictwie ZHP z 1985 roku pt. *Uwarunkowania i formy pracy wychowawczej w szkole*).

Elżbieta Stoch

Dlaczego dramat Bałuckiego?

Wraz z powstaniem styczniowym skończyła się w Polsce epoka teatru szlacheckiego, a jego miejsce zajmował nowy, inteligencko-mieszczański. Według E. Heise miał on na ogół „charakter konformistyczny, apróbował mieszczańskie ideały i mieszczańską ograniczoność, dostosowany był z góry do wymogów surowej i drobiazgowej cenzury”.¹

Twórczość Michała Bałuckiego zainicjowała tę właśnie formę dramatu. Na uwagę zasługuje fakt, że dramat epoki pozytywizmu wykazuje związki z dramatem francuskim Drugiego Cesarstwa. Teatr polski, podobnie jak francuski, obracał się w kręgu środowiska wzbogaconego mieszczaństwa, co wiązało się z mieszczańską ideologią epoki. Polscy dramatopisarze wzorowali się na sztukach W. Sardou, twórcy komedii salonowych. Czerpali wzory od: E. Augiera, który bronił tradycji rodziny oraz od A. Dumasa (syna), którego utwory miały charakter melodramatu.

Michał Bałucki, który znał dramat Drugiego Cesarstwa ze sceny krakowskiej, w swoich komediach wykorzystywał najlepsze osiągnięcia francuskich autorów. Jest on twórcą takich komedii, jak: *Radcy pana radcy* (1867), *Emancypowane* (1873), *Grube ryby* (1881), *Dom otwarty* (1883), *Klub kawalerów* (1890). O popularności Bałuckiego wśród mu współczesnych może świadczyć fakt, że każda ze sztuk była wystawiana we wszystkich większych teatrach polskich, począwszy od Krakowa i Lwowa poprzez Warszawę, Lublin, Łódź aż do Poznania. Rangę dramatopisarza potwierdza obsada tych sztuk – Rapacki, Wojdałowicz, Kamiński, Frenkiel, Solski, Wojnowska, Siemaszkowa, Trapszówna. Komedie Bałuckiego zajmowały pierwsze miejsce w krakowskich konkursach dramatycznych.

Od 1895 roku wystawiano coraz mniej sztuk Bałuckiego. Rozwinęła się swoista „nagonka” modernistów na autora *Grubych ryb*. Zarzucano mu tendencyjność utworów, uprzedzenie do wyższych sfer, nieznamość salonu i „lepszego towarzystwa”, zamknięcie się w granicach własnych obserwacji i jednej wyłącznie warstwy społecznej i jednego miasta. Był to początek wielkiego dramatu. Popularny niegdyś autor stracił uznanie, uwielbiany przez widzów teatralnych dostarczyciel repertuaru musiał ustąpić miejsca młodemu talentom, reprezentującym zupełnie inny pogląd na literaturę.

Problematyka dramatu i teatru okresu pozytywizmu jest zwykle pomijana w edukacji uczniów szkół średnich. Główne założenia epoki realizowano bowiem na kartach powieści i nowel. Należy jednak pamiętać, że pozytywizm to również czasy rozwoju teatru, który przeżywał wówczas okres swej świetności. Nie stworzono wszakże dzieł na miarę Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego czy Fredry, ale też nie należy przekreślać dorobku dramatycznego tamtych czasów.

Istotnym czynnikiem przemawiającym za prezentowaniem np. na zajęciach fakultatywnych jednej ze sztuk Bałuckiego, oprócz wyżej wymienionych, wydaje się także styl teatralny tego dramaturga. Nikt bowiem nie zarzuca mu braku znajomości reguł rządzących sceną. Jego sztuki są bowiem bardzo sprawne teatralnie. Mając do wyboru dwie możliwości: uczynienie z teatru kazalnicy lub miejsca rozrywki, Bałucki wybierał tę drugą. Komediodpisarz o swym teatrze i o sobie napisał: „Boję się być nudnym. Oto zaleta i zarazem wada sztuk moich, bo dla niej poświęcam często dokładność. Gdybym miał odwagę być rozwlekłym, może bym umiał być i głębokim; ale świat taki smutny, że – zdaje mi się – robię przysługę widzom udzielając im kilku chwil wesołości, a jeżeli czasem w tendencyjnej komedii daję gorzką pigułkę, to radbym podać ją w sposób najłatwiejszy do przełknięcia”.²

Praktyka dziewiętnastowiecznego teatru realistycznego sprowadzała się do dość pedantycznego podziału ról na tzw. *emploi's*. Wyróżniano następujące specjalizacje aktorskie:

1. amantki i amanci,
2. role charakterystyczne,
3. rezonerzy,
4. komparsy.

Dramaturgia Bałuckiego respektuje owe podziały. Jednakże kreśląc sylwetki amantek i amantów oraz postaci charakterystycznych, o ile to było możliwe, komediopisarz starał się uatrakcyjnić *emploi's* przez wprowadzenie węższych specjalizacji aktorskich. Nawet z postaci komparsa potrafił uczynić ciekawą rolę (np. Franciszek z *Domu otwartego*). Najbardziej atrakcyjne są role charakterystyczne, zwłaszcza męskie. Bałucki stosuje wobec nich zwykle kryterium socjologiczne. Autor darzy sympatią określone postaci (np. Ciaputkiewiczów z *Grubych ryb*), co przyczyniło się do pogardliwego określenia atmosfery panującej w ich świecie mianem „bałuczyzny”. Dramaturg często kreślił też sylwetki starych kawalerów (bohaterowie *Klubu kawalerów*). Portretuje ludzi w ich przywarach, zgodnie z tradycją wywiedzioną od Arystofanesa, Plauta, a podtrzymywaną przez komedię *dell'arte*. Zbiera „menażerię ludzką”, odsłania wady postaci i mówi: „patrzcie, jacy jesteśmy śmieszni”. Jego „fredryzm” polega na tym, że nie niszczy człowieka, jak czyni to G. Zapolska. Bałucki uprawia satyrę „miłującą”. Zabiegi te sprawiają, że bohaterowie utworów Bałuckiego śmieją nas do dziś.

Głównym tworzywem budującym postaci w sztukach Bałuckiego jest jego słowo. Osoby dramatu poznajemy poprzez wypowiedzi, zachowanie oraz pośrednio z relacji innych osób. Sylwetki dookreślają, zgodnie z konwencją teatralną epoki, teatralne elementy roli (deklamacja, gestyka, mimika oraz ruch), które w przypadku ról charakterystycznych pełnią równorzędną rolę ze słowem. Kostium i charakteryzacja spełniają rolę maski, niczym w komedii *dell'arte*. Postaci widzimy w gniewie, oburzeniu czy pasji. Namietności te uzewnętrznia autor środkami scenicznymi. Różnicuje temperament postaci, ich słabości, upodobania. I. Sławińska podkreśliła, że „to dzięki konkretyzacji temperamentów przede wszystkim postaci Bałuckiego uzyskiwały opinię wspaniałych, popisowych ról, po które sięgali najwięksi artyści.”³

Bałucki mając na uwadze funkcję ludyczną stosuje metodę uszywnienia postaci, wywiedzioną z ducha XVI-wiecznej włoskiej komedii *dell'arte*. Stamtąd też zaczerpnął żywiol totalnej zabawy. Sięga przy tym po stary chwyt komediowy – nazwisko mówiące,

wydobywające cechę, którą autor chce eksponować (np. Pułcheria Wicherskowska, Fujarkiewicz, Fikalski, *Dom otwarty*, Nieśmiałowski, Piorunowicz, Motyliński, Wygodnicki *Klub Kawalerów*). Z usztywnieniem związane jest pojęcie szarzy, czyli przerysowania postaci. Zawarta jest ona w charakterystyczności i prowadzi do swoistej kompromitacji bohatera. Postaciom w sztukach Bałuckiego przypisuje się jakiś gest, motyw słowny (np. porzekadła czy leksykalne wykładniki etykiety staropolskiej). Przykładem będą wypowiedzi Piotra Dziszewskiego „Radcy pana radcy” – „mospanie dobrodzieju”, „mosterdzieju”, „A bodaj cię dunder świsnął”, „Wszelki duch Pana Boga chwali”, „panie tego...”, „ten tego”. Nadają one indywidualny rys tej postaci.

Dialog urozmaicony jest cytatem, wprowadzonym jako głośna lektura gazet, książek, listów, bilecików. Autor stosuje również monologi, *a'part*. Umie udratyzować dialogi i opowiadania, stylizowane na język swobodnej wypowiedzi ustnej. Role budowane są zwykle poprzez kontrast, nieporozumienie. Zdarzenia często pełnią funkcję demaskatorską („probiecze zdarzenie” czy „probieczy temat”). Sceny finalne kończą się *happy endem*. Autor stosuje zasadę napięć i odprężeń. Tempo dramatyczne jest zwykle bardzo szybkie. Pisarz przyspiesza je natężeniem ruchu scenicznego, stara się zaintrygować widza od pierwszej chwili.⁴

W teatrze Bałuckiego nie można pominąć scenografii. Ów salonik mieszczański jest elementem bardzo ważnym. I. Sławińska podkreśla, że „jesteśmy tu zawsze w wielkim świecie – zgodnie z tradycją Mussetowską – w „salonie pięknie umeblowanym”.⁵

Autor stosuje rozwiązania proste, wejścia po obu bokach i *vis-à-vis* widza. Zwykle nie konkretyzuje wyglądu scenerii, salonu (wyjątek stanowi *Dom otwarty*, gdzie daje ściśły plan sceny).

Tak oto rysuje się styl komedii Michała Bałuckiego, o którym P. Chmielowski pisał: „Ażeby komedie Bałuckiego naprawdę się podobały muszą być widziane na scenie. Wtedy dopiero przekonujemy się, co to znaczy talent iście sceniczny.”⁶

Przypisy:

¹ E. Heise, *Teatr polski a literatura w latach 1864–1890* [w:] *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*, Seria czwarta: *Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu*, t. III, s. 10.

² Cyt. za: A. Kowalkowski: *Twórczość i teatr Michała Bałuckiego*, „Życie Teatru”, 27 III 1966, s. 10.

³ I. Sławińska, *Państwo* [do:] Michał Bałucki, *Pisma wybrane*, Kraków 1966, t. XII, s. 364.

⁴ *Ibidem*, s. 362.

⁵ *Ibidem*, s. 347.

⁶ P. Chmielowski, *Michał Bałucki jako komediopisarz* [w:] *Tenże, Nasza literatura dramatyczna*, Petersburg 1898, t. II, s. 493.

Słownik użytych terminów teatralnych:

Amant – rola zakochanego młodzieńca, aktor specjalizujący się w takiej roli; w dawnym teatrze była to specjalność aktorska, która obejmowała role kochanków – potocznie natomiast amantem nazywano aktora obdarzonego urodą i sylwetką, czyli tzw. warunkami niezbędnymi do grania tego typu ról.

Amantka – rola młodej, zakochanej kobiety; aktorka grająca takie role.

Apart – mówienie na stronie, komentarz do wypowiedzi partnera powiedziany wprost do widowni z założeniem, że nie słyszą go pozostałe osoby na scenie.

Emploi – specjalizacja aktorska; typ roli będący specjalnością aktora związany ściśle z typem repertuaru, wyznaczający pozycję aktora w teatrze i decydujący o gaży.

Komedia dell'arte – bardzo rozpowszechniona w XVI–XVII wieku ludowa komedia włoska z naszkicowaną tylko akcją, której szczegóły improwizowali wykonawcy. Grana była przez wędrowne grupy aktorskie. Najbardziej charakterystycznym elementem tej komedii był szereg typowych postaci powracających w różnych utworach w analogicznych okolicznościach. Najważniejsze z nich to: Pantalone, Doktor, Arlekin (wiecznie zakochany sługa), Kolombina, Kapitan. Postacie te występowały w maskach i ustalonych tradycyjnie kostiumach.

Kompars – artysta lub aktor grający nieme role w scenach zbiorowych.

„Probieczerze zdarzenie”, „probieczy team” – terminy zaczerpnięte z teorii dramatu I. Sławińskiej; oznaczają zdarzenia lub tematy służące poznaniu, sprawdzeniu czy zdemaskowaniu właściwych intencji bohaterów (np. wzbogacenie, strata majątku, zniesławienie).

Rezoner – postać w sztuce scenicznej wyrażająca opinie, komentarze (najczęściej autorskie) na temat osób i akcji sztuki, ukazująca jej moral.

Rola charakterystyczna – rola postaci o wyrazistych cechach fizycznych i fizycznych oraz swoistym sposobie bycia (np. pocieszony wujaszek, komiczny służący itd.).

Wybrali Sztukę

– rozmowa z Wojciechem Malajkatem, Joanną Trzepiecińską
oraz Zbigniewem Zamachowskim

Karolina Rozwód: *Zdając do szkoły teatralnej wybrali Państwo niezwykle trudny zawód. Patrząc z perspektywy czasu, czym jest dla Państwa teatr, dramat, aktorstwo?*

Zbigniew Zamachowski: Niezmiernie trudno jest o tym mówić. Nie co dzień przecież definiuje się te pojęcia. Aktorstwo to moje życie. To zajęcie, które absorbuje cały mój czas i energię. Proporcje między życiem prywatnym a sztuką są ciągle w moim przypadku nierówne. Życie jest sztuką, a sztuka życiem. Próbuję to jakoś godzić.

Wojciech Malajkat: Dla mnie aktorstwo to rodzaj zabawy, która daje mi wiele wartości. Nie jest absolutnie żadnym przymusem.

Zbigniew Zamachowski: Aktorstwo jako zawód jest w pewnym sensie rzemiosłem. Ale nie tylko. Oczywiście nie przesadzałbym i nie mówił, że aktor ma do spełnienia jakąś specjalną misję. Ale zdaję sobie sprawę, że ten zawód wpływa na kształt kultury, a aktorzy ponoszą odpowiedzialność za to jaka jest teraz i jak będzie ona postrzegana w przyszłości. Trzeba stałe mieć tę świadomość. Bardzo ważnym odbiorcą naszej pracy jest młodzież. I musimy zdawać sobie sprawę z tego, że nie zawsze będziemy przez nią akceptowani.

Joanna Trzepiecińska: Bardzo lubię teatr. Lubię chodzić na dobre przedstawienia. Nie oglądam ich jako aktorka, osoba bezpośrednio związana z teatrem. Bardzo się cieszę, gdy przedstawienie mnie wciągnie. Wtedy bardzo je przeżywam. Bardzo się wzruszam, kiedy biję aktorom brawo. To

jest coś wspianiałego. Zupełnie inaczej jest jednak, gdy sama występuję. Muszę się przyznać, że jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się, by wzruszyły mnie oklaski publiczności. Po dwugodzinnej grze jestem bardzo zmęczona.

K. R.: *Co decyduje o przyjęciu lub odrzuceniu roli?*

Joanna Trzepiecińska: Kiedy zaczynałam karierę spodziewałam się więcej po tym zawodzie. Lubię pracę. Jestem wymagająca i bardzo ambitna. Dlatego ciągle łudzę się, że jeszcze wszystko przede mną. Kiedy czytam scenariusz wiem, czy rola mnie interesuje, czy nie. Na pewno podstawowym kryterium nie jest wielkość. Przecież nawet epizod może być ciekawym zadaniem aktorskim. Ważne jest, by rola mi się podobała. Muszę powiedzieć, że nigdy nie żałowałam ról odrzuconych. Jest to kwestia złej kondycji polskiego kina. Potwierdził to ostatni gdyński festiwal. Przeształam oglądać rodzime produkcje. Zauważyłam, że reżyserzy ślepo powielają amerykańskie wzorce gangsterskich filmów kategorii „C”. W nasze zachowanie wpisuje się nie istniejące w Polsce wzorce zachodnie, w nasze usta wkłada się dialogi, których nigdy nie wypowiadamy. Film polski nie potrafi znaleźć własnego języka. A jest on potrzebny, by w końcu mógł przemówić do młodego widza. Zawsze, kiedy mówię o polskim kinie czuję się niezręcznie. Przecież ja również, jako aktorka przyczyniam się do tej sytuacji. Ale jak do tej pory nie miałam szczęścia do filmów. Pracowałam z wy-

bitnymi reżyserami, ale akurat nie przy filmach, które byłyby szczególnie ważne.

Zbigniew Zamachowski: Według mnie prawdziwym miejscem aktora jest teatr. Próbuję godzić swoje występy w filmie, teatrze i na estradzie. Teatr jest jednak przedłużeniem szkoły. Właśnie tutaj mam szansę solidnie pracować i powtarzając tę samą rolę uczyć się grać ją coraz lepiej. W teatrze bardzo ważna jest obsługa techniczna spektaklu. Ci niewidoczni podczas przedstawienia, stojący po drugiej stronie ludzkie. Oni tak samo jak my kochają teatr i są mu oddani.

K. R.: *Co decyduje o tym, że role są trafione?*

Zbigniew Zamachowski: Nigdy nie wiadomo. Nie wiem jak to o mnie świadczy, ale przyznać muszę, że z większości jestem zadowolony. Oczywiście nie możliwe jest zagranie wszystkich w stu procentach dobrze. Można się też zawsze spierać o sposób przedstawienia danej postaci. W moim przypadku jednak radość polega na akceptacji danego wyniku.

K. R.: *Czy Państwa bohaterowie mają cechy Państwa osobowości?*

Wojciech Malajkat: Tak. Oni mają bardzo wiele ze mnie. To jest przede wszystkim właśnie ten gość, który stoi na scenie. Cieszę się, że mam warsztat i wiem jak się poruszać na scenie, jak powiedzieć, żeby słyszała mnie publiczność. Ale każda rola przepuszczona jest przez filtr mojej osobowości. Nie chciałbym, żeby wkładano mnie do jakiejś szufladki, ale bliskie są mi role komediowe.

K. R.: *Wychowali się Państwo w Teatrze Studio. W tym teatrze pozostają Państwo do dzisiaj...*

Wojciech Malajkat: Bardzo się cieszę, że tu się wychowałem. Jest to teatr, gdzie najważniejszy jest smak artystyczny. Tu nie ma miejsca na oczywistości i jednoznaczności. Nie ma miejsca na nudę.

Joanna Trzepiecińska: Tak. To właśnie w Teatrze Studio zagrałam role, z których jestem najbardziej zadowolona – w *Wujaszku Wani* Grzegorzewskiego, *Mizantropie* Ewy Bułhak i *Sie kochamy*

Mirowskiej. Rola w *Sie kochamy* przysporzyła mi wiele problemów. W porównaniu do Zbyszka Zamachowskiego i Wojtka Malajkata miałam bardzo małe doświadczenie. Ich obecność bardzo mnie mobilizowała. Poza tym bardzo lubimy ze sobą pracować i wiedziałam, że jeżeli coś mi nie wyjdzie to oni mi pomogą.

K. R.: *Z teatru odszedł jednak Jerzy Grzegorzewski...*

Joanna Trzepiecińska: Z tego powodu jest nam wszystkim bardzo żal. Dla mnie jednak ważne jest z kim gram, a nie gdzie. On należy do tych reżyserów, u których zagrałabym zawsze i wszędzie.

Wojciech Malajkat: Lubię pracować z reżyserami, którzy potrafią mnie czymś zaskoczyć. Nudzi mnie współpraca z tymi, którzy chcą mnie takiego, jakim mnie znają i nie obligują mnie do dalszej pracy nad sobą.

K. R.: *Wybrali Państwo zawód, poprzez który stali się Państwo gwiazdami, ulubieńcami publiczności....*

Zbigniew Zamachowski: – Model gwiazdy na pewno jest bardzo potrzebny. To przecież nazwiska i twarze z afisza przyciągają publiczność. My również funkcjonujemy w wymiarze idoli. Wiemy, że chcemy być oglądani. Wiemy, że publiczność często przychodzi „na Zamachowskiego” albo „na Malajkata”. Wiemy, że na przedstawieniach mamy nadkomplety widzów. To cieszy i mobilizuje do dalszej pracy. Dobrze jest mieć świadomość, że nie gramy w próżnię. Kiedy jadę pociągiem ludzie dosiadają się do mnie i chcą ze mną rozmawiać o tym, co robię. A ja tego nie lubię. Czasem chciałbym być po prostu sam.

Opracowanie: **Karolina Rozwóđ**

* Wypowiedzi Zbigniewa Zamachowskiego i Joanny Trzepiecińskiej nie są autoryzowane.

Syzyf ma nadzieję

– rozmowa z twórcami przedstawienia *Koniec wieku*

Bakcyl dzumy nigdy nie umiera i nie znika, może przez dziesięć lat pozostać uspiomy w meblach i bieliźnie, czeka cierpliwie w pokojach, piwnicach, kufrach i papierach i nadejdzie być może dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich nauki dzuma obudzi swe szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście...

Albert Camus

Jacek Brzeziński – absolwent filologii polskiej UMCS; aktor teatru Provisorium; w przedstawieniu *Koniec wieku* gra rolę Księdza.

Janusz Opryński – absolwent filologii polskiej UMCS; od 1976 r. kierownik artystyczny teatru Provisorium; reżyser przedstawienia *Koniec wieku*.

Jarosław Tomica – absolwent wydziału aktorskiego PWST w Białymstoku; aktor Kompanii „Teatr”; w przedstawieniu *Koniec wieku* gra rolę Moralisty.

Michał Zgiet – absolwent wydziału aktorskiego PWST w Białymstoku; aktor Kompanii „Teatr”; w przedstawieniu *Koniec wieku* gra rolę Doktora.

Janusz Opryński: Myślę, że dokonaliśmy szczególnej rzeczy z tekstem Camusa, to znaczy my nie zrobiliśmy klasycznej adaptacji powieści. W naszym spektaklu nie ma postaci Tarrou, Ramberta, ojca Paneloux, czy doktora Rieux. Z tekstu wybraliśmy te wątki, które nas specjalnie zainteresowały, które były nam szczególnie bliskie. Z rozmów z aktorami, jakie prowadziłem zanim zaczęliśmy próby oraz podczas realizacji spektaklu, wiem, że oni identyfikują się z postaciami, które grają. Mówili mi, że teksty przez nich wypowiedzane są im bliskie, że wartości prezentowane przez te postacie są bliskie ich warto-

ściom. Także dobór tekstu i autora nie był absolutnie przypadkowy.

Jacek Brzeziński: Wybór tekstu *Dzuma* Camusa jest mi bliski z wielu powodów. Przede wszystkim bliski jest mi historycznie. Ten tekst jest niezwykle inspirujący, absorbujący, odpowiadający na różne pytania, które szczególnie w wieku psychicznego dojrzewania człowieka są najostrej stawiane i żądają jednoznacznych odpowiedzi. Tak się złożyło, że pytanie z *Dzuma* było mi postawione jako jedno z zasadniczych na egzaminie maturalnym. Wiem, że Janusz Opryński pisał pracę na egzaminie wstępnym na filologię polską

właśnie w oparciu o *Dzumę*. Ta *Dżuma* po kilku-nastu, czy kilkudziesięciu latach w nas się odezwiała. Mnie szczególnie bliska jest postać Księdza. Jakkolwiek nie utożsamiam się z nią do końca. Ta postać jest mi bliska poprzez jej bogactwo napięć, które towarzyszą przeżyciom. Nie jest to jakiś monolit, nie jest fałszywie jednoznaczna, jest to postać, która ulega transformacji, która swój dramat wyraża w powieści śmiercią na własne życzenie, bo jako sama *dżuma* jest przypadkiem wątpliwym. Tak to jest skomentowane w powieści. Myślę, że w moim przypadku ważny jest wątek osobisty. Bardzo chciałem być księdzem. Księdzem jak widać nie zostałem. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że będę mógł zagrać w teatrze postać duchownego i to w takim wymiarze. To nie jest postać księdza, który wyraża postulaty i tych postulatów się kurczowo trzyma, ale jest to postać księdza wątpliwego. Myślę, że jest to coś najprawdziwszego, co można powiedzieć o osobach głęboko zanurzonych w religii. Tak się złożyło, że już poza spektaklem spotykam się z postaciami księży, którzy wątpią, którzy są często na granicy herezji czy po prostu niewiary.

Karolina Rozwód: *Śmierć na własne życzenie to swego rodzaju akt solidarności z chorymi. Czy jest to jedyny i właściwy sposób na wyrażenie tej solidarności?*

Jacek Brzeziński: Myślę, że nie jest to tylko problem solidarności. W przedstawieniu zrezygnowaliśmy z tego dramatycznego zakończenia. Nie interesował nas realizm, który jest w powieści. Śmierć ojca Paneioux jest bardziej skomplikowana. Być może z jednej strony jest to solidaryzowanie się z całymi rzeszami ludzi, którzy zostali uśmierceni, ale z drugiej strony w jego sferze duchowej, ideowej i myślowej zakwestionowało mu się wiele z tego, co wcześniej głosił. Myślę, że to przyzwolenie na własną śmierć jest aktem desperacji, aktem głębokiego wątplenia, utraty woli. Tak to odczuwam.

Jarosław Tomica: Ja mam o Księdzu i jego śmierci trochę inną refleksję. To nie jest postawa wobec wątplenia, ale jest to postawa ewidentnej zgody na los przez Boga wyznaczony,

nie kwestionowania tego. On mówi, że trzeba umrzeć skoro Bóg tego chce, trzeba na to patrzeć i nie uciekać od tego. On mi troszkę w tej śmierci przypomina ludzi, którzy owijali się w całuny i czekali na śmierć. On nie wykonał żadnego ruchu w walce ze śmiercią, dlatego, że uważał, że to Bóg chce, żeby on umarł. On jakby nie miał prawa zakwestionować tej woli. Może właśnie wobec tych wątpliń, które go dręczyły i do których się przyznał podczas drugiego kazania. **Jacek Brzeziński:** Myślę, że jedno nie wyklucza drugiego. Ta jego wola śmierci wiąże się z utratą woli życia. Jedno wynika z drugiego. Utratę woli życia ty nazywasz zgodą z wolą Boga, absolutnym przyjęciem woli Boga. Ale myślę, że w przypadku Księdza, tak jak w przypadku innych postaci, które zostały potępione, bo same szukały śmierci, jest to akt desperacji. Zadaniem człowieka w świetle prawd objawionych jest wola życia aż do końca. A w nim tej woli życia już nie było. Nie chciał z nikim rozmawiać i tylko leżał przez ostatnie dni, ściskając krzyż, bo jak mówił „zakonnicy nie mają przyjaciół”.

Jarosław Tomica: Postawienie przez Janusza w ten sposób tematu, że w dużym stopniu utożsamiamy się z postaciami, które gramy jest dość prowokacyjne. Bo każda z tych postaw jest w jakiś sposób ortodoksyjna. Moim zdaniem my wszyscy jesteśmy gdzieś mieszkanką tych wszystkich postaw. Ja, jako Moralista, nigdy nie zaprzeczyłem postawie Dziennikarza. Nigdy nie powiedziałem, że miłość nie jest siłą napędową. I myślę, że Ksiądz również nigdy temu nie zaprzeczył. Tak samo jak nigdy nie zaprzeczył postawie doktora Rieux.

Jacek Brzeziński: Te wszystkie postacie gdzieś się spotykają, to znaczy mają bardzo wiele punktów stycznych. One gdzieś zachodzą na siebie. Wydaje mi się jednak, że najbardziej tragiczną postacią jest Ksiądz.

K. R.: *Mówicie, że jesteście mieszkanką tych wszystkich postaci. Która z postaw więc jest według Was najważniejszą do walki z *dzumą*? Miłość? Może uczciwość?*

Jarosław Tomica: Miłość nie jest sposobem walki z *dzumą*. Jest to postawa w życiu w ogóle.

Jacek Brzeziński: Według mnie zarówno ta miłość jak i uczciwość są sposobem walki z dżumą. Tak samo jak wola bycia świętym...

Anna Barć: Zastanawiam się „czy można być świętym bez Boga”, czy znaleźli już Panowie odpowiedź na to pytanie?

Jarosław Tomica: Myślę, że tak. Ale bez jakiego Boga? Bez którego Boga? Wobec tego jak świętym? Świętym wobec jakiej religii, jakiego wyznania? Można być świętym bez Boga. Istnieją wartości moralne, etyczne, które można wyznawać, w zgodzie z którymi można żyć, nie przeczące wierze, nie przeczące religii. W związku z tym nie wiem, czy w wymiarze Kościoła chrześcijańskiego jest się świętym, natomiast wobec moralnych czy etycznych postaw tak.

Jacek Brzeziński: Z punktu widzenia, jaki reprezentuje Kościół katolicki, kiedy ogłasza kogoś świętym myślę, że nie można być świętym bez Boga. Jedno wyklucza drugie.

Jarosław Tomica: Ale Moralista nie pyta, czy może być świętym, uświęconym przez Kościół, będąc człowiekiem niewierzącym, ale czy wobec pewnych postaw, wobec pewnych problemów można żyć jak święty będąc człowiekiem niewierzącym.

Jacek Brzeziński: Należałoby więc chyba zapytać, czy można żyć jak święty, czy można reprezentować pewien poziom godności, który zbliżyłby się do pewnego ideału. To zanurzenie się w tej doskonałości bez perspektywy nagrody Camus nazywa etyką heroiczną.

A. B.: Cytując Camusa: Czy „uczciwość polega na wykonywaniu zawodu”?

Michał Zgiet: Myślę, że uczciwość jest bardzo rzadką cechą. Wydaje mi się, że uczciwość nie dotyczy tylko wykonywania zawodu, ale dotyczy się w ogóle istnienia ludzi między sobą, relacji między nimi. Trzeba być uczciwym, trzeba być dobrym. To są cechy, które zanikają. Między ludźmi dzieje się coś innego, niepokojącego. Moralista na końcu przedstawienia mówi: „Postanowiłem tedy mówić i działać jasno. A zatem mówię, że są zarazy i ofiary i nic więcej”. Całe nieszczęście ludzi polega na tym, że nie mówią do siebie jasnym językiem. A rzeczywiście przydała-

by się też ta codzienna uczciwość, polegająca na wykonywaniu zawodu. Wykonując jakiś zawód trzeba być przede wszystkim człowiekiem, trzeba mieć jak najwięcej cech ludzkich. Ale one zanikają.

Jacek Brzeziński: Uczciwość polega na wykonywaniu zawodu. Uważam, że uczciwość stawia nas zawsze w sytuacji prawdziwej, jednoznacznej. Daje szansę, żeby się nie poddawać. Ale ta uczciwość nie jest dana jako oręż, czy też jako pewność, ją należy codziennie zdobywać.

Jarosław Tomica: Czyli istnieje coś takiego jak uczciwość bezwzględna? Dziennikarz pyta: „A czym jest uczciwość?”. Doktor mu mówi: „**Nie mam pojęcia czym jest uczciwość w ogóle**”. Ale dla niego uczciwość polega na wykonywaniu tej pracy...

Jacek Brzeziński: W tym konkretnym przypadku. Wbrew nadziei trzeba leczyć tysiące chorych ludzi, trzeba im pomagać.

K. R.: Ale czy te niekończące się kłęski mają sens?

Michał Zgiet: Kiedy pracowaliśmy nad *Dżumą* cały czas przywoływaliśmy „Mit Syzyfa”. Merton napisał, że kiedy Syzyfowi po raz któryś z kolei stacza się ten kamień Syzyf przeżywa którąś z kolei kłęskę. Ale Syzyf jest szczęśliwy, bo zaczyna pracę od nowa. Właściwie Syzyf nie wie, że zawsze będzie tak pracował. Cały czas ma nadzieję, że to się kiedyś skończy. Kiedy pracowaliśmy nad przedstawieniem Janusz cały czas przypominał nam „Mit Syzyfa”, który miał również zaistnieć w pewien sposób w przedstawieniu. Nie tylko w postawie Doktora, ale też Dziennikarza, Moralisty i Księdza.

Jacek Brzeziński: To jest ta uczciwość, ta nadzieja, że zawsze jest jakaś szansa na wyleczenie. Nie duża, ale jest.

Jarosław Tomica: Ale Camus nawet nie próbuje rozstrzygnąć, czy Rieux ma rację. Zauważmy jego postawę wobec Ramberta. Rieux mu mówi: „Pan ma rację. Pan powinien stąd wyjechać, bo pańską uczciwością, uczciwością w pana przypadku jest powrót do żony. To jest pańska uczciwość.”

Michał Zgiet: Wydaje mi się, że Camus poprzez swoją powieść dokonuje jednak pewnych wy-

borów. Doktor Rieux poświęca się pracy. Rzeczywiście jest to istotna dziedzina życia – praca. Większość czasu spędza się w pracy. Ale nie można zapomnieć o rodzinie. Nie można tak jak doktor Rieux, który właściwie zapomniał o swojej ciężko chorej żonie, poświęcić się tylko pracy. Camus dokonuje takiego wyboru właśnie poprzez postać Doktora. Bohaterowie Camusa są bardzo zróżnicowani. On pokazuje cały wachlarz postaw i wartości, które są najistotniejsze dla każdego człowieka.

Jacek Brzeziński: Żadna z postaci nie daje do końca tej odpowiedzi, że to ona ma rację, że jej postawa to jedyna droga wyjścia jedyna możliwa przewyciężenia dżumy.

Jarosław Tomica: Camus nie próbuje dojść do prawd bezwzględnych i obowiązujących wszystkich w każdym przypadku. Każdy ma tę swoją jakąś małą prawdę, którą sam przed sobą usprawiedliwia i może to jest jego uczciwość, może to jest jego świętość. To są jego wybory.

Jacek Brzeziński: Te wybory są może różne, ale towarzyszy im zawsze uczciwość. Uczciwość to wewnętrzne przekonanie o słuszności tego wyboru.

Jarosław Tomica: Ja się w bardzo dużej mierze zgadzam z Tarrou, choć ma on bardzo ideowe podejście do rzeczy, które są ważne. On sobie wymyślił pewną postawę wobec życia, którą konsekwentnie realizuje. Chciałbym tak umieć. To jest postawa całkowitego oddania się ludziom cierpiącym. On wędruje po świecie i właściwie wszędzie tam, gdzie ludzie są bici staje po ich stronie i próbuje im pomóc.

Jacek Brzeziński: I to jest Ci bliskie?

Jarosław Tomica: Tak. Choć to jest dla mnie tak szalenie trudne, że aż niewyobrażalne. Ale rozumiem tę postawę i rozumiem, że ta postawa jest przepiękna. Wybór całkowitego oddania siebie innym ludziom jest wyborem wspaniałym. Ale nie wiem co odpowiedzieć na przykład na pytanie, jak tego rodzaju wybór ma się w stosunku do obowiązku spełniania własnego życia. Chyba, że jest to to, co uznajesz za największe, co możesz wobec siebie zrobić. Jeśli uznajesz, że pomoc ludziom to nie jest to, co

chcesz w życiu robić, ale robisz to wbrew sobie, bo jest to zgodne z jakąś religią lub ideą, to ja nie wiem, czy to jest słuszne, czy takie notoryczne umartwianie się jest uczciwe wobec siebie.

Jacek Brzeziński: Myślę, że tak, ale pod warunkiem, że ten rodzaj pracy nad sobą jakoś dźwiga człowieka i ciągnie go w górę. To umartwianie się może być dla kogoś drogą.

Jarosław Tomica: Oczywiście. Ja nie mówię, że nie może być. Natomiast zastanawiam się, czy to jest uczciwe wobec siebie. Bo są ludzie, którzy podejmują takie decyzje.

Jacek Brzeziński: Jest to chyba pytanie, na które każdy sam musi sobie odpowiedzieć. Czy to jest uczciwe wobec siebie, wobec swoich potrzeb, możliwości? Czy to nie jest tylko przyjęcie czyjejs postawy ideowej lub postawy narzuconej i stawianie się w sytuacji fałszywej? Masz rację. Dla wyznawców religia jest niebezpieczeństwem wpisania się przez nich samych w sytuację fałszywą. Ta postawa może im się wydawać, że jest ich własną, ale po dokładnym przeanalizowaniu problemu może okazać się, że jest to postawa zupełnie sprzeczna z nimi. Myślę, że jest to postawa najczęściej reprezentowana w polskim katolicyzmie. Ludzie przyjmują religię jakby siłą rozpędu, natomiast nie identyfikują się z nią. Przyjmują pewne postawy, ale nie odpowiadają sobie na zasadnicze pytania, na przykład o uczciwość. Nie można tylko głosić haseł, bądź postulatów.

Jarosław Tomica: Czy człowiek jest święty, kiedy te wszystkie piękne rzeczy spełnia kompletnie wbrew sobie?

Jacek Brzeziński: Nie. Myślę, że nie, że jest to fałszywa sytuacja. To co robi człowiek powinno mu dawać poczucie spełnienia, poczucie piękna, radości. To jest fałszywie pojęta świętość. Jest słynne powiedzenie świętego Augustyna, który mówił „**Kochaj i rób co chcesz**”. Ale to „rób co chcesz” to nie jest taka swobodna działalność, bo jest jeszcze jeden warunek – „kochanie”. Jeżeli człowiek spełnia warunek miłości, to siłą rzeczy odrzuca coś, co niesie krzywdę: rodzinie, innym ludziom i sobie.

Jarosław Tomica: Chyba człowiek powinien zacząć od miłości własnej.

Jacek Brzeziński: Tak. To nie jest egoizm. To jest akceptacja samego siebie. Właśnie powiedzenie samemu sobie: „jestem ułomny”, co się wiąże z pojęciem pokory, ale też „jestem jaki jestem”, „lubię siebie” – to jest uczciwa postawa. To jest ta uczciwość, do której znowu wracamy. I tego chyba powinniśmy wymagać od siebie. Myślę, że jest to rzecz podstawowa, ale chyba też najtrudniejsza.

K. R.: *Właśnie z tej miłości wypływają chyba Siła i Dobroć, o których Camus mówił, że są podstawą świętości.*

Jacek Brzeziński: Tak. Ale myślę, że o tym mówi nie tylko Moralista. We wszystkich postaciach tkwi potrzeba służby innym.

Jarosław Tomica: Miłość jest oddaniem się. A te wszystkie postacie w jakiś sposób się oddają.

Opracowanie: **Karolina Rozwód.**

„Człowiek (...) jest skazany na wolność.”

Jean Paul Sartre

Zaskakiwać

– rozmowa z **Sebastianem Pałą** i **Katarzyną Niedźwiedź**,
aktorami Teatru Gimnazjalnego

Małgorzata Tarasińska: *Jak zaczęła się Twoja przygoda z teatrem?*

Sebastian Pała: Moja pasja do teatru zaczęła się od przedstawienia ostatniej sceny ostatniego aktu „Balladyny” w VI klasie szkoły podstawowej. Wtedy po raz pierwszy pojechałem do Szkoły Teatralnej w Warszawie i wtedy pomyślałem, że aktorstwo może być faktycznie moim przyszłym zawodem. Od I klasy liceum uczestniczyłem w zajęciach teatralnych. W II klasie odbyła się premiera II części „Dziadów”. Był to mój pomysł na scenariusz i pierwsza moja praca reżyserska. Zrobiłem scenkę niemą pod muzykę i światło: duchy wychodziły znad poprzecinanego prześcieradła, odpowiednio prześwietlone, np. Zosia na tle zielonym, Upiór – na czerwonym. Potem pracowałem nad „Ślubami panięskimi”, „Niemcami”. W III klasie miała miejsce premiera „Giaura” i to była w pełni moja samodzielna praca. W marcu 1996 roku założyłem Teatr Gimnazjalny. Do czerwca mieliśmy zajęcia zapoznawcze, a od września zaczęliśmy pracę nad „Faustem i Małgorzatą”. Mój scenariusz zawierał I część dramatu Goeth’ego – miłość Fausta do Małgorzaty i pomieszczone z moimi scenami sceny liryczne z II części. Był to scenariusz opracowany dla młodych dla młodych aktorów, aby mogli sobie poradzić z dramatem na scenie. Praca nad „Faustem” trwała trzy i pół miesiąca i zakończyła się uroczystą premierą, na którą zaproszeni byli dyrektor szkoły, nauczyciele, nasi znajomi, radio, telewizja, aktorzy lubelskich teatrów.

W moim życiu udało mi się także zagrać w filmie Jacka Skalskiego „Miasto prywatne”. To było zaledwie 5 dni zdjęciowych, ale zobaczyłem, jak wygląda praca w filmie, praca reżysera... Jak nie powinno się robić filmu.

M. T.: *Miałeś okazję spróbować swoich sił i w filmie i w teatrze. Co Cię bardziej intryguje, powściąga?*

Sebastian Pała: Na razie bardziej podoba mi się teatr, chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że film pozwala więcej zarobić i bardziej się pokazać. Teatr jednak daje możliwość przeżywania za każdym razem czegoś nowego, poznania głębiej roli, jest ciężką pracą, ale i świetną zabawą. Czasami zdarzają się ciekawe sytuacje, jak chociażby podczas sceny w „Niemcach”, kiedy dzwonię po policję, bo w domu jest szpieg, siostra próbuje mnie powstrzymać, napięcie rośnie, wykręcam numer a tarcza telefonu wypada i wszyscy w śmiech. Teatr jest ciekawszy, bardziej duchowy, aktorski. W filmie patrzysz poza kadr a tam mikrofony, szyny do przesuwania kamery. W teatrze patrzysz na publiczność, osłepiają Cię światła, z tyłu masz scenografię, wokół aktorzy, to wszystko tworzy taki klimat, którego film jest całkowicie pozbawiony.

Ponadto teatr daje więcej możliwości poznania siebie.

M. T.: *Wracając do Teatru Gimnazjalnego, skąd pomysł, żeby taki teatr powstał?*

Sebastian Pała: Z chęci poznania siebie, zrobienia czegoś na własną rękę, realizacji własnych pomysłów. Najpierw było sprawdzenie, co

ja mogę jako aktor wnieść do przedstawienia, potem była reżyseria, a teraz doszła jeszcze większa odpowiedzialność: zebranie i zgranie grupy, samodzielność. Teatr Gimnazjalny nie był pod żadną kuratelą, nie było więc nacisków, przymusu, robiłem co chciałem. Jeżeli opinie po przedstawieniu były dobre, to się cieszę, bo oznacza to, że się nam udało.

M. T.: *Mało kto w Teatrze Gimnazjalnym miał jakieś większe doświadczenie, jeżeli chodzi o aktorstwo. Jak z nimi współpracowałeś, czego ich chciałeś nauczyć?*

Sebastian Pałka: Ci ludzie byli nieskażeni żadnymi poglądami, wizjami na temat teatru. Starłem się mówić do nich jak do równych sobie mając jednocześnie świadomość, że mam więcej i muszę im coś z siebie sprzedać, przede wszystkim, myślę, byłem szczerym, ale nigdy nie chciałem nikogo urazić, powiedzieć mu, że nie podoba mi się pod kątem teatralnym, bo uważałem, że nie mam prawa tego nikomu powiedzieć, w sumie też jestem amatorem. Wydaje mi się, że byłem bardzo wymagający, nie pozwalałem na rozprężenie na próbie, a jeżeli już takie było, to nie mogłem na nich krzyknąć. Raz tylko się zdenerwowałem w ciągu 10 miesięcy pracy: przed samą premierą rzuciłem w kolegę butem. Wszyscy mieli niesamowity ubaw, bo ja byłem zawsze opanowany.

Starłem radzić sobie z nimi zaciekawiając ich. Na każdych zajęciach starałem się zaproponować im coś nowego. Chciałem, żeby wiedzieli, że mogę ich czegoś nauczyć. Byłem szczerzy, nie ukrywałem, kiedy czegoś nie wiedziałem. Dopuszczałem ich możliwości do interpretacyjne, brałem je pod uwagę. To ich właśnie cieszyło, że ich pomysł został zrealizowany. Nigdy nie uważałem, że wiem wszystko. Praca z nimi była sprawdzianem, na ile na kolejnych zajęciach podołam ciężarowi uczenia. Było mi trudno, bo musiałem sam kształtować treść i formę zajęć. Dawałem im wskazówki, jak grać, jak się poruszać, gdzie patrzeć, ale one wszystkie rodziły się, kiedy obserwowałem ich na próbach. Starłem się skupić ich uwagę zaskakując pomysłami, które na bieżąco przychodziły mi do głowy.

M. T.: *Co Cię w teatrze pasjonuje?*

Sebastian Pałka: Możliwość ciągłego zaskakiwania oraz wcielania się w kogoś innego. No bo ja mogę przyjść z siekierą do szkoły, ale ona będzie mi przeszkadzać. Zrobiłem kiedyś taki eksperyment i nie czułem się jak morderca snujący plany o zabiciu pani profesor. Siekiera mi przeszkadzała, bałem się, że podrze mi kurtkę, upadnie na nogę (raz upadła, bardzo bolało). W życiu to się nie sprawdza, natomiast w teatrze mogę robić to, czego w życiu nigdy bym nie zrobił. W życiu pan Sebastian Pałka jest jeden, a w teatrze mogę być wieloma osobami. Aktorstwo daje możliwość patrzenia na siebie z innych perspektyw. Reżyseria zaś jest jeszcze głębsza. Aktor wciela się w jedną postać, natomiast reżyser, choć nie tak dokładnie, ale musi być każdym z bohaterów. Reżyser decyduje, co w danym wypadku jest najlepsze, ma wizję sztuki jako całości. Teatr jest niezgłębiiony, fascynujący i nie wiem, czy ktoś może w pełni odpowiedzieć, dlaczego go teatr pasjonuje.

M. T.: *Czy masz jakieś autorytety?*

Sebastian Pałka: Przez całe życie staram się nie mieć idola, nie mieć wzorca, który mógłbym powielać, ponieważ chciałem stworzyć coś własnego, indywidualnego, niepowtarzalnego. Nie wiem, na ile mi się to uda, bo to jest szalenie trudne. Jest jednak wielu aktorów, których podziwiam. Szczególnie cenię sobie upór, silną wolę, siłę przebicia, nieprzeciętność, umiejętność przewycięzania przeciwności losu.

M. T.: *Jakie są Twoje plany na przyszłość?*

Sebastian Pałka: Przede wszystkim zdaję do szkoły teatralnej, w czerwcu – aktorstwo, we wrześniu – reżyseria. Jeżeli mi się nie uda to próbuję za rok, i tak do oporu, czyli do 22 roku życia. Jest jeszcze taki kierunek na UMCS jak Menedżer Kultury, ale to mnie nie zadowala, bo nie chciałbym uczyć do końca życia. A jeżeli nic mi w ogóle nie wyjdzie, to zajmę się geografią, bo to mnie także interesuje. Na razie jednak przygotowuję się do egzaminów do szkoły teatralnej, nie uda mi się – to będę myślał o czymś innym – ale to za kilka lat.

M. T.: *Decyzja o zdawaniu do szkoły teatralnej to był trudny wybór?*

Sebastian Pałka: O zdawaniu na wydział reżyserii pomyślałem dopiero po „Fauście”, bo wcześniej w ogóle tego nie zakładałem. O wydziale aktorskim zdecydowałem już w VI klasie, od tamtego czasu to narastało, śmiało o tym mówiłem, wszyscy o tym wiedzą i oczekują bardzo wiele. Z jednej strony to bardzo buduje, z drugiej nakłada to na mnie ogromną presję. Zdaję sobie sprawę, że albo będę najlepszy, albo nie będzie mnie wcale.

M. T.: *A taka nieskonkretyzowana, trudna praca Cię nie zniechęca?*

Sebastian Pałka: Praca nad czymś większym zawsze mnie pochłania, absorbuje, całkowicie

się jej poświęcam, jestem w swoim żywiole. Jedno wiem na pewno: staram się żyć zaskakująco, spontanicznie, nieunormowanie, ciekawie. Nudzą mnie powielane schematy. Moje życie to jest pięcie się po szczeblach; najpierw był Teatr Gimnazjalny, teraz ogromnym krokiem jest szkoła teatralna, później profesjonalny teatr, a co jeszcze to zobaczę potem. Lubię zmiany i wyzwania. Chciałbym nie widzieć końca tej drabiny, umrzeć w „niespełnieniu” tzn. wiedzieć, że jeszcze tyle mógłbym zrobić, nie zatrzymać się w rozwoju. Nie chcę, patrząc z perspektywy widzieć przegapione szanse. Moja dewiza życiowa to rzucać się z motyka na słońce.

Marzena Tarasińska: *Grasz w Teatrze Gimnazjalnym, masz już za sobą pierwszą rolę – Małgorzatę w przedstawieniu Sebastiana Pałki „Faust i Małgorzata”, swój wolny czas poświęcasz kółkom i warsztatom teatralnym. Skąd to zainteresowanie teatrem?*

Katarzyna Niedźwiedź: Teatr pasjonuje mnie i ciekawi już od dzieciństwa. Zawsze czułam, że muszę grać. Dlatego, kiedy usłyszałam o eliminacjach do Teatru Gimnazjalnego, postanowiłam spróbować.

M. T.: *Myślisz o aktorstwie jako o swoim przyszłym zawodzie?*

Katarzyna Niedźwiedź: Chciałabym zostać aktorką. Będę próbowała zdawać do szkoły teatralnej, bo gdybym tego nie zrobiła, pewnie nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Mam świadomość, że wielu lepszych ode mnie się nie dostało, ale na pewno spróbuję. Właściwie myślałam o tym od zawsze. Nie widzę dla siebie innego zawodu. A dlaczego ten? To się po prostu wie.

M. T.: *Powołanie.*

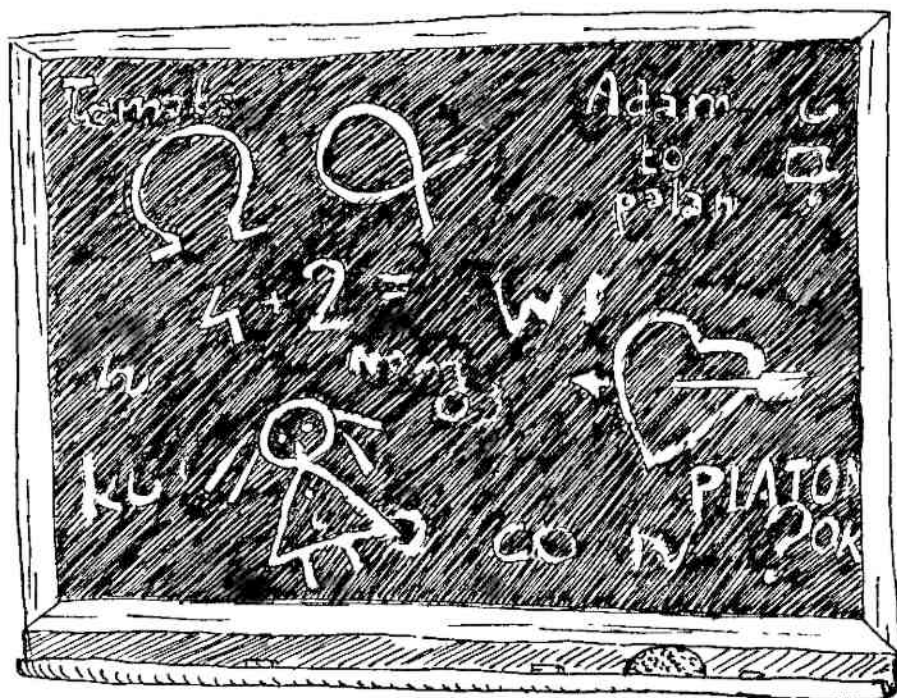
Katarzyna Niedźwiedź: Mam nadzieję, że tak.

M. T.: *Kiedy się jednak słucha aktorów to często nie zachwalają oni swojego zawodu, a na-*

wet odradzają wybieranie tej drogi. Nie zniechęca Cię to?

Katarzyna Niedźwiedź: Nie. Czasem nudzą mnie próby, setne powtarzanie tego samego tekstu, ale w końcu wychodzi się na scenę. Zdaję sobie sprawę, że aktorstwo to ciężka, mozolna, pełna wyrzeczeń i trudu praca, ale to mnie nie zniechęca. Chyba żaden zawód nie jest łatwy. Wiem też, że jestem jeszcze amatorką i wiele muszę ćwiczyć. Na przykład trudno jest mi grać postaci dynamiczne, bo nie potrafię się do końca otworzyć. Mam taką granicę, pracuję nad tym i wierzę, że kiedyś uda mi się ją przekroczyć. Chciałabym móc grać wszystkie role. Myślę, że to ogromne wyzwanie zagrać kogoś o przeciwnym niż mój charakterze.

Poza tym z każdym występem wiąże się trema. Boję się reakcji widowni, tego że zapomnę tekstu, lub że go wyrecytuję na pamięć a nie wczuję się w rolę. Niektórzy twierdzą, że należy zachować dystans wobec granej postaci, ale mi się wydaje, że trzeba się z nią utożsamić, poznać to co ona czuje i spróbować poczuć to samo. To wszystko stanowi dla mnie wyzwanie, bo teatr jest dla mnie właśnie ogromnym wyzwaniem.



decyzje filozoficzne

Lewica - prawica (spojrzenie filozofa)

Niektórzy powiadają, że filozof powinien żyć w potrójnym celibacie. Według tej opinii doskonały filozof powstrzymuje się od współżycia z kobietami, zaangażowania politycznego oraz wyznawania jakiegś religii. Ta niezwykła abstynencja miałaby rzekomo gwarantować obiektywność poznania filozoficznego, a także czynić z filozofa wręcz ponadnaturalną istotę, stojącą poza ludzkimi namiętnościami, sporami i wiarami. Nie zgadzam się z tym poglądem i to nie tylko dlatego, że bywają religie, ideologie i kobiety (kolejność wymieniania powyższych odpowiada kolejności częstotliwości ich występowania), które sprzyjają filozofom i w rezultatach autonomicznej pracy filozoficznej dopatrują się własnych korzyści. Zasadniczy powód odrzucenia rozpatrywanej tu propozycji tkwi w tym, że jej realizacja przyniosłaby skutek odwrotny do zamierzonego. Człowiek to przecież zwierzę religijne, polityczne i rodzinne, a nawet filozof nie może się pozbyć istotnych rysów swego człowieczeństwa. Jeśli przestanie wyznawać religię, to jego filozofia stanie się religią (ze skutkiem negatywnym i dla religii, i dla filozofii); jeśli wycofa się z życia publicznego, to wcześniej czy później napisze kolejną utopię społeczną (tyleż nierealną, co i totalitarną); zainteresowanych skutkami pierwszego ze wspomnianych wyżej celibatów odsyłam do książek Sigmunda Freuda.

Wszyscy się jednak zgodzą z tym, że od filozofa wymaga się pewnego dystansu w patrzeniu na sprawy ludzkie, zwłaszcza w polityce. Jeśli filozof znajduje się po jakiejś stronie w toczonej walce, to jego zadaniem jest pomagać innym w zrozumieniu zaistniałej sytuacji, w tym także racji przeciwnika. Dziś nie jest sztuką uczestniczyć w dyskusji, ale poprowadzić ją tak, by interlokutorzy dobrze wiedzieli o co naprawdę w niej chodzi, skąd się bierze różnica zdań, na jakiego rodzaju przesłankach opierają się głoszone tezy, czy istnieje możliwość kompromisu? Pełno wokół nas propagowanych programów politycznych, projektów, poglądów, ideologii; trzeba je umieć uporządkować, zrozumieć, osadzić na szerszym tle, krytycznie ocenić, odrzucić to, co absurdalne i niebezpieczne. Inaczej popadniemy w polityczny emotywizm, polegający na przypisywaniu wypowiedziom politycznym jedynie sensu emocjonalnego (identyfikacji z jedną grupą osób i nienawiści do innej grupy). Wśród myślących o polityce mnóstwo wizjonerów, a mało analityków. Filozof powinien być takim analitykiem. Odda on niemalą przysługę, jeśli jasno sformułuje pytania, na które mają rzekomo odpowiadać koncepcje polityczne, jeśli poda ostre kryteria, według których dzielą się opcje polityczne, jeśli wyjaśni tajemnicze słowa, którymi politycy się posługują.

Jednym z takich magicznych, wymagających eksplikacji, werbalnych zaklęć politycznych jest opozycja między *lewicą* a *prawicą*. Niektórzy nadają tym wyrażeniom sens absolutny i wartościujący: deklarują się jako ludzie lewicy albo prawicy (doskonale wiedząc, co to oznacza) oraz konsolidują się w walce z (także moralnym) zagrożeniem, nadchodzącym z prawa lub lewa. Inni natomiast traktują powyższe kategorie jako pozbawione dziś jakiegokolwiek sensu, a wyrażające najwyżej czyjeś, często przypadkowo ukształtowane, nastawienia społeczno-emocjonalne, a nawet przesady. Odrzucam oba powyższe zapatrywania: nazwy *lewica/prawica* nie są nazwami jednoznacznymi i ostrymi, nie są też jednak nazwami bezsensownymi. Można ujaśnić ich znaczenie oraz – co więcej! – nadać im funkcję opisową, a nie normatywną.

Wskazać tu należy na przynajmniej trzy cechy omawianych wyrażeń. Po pierwsze mają one charakter historyczny, po drugie – relacyjny (nie mylić z *względny!*) i stopniowalny, po trzecie – okazjonalny. Analizę pierwszej cechy zostawiam historykom; zaznaczę wystarczy, że słowa *lewicowy/prawicowy* weszły do politycznego użycia w wyniku przypadkowego bądź umownego rozmieszczenia odpowiednich stronnictw w parlamencie, a więc w konkretnej (i zmiennej!) sytuacji historycznej. Jeśli chodzi o drugą cechę, to warto zauważyć, iż polityczny (wtórny, przenośny) sens tych słów dziedziczy charakter ich sensu potocznego (pierwotnego, dosłownego). Po prostu, i w przestrzeni, i w polityce jest się mniej lub bardziej na lewo/prawo od czegoś czy wobec czegoś; innymi słowy, mówiąc *lewica-prawica* nie oznaczam jakiś przedmiotów, ale stosunki między przedmiotami, nie istoty rzeczy (tu: partii politycznych), lecz ich położenie (tu: relacje do innych partii). W związku z powyższym, znaczenia omawianych wyrażeń są stałe, choć ich desygnaty (to, co one oznaczają) mogą być w każdym przypadku inne. Tak jak desygnat słówka *tu* zmienia się w zależności od miejsca, w którym stoję, tak też określenie *lewicowy/prawicowy* mogą przypisać komuś w zależności od tego, gdzie (w jakim państwie) i kiedy się znajduję, z jakiego punktu widzenia patrzę itd. Człowiek o tych samych poglądach, na tej samej półkuli, może być (a nie talko uchodzić za takiego) w jednym kraju lewicowy, a w drugim – prawicowy. Gdy bierzemy ten sam kraj i czas: w jednym towarzystwie (ze względu na jeden kierunek widzenia) – lewicowy, w drugim – prawicowy (mniej lub bardziej!).

Z powyższych uwag łatwo wyciągnąć wniosek, że nie istnieje jakaś metafizyczna wyższość lewicy nad prawicą (lub *vice versa*), tak samo jak nie ma obiektywnego prymatu geograficznie pojętego południa nad geograficznie pojętą północą. Opozycyjne *względem siebie* strony świata i partie polityczne nie mogą *bez siebie* żyć. Antagonista żyje życiem swego kontra-antagonisty, śmierć drugiego pociąga za sobą śmierć pierwszego. Struktura społeczeństwa nie różni się w tym aspekcie od struktury przestrzeni. Takie są fakty. Nie wynika z nich nawet to, że powinniśmy potrzebować, oceniać pozytywnie, okazywać sympatię zarówno dla południa czy lewicy, jak i dla północy czy prawicy. One po prostu są i muszą być. Struktury nie zmienimy.

Z powyższych rozważań nie wolno jednak wyciągnąć wniosku, że nie da się podać kryteriów, za pomocą których w europejskiej tradycji kulturowo-politycznej przyjęło się odróżniać lewicę od prawicy. Wiadomo przecież, że – mimo wszystko – na północy jest najczęściej zimniej niż na południu oraz że na ogół pisze się prawą, a nie lewą ręką oraz od strony lewej do prawej.

Lewicowe/prawicowe koncepcje, i stojące za nimi grupy ludzi, można potraktować jako próby rozwiązania określonych problemów. Problemy są znaczeniami pytań. Lewica i prawica więc to ogólne schematy odpowiedzi na pewne pytania. Chodzi tu głównie o dwa ogólne pytania. Pierwsze brzmi: jaki jest (czy raczej: powinien być) stosunek państwa do wartości kulturowych? Drugie dotyczy tego stosunku w odniesieniu do wartości ekonomicznych. Pytania te trzeba ściśle rozgraniczyć, gdyż dana odpowiedź na jedno z nich nie pociąga za sobą odpowiedniej odpowiedzi na drugie. Stąd często powstają nieporozumienia: można być na lewicy w pierwszym aspekcie, a na prawicy w drugim; sam bywałem świadkiem dyskusji, w których oponenti podkreślali np. swą prawicowość i – ze względu na przeciwne poglądy – krytykowali (ze wzajemnością) lewicowość rozmówcy.

Zespół licznych odpowiedzi na pierwsze z powyższych pytań układa się wzdłuż uproszczonej, schematycznej opozycji: konserwatyzm – liberalizm. W tym ujęciu „konserwatyzm” jest synonimem ideologicznej czy kulturowej „prawicy”, a „liberalizm” – „lewicy”. Konserwatyści twierdzą (i starają się, by tak faktycznie było), że państwo powinno chronić tradycyjne wartości moralne, religijne, obyczajowe, narodowe (czy szerzej: ogólnokulturowe). Społeczeństwo jako całość oraz poszczególne jednostki nie mogą bez tych wartości właściwie funkcjonować, stąd trzeba prawnie zapewnić ich obecność w życiu publicznym, np. w edukacji czy mass-mediach. Skuteczna obrona tych wartości jest – w przekonaniu konserwatystów – obroną stabilności społecznej oraz prawdziwego dobra ludzi, nawet wbrew ich wolności, która nierzadko jest skierowana przeciw samej sobie.

Liberałowie natomiast uważają, że właśnie owa wolność jest taką wartością (czy po prostu odgrywa taką rolę w życiu ludzkim), że nie należy (czy po prostu w gruncie rzeczy nie da się) jej naruszać. Wybory moralne, przekonania religijne czy praktykowana obyczajowość są prywatną sprawą poszczególnych ludzi. Państwo nie może się wtrącać do tego, jak kto żyje; ma pilnować tylko tego, by ludzie sobie nawzajem nie przeszkadzali. Żadna instytucja nie powinna ingerować w (szeroko pojętą) intymność człowieka; jedynym wyjątkiem jest tu sytuacja, kiedy w sposób wyraźny narusza on wolność drugiego. Hasłem liberałów jest więc wolność i tolerancja, a konserwatystów – moralność i ład.

Filozoficznym zapleczem debat między kulturową prawicą a lewicą jest spór o sposób istnienia i poznawania wartości: czy wartości istnieją obiektywnie i absolutnie, czy subiektywnie i względnie?; czy znajdują się ludzie (lub instytucje), którzy potrafią je trafnie i niepowątpiewalnie rozpoznać, czy skazani tu jesteśmy jedynie na indywidualne i niepewne wycucia? Trzeba zaznaczyć, że można być liberałem, będąc przekonanym o obiektywności i poznawalności wartości. Wiąże się to z tym, że obiektywność wartości moralnych czy religijnych nie musi pociągać za sobą ich publicznego charakteru. Liberał może utrzymywać, że wartości te wiążą się obiektywnie i trwale z intymną sferą życia ludzkiego. Wszelka ingerencja państwa w tę sferę byłaby naruszeniem nie tylko wolności, ale i samych wartości, które miałyby być przez tę ingerencję chronione. *Notabene*, aksjologiczny relatywista czy agnostyk może być konserwatystą, o ile publiczna ochrona pewnych wartości służy jego interesowi, np. utrzymaniu struktury społecznej, władzy, prestiżu lub majątku.

Skoro mowa o majątku, to nasuwa się drugie z omawianych tu pytań. Dotyczy ono ingerencji państwa w działalność gospodarczą jego obywateli. Jedni (socjaliści, czyli ekonomiczna lewica) twierdzą, że państwo powinno tę działalność w znacznej mierze kontrolować, a nawet ją organizować czy wręcz całkowicie przejąć. Inni natomiast (nazwijmy

ich umownie kapitalistami, czyli ekonomiczną prawicą) uważają, że gospodarka powinna znajdować się w rękach prywatnych i rozwijać się naturalnie według praw wolnego rynku; wpływ instytucji państwowych na gospodarkę należy zredukować do niezbędnego minimum.

Opozycja: socjalizm – kapitalizm ma swoje filozoficzne podłoże zarówno w sporze prakseologicznym, jak i moralnym. Pierwszy skupia się wokół pytań o skuteczność działania: czy jest ona zapewniona przez centralistyczno-kolektywistyczną organizację pracy, czy przez nieskrępowaną inicjatywę wypływającą z prywatnej własności narzędzi pracy i osobistej za nią odpowiedzialności? Drugi dotyczy istoty sprawiedliwości: czy sprawiedliwsza jest sterowana sprawiedliwość egalitarna (każdemu po równo lub każdemu według potrzeb) czy sprawiedliwość naturalna (każdemu tyle, ile sobie sam zdobędzie – ile zarobi, zorganizuje albo ile mu szczęście przyniesie)? Warto zauważyć, że i tu – tak jak w przypadku konserwatyizmu-liberalizmu – mogą pojawić się paradoksy. Socjalista może akceptować niekolektywistyczny system produkcji, o ile będzie on źródłem wzrostu gospodarczego, którego rezultaty będą dzielone egalitarnie. Byłby to socjalista „etyczny” (podziału), ale nie „prakseologiczny” (produkcji). Znowuż praktykujący kapitalista (właściciel) może popierać ideologię (frazeologię) socjalistyczną lub zwiększenie ingerencji państwa w gospodarkę, o ile będzie mu to przynosiło jakąś korzyść (np. dorobienie się nie efektywnością, lecz układami z elitami partyjnymi zapewniającymi zbyt i dotacje).

Jak widać, mamy co najmniej dwie lewice i dwie prawice; co więcej, np. ideologiczna lewica nie wyklucza ekonomicznej prawicy (i na odwrót). Można więc mówić o przynajmniej czterech zasadniczych opcjach ideologiczno-ekonomicznych: konserwatyzm-kapitalizm (reprezentowany na Zachodzie przez partie określające się często jako konserwatywne czy chadeckie), konserwatyzm-socjalizm (nierzadko partie nacjonalistyczne), liberalizm-kapitalizm (partie liberalne) i liberalizm-socjalizm (partie socjaldemokratyczne). Oczywiście, lewicowość i prawicowość jest stopniowalna, stąd socjalizm nie musi oznaczać całkowitej własności państwowej, a kapitalizm – państwa jako „stróża nocnego”. *Notabene*, w zachodniej Europie dominuje dziś tendencja liberalna oraz kapitalistyczna (wartość wolności kulturowej i gospodarczej jest niekwestionowalnym dogmatem). Podział na lewicę i prawicę dokonuje się tam wewnątrz szerokiego nurtu liberalnego (mianem którego określa się razem i lewicę kulturową, i prawicę ekonomiczną), a wiąże się ze szczegółowymi pytaniami np. o społeczną dopuszczalność upowszechniania zachowań obyczajowo osobliwych lub moralnie negatywnych (prawicy, trochę częściej niż lewicy, zdarza się dostrzegać tu granice tolerancji) oraz o wielkość płaconych podatków i opieki socjalnej (lewica domaga się ich nieco więcej niż prawica). W Polsce system polityczny zaczyna się powoli upodabniać do europejskiego, choć nadal wiele w nim zamieszania, dziwactw, patologii i nadużyć; słowa *lewica/prawica* są u nas dodatkowo (niekiedy przypadkowo) obciążone historycznymi i propagandowymi naleciałościami (w tym totalitarnym dziedzictwem PRL-u). Sprawa ta jednak zasługuje na osobną uwagę (już powyborczą, by nie mieszać się w kampanię przed wyborami).

Zachowanie równowagi między wszystkimi wymienionymi opcjami jest konieczne dla utrzymania równowagi między ludzką wolnością a społecznym i aksjologicznym ładem oraz między twórczą grą rynkową (inicjowaną przez interes prywatny) a koniecznością dbania o tych (ludzie, instytucje, kultura), którzy w tej grze nie mogą lub nie potrafią brać udziału.

O co chodzi w filozofii?

Po upadku PRL wyraźniej uwidoczniła się w polskim systemie nauczania pewna luka. Odkąd zwiększyło się zainteresowanie filozofią w szkole, wzmożło się też zapotrzebowanie na dobre podręczniki do jej nauki. Wydaje się, że choć zapotrzebowanie to dotyczy głównie szkół średnich, aktualne jest także na poziomie szkół wyższych. Na poziomie kursorycznego wykładu akademickiego funkcjonują bowiem zależnie od potrzeb, profilu nauczania, ale i niekiedy postawy światopoglądowej nauczyciela prowadzącego – mniej lub bardziej udane opracowania i wprowadzenia.

Niemniej wydaje się, że na poziomie uniwersyteckim brakuje literatury, która pomogłaby studentom uzyskać głębsze zrozumienie zagadnień filozofii (zwłaszcza studentom nie studiującym jej jako kierunku). Słowo „zrozumienie” należałoby tu podkreślić. Praktyka pokazuje bowiem, że zapamiętywane często fragmentaryczne wiadomości na temat filozofii przyczyniają się raczej do ukształtowania jej obrazu jako historii ludzkich dziwactw lub ideologii. Nielatwo jest więc przekazać wiedzę na jej temat, jeszcze trudniej pomóc w zrozumieniu jej zagadnień za pomocą tekstu.

Wymaganiu temu stara się sprostać wiele książek, szczególnie tych ukazujących się w ostatnich latach. Sięgając jednak do literatury nieco starszej można znaleźć (nieco zapomnianą) książkę K. Ajdukiewicza *Zagadnienia i kierunki filozofii*, wydaną (choć nakład ze względów politycznych nie dotarł do księgarń) po raz pierwszy w 1949 r. (na bazie innych książek Ajdukiewicza: *Główne kierunki filozofii w wyjątkach z dzieł ich klasycznych przedstawicieli*, Lwów 1923, oraz *Propedeutyka filozofii dla liceów ogólnokształcących*, Lwów 1938) a wznowioną w 1983 r. Już pobieżna jej lektura pokazuje, że pozycja ta posiada pewne interesujące z punktu widzenia dydaktyki filozofii walory, które postaram się poniżej przedstawić.

Autor wywodzący się ze środowiska szkoły lwowsko-warszawskiej jest reprezentantem poglądu, który ogólnie biorąc dałoby się określić mianem racjonalizmu, polegającego na przyznawaniu wartości jedynie wiedzy intersubiektywnie komunikowalnej i kontrolowalnej, a więc dostępnej i sprawdzalnej dla każdego normalnego człowieka. Stąd też bierze się charakter twórczości K. Ajdukiewicza – maksymalnie zwięzły i przejrzysty sposób prowadzenia dociekań.

Taki też charakter ma wspomniana książka. Powstała mianowicie ze wstępu do wpiśniętych filozoficznych, który Autor postanowił następnie rozbudować, przygotowując ich drugie wydanie. Wstęp ów jednak po rozbudowaniu okazał się zbyt obszerny. Postano-

wiono go więc wydać jako osobną książkę. Taką specyfiką jej powstania oraz przeznaczeniem tłumaczy Autor występujące (raczej rzadko) nieścisłości sformułowań. Jak sam jednak pisze, jest to cena, jaką musiał opłacić za przystępność książki. Jej przeznaczenie natomiast widzi w pomaganiu ludziom, którzy zetknęli się już z problematyką filozoficzną, w jej uporządkowaniu i lepszym zrozumieniu.

Analizując książkę od strony formalnej, należy zwrócić uwagę, że napisana jest językiem jak najbardziej przystępnym w stosunku do tak skomplikowanej i trudnej problematyki. Znaczenie wprowadzanych terminów technicznych wyjaśniane jest zawsze na początku tematyki której dotyczą. Podkreślić należy też dbałość Autora o jak największą w stosunku do przystępności precyzję stosowanego języka w wyrażaniu myśli. Suchy i rzeczowy styl ożywiają trafne przykłady i jasno referowane polemiki między omawianymi stanowiskami filozoficznymi. Ajdukiewicz stara się obiektywnie referować problematykę, jak i tok dyskusji na temat przedstawianych zagadnień filozofii. Własne poglądy i analizy (których nie szczędzi) umieszcza na końcu, oddzielając je skrupulatnie od prezentowanych kwestii i stanowisk.

W charakter książki wprowadza przede wszystkim przedmowa Autora, opisująca m.in. historię jej powstania (o czym mowa wyżej). Zapoznanie z dorobkiem K. Ajdukiewicza i jego poglądami filozoficznymi umożliwiał wyczerpujący wstęp K. Szaniawskiego (zawarty jest jedynie w wydaniu z 1983 r. stąd też polecam to młodsze wydanie). Pewne uzupełnienia, i dopowiedzenia od Autora do lektury, znajdzie czytelnik w uwagach końcowych. Dla pełnego obrazu podręcznika warto przeczytać zdjętą przez cenzurę pierwszą wersję fragmentów ostatniego rozdziału książki, zamieszczoną w „Przeglądzie Filozoficznym. Nowa Seria”, I (1992) nr 4.

Układ materiału, podzielonego na dwie zasadnicze części: „Teoria poznania” i „Metafizyka” oraz przyporządkowane im mniejsze bloki tematyczne (odpowiadające rozdziałom i paragrafom), spełnia z punktu widzenia formalnego ważną rolę porządkującą. Daje to efekt przejrzystości i lepszej przystępności treści. Czytelnika szokującego typowego podręcznika może rozczarować brak indeksu oraz bibliografii (czy zestawu opracowań), i to we wszystkich wydaniach. Brak ów jednak jest częściowo usprawiedliwiony charakterem tej książki. Brak indeksu rzeczowego może natomiast (przynajmniej w pewnym stopniu) być zrekompensowany przez spis treści.

Na zakończenie tej formalnej charakterystyki należy zwrócić jeszcze uwagę na rolę Autora w tych rozważaniach. Otóż usiłuje on zająć stanowisko bezstronnego sprawozdawcy, który stara się wnikliwie analizować, referować i podsumowywać wyniki prowadzonych dociekań, ukazując niekiedy ich konsekwencje. Jego rola przypomina jednak rolę przewodnika, po trudnej, zawilej ścieżce.

Podjęciem analizę merytoryczną należy zauważyć, że Autor (mimo pewnych zastrzeżeń) rzetelnie i wyczerpująco przedstawia podstawy problematyki filozoficznej. Z właściwą sobie skrupulatnością referuje treść kluczowych zagadnień filozoficznych oraz przybliżył niemal wszystkie najważniejsze poglądy spośród tych, które miały wpływ na kształtowanie się refleksji na dane tematy.

Autor dzieli problematykę filozofii na dwa zasadnicze działy: teorię poznania i metafizykę. Pierwszą rozumie jako zespół zagadnień związanych z poznaniem, drugą jako zespół zagadnień mówiących o świecie. Pierwszej grupie zagadnień przyporządkowuje

również (jako pochodną) problematykę związaną z logiką, metodologią i częściowo z psychologią. Zagadnieniom szeroko rozumianej metafizyki przyporządkowuje problemy ontologii oraz teorii bytu (rzeczywistości), rozumianej bądź jako konsekwencja analizy poznania, bądź jako metafizyka w sensie ścisłym, a wyrosła z „rozważań nad przyrodą”, bądź jako konsekwencja refleksji nad religią. Porusza więc klasyczną problematykę filozofii.

Określając aspekt badań epistemologicznych, i oddzielając go od psychologicznego, Ajdukiewicz omawia tradycyjne problemy teorii poznania:

1. zagadnienie prawdy;
2. źródeł poznania;
3. granic poznania.

W rozdziale poświęconym zagadnieniu prawdy na uwagę zasługuje m.in. streszczenie polemiki między obrońcami klasycznej definicji prawdy i jej przeciwnikami, jak też samo ustosunkowanie się do powyższego problemu Autora książki (jego argumentacja). Na uwagę zasługuje też sposób prezentacji omawianych problemów: Autor przedstawia stanowiska, jakie zajmowane były wobec nich, a następnie referuje dyskusję między tymi stanowiskami. Zarysowując różnicę między psychologicznym, i epistemologicznym aspektem zagadnienia źródeł poznania, dokonuje analizy poglądów, upatrujących źródła jedynie wartościowego poznania bądź to w poznaniu empirycznym, bądź w poznaniu racjonalnym, bądź też w poznaniu irracjonalnym. W rozdziale ostatnim części I Autor rozważa, czy możemy poznawać cokolwiek, co nie jest naszym przeżyciem psychicznym oraz czy możemy poznać rzeczywistość naprawdę istniejącą, czy jedynie konstrukcje naszego umysłu.

Część druga, poświęcona metafizyce, obejmuje dosyć szeroki zakres zagadnień. Jak już wspomniano wyżej Ajdukiewicz pogrupował je w kwestie wyrosłe z:

1. rozważań nad poznaniem;
2. rozważań nad przyrodą;
3. rozważań nad religią.

Poprzedził je natomiast przedstawieniem problematyki ontologii (która definiuje podstawowe terminy). Z tych to m.in. rozważań oraz z refleksji nad poznaniem wywodzi problem, który omawia w trzecim rozdziale, a mianowicie problem istnienia i rozumienia świata idealnego, jako jedynie prawdziwej rzeczywistości, w przeciwieństwie do świata empirycznie postrzeganego. Chodzi tu więc o tzw. problem natury i wielości rzeczywistości. Dodaje do tego omówienie sporu: realizm – idealizm.

Związane są z tym zagadnienia omawiane w rozdziale czwartym, a dotyczące budowy świata, w tym zasady przyczynowości, wolnej woli, oraz mechanizmu i celowości we wszechświecie. Nie ucieka też Autor przed pokazywaniem roli tych zagadnień w życiu jednostki i społeczeństwa. Stąd też porusza problem duszy ludzkiej, jako jednego z najważniejszych dla człowieka, obok dociekań na temat istnienia Boga, tematu ostatniego rozdziału.

Zarówno zaproponowany podział problematyki, jak i dobór zajmowanych wobec problemów stanowisk wydaje się uwzględniać wszystkie najważniejsze poglądy jakie były formułowane w trakcie rozwoju refleksji filozoficznej nad tymi zagadnieniami. Nasuwają się tu jednak pewne uwagi.

Odnosnie do podziału problematyki należy zauważyć, że podział taki, choć bardzo wartościowy pod względem dydaktycznym, ma pewne niepożądane implikacje o charakterze merytorycznym. Mimo iż nie jest to typologia, ani podział dyscyplin filozoficznych (a jedynie podział wybranych zagadnień), to jednak takie rozłożenie materiału może wywierać przekonanie u czytającego, że zagadnienia m.in.: logiki, metodologii, etyki czy teorii piękna miały charakter marginalny.

Jeśli chodzi o stronę treściową, to nasuwają się tutaj również pewne uwagi.

1. Pierwsza dotyczy doboru prezentowanych stanowisk. Mianowicie Autor omawiając dyskusję dotyczącą istnienia indywidualnej duszy ludzkiej, przedstawia poglądy na ten temat dualizmu umiarkowanego. Zalicza do niego m.in. św. Tomasza z Akwinu. Analizując jednak tylko poglądy skrajnych dualistów, pomija argumentację Tomasza na wspomniany temat, wydaje się – ciekawszą od niektórych przytaczanych argumentów skrajnych dualistów. Zastrzeżenie budzi również sformułowanie jakiego użył Ajdukiewicz referując poglądy Arystotelesa nt. złożenia człowieka z duszy i ciała. Autor pisze mianowicie, że *...ciało jest substancją zdolną do samoistnego istnienia...*, (s. 134) a dusza przysługuje ciału tak jak cecha. Arystoteles natomiast pisał, że: *...nie ma uzasadnienia pytanie: czy dusza i ciało stanowią coś jednego, jak [nie ma sensu pytać], czy wosk i odcisk na nim [stanowią coś jednego] i w ogóle materia jakiegokolwiek rzeczy i to, czemu ona służy jako materia.*¹

3. Przytaczając formułowane w dziejach argumenty za istnieniem Boga Autor pomija ważny argument Tomasza z Akwinu odwołujący się do pierwszej przyczyny istnienia bytów. Tomasz pisał mianowicie że żaden byt przygodny nie ma w sobie racji swego istnienia, a racją tą jest byt konieczny, który jest przyczyną istnienia wszechbytu, czyli Bóg.

4. Ostatnie uwagi odnoszą się do ujęcia znaczenia pewnych terminów. Chodzi tu zwłaszcza o termin „ontologia”. Użyte przez Autora sformułowanie sugeruje, że zajmuje się ona jedynie analizą treści technicznych terminów używanych w teorii bytu. Tymczasem jest to rozumienie znacznie odbiegające od pierwotnego.

5. Zastrzeżenie budzi jednak zasadniczo sformułowanie, że rozważania o Bogu miały (historyczne rzecz biorąc) charakter zasadniczo ontologiczny (w podanym wyżej znaczeniu).

6. Omówiony etap analizy poglądów formułowanych w sprawie rozwiązań klasycznych kwestii filozoficznych kończy Autor zwykle podsumowaniem wyników dyskusji. Nie oznacza to jednak, że podaje jakiegokolwiek rozwiązania. Często więc można wysnuć wniosek, że żadne ze ścierających się stanowisk nie posiada argumentów wystarczających do rozstrzygnięcia sporu, a jedynie takie, które co najwyżej pomogą pokazać słabość argumentacji przeciwnika. Można w takim wypadku postawić zarzut „relatywizmu światopoglądowego”, zwłaszcza że twierdzenie o relatywizmie mogłoby się stać konkluzją przemyśleń potencjalnego ucznia po lekturze omawianej pozycji. Na szczęście jednak nie wszystkie rozdziały kończy Ajdukiewicz w ten sposób, w niektórych zaś (np. ostatni paragraf trzeciego rozdziału) stanowczo opowiada się za określonym stanowiskiem (realizmu a nie idealizmu).

Przytoczone wyżej uwagi nie obniżają jednak wysokich walorów tej książki (z punktu widzenia dydaktyki filozofii). Zasluguje ona na uznanie z kilku powodów.

1. W sposób stosunkowo jasny i dokładny przekazuje podstawowe wiadomości na temat kluczowych zagadnień filozofii oraz historii sposobów ich rozwiązań.

2. Stosunkowo przejrzyste i rzetelnie przedstawia wyniki dyskusji prowadzonych między ścierającymi się stanowiskami filozoficznymi.

Dzięki temu daje możliwość uzyskania orientacji w problematyce filozoficznej, nabycia dyscypliny myślenia i krytycyzmu. Może być największą pomocą dla osób, które zetknęły się już z problematyką filozofii, w uporządkowaniu, rozwijaniu posiadanych wiadomości, i przede wszystkim rozumieniu tej trudnej dziedziny.

Ponadto skłania do wnikliwego rozważenia stawianych zagadnień:

a. wykazując ich ścisły związek z pytaniami, jakie stawia sobie każdy człowiek, poznając otaczający go świat,

b. wskazując na konsekwencje światopoglądowe, wynikające z zajmowania określonego stanowiska filozoficznego.

Może to pomóc nie tylko w lepszym rozumieniu filozofii, ale (niekiedy) także wartości zajmowanych postaw światopoglądowych.

Rec. Kazimierz Ajdukiewicz, *Zagadnienia i kierunki filozofii. Teoria poznania. Metafizyka*, Czytelnik, Warszawa 1983.

Przypisy:

¹ Arystoteles, *O duszy*, Ks. 2, 412 b, s. 70, PWN, t. 3, Warszawa 1992.

Sprostowanie

Z przykrością informujemy, że zamieszczony w numerze 1(14) 1997 „Sriptores Scholarum” konspekt lekcji z filozofii „Postawy wobec śmierci” (s. 134–136) podpisany przez p. Monikę Majewską jest faktycznie fragmentem książki p. prof. Marii Braun-Galkowskiej *W tę samą stronę. Książka dla nauczycieli o wychowaniu i lekcjach wychowawczych*, Warszawa 1994 (lekcja 39 pt. „Umieranie i żałoba”). Panią Profesor i Czytelników serdecznie przepraszamy.

Redakcja

Adam Dobrzyński

Właściwe wprowadzenie do filozofii

Bardzo ważnym wydarzeniem dla prowadzenia edukacji filozoficznej w Polsce jest ukazanie się pracy Thomasa Nagła *Co to wszystko znaczy? Bardzo krótkie wprowadzenie do filozofii*, która pomimo dosyć niepozornego wyglądu, w pełni zasługuje na całkiem poważne potraktowanie.

Jest ona wprowadzeniem w podwójnym sensie. Po pierwsze nie zakłada żadnej uprzedniej znajomości przedmiotu. Powinna być zrozumiała dla każdego czytelnika, który dotąd nie zetknął się z filozofią. Po drugie zaczyna się od przedstawienia pewnego ogólnego poglądu na naturę filozofii, by później przejść do przedstawienia wybranych problemów.

Autor już we wstępie zaznacza, że źródłem filozoficznych pytań jest codzienne doświadczenie człowieka, a ściślej – odczuwana przez każdego potrzeba zrozumienia i nadania sensu zarówno poszczególnym przeżyciom, jak i swemu życiu jako całości. Człowiek nie tylko bytuje lecz również pyta o rację i sens wszelkiego bytowania, o jego ostateczne źródło. Pytania te stanowią istotę filozofii, a „bezpośredni namysł nad nimi jest najlepszym początkiem studiów filozoficznych” (s. 6).

A ponieważ według Nagła „zamiast od razu zagłębić się w filozoficzne teorie, lepiej jest zrozumieć najpierw na czym ma polegać zagadkowość kwestii, które teorie te mają rozstrzygnąć” (s. 8), nie prezentuje on *explicite* żadnej teorii filozoficznej, a w całej pracy nie pada nazwisko jakiegokolwiek filozofa (jest konsekwentny do tego stopnia, że nawet referując Kantowską teorię imperatywu kategorycznego nie wspomina ani słowem o jej twórcy).

Mimo skromnej objętości zakres zagadnień poruszanych w książce jest bardzo rozległy (od kwestii metafizycznych i epistemologicznych, po zagadnienia antropologiczne, etyczne, a nawet *eschatologiczne*). Natomiast każde specjalistyczne zagadnienie filozoficzne Autor poprzedza prezentacją jakiegoś ogólnie zrozumiałego problemu.

Przykładem ilustrującym zagadnienie wolnej woli (rozd. VI) jest sytuacja, kiedy siedząc w barze i mając do wyboru kawałek czekoladowego tortu z pysznym kremowym przybraniem oraz brzoskwinie, po chwili wahania wybieram tort. Zdaję sobie sprawę z tego, że aż do chwili w której decyduję o tym, że chcę zjeść tort czekoladowy, nic nie określa w sposób nieodwołalny jaki będzie mój wybór. Wybór nie jest z góry określony. Co to jednak znaczy? Czym jest to coś, co zwiemy wolną wolą; czy w ogóle coś takiego jak wolna wola tak naprawdę istnieje?

W podobny sposób czytelnik jest wprowadzony także w pozostałe zagadnienia, czyli problem wiedzy, dobra i zła, sprawiedliwości, śmierci oraz sensu życia. Charakterystycz-

ne dla Autora jest to, że nie daje jakichkolwiek „ostatecznych” rozwiązań na pytania, które rozważa.

Obcy jest mu jakikolwiek dogmatyzm i uparte obstawanie przy „świętości” tradycyjnych przekonań. Co więcej, Nagel rozwiewa wszelkie złudzenia, jakoby filozofia zdolna była do rozwiązania choćby części z zasadniczych pytań, jakie sobie stawiamy. Przestrzega również przed szukaniem w niej rozwiązań praktycznych problemów społecznego czy indywidualnego życia.

Jego rola ogranicza się do prezentacji możliwych odpowiedzi na postawione wcześniej pytania, wybór określonego stanowiska pozostawiając odbiorcy. Nawet jeżeli czasem zdradzi swój pogląd na jakiś temat, mówiąc na przykład, że ma wątpliwości, czy rzeczywiście Bóg jest ostatecznym wyjaśnieniem sensu istnienia człowieka, to jednak zaraz dodaje, że wątplenie to płynie stąd, że nie jest pewny, czy rozumie ideę Boga (rozdz. X).

Oprócz pozytywów *Co to wszystko znaczy?* posiada również pewne słabe strony. Uważny czytelnik szybko spostrzeże, iż Autor omawianej pozycji jest myślicielem z kręgu filozofii analitycznej. Mimo wysiłków na rzecz maksymalnego obiektywizmu, osobiste preferencje Autora można odczytać prawie z każdej strony książki. Ma to odbicie już w doborze problemów, które Nagel uważa za najbardziej istotne dla filozofii. Najbardziej wyeksponowane są zagadnienia dotyczące problemu wiedzy, innych umysłów, stosunku umysłu do ciała i znaczenia słów. Natomiast zupełnie na marginesie pojawiają się zagadnienia stanowiące tradycyjny przedmiot rozważań filozofii.

Ponadto ucieczka Autora od dogmatyzmu, przez samo wymienienie większości możliwych rozwiązań danego problemu, może być niebezpieczna. Książka jest bowiem adresowana do czytelnika który prawdopodobnie nigdy wcześniej nie zetknął się z filozofią. Będąc zaś zupełnym nowicjuszem nie potrafi on dokonać w pełni świadomego wyboru jednego z prezentowanych mu rozwiązań.

Niepokój budzi również nieuprawomocnione zastosowanie skrajnego empiryzmu w kwestiach wiary. W rozdziale IX Autor sugeruje, iż „na gruncie zwykłej obserwacji [...] wiara w życie pozagrobowe pozbawiona jest racji” (83). Empiryzm nie jest przecież jedynym sposobem myślenia o świecie. Równie wartościowe może być poznanie bazujące na źródłach pozaracjonalnych. Nie ma żadnego oczywistego powodu, by uznać, że to właśnie poznanie racjonalne jest najlepsze.

Mimo tych niewątpliwych niedociągnięć, otrzymaliśmy książkę bardzo ważną, książkę – poza tym – dobrze napisaną, a więc posiadającą także walory dydaktyczne. Sposób wykładu (żywy, niestereotypowy) jakiego dokonał Autor zwiększa atrakcyjność przekazywanych tu, niełatwych przecież, treści filozoficznych, a ponadto – co bardzo ważne – umożliwia historyczne zrozumienie współczesności.

Natomiast ze względu na swoją niewielką objętość, może ona w znakomity sposób skłonić do sięgnięcia po bardziej poważną lekturę. Jeżeli zostanie potraktowana jako „bardzo krótkie (a co za tym idzie także pobieżne) wprowadzenie do filozofii” mające wyłącznie zachęcić do głębszego zainteresowania się tą dziedziną wiedzy, jej rola zostanie w pełni zrealizowana.

T. Nagel, *Co to wszystko znaczy? Bardzo krótkie wprowadzenie do filozofii*. Przeł. M. Szczubiałka, Wydawnictwo *Spacja*, Warszawa 1993, ss. 96.

Bardzo krótka zniechęta do filozofii

Książka zawiera dziesięć rozdziałów, z których pierwszy pełni rolę wprowadzenia, zaś pozostałe dziewięć dotyczy:

1. Teorii poznania: *Skąd wiemy o czymkolwiek* (rozd. II), *Inne umysły* (rozd. III), *Znaczenie słów* (rozd. V).

2. Antropologii filozoficznej: *Zagadnienie ciała i umysłu* (rozd. IV), *Wolna wola* (rozd. VI), *Śmierć* (rozd. IX), *Sens życia* (rozd. X).

3. Etyki: *Dobro i zło* (rozd. VII), *Sprawiedliwość* (rozd. VIII).

Budowa rozdziałów jest następująca: są one podzielone na dwie części: jedną z nich jest przedstawienie niektórych – niekoniecznie reprezentatywnych – stanowisk, dotyczących danego tematu, zaś drugą jest – prowokacyjne często – ustosunkowanie się autora do tych stanowisk, z wyluszczeniem własnego poglądu. Dodać należy, że nie zawsze części te są oddzielone przestrzennie, jednak łatwo jest je zauważyć z powodu, który przedstawię poniżej – książka została napisana dla zupełnych nowicjuszy filozoficznych.

Książka pomyślana została jako „bardzo krótkie wprowadzenie do filozofii” i przeznaczona jest dla ludzi, którzy nie mieli żadnego kontaktu z zagadnieniami filozoficznymi, poza tą najbardziej spontaniczną i nieuświadomioną filozofią, jaką uprawia każdy, kto stawia sobie pytania dotyczące podstaw swojego życia: tego, dzięki czemu i po co żyje, a także podstawowych kwestii etycznych, takich jak problem istnienia dobra i zła oraz problem dobrego i złego życia. Zamierzeniem autora jest sprowokowanie czytelnika do postawienia sobie pytań, które nie tylko są „jądrem filozofii”, ale będących jednocześnie problemami zastanawiających się ludzi.

Nie można podać jednego, ogólnego tematu książki, ponieważ jako wprowadzenie stara się ona przedstawić możliwie szeroką problematykę filozoficzną, pogrupowaną w działy, o których wspominałem powyżej. Gdybym chciał wskazać taki temat, musiałbym przedstawić najogólniejsze założenie, na którym nabudowana jest książka.

Założeniem tym jest sceptyka – albo przynajmniej sceptycyzująca – teza, że **nie możemy zdobyć wiedzy pewnej**. Mówię „sceptycyzująca”, ponieważ autor sprawia wrażenie, że uwikłał się w pewien dualizm – pewne przesłanki nakazują mu zgodzić się z przekonaniem, że nie możemy w gruncie rzeczy niczego poznać w sposób nie ulegający wątpliwości, ale zdaje się też poszukiwać jakichś pewnych i ostatecznych rozwiązań, w świetle których dokonuje krytyki poglądów innych niż jego; widać to szczególnie w rozdziale X pt. *Śmierć*.

Przyjęcie tej tezy zaowocowało niechęcią autora do twierdzenia, że jego pogląd jest słuszny, co jest widocznie w wielokrotnie pojawiającym się stwierdzeniu, że pomimo

tego, iż on zajmuje takie właśnie stanowisko, nie zamierza jednak nikogo do niego przekonywać. Jest to konsekwencja tezy wyjściowej, ponieważ jest całkiem możliwe, że on także nie ma racji w tym, co mówi. Stanowisko to jest sprytną ucieczką od zarzutu, który stawiany jest sceptykom, że jeśli przyznamy im rację, to przyznamy im ją na jakiejś podstawie, którą poznaliśmy, a jeśli tak, to nie ma racji do kontynuowania sceptycyzmu.

Jednocześnie przyjęcie tej tezy jest powodem płytkości dawanych odpowiedzi, jako że autor odcinając się od dziedzictwa filozofii klasycznej uniemożliwia sobie oparcie się na solidnych podstawach. Jest to powodem zdecydowanie faktograficznego charakteru rozdziału VIII pt. *Sprawiedliwość*, gdzie autor ogranicza się zasadniczo do przedstawienia problemu równości ludzkiej w kontekście uwarunkowań społeczno-ekonomicznych i przedstawienia kilku rozwiązań o takim właśnie charakterze.

Problem filozofii prezentowanej przez Nagela jest taki, jak u np. empirystów brytyjskich XVII w., u których koncepcja teorii poznania wpływa w sposób decydujący na rozwiązania zagadnień filozoficznych z pozostałych dziedzin. Co więcej, koncepcja ta uniemożliwia zasadniczo filozofowanie, ponieważ jeśli poszukujemy w filozofii rozwiązań i jednocześnie stwierdzamy, że niczego z całą pewnością nie możemy poznać, to filozofia traci swój sens i pozostają tylko nauki szczegółowe, które – jeśli potraktowane zostaną jako jedyne naukowe poznanie – zubożą nasz obraz świata, bo zamkną nas w jakimś jednym czy najwyżej kilku aspektach dotyczących rzeczywistości. Cóż z tego, że znam budowę atomu i strukturę chemiczną chlorofilu B, skoro nie potrafię powiedzieć, kim ja jestem? Bez poznania filozoficznego nie tylko nie ma możliwości wyrobienia sobie światopoglądu, którym będziemy się kierować w życiu, ale także badania nauk szczegółowych są jakby „zawieszane” w próżni. Naukowcy przyjmują bowiem, że ich poznanie jest poznaniem wartościowym, a jedynie filozofia może wykazać, że tak jest rzeczywiście. Cóż by bowiem było, gdyby nagle okazało się, że nie dysponujemy poznaniem mogącym doprowadzić nas do prawdy? Postaram się więc sięgnąć do samego dna, do samych podstaw nie tylko poznania, ale samego człowieka, a raczej jego zachowania, by wykazać, że teza głoszona przez Nagela jest bezzasadna.

Oto główne punkty argumentacji Nagela za niemożliwością stwierdzenia, czy wiemy cokolwiek poza tym, że istniejemy:

1. Punktem wyjścia jest stwierdzenie, że u podstaw wszelkich przekonań leżą przeżycia, myśli, uczucia, doznania zmysłowe i że wszystko, co do nas dociera, dociera tylko za ich pośrednictwem. Stąd rodzi się pytanie skąd wiemy, że istnieje coś innego od nich, skoro tylko z nimi mamy kontakt.

2. Jeśli zechcemy odpowiedzieć, że bez rzeczy zewnętrznych w stosunku do nas nie istniałyby doznania, bo zmysły muszą zostać przez coś pobudzone, aby doznania zaistniały, to należy dalej zapytać skąd to wiemy. Musimy zadać to pytanie, jeśli chcemy upewnić się, że poznajemy prawdziwie.

Ponadto gdybyśmy chcieli w ten sposób uzasadniać istnienie świata zewnętrznego, popełnilibyśmy błąd błędnego koła, ponieważ istnienie świata uzasadnialibyśmy samym istniejącym światem. Rozumowalibyśmy wtedy tak: Wiemy, że świat istnieje, ponieważ mamy doznania zmysłowe istniejących rzeczy; mam te doznania tylko dzięki temu, że świat istnieje, bo gdyby nie istniał, nie mielibyśmy doznań.

3. Dalej można postawić pytanie, czy rzeczy wydawałyby mi się inne, gdybyśmy nieustannie śnili, nie mając możliwości zbudzenia się ze snu. Innymi słowy, gdyby całe na-

że życie było życiem urojonym, a my nie moglibyśmy skonfrontować tego urojenia z rzeczywistością, to byłoby ono dla nas tak rzeczywiste, jak dla innych jest rzeczywiste to, co nie jest snem.

4. Tak czy inaczej nie jest sprzecznym twierdzenie, że nie istnieje nic poza mną – stanowisko to zwie się solipsyzmem.

5. Solipsyzm wykracza poza doświadczenie – na gruncie zawartości umysłu nie mogę stwierdzić, że nic poza mną nie istnieje i dlatego należy wyciągnąć wniosek skromniejszy – że nie jestem w stanie poznać czy i jakie coś jest.

6. Ponieważ świadomość nasza dotyczy tylko momentu teraźniejszego, można mieć wątpliwości, co do wcześniejszego istnienia zarówno nas samych, jak i świata.

7. Antysceptycy twierdzą, że moje doświadczenia muszą mieć swoje przyczyny. Sceptyk zapyta, jakie to przyczyny i skąd wiem, że wszystko musi być uprzączynowane. Odpowiedź, że jest to pewność pierwotniejsza od filozofii nie jest wystarczająco silna, by skutecznie polemizować z filozofem sceptycznym. Na gruncie nauki także nie można dowieść istnienia przyczyn, bo poznanie naukowe dziedziczy całą słabość percepcji.

8. Wielu argumentuje przeciwko sceptycyzmowi twierdząc, że jest on pozbawiony sensu, ponieważ aby wątpić w istnienie świata zewnętrznego, tj. przyjmować twierdzenie, że śnimy, musimy jednocześnie przyjąć twierdzenie, że istnieje rzeczywistość, ponieważ tylko przez porównanie z rzeczywistością mogę powiedzieć, że coś jest snem. Skoro tak jest, to sceptyk oszukuje sam siebie, bo stara się wyobrazić sobie, że świat zewnętrzny nie istnieje. Autor odpowiada, że jeśli coś istnieje, to jest obserwowalne, ale nie odwrotnie, a sceptyk przyjmuje pierwotność postrzeżeń wobec świata i dlatego pyta, czy świat zewnętrzny istnieje.

9. Z przedstawionych powyżej twierdzeń Nagel wyciąga wniosek, że większość naszych przekonań o świecie podtrzymujemy, mimo że (a) mogą być całkowicie fałszywe i (b) w żaden sposób nie da się wykluczyć tej możliwości, tzn. nie jesteśmy w stanie poznać ani istnienia świata, ani jego właściwości.¹

Aby odeprzeć przedstawioną wyżej argumentację, trzeba zauważyć, że autor popelnia następujące błędy:

1. Przyjmuje ciąg w nieskończoność w uzasadnianiu, gdyż zawsze pyta skąd wiesz to, co wiesz, skąd wiesz, że wiesz to, co wiesz itd. Przy takim podejściu faktycznie wiedza nie jest możliwa, a bycie konsekwentnym w zajmowaniu tego stanowiska prowadzi do absurdu, ponieważ mamy tu do czynienia z ciągiem w nieskończoność w uzasadnianiu, a ciąg taki nie jest możliwy, na co wskazał już Arystoteles.²

2. Ponieważ autor nieustannie zadaje pytanie „Skąd to wiesz?”, można więc zapytać, skąd wiemy, że nie jesteśmy jedynie uludą kogoś śniącego. Przecież wielokrotnie we śnie wydaje mi się, że jestem np. Arnoldem Schwarzeneggerem (a śniąc nie zdaję sobie sprawy z tego, że jedynie wydaje mi się, że nim jestem) i jednocześnie nie mogę wykazać sprzeczności tezy o tym, że życie moje może być nieustającym snem (i to snem kogoś innego), a to znaczy, że także ja mogę nie istnieć. Nie jest to twierdzenie sprzeczne, ale jednocześnie nie jest twierdzeniem sprzecznym twierdzenie o realności świata zewnętrznego. Mamy tutaj do czynienia z dwiema tezami niesprzecznymi, z których jedna głosi coś o możliwości, a druga o faktyczności. Obie są prawdopodobne, lecz należy raczej przyjąć tezę o istnieniu świata, niż o możliwości bycia uludą.

3. W poznawaniu przyznaje wiodącą rolę metapoznaniu i z faktu, że nie jesteśmy w stanie wyjaśnić jakiegoś faktu wyciąga wnioszek, że fakt ten może nie zachodzić. Jest to błędem, ponieważ w każdym postępowaniu naukowym punktem wyjścia są fakty, a teorię je wyjaśniającą wypracowuje się na końcu. To, że nasza dotychczasowa wiedza jest za mała, czy też to, że fakty chwilowo nas przerastają nie uprawnia nas w żaden sposób do stwierdzenia ich niezachodzenia. Gdybyśmy mieli do tego prawo, to dziewiętnastowieczni fizycy musieliby kategorycznie stwierdzić, że pole magnetyczne nie istnieje, bo oni nie potrafili wskazać jego przyczyn. Dla każdego jest jasne, że najpierw poznajemy, a dopiero potem pytamy, skąd wiemy, że poznajemy, że poznajemy słusznie albo popełniamy błędy. Do tego, żeby stwierdzić, czy coś jest dla kogoś dobre nie potrzeba wcale wiedzieć, czym jest dobro i tak samo, by poznawać, nie potrzebujemy wiedzieć, czym jest poznanie. Jest to rzecz wtórna, a rzeczy wtórne mają to do siebie, że rzeczy pierwotne nie potrzebują rzeczy wtórnych do swojego istnienia.

4. Wniosek, który autor wyciągnął jest spowodowany jego oderwaniem się od zdroworozsądkowej bazy poznawczej. Oczywiście zdrowym rozsądkiem nie można uzasadniać wszystkiego np. odległości Ziemi od Słońca, ale jego deprecjacja prowadzi do konstrukcji najdziwniejszych teorii po to tylko, aby w sposób niesprzeczny uzasadnić jakąś tezę. To, że teorie te są najdziwniejsze przyznaje każdy, kto poczyta np. o Malebranche'a koncepcji przyczyn okazjonalnych.

5. W podsumowaniu popełnia błąd logiczny – stwierdza mianowicie, że poznanie nasze jest niewiarygodne ze względu na istnienie możliwości błędu i na niemożliwość wykluczenia tej możliwości. Jest to przejście od możliwości do konieczności (od zdania problematycznego do zdania apodyktycznego), a przejście takie nie jest możliwe i jako takie dyskwalifikuje rozumowanie autora i obala jego tezę (chyba że zapyta skąd wiem, że ta logika jest prawdziwa, ale już Arystoteles mówił, że z ludźmi zadającymi takie pytania rozmowa nie jest możliwa i że najlepiej zrobić, jeśli nie będą się odzywać, bo samo założenie, które przyjmują ich do tego zmusza)³.

Ponadto zachowanie nasze przeczy takiej tezie, o czym sam autor mówi. Czy możliwe jest działanie ludzkie, moje działanie, jeśli nie wiem, co powinienem zrobić, żeby np. zapalić lampę? Czy możliwa jest tak totalna rozbieżność pomiędzy sferą poznania a sferą działania, żeby działać w oparciu o niepewne poznanie (naturalnie nie mówię o stanach chorobowych, w których różne rzeczy są możliwe)? Jeśli odpowiadamy twierdząco, należy przyjąć, że w swoim działaniu człowiek opiera się na instynkcie. Ale skoro umysł nasz nie daje możliwości poznania pewnego, a działanie oparte jest na instynkcie, to zasadniczo umysł nie jest czymś aż tak istotnym, jak mogłoby się zdawać. Należałoby w takim razie przyznać, że człowiek jest najgłupszą istotą na ziemi, skoro działa w kierunku czegoś, co może w ogóle nie istnieć i działa w tym kierunku z pełną tego świadomością. Jedyнным rozsądnym działaniem byłoby leżenie na łóżku i czekanie na łaskawą śmierć (co jest możliwe jedynie przy nieuzasadnialnym założeniu, że łóżko i śmierć istnieją).

Zresztą przyjęcie tezy sceptycznej o niemożliwości stwierdzenia, czy coś jest czy nie jest uzasadnione wikała nas w sprzeczność, ponieważ z jednej strony przyjmujemy brak racji ku temu, by uznać jakąś tezę za uzasadnioną, a z drugiej przyjmując tę tezę przyjmujemy, że jest ona jakoś uzasadniona, skoro ją przyjmujemy. Należy ją więc jako sprzeczną odrzucić. Pozostają wtedy dwie drogi: albo w sposób kategoryczny stwierdzimy niemoż-

liwość uzasadnienia czegokolwiek, albo przyznamy, że możemy poznawać i uzasadniać nasze poznanie. Droga pierwsza jest obciążona tą samą trudnością, co teza sceptyczna, bo żeby ją przyjąć, musimy mieć dla niej uzasadnienie, a wtedy nie możemy mówić, że nie jesteśmy w stanie niczego poznać. Pozostaje więc jako jedyna teza o możliwości poznania świata i uzasadnienia naszego poznania.

Pamiętać należy, że brak uzasadnienia dla jakiejś tezy nie jest równoznaczny ze stwierdzeniem, że nie możemy poznać przedmiotu, do którego ta teza się odnosi. Twierdzenie, iż brak uzasadnienia jest tym samym, co niemożliwość poznania czegoś, jest poważnym błędem, następuje tu bowiem pomieszczenie języka przedmiotowego, którego używamy do mówienia o rzeczach, z metafizycznym, używanego do mówienia o wyrażeniach językowych.

Ponadto zgodzenie się na sceptycyzm nieuchronnie prowadzi do agnostycyzmu. Jeżeli bowiem nie możemy w żaden sposób stwierdzić, czy to, co wiemy, jest prawdziwe czy fałszywe, tzn. nie możemy odróżnić prawdy od fałszu, to umysł zostaje „nieuszkodliwy” w swojej funkcji poznawczej, gdyż powstaje wtedy kompletny chaos – umysł zalega olbrzymia liczba informacji, które są bezużyteczne jako nieweryfikowalne.

Zresztą żeby być konsekwentnym w sceptycyzmie do końca trzeba przyjąć, że poznanie w zakresie nauk szczegółowych także nie jest możliwe, skoro filozofia jako nauka najogólniejsza podważa możliwość poznania, które jest przecież działaniem jednego (w sensie metafizycznej zasady tożsamości i niesprzeczności) podmiotu poznającego. Nie może być przecież tak, by dla filozofii świat nie istniał (albo żeby przynajmniej nie był poznawalny), a żeby istniał dla nauk szczegółowych.

Jeszcze jedną konsekwencją przyjęcia sceptycyzmu byłoby zniszczenie etyki i wszelkich nakazów moralnych, ponieważ tak etyka, jak i te nakazy wypływają z poznania tego, co jest dobrem, a co złem. Nieistotne byłoby wtedy, co jest normą moralności, ponieważ jedynym kryterium, jakim moglibyśmy się kierować w postępowaniu (skoro obiektywne kryterium jest niepoznawalne) byłoby tylko wewnętrzne odczucie, dotyczące dobra i zła moralnego, gdyż nawet pożyteczność jakiegoś czynu nie mogłaby odgrywać roli probierza dobra i zła, bo to, co jest pożyteczne dla jednego, nie musi takim być dla kogoś innego. A jeżeli w ocenianiu czegoś pod kątem moralności opieramy się na subiektywnym odczuciu, to nie tylko etyka, ale i sama moralność (rozumiana jako obiektywny stosunek czynu do normy moralności) staje się pozbawiona podstaw.

Polemika moja z poglądami zawartymi w książce Nagela przeprowadzona została z pozycji realistycznych i empiryczno-zdroworozsądkowych. Jestem bowiem przekonany, że mimo możliwości ludzenia nas przez zmysły i błędnego osądzania danych zmysłowych przez rozum, doświadczenie zmysłowe nie wprowadza nas w błąd tak wielki, jakim byłoby twierdzenie, że świat istnieje, gdyby on nie istniał. Pewność odnosząca się do istnienia świata jest dla mnie punktem wyjścia do wszelkich rozważań na temat natury tak samego świata, jak człowieka i poznania ludzkiego.

Podsumowując należy powiedzieć, że omawiana książka, jako pozycja mająca spełniać rolę wprowadzenia i zachęty do filozofii roli tej nie spełnia. Zniechęca raczej do zajmowania się filozofią, ponieważ autor nie tylko nie stara się przedstawić wartości wiedzy filozoficznej, ale stara się przekonać czytelnika, że wiedza taka nie jest możliwa. Można jednak znaleźć w książce Nagla niewątpliwe zalety, które odkryje raczej czytelnik wprawiony w czytaniu literatury filozoficznej.

Zaletą pierwszą jest to, że książka daje możliwość treningu intelektualnego poprzez prowadzenie dyskusji ze sceptykami. Pomaga to w wychwytywaniu błędów w poglądach tak cudzych, jak własnych, albowiem sceptycy są dość wymagającymi partnerami w dyskusji. Pomaga także w wyrobieniu własnego stanowiska.

Drugą zaletą jest wezwanie do krytycyzmu w poznaniu. Problemy, które podnosi Nagel powodują, że zauważamy konieczność dokładnego przyglądania się różnym tezom.

Zaletą trzecią i kto wie, czy nie najważniejszą, jest wskazanie na ograniczoność naszej wiedzy. Nie jesteśmy w stanie poznać świata w ten sposób, by nie pozostało już nic do poznania, świadomość czego chroni nas przed zbytnim wywyższaniem się ponad świat, a także ponad tych bliźnich, którym nie jest dany umysł tak błyskotliwy, jak by tego chcieli. Prowadzi to do wyrobienia sobie cnoty pokory, ale wzmaga jednocześnie dążenie do prawdy.

Przypisy:

¹ Zob.: Thomas Nagel, *Co to wszystko znaczy? Bardzo krótkie wprowadzenie do filozofii*, s. 18

² Zob.: Arystoteles, *Metafizyka*, ks. II, 994a – 994b, Lublin 1996, s. 87–94.

³ Zob.: Arystoteles, *Metafizyka*, ks. IV, 1006a – 1007a, Lublin 1996, s. 168–188.

Grzegorz Rasiński

Arystotelesa krytyka systemu platońskiego, czyli krytyka teorii Idei

Wstęp

Zanim przejdziemy do rozważań dotyczących krytyki systemu platońskiego, zastanówmy się w jaki sposób ona powstała, jaki był jej cel i co było podłożem w zaistnieniu zmiany koncepcji pojmowania świata przez Arystotelesa poprzez odrzucenie systemu platońskiego. Trudno jest przeprowadzić granicę między tym co platońskie, a tym co nie pochodzi od Platona, w poglądach Arystotelesa. Najwyraźniej widać, że nawet sformułowana przez Arystotelesa krytyka systemu jego nauczyciela zawiera pewne pierwiastki platońskie. Może nie tyle odwołuje się do samego Platona, ale dotyczy także jego poprzedników (Heraklit, Pitagoras, Sokrates), których to Platon w swoich rozważaniach próbował zsynkretyzować. Jeśli chodzi o samą krytykę, to można ją podzielić na trzy etapy:

I. łagodny krytycyzm (jeżeli można w ogóle to nazwać krytyką), powstał jeszcze za życia Platona w czasie rozkwitu jego Akademii;

II. umiarkowany krytycyzm (tuż po śmierci Platona w momencie przekształceń, jakie dokonywały się w jego Akademii);

III. wyraźny krytycyzm (powstał już w założonej przez Arystotelesa akademii w Assos).

Ad. I. Pierwszy etap, który można uznać za początek formowania się krytyki systemu platońskiego, który był niejako jej zalążkiem, choć tylko lekko zarysowanym (mimo, iż był to ważny czynnik kształtujący sam proces powstawania tej krytyki) związany jest pośrednio z Eudoksosem z Kuidos postacią, która wywarła ogromny wpływ na poglądy Platona. Dzięki niemu do Platona przeniknęły za pośrednictwem Zoroastri pewne wpływy Wschodu, zmieniając jego koncepcję myślową i odcinając go (w niewielkim stopniu) od poglądów jego poprzedników. Platon staje się teraz mistykiem, entuzjastą, przejawia się u niego pewien rodzaj irracjonalizmu. Arystoteles w tym momencie zaczyna powoli w swoich poglądach oddalać się od swego nauczyciela, przyjmując racjonalizm, dowodząc wyższości rozumu i krytykując entuzjazm wobec mistyki.

Ad. II. Okres krytycyzmu, tzw. średni przypadeł na rozkwit Akademii platońskiej, gdzie następowało wówczas zatracanie poglądów sokratejskich. W tym okresie po raz pierwszy pojawia się w dziełach Arystotelesa (*O niebie*, *O filozofii*) krytyka systemu platońskiego. Widzimy tu u Arystotelesa wyraźną próbę przetworzenia filozofii platońskiej w duchu swych własnych założeń.

Ad. III. Okres wyraźnego krytycyzmu polegał na wyraźnym odejściu Arystotelesa od poglądów Platona i uwidocznił się w jego głównych dziełach (*Metafizyka*, *Fizyka*, *Etyka Eudajmejska*), w których to przeprowadził ostrą krytykę systemu swego mistrza. Krytyka ta dotyczy głównie i przede wszystkim platońskiej teorii Idei.

W dalszej części naszej pracy zajmować się będziemy właśnie tym ostatnim okresem.

Aby jeszcze prościej zobrazować problem, jaki sam się nasuwa w naszej pracy, wróćmy do pytania postawionego na początku. Pytania o cel krytyki platońskiej teorii. Odpowiedź jest prosta i zwięzła. Arystoteles system platoński krytykuje w duchu zasady sformułowanej w *Etyce Nikomachejskiej*. „Zdaje się chyba jednak, że może lepiej jest, iż trzeba dla ocalenia prawdy poświęcić nawet to co jest nam bardzo bliskie – zwłaszcza jeśli się jest filozofem, bo gdy jedno i drugie jest drogie, obowiązek nakazuje wyżej cenić prawdę.” Tak więc widzimy wyraźnie iż celem jaki sobie stawiał Arystoteles krytykując system platoński było odnalezienie prawdy.

Tyle tytułem wstępu. Teraz przejdziemy już do szczegółowego omawiania krytyki koncepcji platońskiej.

Krytyka Idei jako krytyka podziału substancji

Głównym zarzutem jaki Arystoteles stawiał Platonowi, było oddzielenie w naukach Platona tego, co Arystoteles nazywał „substancją i istotą” (przyczyną formalną), od rzeczy (substancji) konkretnych, „czyli ciał postrzeganych zmysłowo”. Otóż Platon przyjmował, że „Każdej [...] rzeczy odpowiada jakiś byt o tej samej nazwie, który istnieje niezależnie od substancji.” W doktrynie Platona istnieje więc głęboki dualizm – oddzielenie niezależnie od siebie istniejących światów: doskonały świat Idei i świat materialny, będącym „naszym” odbiciem świata Idei. Dualizm platoński możemy też zaobserwować na płaszczyźnie formułowania sądów językowych: „logos”. Bardzo dobrze przedstawia ten problem jeden z najwybitniejszych współczesnych niemieckich historyków filozofii Ernst von Aster:

„Zdaniem Platona, sądy formułowane językowo „logos” odzwierciedlają strukturę świata Idei, od najwyższego pojęcia do pojęć niższych. Zdaniem Arystotelesa natomiast odzwierciedla się w nich struktura rzeczy jednostkowych, do których odnoszą się wszystkie nasze wypowiedzi.”

Jeżeli chodzi o samo poznanie, to zarówno Platon, jak i Arystoteles przyjmowali, że prawdziwe poznanie jest poznaniem ogółu (tego co ogólne). Jednostkowe, złożone z materii rzeczy są zarówno dla Platona, jak i Arystotelesa niepoznawalne. Doskonałym potwierdzeniem tego spostrzeżenia może być cytat z książki Kazimierza Leśniaka: „Bez ogółu wielość rzeczy byłaby zgoła niepoznawalna, co więcej niemożliwa by była jakakolwiek nauka. W tym względzie Arystoteles przyznawał słusność Platonowi...”. Jednak pojawiają się pewne różnice w dualistycznym pojmowaniu substancji przez Platona. Czytamy dalej:

„...ale nie mógł się zgodzić na oddzielenie ogółu od poszczególnych rzeczy.”

Jeżeli teraz za Platonem przyjmujemy, że istnieje obok świata konkretnych rzeczy świat odpowiedników pojęć ogólnych, świat Idei, to jak ten świat będzie się miał do świata materialnego, i jakie będzie wówczas możliwe poznanie? Takie zapewne pytanie mógł

Platonowi postawić Arystoteles, będąc jeszcze jego uczniem. Przyjrzyjmy się więc odpowiedzi Platona.

Otóż według Platona rzeczy konkretne „uczestniczą” w odpowiadających im ideach, stając się poprzez nie tymi a nie innymi rzeczami, oraz otrzymując taką nazwę, jak nazwa określającej je idei. I tak Sokrates będąc człowiekiem „uczestniczy” w idei człowieka, stając się dzięki temu uczestniczeniem człowiekiem, koń uczestniczy w idei konia, stając się dzięki temu uczestniczeniem koniem, i podobnie ze wszystkimi innymi rzeczami. Poznanie zaś konkretnego człowieka jako człowieka, czy konia jako konia, jest możliwe tylko przez wzniesienie się do świata Idei, i zobaczenie tejże „Idei” człowieka czy konia. Tak więc wpatrywanie się w tego konkretnego człowieka (np. Sokratesa), czy tego oto konkretnego konia (Bucefała) jest według Platona, zupełnie niepotrzebne dla prawdziwego poznania. Należy raczej wpatrywać się w samego siebie, aby przypomnieć sobie świat Idei – idei człowieka czy idei konia – który pozostał w duszy, oglądającej przed wcieleniem świat Idei. Według Platona należy odrzucić wszelkie dane zmysłowe, które nie tylko, że są dla prawdziwego poznania nieprzydatne, lecz również uniemożliwiają je. Konsekwencją doktryny Platona było więc całkowite odrzucenie doświadczenia. Z tą konsekwencją nie mógł się w żaden sposób zgodzić Arystoteles, który uważał, że: „wiedza naukowa i umiejętności praktyczne wypływają u ludzi tylko z doświadczenia”. Odrzucając doświadczenie odrzucamy więc możliwość wiedzy naukowej”, a więc możliwość poznania. Dlatego też platońska teoria idei była dla Arystotelesa nie do przyjęcia. A oto argumenty jakie Arystoteles przytocza przeciwko platońskiej koncepcji świata Idei.

Arystotelesowskie argumenty przeciwko Platona teorii Idei

I. Krytyka koncepcji uczestniczenia.

Pierwszym argumentem jest ten, że Platon przyjmując istnienie Idei jako oddzielnych bytów, niepotrzebnie podwaja byty (rzeczy) już istniejące „tak jakby ktoś, kto chciałby policzyć rzeczy, sądził, że nie potrafi tego dokonać, ponieważ jest ich za mało, a jeżeli powiększy ich liczbę, to potrafi je policzyć.” Aby „uczestniczyć” w Ideach muszą mieć wspólną „substancję”; rzeczy bowiem uczestniczą w ideach substancjalnych (Idee sprawiają, że poprzez uczestniczenie w nich rzeczy są tym czym są). Jeżeli zaś tak jest, to „(...) Idee będą substancją, ale w takim razie to, co oznacza substancję w tym świecie, oznacza ją również w świecie Idei (...)” W takim razie substancje rzeczy konkretnych i substancje Idei będą tym samym. Czym więc się one od siebie różnią? A jeżeli nawet ich (substancji) „formy” różnią się od siebie, to czyżby jedynym czynnikiem, co łączy je z rzeczami były nazwy? „Ależ – mówi Arystoteles – to tak jakby ktoś „Kalliasa i drewnianą statwę nazwał <<człowiekiem>>, nie dostrzegając niczego wspólnego między nimi.” Tak więc skoro substancja rzeczy i substancja Idei nie różnią się od siebie, to należy odrzucić – jako niepotrzebne podwojenie bytów – świat idei, o czym przekonuje nas Leśniak:

„Arystoteles dostrzega „to”, czego Platon nie widzi a mianowicie że idee pojmowane jako doskonałe arcywzory stanowią zwyczajne podwojenie rzeczy spotykanych w codziennym doświadczeniu. Wobec takich zasadniczych błędów platońskich teoria idei nie da się w tej formie utrzymać.”

2. Niewyraźność i wieloznaczność teorii platońskiej.

Drugim zarzutem stawianym przez Arystotelesa Platonowi jest mętność i wieloznaczność jego teorii. Arystoteles pyta bowiem, jak należy rozumieć „uczestniczenie” w odpowiadających im Ideach. Innymi słowy, czy rzeczy „uczestniczą” w Ideach jako w swoich przyczynach? Otóż nie, bowiem Idee nie są przyczynami ruchu, same będąc nieruchome, nie są też materią rzeczy, będąc od nich oddzielnymi, nie są również ich celem. Postawmy więc za Arystotelesem pytanie: „(...) co dają Idee rzeczom świata wiecznego, jak i przedmiotom zmysłowym, a także powstającym i ginącym?” Inaczej mówiąc, co oznacza owo „uczestniczenie” rzeczy w świecie Idei? Otóż według Arystotelesa „(...) rzeczy nie mogą pochodzić z Idei w żadnym z potocznych znaczeń. Mówić zaś, że są wzorami i że rzeczy w nich uczestniczą to tyle, co posługiwać się prostymi słowami i poetyckimi przenośniami.” Skoro więc centralna kategoria systemu Platona okazuje się „pustym słowem i poetycką przenośnią”, więc czy można przyjąć platońską koncepcję świata Idei? Zdecydowanie nie można, bowiem idąc za Arystotelesem: „(...) poszukiwanie elementów bez określania różnych znaczeń, w jakich istnienie tych rzeczy jest orzekane, jest niemożliwe (...).”

Co więcej, Arystoteles w swoich *Topikach* pisze:

„Ponadto trzeba uważać, czy oponent nie używa wyrazów niezwykłych, jak na przykład Platon, który opisuje oko, jako „zaciemnione przez brwi”, albo pewnego jadowitego pająka jako „powodującego przez ukąszenie”, albo szpik jako „powstały z kości”. Wszystko niezwykle i niewyraźne jest bowiem zawsze ciemne.”

3. Sprzeczności w teorii idei.

Kolejne zarzuty wobec platońskich teorii Idei wynikają z przeświadczeń tkwiących w nowej teorii o sprzecznościach. Otóż według przyjętej przez Platona koncepcji, wszystkie rzeczy, stosunki i własności ze świata zmysłowego są odbiciem świata Idei; należałoby więc przyjąć że istnieją zarówno Idee rzeczy, stosunków zachodzących między rzeczami, jak i własności rzeczy. Istniałaby więc np. Idea negacji, przyjmując np. że śmierć jest czymś posiadającym własną Ideę i jest zarazem negacją życia, czyli pozostaje do życia w określonej relacji. Ponadto istniałyby „Idee rzeczy zniszczalnych”, pomimo że rzeczy oznaczone przez te Idee przestałyby istnieć.

Najpoważniejszym jednak zarzutem z tej kategorii argumentów byłby tzw. „trzeci człowiek” – antynomia nigdy przez Platona nie rozwiązana. Przyjrzyjmy się teraz bliżej temu problemowi.

Jeżeli przyjmiemy, że istnieje z jednej strony zbiór rzeczy „uczestniczących” w danej Idei, np. zbiór wszystkich ludzi, z drugiej zaś Idea, w której te rzeczy uczestniczą np. Idea człowieka, to Idea wraz ze zbiorem rzeczy w niej „uczestniczących”, tworzyć będzie nowy zbiór, dla którego przyjąć należy nową Ideę tzw. „trzeciego człowieka”, w której „uczestniczyłaby” zarówno Idea, jak i zbiór rzeczy w niej uczestniczących. Łatwo zauważyć, że nowa Idea tworzyłaby wraz z poprzednią Ideą i zbiorem uczestniczących w niej rzeczy, nowy zbiór, który wymagałby z kolei przyjęcia nowej Idei i tak w nieskończoność. Następuje tu więc tzw. *regressus in infinitum* (cofanie się w nieskończoność), błąd wystarczający do dyskwalifikacji całej platońskiej teorii Idei.

Jednakże podane powyżej argumenty nie wyczerpują wszystkich zarzutów, jakie wysuwa Arystoteles przeciw teorii Idei. Otóż jeżeli przyjmiemy za Platonem, że „(...) Idee są liczbami, to w jaki sposób mogą być przyczynami?” – pyta Arystoteles. Krytyka Idei jako liczb jest więc kolejnym ważnym etapem w konsekwentnym wykazywaniu przez Arystotelesa błędności platońskiej teorii idei.

Krytyka Idei liczb.

Otóż jeśli przyjmiemy że Idee są liczbami, a zarazem liczby są przyczynami rzeczy, to jest oczywiste, że rzeczy również muszą być pewnego rodzaju liczbami. Czym jednak różnią się liczby – przyczyny od liczb rzeczy? Przecież jak zostało to wyżej wykazane – aby rzeczy mogły uczestniczyć w Ideach, musi istnieć jakiś wspólny element Idei i rzeczy, bo inaczej to uczestnictwo byłoby niemożliwe. A jeśli tak, to Idee – liczby niczym się nie różnią od liczb rzeczy, bowiem istota „substancji” liczby jest w obu przypadkach taka sama. Dalej, jeżeli przyjmiemy że rzeczy są stosunkami liczb, to według Arystotelesa „(...) istnieje przynajmniej jedna rzecz, której są stosunkami, są zatem jakąś klasą rzeczy.” A więc nie liczba wówczas będzie rzeczą, lecz coś, czego stosunkiem będą dane liczby, to zaś prowadzi do stwierdzenia, że:

„(...) jeżeli Kalias jest liczbowym stosunkiem zachodzącym między ogniem i ziemią, oraz wodą i powietrzem, to również jego idealna liczba musi być stosunkiem pewnych składników, a sam «człowiek», niezależnie od tego czy jest jakąś liczbą, czy nie, jest przecież pewnym w liczbach wyrażalnym stosunkiem czegoś, a nie liczbą (...).” Przyjmując więc że rzeczy są stosunkami liczbowymi dochodzimy do tego, że człowiek jest czymś, czego stosunkiem jest liczba, a nie liczbą.

Ponadto Arystoteles zadaje sobie pytanie, w jaki sposób powstaje liczba, będąc rzekomo istotą wszystkich rzeczy, i „jak mają istnieć „liczby”, które nie są dodawalne, nie są liczbami w zwykłym tego słowa znaczeniu.” Jeżeli powstaje z wielu liczb, to również Idea będąca liczbą doskonałą powstaje z wielu Idei. Lecz jak to jest możliwe? – pyta dalej Arystoteles. Jeżeli zaś liczba powstaje z jednostek, to jaka będzie natura tych jednostek? Jeżeli jednostki będą do siebie podobne, to skąd w świecie złożonym z rzeczy będących liczbami taka wielka różnorodność? Czyżby dodanie liczb lub odjęcie jednakowych jednostek może spowodować zmiany jakości w rzeczach? Zagadnienie to zostaje podjęte w traktacie *O niebie*, gdzie Arystoteles traktuje jednostki jako punkty. Czytamy tam: „Jest rzeczą oczywistą, że punkt nie może posiadać żadnego ciężaru. (...) Ciężar nie może składać się z części nie posiadających ciężaru. Bo ilu i jakich potrzeba by części, aby złożyć z nich ciężar? (...) Zresztą jeśli każdy ciężar przewyższa inny ciężar o jakiś ciężar, wyniknie stąd, że każda z części bezz ciężarowych ma ciężar. Przypuśćmy, że złożona z czterech punktów ma ciężar, rzecz złożona z większej ilości punktów będzie od niej cięższa” (...) Stąd wynika, że rzecz większa o jeden punkt będzie cięższa od rzeczy, której brak tego <równego> punktu. Konsekwentnie jeden punkt będzie posiadał ciężar.”

Z tego zaś wynika jasna wieloznaczność, podobnie jak w przypadku gdy z liczb złożonych z jednakowych jednostek będziemy chcieli wyodrębnić różne własności.

Jeżeli zaś liczby będą złożone z różnych jednostek, powstanie według Arystotelesa niorzeczność, bowiem należałoby przyjąć że „ani jednostki w jakiejś liczbie nie są do

siebie podobne, ani też należąc do różnych liczb, nie są wszystkie podobne do wszystkich.” Powstałyby wówczas liczby złożone np. z jednakowej ilości różnej wielkości jednostek, które byłyby różnymi liczbami, tak że $2=2$. Ponadto, gdy przyjmiemy za Platonem, że nieokreślona dwójka jest zasadą materialną Idei i liczb, to skąd pochodzą jednostki tworzące tę nieokreślona dwójkę? Jest przecież niemożliwe aby pochodziły z wcześniejszej dwójki, bowiem pamiętajmy że $2=2$. Widzimy więc, że przyjęcie liczby jako istoty Idei i rzeczy prowadzi do nierozwiązywalnych trudności, dyskwalifikując w ten sposób teorię Platona.

Niemożliwość poznania w teorii Idei platońskiej.

Ostatnim zarzutem jaki omówimy w tej pracy, będzie niemożliwość poznania na gruncie platońskiej teorii Idei. Otóż Arystoteles przyjmuje, że aby poznać daną rzecz, należy wyabstrahować (wydobyć) z niej jej istotę, czyli cechę konstytutywną dla danej rzeczy, wspólną całej ilości danych rzeczy. W przypadku, gdy owa istota nie znajduje się w rzeczy, lecz w świecie Idei, jak twierdził Platon – poznanie jest dla Arystotelesa niemożliwe.

„Trudno też z drugiej strony zrozumieć, jakiej pomocy w wykonaniu swego rzemiosła doznałby np. tkacz lub cieśla dzięki poznaniu dobra samego w sobie, albo też w jaki sposób stałby się lepszym lekarzem lub wodzem, ten kto oglądał samą ową ideę dobra. Jasną jest bowiem rzeczą, że lekarz nie zajmuje się nawet samym zdrowiem tak pojętym, lecz tylko zdrowiem człowieka, a może nawet raczej pewnego określenia człowieka: leczy bowiem poszczególne jednostki.” Idźmy dalej, w jaki sposób dotrzeć do świata Idei nie posiadając odpowiedniego narządu? Przecież rozum u Arystotelesa „pracuje” na materiale dostarczonym nam przez zmysły. Odrzucając świadectwo zmysłów (jak to robił Platon), odrzucamy możliwość poznania. Różnicę tę (dotyczącą sposobu poznania), jaka zaistniała między Arystotelesem a Platonem, bardzo dobrze przedstawił w *Historii filozofii* Władysław Tatarkiewicz, pisząc:

„(...) Platon mniemał, że umysł zaczyna od wrodzonych, ogólnych pojęć i na ich podstawie dedukcyjnie postępuje w wiedzy. Dlatego też dla Platona rozum sam wystarczał do poznania. Natomiast u Arystotelesa zmysły miały w poznaniu funkcję równie niezastąpioną, jak rozum.”

Jeżeli zaś posiadamy wcześniejszą wiedzę o Ideach, dlaczego jej sobie nie przypominamy? – pyta Arystoteles.

Kończąc nasze rozważania, zapytajmy za Arystotelesem, (...) co dają Idee rzeczom świata wiecznego, jak i przedmiotom zmysłowemu, a także powstającym i ginącym?” Na podstawie powyższych argumentów możemy powiedzieć, że nie dają niczego, bowiem ani nie są zdolne do wyjaśniania natury rzeczy, ani nie umożliwiają jej poznania.

Pojęcie ascezy według Karola Wojtyły i Jeremiasza Benthama

Odnosi się wrażenie, że postawa ascezy zamiera we współczesnym świecie, jeżeli już nie jest martwa. Warunkiem przecież otwarcia się na treści kultury naszych czasów i poddania się ich dynamizmowi jest całkowite odrzucenie ascezy na rzecz pomnażania przyjemności. Atmosfera końca XX wieku przeto skutecznie pomaga w zignorowaniu wagi ascezy. Dlatego warto odpowiedzieć na pytanie, czy jest ona potrzebna współczesnemu człowiekowi, czy słuszna jest jej obrona?

Zastanawiające jest również to, że w naszej epoce wyraźnie zaznacza się tendencja do „ułatwiania sobie życia” przez podważanie wartości niewygodnych i trudnych do osiągnięcia postaw, przede wszystkim moralnych. Działanie ujawniającego się w ten sposób resentymetu zaznacza się nie tylko na płaszczyźnie seksualnej (np. ignorancja czystości przedmałżeńskiej), ale równie silnie objawia się w odniesieniu do ascezy.

Gdzie w takim razie tkwi błąd? Czy w postawie człowieka ulegającego „nowoczesnym” prądom, czy w postawie ascety?

Niniejszą pracę rozpocznę od pewnych wyjaśnień terminologicznych, by przedstawić następnie pojęcie ascezy według Karola Wojtyły i Jeremiasza Benthama. Postaram się wreszcie ukazać niewłaściwości związane z benthamowskim rozumieniem ascezy, wskazując tym samym słuszność poglądów Karola Wojtyły.

Samo pojęcie „asceza” łączy się z greckim terminem *askēsis* – ćwiczyć, a *skēsis* – ćwiczy się. Określano nim początkowo starogreckich sportowców – pierwszych ascetów. Działania ascetyczne były i są do dziś praktykowane również w kręgu kultury indyjskiej. W późniejszym czasie zakres tego pojęcia objął nie tylko ćwiczenia fizyczne, ale i religijno-moralne oraz intelektualne. Ascetami nazywamy pitagorejczyków, platoników, cyników, stoików i średniowiecznych mnichów (św. Hieronim, św. Franciszek).

Dziś termin ten najwyraźniej odnieść możemy do osób duchowych – zakonników, księży. Przykładem współczesnego ascety był Ojciec PIO, a jest Matka Teresa z Kalkuty. Ascetami nazywamy też niekiedy naukowców. Już same nazwiska dowodzą wagi tej postawy w życiu.

Mimo tego, że asceza oznacza nie tylko religijne praktyki, to spontanicznie łączymy ją z religią chrześcijańską. Jest to uwarunkowane nie tylko barwną tradycją ascetyzmu średniowiecznego, ale i nauką Chrystusa: „Jeśli kto chce pójść za mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech mnie naśladuje” (Mt. 16, 24),

Słowniki określają ascezę jako dobrowolne i systematyczne stosowanie surowych praktyk życiowych warunkujących rozwój uzdolnień intelektualnych lub moralnych, mających na celu doskonałość¹.

Jak natomiast problem ascezy ujmuje Karol Wojtyła? Rozpoczyna on od stwierdzenia prymatu wartości duchowych, wyższych u człowieka, ale słabiej się ujawniających, nad wartościami materialnymi, które choć niższe pociągają każdego bardzo silnie².

Wszystko bowiem co dociera do nas poprzez zmysły odczuwamy bezpośrednio jako przykrość lub przyjemność. Wartości duchowe jakkolwiek ważniejsze dla podmiotu, bo konstytuujące całe jego życie moralne i poznawcze, często przytłumione są przez materialne, zmysłowe. Taka sytuacja stwarza jednocześnie zagrożenie dla wszystkiego co tworzy samą istotę człowieka – jego ducha. Zatem, gdy podmiot ulega zmysłom, nie licząc się z wartościami duchowymi, zaprzecza własnej podmiotowości i staje się niewolnikiem nieuporządkowanych i niekontrolowanych sił swego ciała. Środkiem obronnym przed takim odwróceniem porządku jest właśnie asceza.

Otóż człowiek, jako istota rozumna i wolna musi świadomie umocnić w sobie te wartości, od których zależy jego człowieczeństwo i status podmiotu dla jego działań. Jednocześnie musi odebrać siłę oddziaływania tym czynnikom, które związane są z jego niższymi władzami – zmysłami. Zabiegi te są konieczne ze względu na prawdę o człowieku, by ustalić taką hierarchię dóbr, która jest afirmacją jego natury, a nie jej zaprzeczeniem.

Asceza jest więc nie zbędnym elementem życia moralnego każdego człowieka w jego dążeniu do doskonałości. Nie polega ona na ucieczce od życia, lecz urealnianiu każdego z nas w rzeczywistości naszego podmiotowego istnienia. Pomaga ustawić wszelkie dobra na właściwym miejscu, aby umożliwić prawidłowe ich wykorzystanie. By uwolnić ludzi od błędnego stosunku do tych dóbr, od złudzeń i rozczarowań spowodowanych nieprawidłowym ich rozróżnieniem. Dlatego w postawie ascetycznej ujawnia się głęboki realizm: „pasja, rzeczywistość, zainteresowanie dla prawdziwego dobra, umiłowanie tego ładu, który zeń emanuje, jak pisze Wojtyła, to są te pierwiastki, na których opierają się wszelkie poczynania ascetyczne.” W tym znaczeniu asceza dotyczy wszystkich ludzi niezależnie od tego, czy ich poglądy na świat są motywowane religijnie, czy nie.

Niewątpliwie jednak saceza w sposób wyrazisty łączy się z religią, człowiek bowiem pragnąc zjednoczenia z Absolutem, określa główny motyw doskonalenia siebie, stawiania się bardziej człowiekiem we właściwym znaczeniu tego słowa. Ascetyczny wysiłek w tej sytuacji jest tym większy, im większa wiara, miłość do Boga.

Asceza ponadto kształtuje odpowiednią hierarchię dóbr, pomaga w rozumieniu i ocenianiu ich przez odniesienie do Boga jako dobra najwyższego. Bóg jawi się wówczas wyraźnie jako dobro podstawowe, ale i zespała się z nim poprzez dobro. Tym sposobem asceza porządkuje rozumienie świata i człowieka w relacji do Tego, od którego wszystko pochodzi, i do którego wszystko zdąża. Logicznym jest bowiem to, że afirmacja dobra w innych bytach, które pochodzą od Boga jest zarazem afirmacją samego Boga, jako ich stwórcy. Niemożliwe jest bowiem uwielbienie dzieła bez uwielbienia tego, kto je tworzył. Trudno np. oglądać freski w Kaplicy Sykstyńskiej nie podziwiając sztuki Michała Anioła.

Dlatego, choć asceza dotyczy wszystkich ludzi, gdyż pomaga w określeniu ich człowieczeństwa, to jednak religijne jej rozumienie głębiej porządkuje życie moralne człowieka.

Zupełnie inaczej ujmuje ascezę Jeremiasz Bentham.

Na początku trzeba zaznaczyć, że rozumienie ascezy wiąże się u niego ściśle z przyjęciem określonej postawy filozoficznej. Bentham mianowicie analizuje ją z punktu widzenia utilitarysty hedonistycznego³⁷. Jego rozumowanie polega na tym, że mówi o ascetyzmie jako o złe pojętej zasadzie użyteczności⁴. Dostrzeżenie bowiem, że pewnym przyjemnościom towarzyszą przywyższające je przykrości spowodowało, jak pisze, odrzucenie wszelkich przyjemności. Dalsze modyfikacje zasady użyteczności pociągnęło za sobą umiłowanie cierpienia jako stanu najbardziej różniącego się od przeżycia przyjemności.

Asceza – wg Benthama – to postawa, która pochwała czyny zmierzające do zmniejszenia szczęścia i nie akceptuje tych, które w jakikolwiek sposób mogą je pomnożyć. Odrzuca ona wszelkie rodzaje przyjemności, niezależnie od ich źródła.

Omawiany filozof rozróżnia dwa rodzaje ascezy – „filozoficzną” oraz „religijną”. Asceza filozoficzna sprowadza się do potępienia przyjemności cielesnych i zmysłowych. Cierpienie zaś traktowała obojętnie, nie potępiała i nie pochwalała tego stanu. Natomiast religijne pojęcie ascezy głosi, że człowiek powinien szukać i doświadczać cierpienia, by przez to odpokutować za grzechy i oddalić gniew Boga.

Te dwa ujęcia łączą odrzucenie postawy akceptacji zasady użyteczności czyli przyjemnościowego nastawienia do życia. Po określeniu tych stanowisk Bentham konkluduje, że ascetyzm pojęty jako odrzucenie przyjemności jest niemożliwy do konsekwentnego stosowania. Wnioskuje, że „gdyby choć 1/10 mieszkańców ziemi stosowała ją konsekwentnie, w ciągu jednego dnia uczyniliby z ziemi piekło”⁵.

Przedstawione w niniejszej pracy dwie koncepcje ascezy całkowicie do siebie nie przystają. Widoczna jest diametralna różnica między nimi. Dlatego, w myśl zasady niesprzeczności, która głosi, że nie mogą być prawdziwe zarazem dwa zdania sprzeczne, spróbuję myśl Benthama poddać krytyce.

Już powierzchowne zapoznanie się z jego poglądami budzi sprzeciw. Ascetami bowiem nazywa jedynie mnichów biczujących się lub zadających sobie inne okrutne tortury⁶. Jest to poważne zawężenie pojęcia ascezy. Chciałoby się powiedzieć, że autor zrobił to celowo, by ukazać najgorsze jej przejawy i motywy. Istotą ascezy przecież nie jest szkodenie ludzkiemu zdrowiu. Pewne dewiacje w tej dziedzinie, które znamy z historii, związane były po prostu ze złym pojęciem i jako takie należy je potępić. Umartwianie się miało natomiast o wiele powszechniejszy i mniej drastyczny charakter. Można chociażby przypomnieć cotygodniowy, piątkowy post u chrześcijan lub okres Wielkiego Postu, obchodzony już w VII wieku. I dlatego wręcz absurdalnym wydaje się twierdzenie, że wszyscy chrześcijanie, którzy wierzą w Boga Ojca miłosiernego i dobrego umartwiali się ze strachu przed Nim.

Te wnioski nasuwają się spontanicznie. Aby jednak krytyka Benthamowego pojęcia ascezy była konstruktywna, należy przeanalizować bazę, na której oparł swoje tezy.

Podstawowym czynnikiem w etyce, ale nie tylko tu, który określa całościowy jej charakter jest rozumienie człowieka. Utilitarysta nie dostrzega wyraźnie złożoności bytu ludzkiego ciała i duszy. Według niego człowiek jest istotą obdarzoną zdolnością myślenia i wrażliwością. Ta ostatnia skłania go do odrzucenia przykrości a pożądania przyjemności, rozum ma natomiast pomagać w wyborze tego co przyjemne w większym stopniu.

Tymczasem człowiek to *compositum* materii i ducha, z prymatem elementów duchowych, czyli rozumu i woli nad zmysłami. W filozofii Benthama nieuwzględnienie ele-

mentów woli wśród władz duchowych podmiotu, przyczyniło się do tego, że kryterium wartości moralnej czynów stały się przeżycia efektywne, związane z władzami zmysłowo-pożądczymi, „to”, co się „zdarza” w podmiocie. Tym samym dobro obiektywne jako cel czynów ludzkich zostało zastąpione dobrem subiektywnym – przyjemnością. Faktycznie jest ona tylko czymś ubocznym w działaniu osoby, związana z konkretnym czynem konkretnego podmiotu – nie ma przyjemności transsubiektywnej. Nie można więc traktować przyjemności (przykrości) jako normy postępowania i oceny moralnej, gdyż nie stanowi tego dobra obiektywnego, które jest właściwym celem człowieka.

W prawdziwej pojętej koncepcji człowieka uczucia przykrości i przyjemności nie powinny motywować jego działań. Dlatego również asceza jako postawa ujawniająca się w czynach podmiotu nie może być określana w kategoriach uczuć, jakie wywołuje: jeżeli określenie jej ma być prawdziwe.

Nie wytrzymuje krytyki również stwierdzenie Benthama jakoby asceza polegała na popieraniu czynów zmierzających do zmniejszania szczęścia. Asceza właśnie pomaga człowiekowi w odczuwaniu szczęścia. Ludzie nie mogą szczęścia nie chcieć. Dlatego każdy sąd mówiący o tym, że człowiek nie jest zainteresowany szczęściem i odrzuca je jest wewnętrznie sprzeczny. Osoba ludzka dojrzewa do szczęścia, dochodzi do niego stopniowo żmudną drogą doskonalenia siebie, co ją zbliża ostatecznie do Boga. I to jest właśnie autentyczne szczęście każdej osoby, do którego dochodzi poprzez wysiłek moralny. Z wysiłkiem tym wiąże się bezpośrednio asceza, polegająca na umocnieniu tych wartości, od których zależy podmiotowość osoby – wartości duchowych.

Ostatecznie nasuwa się wniosek, że wywodzące się z niewłaściwej koncepcji człowieka, Benthamowskie ujęcie ascezy nie da się zaakceptować.

Natomiast za słuszny należy uznać sposób widzenia ascezy przez Karola Wojtyłę, który w punkcie wyjścia przyjmuje rozumienie człowieka, jako podmiotu swych wolnych i rozumnych działań oraz nosiciela osobowej godności.

Wracając do słów wstępu, z całą pewnością można stwierdzić, że asceza jest potrzebna współczesnemu człowiekowi, aby wyzwolił się z osaczenia utylitaryzmu i zrekonstruował autentyczną hierarchię wartości, której powinien być wierny. Cały dramat naszych czasów polega m.in. na tym, że dążąc do maksymalnego ułatwienia i uprzyjemnienia życia, sami pozbawiamy siebie tych elementów, które stanowią o człowieczeństwie i stajemy się moralnymi inwalidami. Dlatego pożądana jest coraz większa rola ascezy, która warunkuje prawidłową realizację naszego człowieczeństwa.

Przypisy:

¹ *Mały słownik terminów i pojęć filozoficznych*, Warszawa, 1983, s. 26.

² K. Wojtyła, *Elementarz etyczny*, Lublin, s. 73.

³ K. Wojtyła, *Miłość i odpowiedzialność*, Lublin, s. 36.

⁴ J. Bentham, *Wprowadzenie do zasad moralności i prawodawstwa*

⁵ Tamże, s. 34.

⁶ Do ascetów zalicza Bentham również tzw. moralistów i realistów – zob. p. 4.

Dominika Wojtyśiak

Przeżycie i wartość w sztuce współczesnej

Koncepcja mojej pracy zrodziła się po odbytej niedawno, bardzo interesującej rozmowie, jaką przeprowadziłam z moim nauczycielem filozofii Piotrem Mazurem na temat przeżycia i wartości w sztuce współczesnej. W naszych rozważaniach podjęliśmy nurtujący problem relatywizmu i obiektywizmu przeżycia i wartości. Zastanawialiśmy się mianowicie, na jakiej płaszczyźnie leży wartość, po której stronie niejako: przedmiotu czy podmiotu. Ja, będąc pod wpływem filozofii Nietzschego, który zaszczerpił we mnie skrajny relatywizm, utrzymywałam, że wartość, w imię subiektywizmu aksjologicznego przypisywać należy stronie podmiotu. Profesor Mazur natomiast tkwił uparcie na stanowisku negacji skrajnego subiektywizmu w odbiorze dzieła sztuki, dołączając tym samym do grona takich filozofów jak Sokrates, Platon, Scheler, Ingarden. Ponieważ nie doszliśmy do kompromisu, w tej pracy będę starała się uzasadnić moje stanowisko poprzez przedstawienie wypowiedzi dwóch osób na temat zaprezentowanego im dzieła grafiki współczesnej: Tadeusz Nuckowski *O zachowaniu się na jutro – sposób podstawowy*. Rozbieżność poglądów co do tego obrazu prowadzić może do wniosku, że zarówno przeżycie jak i wartość nie są obiektywne i zależą od indywidualnych wrażeń i subiektywnych ocen każdego człowieka.

Magda, lat 18

Dzieło Tadeusza Nuckowskiego przypomina mi Kosmos. Widzę tu różnego rodzaju powiązania, zazębianie się wielorakich elementów. Łatwe do zanotowania pewne centra kumulacji nasuwają mi myśl o kondensacji wszystkiego, całego Wszechświata. Jednocześnie z tą asymilacją występuje jednak wyobcowanie, wyalienowanie. Jeśli chodzi o moje uczucie, przeżycia jakie ten linoryt ewokuje, to przede wszystkim jest to przerażenie ze skupienia, kondensacji, syntezy; smutek i też strach ze zwycięstwa praw stadnych, konieczności wiązania się z grupą, uzależnienia, które nie jest dobrowolne, a wynika z odgórnego sterowania. Ponieważ jednak trudno mi się z tym pogodzić, te wzajemne zależności i powiązania można również tłumaczyć chęcią spotkania, odkrycia czegoś nowego w drugim człowieku, a wreszcie, co jest chyba bardzo właściwe jednostce, strachem przed samotnością.

Agnieszka, lat 18

Co to dla mnie jest? Chaos, zamieszanie, zamęt, niepewność. A nawiązując do tytułu, którym autor chce nas prowadzić, to powiedziałabym, że jest to obraz człowieka miotającego się wśród różnych konieczności i determinantów tego świata. Idąc za myślą twór-

cy, uważam, że chciał on nam pokazać człowieka jako pajęczynę wpisaną w elementy otoczenia. Widoczne na linorycie zagęszczenia kropek nasuwają mi skojarzenie, że człowiek składa się z drobnych fragmencików. Jest zlepkiem wrażeń, wiadomości, uczuć, czyli tego wszystkiego, czym bombarduje go świat. Pod takim wpływem się kształtuje i uformowany przez swego mistrza oddaje mu się w każdym calu. Ponieważ kompozycja grafiki nie jest jasna i przejrzysta, może to oznaczać, że człowiek gubi się w świecie, ale nie może się z niego wydostać, jest w nim trwale osadzony, a nawet zespolony z nim organicznie, na biologiczny sposób. Ze względu na ciemną kolorystykę tego obrazu możemy przypuszczać, że autor nie postrzega optymistycznie ani otaczającego go świata, ani człowieka. Jeśli chodzi o moje wrażenia natomiast to czuję tylko chaos, bałagan, nieuporządkowanie.

Po przeczytaniu tych dwóch wypowiedzi aż trudno uwierzyć, że dotyczą one tego samego dzieła – jednego z wielu, jakie znaleźć można w albumach sztuki współczesnej. Trudno uwierzyć, ponieważ wypowiedzi traktujące o tym samym linorycie mają tylko jedną, która również jest dyskusyjna, część wspólną. Jest nią mianowicie pokrewne stwierdzenie dotyczące elementów widocznych na grafice – kropek, kresek, kółek, linii itd. Chociaż dla Magdy jest to „skupienie” i „zazębianie się”, a dla Agnieszki „chaos”, „zamęt”, „bałagan”. Gdy więc ta, wątpliwej trwałości teza, upadnie, trudno będzie nawet przypuszczać, że obie wypowiedzi odnoszą się do tego samego przedmiotu. Trudno, jeżeli nie zrezygnujemy z pretensji do obiektywnego oceniania, wartościowania i przeżywania, chociaż to nie dla wszystkich jest nonsensem. Ale właśnie gdy pominiemy zwolenników obiektywizmu aksjologicznego i również, dla potrzeb pracy, zapomnimy o ładzie aksjologicznym, może uda się nam uprawdopodobnić obie wypowiedzi, na razie w odniesieniu do wartości, którą moim zdaniem to odbiorca nadaje dziełu pozbawionemu jakiegokolwiek wartości obiektywnej.

Już starożytni relatywiści twierdzili, że przestrzeganie sprawiedliwości jest dobre dla jednych (słabych), a niedobre dla innych (mocnych). W związku z czym dla jednych (słabych) – sprawiedliwość ma wartość, a dla innych (silnych) – nie. Naród zwaśniony i słaby jest dobry dla wrogów, natomiast jest niedobry dla własnego państwa. Hołdowali więc oni tzw. relatywizmowi aksjologicznemu, którego istota sprowadza się do tego, że rzeczy posiadają wartości, ale te wartości są zależne od odniesienia do kogoś lub do czegoś. Inaczej mówiąc: wartości są zmienne, zależne od czasu, miejsca, okoliczności oraz od tego, kto się do nich odnosi i w nich uczestniczy. Wykładnię tego poglądu daje też Władysław Tatariewicz w *Pojęciu wartości* (cytat za A. B. Stępień, *Propedeutyka estetyki*, Lublin 1986):

Głównym argumentem subiektywistów i relatywistów jest rozbieżność, a także zmienność ocen i sądów wartościujących. Ta rozbieżność i zmienność jest niewątpliwie faktem. Nie tylko różne czasy, różne środowiska, różne jednostki rozmaicie oceniają wartości, ale nawet robi tak ten sam człowiek przy różnych okazjach. I różnie ocenia nie tylko poszczególne dobra, ale także same wartości. Biorąc przykład z dziedziny sztuki: nie tylko ten czy inny obraz manieryczny jedni chwala, inni ganią, ale samą manieryczność obrazu jedni mają za wartość dodatnią, inni za ujemną.

Przełożmy teraz powyższe rozważania na grunt tej pracy. Zajmijmy się nadawaniem wartości, ale nie w sensie wyceniania, czy oceniania, tylko doceniania, aprobaty lub nie-

doceniania, dezaprobaty. Zarówno Magda jak i Agnieszka, poprzez pozytywne odczucia ewokowane przez dany obraz, zaaprobowały go, podobał się, aczkolwiek przyniósł każdej z nich zupełnie inne przeżycia i nasunął odmienne asocjacje. Ze względu na jego niejednoznaczność (właściwą dla sztuki współczesnej) Magdzie przypominał Kosmos, poprzez wszystkie jego powiązania, zazębianie się, syntezę; Agnieszka natomiast utożsamiała chaos kropek, punktów, punkcików z człowiekiem, jego rolą na świecie, pytając o celowość i kondycję jego bytu. Ta sama treść, jak różna w dwóch odbiorach, jak niezależna od niej samej, jak niewolnicza w stosunku do patrzącego, który jest właśnie panem – to on nadaje jej sens, tytuł, celowość. To on wydobywa piękno, harmonię, blask. To on obdarza życiem, przenosząc ją w sobie do pełnego wymiaru transcendencji. Lub zupełnie inaczej: po spojrzeniu zaraz o niej zapomina, przypisując jej bezsens, chaos, bezład i bezwład; obrzucając inwektywami, zabija krytyką.

Takie rozumowanie prowadzi nas do stwierdzenia, że rzeczy uzyskują wartość tylko wtedy, gdy dany człowiek zechce tę wartość im nadać, poprzez swoją aprobatę właśnie. Aprobatę, która zależy tylko od niego i wiąże się bezpośrednio z nim, jego przeżyciami, doświadczeniami, poglądami, przemyśleniami, skojarzeniami, hierarchią wartości. Filozofowie taką sytuację określają mianem subiektywizmu aksjologicznego, który głosi, że wartości są subiektywne, a nie obiektywne, tzn. istnienie wartości rzeczy sprowadza się do tego, że my tę wartość rzeczom nadajemy. I tak na przykład Mieczysław Wallis twierdzi, że to samo zdanie może być raz prawdziwe (np. dla Piotra), raz fałszywe (np. dla Pawła lub dla Piotra w innym czasie). Można to opatrzyć komentarzem Stanisława Ossowskiego, który mówi, że własność subiektywna to własność zależna od dyspozycji osoby postrzegającej tę własność lub wydającej o niej sąd.

Pogląd ten odzwierciedla się jeszcze doskonalej w widocznej w dwóch wypowiedziach różnicy asocjacji i przeżyć sprowokowanych przez ten sam przedmiot. Przerażenie ze zwiąźstwa uczuć stadnych i konieczności zależności pomieszczone z optymistyczną wizją pragnienia odkrywczego spotkania u Magdy kontrastuje z uczuciem chaosu, bałaganu i niejasności u Agnieszki. Kosmos Magdy jest dla Agnieszki wizją człowieka zaplątanego w świat. Wiąże się to z zupełnie innym odniesieniem znaczenia widocznego na obrazie, użyjmy kompromisowego eufemizmu, nieuporządkowania. Agnieszka odnosi je bezpośrednio do człowieka, Magda raczej do stosunków międzyludzkich. U Magdy stosunek emocjonalny jest bardziej widoczny – przeraża ją stworzona przez nią samą wizja nieuniknionego, sterowanego uzależnienia i w ramach konsolacji tworzy inną optymistyczną. Agnieszka ma do obrazu i tego, co według niej on przedstawia stosunek spokojny, chłodny. Stwierdza tylko formalnie o istnieniu czegoś, co według niej jest bałaganem, nieporządkiem, ale ma się wrażenie, że nie jest to dla niej ani przerażające, ani przygnębiające.

Chciałabym teraz poświęcić trochę uwagi dziejom koncepcji przeżyć, uczuć, emocji, które są nieodzowną częścią percepcji dzieła sztuki. Można zapytać, czy człowiek współczesny skoncentrował się w odbiorze sztuki na porządku teoretycznym (prawda), rezygnując nieco z estetycznego (piękno) – rozróżnienie św. Bonawentury i św. Tomasza z Akwinu. W zaprezentowanych przeze mnie wypowiedziach widoczne jest bezpardonowe dążenie do odgadnięcia prawdy za wszelką cenę, chociaż kompozycja obrazu i organicznie przypisane mu założenie sensualizmu wydają się temu przeczyć. Spostrzeżenie to doprowadziło mnie do konkluzji, że człowiek współczesny jest bliższy koncepcjom nowożytnych

filozofów, którzy ukazywali związek zmysłów i umysłu, poznania i wzruszenia (Kartezjusz, Nicolas Poussin), a wręcz skłaniający się w kierunku teorii tych filozofów, którzy dawali przewagę rozumowi (Baumgarten – poznanie zmysłowe jest niewyraźne, niższe od umysłowego). Zapomniani zostali troszkę filozofowie starożytni (Plotyn – sztuka jest poznaniem głębszej, bardziej podstawowej rzeczywistości, mianowicie ducha, przez bezpośredni ogląd, w obrazach) i brytyjscy empirycy oraz „sentymentaliści” (Hume, Home, Burke, Hartley), którzy rozważali władzę (zdolność) poznawania piękna, zwaną smakiem, jak i reakcję na piękno w postaci „uczucia piękna” – doznawanie wrażenia. Niemodna jest również koncepcja Kanta, który twierdził, że przeżycie estetyczne jest swoiste, bezpojęciowe, nie pełni funkcji poznawczej. Wywołane jest upodobaniem tego, co swoją formą bezinteresownie odpowiada umysłowi przeżywającego. Prowadzi ono do jednostkowego sądu estetycznego (sąd smaku), które nie podlega racjonalnemu, przedmiotowo umotywowanemu uzasadnieniu. Nade wszystko jednak zapomniany został Arystoteles, który twierdził, że najważniejsze są reakcje odbiorcy wywołane kontemplacją jakiegoś dzieła, a nie prawda, która się w tym dziele zawiera. Charakteryzował on przeżycie estetyczne jako przeżycie silnej rozkoszy (której nadmiar nie jest złem), uzyskanej dzięki zmysłom (lecz niezależnej od ich ostrości), odczuwanej wobec danych przedmiotów dla nich samych, a nie w związku z tym, z czym się kojarzą, do czego mogą służyć itp.

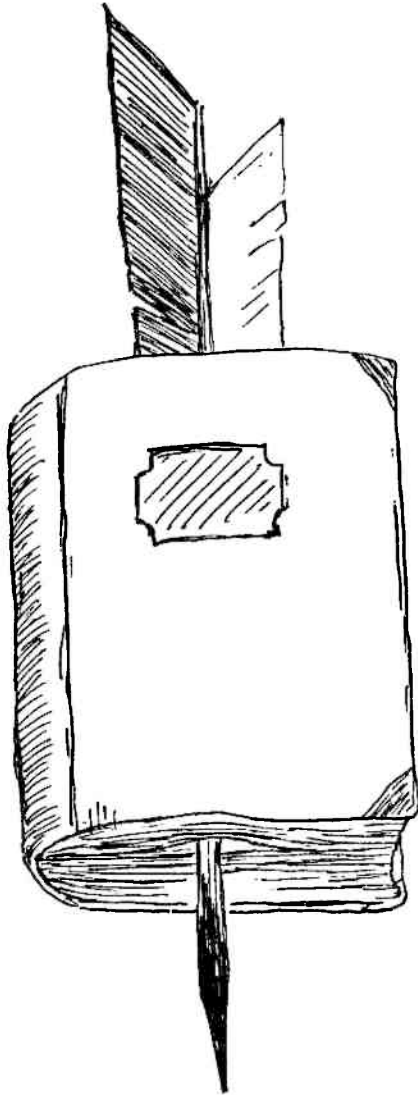
Takie postrzeganie, postrzeganie zmysłowe, moim zdaniem, właściwe byłoby w odbiorze sztuki współczesnej, która jako pewne nowatorstwo, nie znalazła i chyba, ze względu na swoje ściśle zespolenie intelektualno-emojonalne z twórcą, długo jeszcze nie znajdzie kluczy do drzwi interpretacji. Odnalezienie tych kluczy przeczyłoby też jej założeniom, ponieważ w swojej istocie bazuje ona na ewokowaniu uczuć odbiorcy, w sposób bardzo subtelny i delikatny w nie ingerując i nimi sterując. Św. Augustyn niegdyś powiedział: *w przeżyciu estetycznym są elementy zmysłowe i umysłowe: ujmujemy w nim nie tylko barwy i dźwięki, lecz i to, co one przedstawiają lub wyrażają; to, co istotne dla piękna – harmonia, rytm – jest poznawane «wejrzeniem umysłu». Aby uchwycić piękno, podmiot przeżywający musi być podobny do tego, co piękne (...)* * . Nie głosił on jednak relatywizmu w tym sensie, że każdy może zobaczyć w dziele to, co chce. Według niego, aby zobaczyć właściwe piękno dzieła, trzeba być do tego wewnętrznie przygotowanym. Według relatywistów natomiast od nas zależy w całej pełni wartościowanie, interpretowanie, ocenianie, od nas, a nie od krytyków, schematów, czy klasycznych wzorców, od nas, a nie od utartych opinii, przeświadczeń, poglądów. I może dlatego właśnie tak mało jest dzieł, o których, po głębszym zastanowieniu, można by szczerze powiedzieć: „To lubię”.

(V 1996 – praca przygotowana na Olimpiadę Filozoficzną)

* A. B. Stępień, *Propedeutyka estetyki*, Lublin 1986, s.108.

Bibliografia:

- 1 Danuta Wróblewska, *Polska grafika współczesna*, Warszawa 1988;
- 2 Antoni B. Stępień, *Propedeutyka estetyki*, Lublin 1986;
3. Jan Galarowicz, *Na ścieżkach prawdy. Wprowadzenie do filozofii*, Kraków 1992;
4. Władysław Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, Warszawa 1988.



wiersze
– wybory poetyckie

róża

gdy dotykasz
słońce tonie w morzu
ulegam tej nocy i tobie
niecierpliwa tak
ja róża daję ci wszystko
oddychasz mną
ustami rozchylasz uda
czekasz na północ
wybija
już nieba dosięgam
strumienie spływają ze szczytu
przymykam oczy
pocałunkami spijasz nektar
kochasz mnie
bo we mnie nieskończoność
i ostatnie promienie Słońca
gdy dotykasz
róża zmienia zapach

Katryna Grzybowska

Oddałabym

Ty byłeś mostem i przepaścią
Drogocenne kamienie
spadały na twój język
chłonąłeś je
wtedy po raz pierwszy
przeszłam być tylko
dla siebie
dałeś mi szansę
by żyć poza swym światem
by ocalić twe życie
oddałabym

całą czerwień namiętności
cały błękit wieczności
sprzedałabym głos
sprzeniewierzyłabym się sobie
gdybyś wiedział co czuję
gdy na ciebie czekam
drżałbyś niecierpliwie
w oczekiwaniu spełnienia

Katryna Grzybowska

Szeptem o Bogu

To nie dźwięk dzwonu
zbudził mnie nagle ze złego snu
ale modlitwa w ciszy witraży
i zabyło w oczach moich
Alleluja wielkie
i zabrzmiało w ustach moich
Alleluja wdzięczne
zagrałam nieśmiało
na lutni na skrzypcach
na wiolonczeli złotej
moja modlitwa była jak rzeka
najpierw szemrałam
jak strumień górski
potem wezbrałam
i do morza próśb i dziękczynień
wpadłam w szalonej gonitwie
nie wiedziałam jak mam dziękować
za wiary jasne promienie
za spokoju mistyczne skrzydła
zagrałam odważniej
na miłości na radości
na ufności złotej
na tych instrumentach Boskich

Katryna Grzybowska

Czasem w sen mi majaczysz
jak gdybyś do mnie przybyła
z różami świtania

Tulę Cię aksamitną powieką
w uśpionym kryształe źrenicy

Wśród traw falujących
Tańczysz!
rozwiana po rosie

Czy anioł cię przeniósł?
w mój sen
skrzydłem poświat księżycowych
odsłonił.

Bym w sennej toni
Ciebie dogonił
Srebrem księżyca obsypał

Sebastian Malczarski

Sylwii

zabierz mnie w swoje zaświaty
gdzie Oblubienicą zostanę
obmyję się w Twoich wodach
świętych cichych czystych
osuszę się Twoim słońcem
jasnym ciepłym bliskim
ubiorę Twoją szatę
i jak bogini rzymska
położę się u stóp Twoich
olejkiem namaszczę
włosami obetrę
i zniknę w rękach Twoich
mój ukochany
zabierz mnie w swoje zaświaty

Natalia Mirosława Brovko

Zmęczeni

a ty się ciągle trzymasz tego
co bliższe śmierci niż życiu

wybierasz między jednym nieszczęściem
między złudzeniem a złudzeniem
już jesteś zmęczona

i chyba tylko Bóg mógłby ci pomóc
mógłby gdyby chciał
a nie chce

jest już zmęczony
twoim ciągłym wołaniem
o pomoc

Marta Jedliczko

Noc stworzona do miłości

czego chcesz pokaż
musisz przecież czegoś chcieć
ja wierzę tylko temu co zobaczą oczy wiem
któreś nocy przyjdiesz

będzie to noc stworzona do miłości
w tę noc choć przez chwilę znowu będę
młoda

i świętość się uniesie tej nocy nad wodami
i chociaż tej nocy nic mnie już nie zrani
nie bój się nie bój się
zapraszam cię

przy łóżku tej nocy
postawimy stracha na sny
więc przyjdź

Marta Jedliczko

W nieznane

W nieznane
uciekają ci z nadzieją
bez planu
zależy im na czasie
Nie wiem czy dobrze robią

Tam gdzie już byli
kryją się przebiegli
nie chcą się pograć
lub rozczarować
Nie wiem czy dobrze robią

Zostawić ich samych
Czy żyć samotnie

nie wiem czy dobrze to ująłem

Dariusz Pachocki

Zbyt wiele nie wystarczy

Odbuduję mosty
sad roztrzaskany
cienie przemycę w zaświaty
pogodzę się ze słowem
to wystarczy

Kryształowa kula
niech mnie już nie mami
koniec
w nim myśli śmietnik
i czar
czego więcej
nie śmiem pytać
to wystarczy
a jednak zbyt wiele

Dariusz Pachocki

Bezbronność

Tobie by nagi step –
organy traw w dzikiej rosie
Tobie soczysty sad
z kapiącym po skórze sokiem
I Prutu pąsowy grzbiet
zmienny jak wargi o zmierzchu

Tobie by galop bez tchu
i koń oszroniony razami
krwi twojej wąwozy urwiste
podcięte ostrogami
Tobie by soból i panna
i jeżynowy zdrój
Tobie kaczeńców staw
ich żółty na łąkach trzepot
Tobie by zwinna mgła –
Huculka śniada od pieszczot
Tobie by życie na śmierć

A nie ktoś taki jak ja –
z łagodnie nudnymi myślami
bezbronnych kolców naręczem
jakże niezręcznie cię rani

Katarzyna Jarosińska

Cena

Strapionym

Pozytyw – negatywu wszak to zaprzeczenie;
Unicestwieniem świat jest wszelkiej więc nicości:
Stąd waga gwiazd, co świecą na próżniowej scenie,
Unieważnieniem będzie próżni – nieważkości;
Ciemności zaciemnieniem – światłu mrok zazdrości,
I tak, z mijaniem nocy, wstanie dnia pożoga,
Z minięciem zaś mijania – dojdzie czas do Boga.

Z tej części – z jej zaprzeczeń – całość ma korzenie;
Treść jedna więc wyrasta z swoich form wielości:
Stąd mnogość – to wielości różnych zjednoczenie,
Stąd krótkie punkty są to długiej linii włości,
Bóg – naszym zsumowaniem sumień sobie rości
Swe prawo do istnienia; sumieniami mnoga
Jest ludzkość – liczna forma Jednej Treści (Boga).

Pragnienia bowiem są jak jednej woli cienie
(Pragnienie pragnień – wolą jest); z instynktowności –
Z odruchów – rozum jest to woli wyzwolenie;
Rozumu zrozumienie (własnej świadomości
Świadomość) – to sumienie; Bóg, co w ludziach gości.
Uczłowieczanie ludzi jest więc niczym droga,
Na której świat nam jawi swoje wnętrze – Boga.

Krzysztof Zawisza

• Informacje o autorach

ANNA BARĆ – uczennica trzeciej klasy II LO im. J. Zamoyskiego w Lublinie.

NATALIA MIROŚŁAWA BROVKO – studentka trzeciego roku polonistyki i drugiego roku slawistyki KUL.

DOROTA CHABRAJSKA – nauczycielka języka angielskiego w PLO im. K. K. Baczyńskiego w Lublinie.

WOJCIECH CHUDY – dr hab.; filozof i etyk; publicysta; zastępca redaktora naczelnego kwartalnika „Ethos”; wykładowca UMCS i KUL; autor kilku książek i kilkuset artykułów naukowych; laureat nagrody australijskiej fundacji „POLCUL”.

JERZY CIESZKOWSKI – dr nauk humanistycznych; nauczyciel języka polskiego w XI LO w Lublinie; konsultant języka polskiego Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Lublinie.

HENRYK CZARNIAWSKI – dr psychologii; psycholog pracy i organizacji; emerytowany adiunkt Politechniki Lubelskiej.

ALEKSANDER DOBROJER – teolog; doktorant KUL.

JÓZEF FERT – dr hab.; sekretarz Zarządu Międzywydziałowego Zakładu Badań nad Twórczością Cypriana Norwida; kierownik Sekcji Filologii Polskiej KUL; członek redakcji *Dzieł wszystkich Cypriana Norwida*; członek redakcji kwartalnika „Akcent”.

DOMINIK FRONCZEK – student drugiego roku filozofii KUL.

MARIUSZ GÓRNIAK – ksiądz katolicki.

MARTA GREŁA – uczennica klasy III LO im. Unii Lubelskiej.

KATARZYNA GRZYBOWSKA – studentka drugiego roku prawa KUL.

MICHAŁ HUCAŁ – uczeń drugiej klasy Liceum Ekonomicznego przy Zespole Szkół Ekonomicznych im. Vetterów w Lublinie.

KATARZYNA JAROSIŃSKA – absolwentka polonistyki KUL; studentka czwartego roku slawistyki KUL; nauczycielka języka polskiego w PLO im. St. Wyspiańskiego w Lublinie; prowadzi cykliczne programy literackie w Katolickim Radiu Lublin; poetka, zadebiutowała tomem wierszy *Chwile nieparzyste* (Lublin 1995).

MARTA JEDLICZKO – studentka drugiego roku polonistyki KUL; poetka, autorka tomu wierszy *Kamienie spod języka* (Lublin 1996), laureatka konkursu poetyckiego (I nagroda) ogłoszonego przez Związek Pisarzy Polskich (oddział w Lublinie).

ANNA KAWALEC – nauczycielka języka polskiego w III LO im. Unii Lubelskiej w Lublinie.

MICHAŁ KOPACZEWSKI – uczeń czwartej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie; poeta.

LUCYNA KUJAWA – nauczycielka historii i wiedzy o społeczeństwie w Zespole Szkół Chemicznych w Lublinie.

DANUTA KURCZAB – nauczycielka języka polskiego w SLO im. Adama Stanowskiego w Lublinie.

EWA KWIATEK – studentka drugiego roku prawa i filozofii UMCS.

ADRIAN LESIAKOWSKI – słuchacz Pomaturalnego Studium Ekonomicznego w Lublinie.

SEBASTIAN MALCZARSKI – student drugiego roku filozofii KUL.

JANUSZ MALESKA – nauczyciel historii i wiedzy o społeczeństwie w I LO im. St. Staszica w Lublinie.

PIOTR MAZUR – absolwent i doktorant Wydziału Filozofii KUL; nauczyciel filozofii w Lubelskim Społecznym LO im. Jana III Sobieskiego.

SEBASTIAN POKRAKA – student drugiego roku filozofii UMCS.

MAGDALENA POKRZYCKA-WALCZAK – absolwentka Wydziału Ekonomicznego UMCS; pracownik Ośrodka „Brama Grodzka -Teatr NN”; stale współpracuje z tygodnikiem kolejarzy „Nowe Sygnały”, miesięcznikami „Panorama Lubelska” i „PKP Kurier” oraz „Miejską Gazetą Powszechną”.

GRZEGORZ RASIŃSKI – student drugiego roku filozofii UMCS; wędrowny pieśniarz i poeta lubelszczyzny.

KAROLINA ROZWÓD – uczennica trzeciej klasy II LO im. J. Zamoyskiego w Lublinie. Współpracuje z „Gazetą Młodych Sił” lubelskiej edycji „Gazety Wyborczej”.

KSAWERY SKOWRON – student drugiego roku filozofii KUL.

IRENA SŁAWIŃSKA – prof. dr hab.; emerytowany pracownik naukowy KUL; najwybitniejszy europejski znawca teatru współczesnego; członek Zespołu „Tygodnika Powszechnego”.

ZBIGNIEW SMUTEK – nauczyciel przysposobienia obronnego i wiedzy o społeczeństwie w I LO im. St. Staszica w Lublinie.

MAJA SPUSTEK – uczennica trzeciej klasy I LO im. St. Staszica w Lublinie.

ELŻBIETA STOCH – nauczycielka języka polskiego w Zespole Szkół Chemicznych w Lublinie.

MARZENA TARASIŃSKA – uczennica drugiej klasy I LO im. St. Staszica.

PRZEMYSŁAW WIĘCZKOWSKI – student pierwszego roku filologii polskiej KUL.

DOMINIKA WOJTYSIAK – studentka pierwszego roku filologii romańskiej KUL.

JACEK WOJTYSIAK – asystent w Katedrze Teorii Poznania KUL; prowadzi zajęcia m. in. z dydaktyki i metodyki nauczania filozofii. Na stałe współpracuje z PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie; stypendysta Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej w roku 1997.

KRZYSZTOF ZAWISZA – fizyk, filozof, poeta.

IRENEUSZ ZIEMINSKI – doktor filozofii; adiunkt w Zakładzie Filozofii i Socjologii Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy.

SŁAWOMIR J. ŻUREK – doktorant w Instytucie Filologii Polskiej UJ; na stałe współpracuje z PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie oraz Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN”; laureat nagrody australijskiej fundacji „POLCUL” za rok 1997.

